

Zbigniew Nienacki

Pan Samochodzik i Winnetou

Do Czytelników

Do napisania tej książki skłoniły mnie namowy przyjaciół i młodych czytelników, którzy odwiedzając moje domostwo w Jerzwałdzie na Mazurach z troską zastanawiali się nad przyszłością Pojezierza Mazurskiego. Niewątpliwie bowiem traci ono swoje niepowtarzalne piękno na skutek zabudowania brzegów ośrodkami wczasowymi.

Pisząc tę książkę dałem się wziąć na lep pochlebstw, że jestem niejako predysponowany do podjęcia tego tematu, gdyż łączę w sobie dwie postawy: turysty-wodniaka, buszującego po jeziorach, i zarazem kogoś, kto mieszka tam na stałe. Widzę, jak mechaniczne piły obalają dwusetletnie sosny i buki, obserwuję z roku na rok zwiększającą się inwazję turystów, a biały żagiel mojego jachtu pozostaje na jeziorach aż do późnej jesieni; gdy pustoszeją akwenty, na brzegach pozostają tylko sterty śmieci, butelek i opakowań, fale zaś kołyszają smugi rozlanej oliwy z silników motorówek i ślizgaczy.

Mogłem opisać w tej książce konkretne miejscowości i jeziora, wymienić z nazwy ośrodki wczasowe, których urządzenie i sposób użytkowania godne są największego potępienia. Wymyśliłem jednak ów Złoty Róg, Ośłą Łąkę i Jezioro Zmierzchun, aby wielu mogło się w tej książce odnaleźć i zrozumieć swą winę.

Początkowo książka ta miała być pastiszem, naśladownictwem literackiej powieści indiańskiej i przygodowej. Czytelnicy i wielbienie tego gatunku zapewne odnajdą u mnie jakby echo swoich lektur, strzępy i zbitki znanych im skądinąd sytuacji.

Ale w miarę tworzenia forma wymknęła się spod mojej kontroli, angażując mnie bardziej, niż się tego mogłem spodziewać. Oczywiście, brzmią w tej książce echa wspomnianych lektur, lecz już bez tej zamierzonej lekkiej drwiny. Albowiem odzywają się one w każdym z nas, gdy znajdzie się twarzą w twarz z niekłamaną przyrodą. Przypominają się wtedy historie o Winnetou i tropicielach śladów, o włóczęgach, trampach i wspaniałych żeglarzach. Na czas urlopu, oderwany od swych codziennych zajęć, niemal każdy turysta rozstawiający nad brzegiem jeziora płócienny „wigwam” zaczyna identyfikować się z idolami swojej młodości. Podnosząc żagiel na ukochanej mini-tajbie rusza, albo odkryć nieznany łód i spotkać prawdziwą przygodę.

Żyje we mnie nadzieja, że podobnie jak oglądam młodych harcerzy z białymi sznurami, pilnujących porządku na ulicach naszych miast, zobaczę w przyszłości specjalnie przeszkolone zastępy i drużyny, zajmujące się ochroną przyrody, strzegące latem rezerwatów przed wandalizmem. Może zdarzy mi się spotkać w lasach patroli harcerskie z emblematami „Straż Ochrony Przyrody”, wdrażające niesfornych turystów w zasady przepisów o ochronie środowiska naturalnego. Komu bowiem jak nie ludziom młodym musi zależeć na tym, aby

pozostało dla nich to, co było jeszcze i naszym udziałem — piękno i urok polskich jezior i lasów.

Ale powieść ta nie jest adresowana jedynie do młodzieży. Staratem się nadać jej taką formę, aby odrobinę zadowolenia znalazł w niej i czytelnik starszy. To my, dorośli, ponosimy odpowiedzialność za owe połacie obalonych starodrzewów, za zniszczone brzegi jezior, za smugi oliwy na wodach Pojezierza Mazurskiego. Będę szczęśliwy, jeśli ktoś z Was wstrzyma się wiosną z zerwaniem konwalii majowej, a któryś z kierowników ośrodka wczasowego zdejmie z drzew leśnych tuby gigantofonów. Albowiem ambicją chyba każdego pisarza jest nie tylko ukazywać złożoność spraw, bawić i uczyć, ale także i kształtować obyczaje.

*Zbigniew Nienacki
Jerzwałd, luty 1974 r.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KTO DEWASTUJE RUINY ZAMKU? • ZŁOTY RÓG • OSIEM STOPNI W SKALI
BEAUFORTA • DWA KLANY WODNIAKÓW • W OPARACH DYMU I W PIEKLE
HAŁASU • JAK WYGLĄDA KRWAWA MARY? • ZAMACH NA WOLNOŚĆ •
TAJEMNICZY ŻEGLARZ • „MOBY DICK” I „SWALLOW” • ZWYCIĘSTWO
LATAJĄCEGO HOLENDRA • DZIWIY W KAWIARNI • ZAGŁUSZACZ
RADIOODBIORNIKÓW • MILCZĄCY WILK, WINNETOU I MISS KAPITAN

To miały być prawdziwe wakacje. Bez rozwiązywania zagadek historycznych, bez przygód i tropienia przestępców, godzących w skarby kultury narodowej. Zamierzałem wyjechać na Mazury i wypoczywać: pływać i opalać się w słońcu.

Ale w przeddzień mego wyjazdu na urlop — a było to na początku lipca — doszła do naszego departamentu w Ministerstwie Kultury i Sztuki wiadomość, że pewien wielki zakład przemysłowy, posiadający swój ośrodek wypoczynkowy w miejscowości Złoty Róg nad jeziorem Zmierzchun, postanowił rozebrać znajdujący się nieopodal stary zamek i na jego miejscu zbudować klub-kawiarnię. W tej sytuacji dyrektor Marczak, któremu podlegały nie tylko muzea, lecz i sprawa ochrony zabytków, polecił mi, abym jadąc na wypoczynek, niejako po drodze, zbadał sprawę na miejscu. Nie pierwszy to bowiem już raz musieliśmy przeciwdziałać zamachom na zabytkowe budowle, które przeróżne instytucje próbowały rozbierać lub przerabiać bez zgody głównego lub wojewódzkiego konserwatora. Usiłowano je „unowocześnić”, przystosować do nowych potrzeb nie uwzględniając jednak, że w ten sposób tracą swój pierwotny historyczny charakter.

Tak było i tym razem. Dlatego nie namyślając się wiele wyszukałem na mapie jezioro Zmierzchun — nigdy bowiem tam nie byłem — i zabrawszy z archiwum teczkę z dokumentacją dotyczącą zamku w Złotym Rogu, nazajutrz wczesnym rankiem wsiadłem w swój wehikuł i wyruszyłem w drogę.

Dzień był słoneczny, ale niezwykle wietrzny. Na niebie nie było ani jednej chmurki, wiał jednak tak silny wiatr, że na otwartych przestrzeniach samochód nieomal spychało do rowu. Aby utrzymać właściwy kierunek, trzeba było nieustannie nadrabiać kierownicą, jechać wolno i ostrożnie.

I dlatego dopiero po pięciu godzinach jazdy od Warszawy zobaczyłem drogowskaz z napisem *Złoty Róg — 10 kilometrów*. Strzałka wskazywała boczną, wąską, asfaltową drogę, prowadzącą w głąb wielkiego kompleksu leśnego. Skręciłem w nią i odtąd po obydwu stronach drogi rozciągały się lasy pełne cienistego buka. Aż do Złotego Rogu nie dostrzegłem żadnej wsi, żadnego osiedla — wymarzone okolice dla kogoś, kto szuka spokoju i samotności.

Lecz oto las się nagle skończył. Ujrzałem ogromną toń jeziora aż białego od piany, którą niosły potężne, rozkołysane przez wiatr grzywacze. Po prawej stronie las ciągnął się nieprzerwaną ciemną linią aż po horyzont, gdzie jezioro zwężało się w przesmyk, łączący je z drugim, nieco większym, i trzecim — jeszcze większym jeziorem. Dalej, jak to widziałem z mapy, prowadził kanał, wiążący te trzy akweny z potężnym zbiornikiem Śniardw.

Asfaltowa szosa skręcała na lewy, nie zalesiony brzeg i kończyła się ślepo przed bramą dużego ośrodka wypoczynkowego, usytuowanego na piaszczystym półwyspie. Już z daleka widać było dziesiątki brzydkich domków campingowych, a nie opodal półwyspu, na niewysokim wzgórzu obrosniętym starymi drzewami — wznosiły się brunatne ruiny starego zamku: na wpół zrujnowana wieża i kawałek ściany z oczodołami okien. Wzdłuż szosy, prowadzącej do ośrodka wypoczynkowego, tuż nad brzegiem jeziora rozciągało się kilkanaście zagród chłopskich i domów. Najpierw widoczne były kompleksy czerwonych dachów zabudowań nadleśnictwa Złoty Róg, potem zagrody chłopskie i drewniany długi hangar nad wodą, zapewne rybaczkówka. Jeszcze dalej stał, zbudowany z prefabrykatów betonowych i szkła, pawilonik kawiarni gminnej spółdzielni oraz czerwony budynek poczty, sklep, szkoła podstawowa i remiza strażacka. Na końcu znajdował się ośrodek wypoczynkowy i tu się kończyła szosa, a za ośrodkiem, już w lesie, rozciągała się duża polana pełna różnokolorowych namiotów i cumujących przy brzegu żaglówek — zapewne pole namiotowe.

Turyści zasiedlili chyba także maleńką wysepkę, znajdującą się na przedłużeniu półwyspu i stanowiącą jakby małą kropkę nad i, bo właśnie literę „i” przypominał półwysep, zajęty przez ośrodek wczasowy. Wokół wysepki kołysało się na falach kilkanaście motorówek, w zieleni drzew i krzaków prześwitywały płótna namiotów.

Czułem się zmęczony podróżą i przed przystąpieniem do czynności służbowych — obejrzenia zamku i rozmowy z kierownictwem ośrodka — postanowiłem się pokrzepić szklanką czarnej kawy. Zatrzymałem więc wehikuł na małym parkingu przed kawiarnią, gdzie stało już kilka samochodów. Wsiadając z wehikułu, rozprostowując nogi i plecy — zobaczyłem, że od strony jeziora kawiarnia posiada bardzo ładny taras ze stolikami, a od tarasu schodzi w wodę drewniany pomost, przy którym po lewej stronie kołysało się na falach kilka żaglówek, a po prawej kilka motorówek i łodzi motorowych. To zapewne wichura szalejąca na jeziorze spędziła wodniaków do brzegów, jednych pod namioty, innych do kawiarni, gdzie mogli w zaciśnięciu poczekać, aż wiatr przestanie dać i uspokoją się fale. Nawet taras kawiarniany okazał się zupełnie pusty, nikt bowiem nie chciał się wystawiać na uderzenia wichury, która w porywach osiągała chyba siłę ośmiu stopni w skali Beauforta.

Otworzyłem drzwi kawiarni i nieomal cofnąłem się. W twarz uderzyły mnie gęste kłęby dymu tytoniowego, a bębunki uszu boleśnie zareagowały na wrzask kilku grających radioodbiorników turystycznych. Dym potrafię znieść, ponieważ sam palę, lecz na hałas reaguję gwałtownie i boleśnie. Nie ma dla mnie nic bardziej nienawistnego niż widok młodzieńca czy dziewczyny idących po ulicach lub alei parkowej, na brzegu morskim czy nad jeziorem — z grającym aparatem tranzystorowym w rękę. Uważam za szczyt chamstwa i nietaktu, gdy ktoś z grającym aparatem wchodzi do publicznego lokalu i zmusza wszystkich do słuchania tego, czego on sam słucha.

Ale tu nie miałem wyboru. Chciałem się napić kawy, więc musiałem wejść w dym i hałas. Z trudem — poprzez siłą zasłonę tytoniowego smrodu — odkryłem pusty stolik w rogu sali. Poprosiłem kelnerkę o szklankę podwójnie wzmocnionej kawy i zamierzałem zaproponować otwarcie okna, ale pomyślałem, że na nic to się nie zda, ponieważ to wichura na dworze spowodowała, że okna zostały zamknięte, aby nie wyrwało ich z futryn. Innymi słowy, należało przypuszczać, że w bezwietrzny dzień w kawiarni jest znośne powietrze. Ale ten hałas? Tych kilka radioodbiorników — czy wyły tutaj każdego dnia? Pamiętając o motorówkach, które widziałem koło wyspy i przy pomocy kawiarni, pomyślałem, że w takim hałasie przenigdy nie chciałbym spędzić urlopu w Złotym Rogu. Załatwię sprawę starego zamku i odjadę stąd natychmiast tam, gdzie jeszcze można posłuchać szumu wiatru i bełkotu fal.

Kawa okazała się nad wyraz dobra. Pijąc ją drobnymi łykami zacząłem bezwiednie rozglądać się po sali, próbując się zorientować, jakich to turystów i wczasowiczów zwabiają lasy i jeziora w Złotym Rogu.

Od razu się rzuciło w oczy, że klientela kawiarni dzieliła się jakby na dwie zasadnicze grupy. Po prawej stronie siedzieli chyba żeglarze, co poznawało się po białych kurtkach, brodatych twarzach, fantazyjnych kapeluszach. Po lewej zaś zajmowali stoliki motorowodniacy — w skórzanych kurtkach, w wybrudzonych smarami spodniach. Motorowodniaka poznać zresztą bardzo łatwo. Na naszych wodach rzadko spotkasz łódź z silnikiem typu „Johnson” lub „Merkury”. Przeważają hałaśliwe bzykacze-dwusuwy: warty, tummlery, D-6, moskwy, wichry. A jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać dwusuwowego silnika, który pracowałby na wodzie bezbłędnie, nie zalewałaby mu się świeca, sprawnie działał iskrownik, nie zatykał się gaźnik. Dlatego każdy właściciel takiego silnika po jakimś czasie ma za paznokciami i na ubraniu trudno usuwalne ślady oleju.

I właśnie sprawa dość charakterystyczna: na stolikach motorowodniaków stały ryczące aparaty radiowe. No cóż, hałas motoru ślizgacza siłą rzeczy przytępia słuch. Gdy płynie się z takim silnikiem, trzeba głośno krzyknąć, aby się porozumieć, i nic dziwnego, że potem trzeba słuchać radia na pełny regulator.

Inaczej zupełnie żeglarstwo. To sport cichy, wymagający skupienia i spokoju. Szanujący się żeglarz śródładowy nie tylko nie wchodzi na żaglówkę w butach, ale nie zabiera z sobą w rejs aparatu radiowego. Etyka żeglarska zakazuje gwizdać i krzyknąć na wodzie, nawet podnoszenie głosu jest niemile widziane, i nic dziwnego, że sport ten wychowuje ludzi, którzy nie tylko kochają wiatr, lecz i szanują ciszę. Nawet gdy wyjdą na ląd.

Nie dziwiłem się więc zauważając niechętnie spojrzenia, jakie żeglarze posyłali w stronę motorowodniaków. Rozumiałem również, dlaczego siedzieli oddzielnie, dlaczego po przeciwnych stronach pomostu kawiarnianego cumowały żaglówki i motorówki, dlaczego

przy brzegu polany leśnej widziałem same maszty, a wokół wysepki kołysały się same motorówki. W Złotym Rogu między dwiema grupami wodniaków panował ostry konflikt.

Rzecz jasna, goście kawiarni nie składali się z samych żeglarzy i motorowodniaków. Było tu także kilku automobilistów, których samochody widziałem na parkingu, jacyś przejezdni turyści, przeważnie mężczyźni z żonami i dziećmi. Jeden z tych panów kilkakrotnie błagalnie składał ręce, zwracając się do motorowodniaków, aby ściszyli radia, lecz jego prośba pozostawała bez echa.

W pewnej chwili kelnerka — młoda dziewczyna w krótkiej sukience i małym fartuszk — wyszła na zaplecze kawiarni i wróciła trzymając w ręku wywieszkę. Skierowała się w stronę stolików motorowodniaków i wywieszkę uczepiła do kinkietu na ścianie. Teraz mogliśmy odczytać treść wywieszki, wypisaną kolorowym flamastrem: *Uprasza się o ciszę i niewłączanie radioodbiorników.*

Rzuciła mi się w oczy bardzo różna reakcja gości. Automobilisci odetchnęli z ulgą. Na ustach żeglarzy pojawiły się triumfujące uśmiešky. Natomiast twarze motorowodniaków stały się złe, zacięte. I jak na komendę ściszyli aparaty radiowe.

Ale nie, nie dlatego, że przyjęli do wiadomości treść wywieszki. Po prostu zamierzali polemizować z kelnerką, a wrzask grających pudeł mógł im w tym przeszkodzić.

Głos zabrał rosły brodac z „afrykańską” czupryną.

— Halo, proszę pani, co ma znaczyć ten napis?

— Nie umie pan czytać? — kelnerka udała zdumienie.

— Umie, proszę pani. I dlatego właśnie pytam: kto wydał zakaz włączania radioodbiorników?

— Nasza kierowniczk.

— Ach, więc to sprawka Krwawej Mary — oburzył się Kudłacz. — Prosimy bardzo, niech ona tu przyjdzie i wytłumaczy się przed nami.

Od stolika zerwał się mały blondynek w okularach i skórzanej kurtce:

— Co to ma znaczyć? W żadnej kawiarni nie ma takich wywieszek. Nigdzie nie jest zabronione włączanie radioodbiorników. Wiem o tym, jako student prawa nieco orientuję się w przepisach.

— Tak jest. Adwokat ma rację. Niech tu do nas przyjdzie Krwawa Mary — darło się bractwo motorowodniaków.

Kelnerka wzruszyła ramionami i wyszła na zaplecze. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy jej powrotu w towarzystwie kierowniczki kawiarni. Jedni, bo spodziewali się awantury, która urozmaicić mogła życie na wczasach, jeszcze inni, bo ciekawi byli osoby o tak groźnie brzmiącym przezwisku.

Krwawa Mary? Wyobraziłem sobie roslą, tęgą kobietę o groźnym wejrzeniu i rękach aż do łokci umazanych we krwi.

A wyszła do nas bardzo młoda i ładna dziewczyna o jasnych, gładko zaczesanych włosach, związanych z tyłu kokardą. Miała na sobie obcisłe spodnie z welwetu i koszulę o męskim kroju. Rysy jej twarzy wydały mi się delikatne, choć jak na mój gust miała zbyt szeroko rozstawione oczy i wystające kości policzkowe. Spokojnym krokiem podeszła do motorowodniaków i powiedziała bez odrobiny irytacji w głosie:

— Nie życzę sobie, żeby mnie nazywano Krwawą Mary. Na imię mam Maria.

Podobały mi się jej słowa. Ja także nosiłem przezwisko Pan Samochodzik. Ale uważałem, że w ten sposób mogą o mnie mówić jedynie moi przyjaciele.

— A co dotyczy wywieszki — ciągnęła dalej — zrobiłam ją na życzenie wielu gości. Od pewnego czasu zwracali mi oni uwagę, że w prowadzonej przeze mnie kawiarni jest zbyt głośno. A przecież jest to kawiarnia wczasowa, ludzie przyjeżdżają do Złotego Rogu, aby odpocząć od hałasów w mieście.

Odkrzyknął jej Kudłacz:

— My wiemy, jakich gości ma pani na myśli. Żeglarzy. Oni od dawna na nas krzywo patrzą. Ale my, motorowodniacy, którzy także jesteśmy klientami tej kawiarni, chcemy w niej słuchać młodzieżowej muzyki. Nasze życzenia też należy uwzględnić.

Od stolika znowu zerwał się Adwokat:

— Szanowna pani zapomniała, że do wielu kawiarni specjalnie kupuje się szafy grające, magnetofony, radia, a nawet sprowadza orkiestry, aby goście mogli posłuchać muzyki. Tak dzieje się nie tylko w kawiarniach miejskich, lecz i w kawiarniach wczasowych. Dlatego uważamy, że wydany przez panią zakaz jest bezprawny i nie będziemy się do niego stosować. Proszę mi pokazać okólnik, który zabrania włączać radioodbiorniki w publicznych lokalach.

Niestety, miał rację. Jak do tej pory ani Ministerstwo Handlu Wewnętrznego, ani poszczególne dyrekcje zakładów gastronomicznych nie wydały w tej sprawie żadnego okólnika.

Ale młoda kierowniczka kawiarni w Złotym Rogu była sprytną osobką.

— Pan ma tylko częściowo rację — odparła spokojnie. — Proszę nie zapominać, że każda kawiarnia ma swoją specyfikę. Na życzenie klientów i za zgodą kierownictwa lokalu można wprowadzić szafę grającą i w określonych godzinach organizować nawet wieczorki taneczne przy magnetofonie lub orkiestrze. Ale skoro moi goście życzą sobie ciszy, muszę uwzględnić ich żądania.

— To bezprawie! Pani jest po stronie żeglarzy! — wołał Kudłacz.

Krwawa Mary potrząsnęła głową:

— Nie interesuje mnie rodzaj sportu uprawiany przez mych gości. Uwzględniam tylko ich życzenia. A panowie, jeśli nie zastosują się do wywieszki, odpowiadać będą za zakłócenie spokoju publicznego.

— Co takiego? — zdumiał się Adwokat. — Ja znam przepisy, pani nie ma prawa tyranizować nas swymi lokalnymi zarządzeniami. Turystyczne radioodbiorniki są do kupienia w sklepach, a więc każdy obywatel ma prawo ich używać, bo po to są sprzedawane.

Krwawa Mary znowu potrząsnęła głową:

— Pan się myli, panie Adwokacie. Dam panu przykład. Czy wolno każdemu śpiewać? Tak. Są nawet specjalne budynki, zwane operami, gdzie się oklaskuje śpiewaków. Ale jeśli pan zechce śpiewać w kawiarni, zostanie pan ukarany za zakłócenie spokoju publicznego.

Znowu odezwał się Kudłacz:

— My wiemy, co się kryje za tą wywieszką. Doszła do nas wiadomość, że w Złotym Rogu powstała tajna grupa pod nazwą „Liga do Walki z Hałasem” i pani zapewne została jej członkiem.

— Tak jest — podchwycił jego słowa Adwokat. — Doszły nas słuchy, że na czele owej ligi stoi Winnetou.

Krwawa Mary wzruszyła ramionami:

— Nie należę do żadnej tajnej organizacji. Nie mam też nic wspólnego z Winnetou. Od czasu, gdy zabiłam w naszym okręgu łowieckim jelenia o największym porożu, on wstąpił wobec mnie na ścieżkę wojenną.

— Ale prawdą jest, że Winnetou napisał do Urzędu Rady Ministrów wielki memoriał, aby to jezioro objąć strefą ciszy — zawołał Kudłacz. — A to jest już koniec dla nas, motorowodniaków. I pod memoriałem Winnetou podpisali się żeglarze, a także i pani, jako kierowniczką kawiarni. Wczoraj cały wieczór warczał bęben na drugim brzegu jeziora. Wszyscy już wiedzą, że Winnetou chce wykopać przeciw nam swój topór wojenny. Tylko, że my się nie damy. Mamy potężnych przyjaciół. Z nami jest ośrodek wczasowy, bo oni też posiadają motorówkę. A z ośrodkiem wczasowym nie wygracie.

— Tak jest — poderwał się z krzesła Adwokat. — Czy pani zdaje sobie sprawę, z kim zadzieracie? Ośrodek wczasowy podlega Ministerstwu Przemysłu Ciężkiego, czy pani to rozumie? To kluczowy przemysł, proszę pani. Co dają państwu żeglarze? Czy przysparzają dewiz, czy pomnażają dochód narodowy? Nie, nawet zabierają dewizy na swoje różne rejsy zagraniczne. Dlatego, jak pani myśli, czyje żądania zostaną uwzględnione? Żeglarzy, którzy chcą ciszy, czy ośrodka wczasowego? Kto wygra? Winnetou i garstka żeglarzy, czy pan Purtak, kierownik ośrodka wczasowego?

Ten potok słów zdawał się zalewać młodą kierowniczkę kawiarni. Zdania brzmiały groźnie, argumenty były ważne. Nic więc dziwnego, że Krwawa Mary milczała bezradnie, spoglądając to na żeglarzy, to na swoją wywieszkę.

Jej chwilową słabość wykorzystał Kudłacz.

— Panowie! — wrzasnął do swoich kolegów — grajcie na tranzystorach. Nie przyjmujemy do wiadomości zakazów Krwawej Mary. Jeśli Winnetou i ich tajna liga chce z nami wojny, to teraz ogłaszam wszem i wobec: my także wykopujemy topór wojenny i wypędzimy stąd nie tylko Winnetou, ale i wszystkich żeglarzy, jeśli im się nie podoba zapach naszych spalin i warkot naszych silników.

I radiodbiorniki ryknęły jeszcze głośniejsze niż przedtem. Ciekawy byłem, jak w tej sytuacji zachowa się Krwawa Mary. Czy da spokój całej sprawie, uważając się za pokonaną? A może pobiegnie na posterunek, aby z pomocą milicjanta zaprowadzić spokój w swej kawiarni?

Ale zdarzyło się coś, co uwagę i jej, i moją, i wszystkich gości zwróciło zupełnie w innym kierunku.

Oto z przesmyku na jeziorze Zmierzchun wypłynął jacht — mimo sztormowej pogody i tak silnych szkwałów, że porywały pianę z fali i roznosiły ją po całym rozszalałym jeziorze. Żeglarz, który przy takim wietrze zdecydował się płynąć, musiał mieć nie lada odwagę, a i jego jacht posiadał chyba wielką odporność na fale.

Może był to mały, stabilny kiler?[1]. Ale kilery rzadko zjawiają się na jeziorach mazurskich, ponieważ trudno im dobić do płytkich brzegów, wody zaś obfitują w nie oznaczone mielizny. Wiatr wiał od przesmyku, jacht płynął fordewindem, czyli kursem wiatru pełnego, mógł więc osiągnąć dużą szybkość i nieomal rósł w naszych oczach, z każdą chwilą stając się większy i większy.

— To jakaś śmieszna samoróbka — pogardliwie zawołał któryś z żeglarzy. — Właściciel zapewne sam ją sobie zrobił i sam uszył żagle, bo takie jakieś dziwne widać olinowanie. A widzicie, co to za żagiel?

No cóż, nie dziwiło mnie ich zdumienie. Przy kawiarnianym pomoście widziałem tylko omegi, finny, BM-ki, hetki i cadety[2]. Są to jachty jednomasztowe z dość prostym ożaglowaniem typu „Marconi”[3]. Dziś na takich jachtach uczy się u nas żeglarstwa śródlądowego.

Lecz ja zdobyłem patent sternika w swoich studenckich czasach, parę ładnych lat temu, gdy należałem do Akademickiego Zrzeszenia Sportowego. Widywało się wtedy na jeziorach najróżniejsze łajby.

Zbliżała się ku nam niezwykle zgrabna jol z grot-masztem i bezanmasztem[4] umieszczonym za sterem. Miała ożaglowanie typu gafłowego[5] — dość rzadko dziś spotykane na jeziorach mazurskich. Z powodu silnego wiatru kierujący jachtem żeglarz zrefował[6] wielki żagiel i zrzucił bezan.

Nie dziwiła mnie też tak duża liczba fałów, czyli lin przy maszcie głównym. Albowiem żagiel gafłowy oprócz grotfału potrzebuje jeszcze dirka[7] i pikfału. Z dziobu wystawał bukszpryt[8], a więc znaczyło to, że żeglarz mógł się posługiwać nie tylko fokiem, lecz i kliwerem, a i do spinakera musiał być osobny fał.

Rzadko dziś na naszych jeziorach zobaczyć można żagiel bryfok, balonfok czy genuafok[9] — stąd też i zdziwienie młodych żeglarzy śródlądowych, gdy trafi się jednostka z bardziej skomplikowanym ożaglowaniem.

Jol była już blisko, widzieliśmy ją bardzo wyraźnie. Za sterem siedział rostry mężczyzna w grubym czarnym swetrze i z rozwianą szopą jasnych włosów.

Bystre oko mogło już teraz przeczytać napis na burcie, wymalowany dużymi literami: MOBY DICK.

Przypomniałem sobie wspinałą książkę, która w dzieciństwie i latach młodości dała mi tyle niezwykłych przeżyć, zapładniała moją wyobraźnię. Historia o ogromnym białym wielorybie, zwanym Moby Dick, o szalonym, a może wspinałym kapitanie, który go ścigał i zginął wraz z załogą swego wielorybniczego statku — dostarczała mi wiele tematów do rozmyślań.

I byłem niemal pewien, że człowiek, który imieniem Moby Dicka nazwał swój jacht, nie mógł być przeciętnym żeglarzem, bo ci zazwyczaj dają swym łajbom imiona dziewcząt, ptaków, ryb. Na jeziorach roi się od „Neptunów”, „Rybitw”, „Wand”, „Mew” i tym podobnych.

Nagle w przesmyku pokazał się znowu biały żagiel. Płynął drugi żeglarz, nie mniej odważny od tego na „Moby Dicku”. Nie, był chyba po stokroć odważniejszy, albowiem płynął na pełnych żaglach.

Wydawało się, że po prostu leci po falach z każdą sekundą pochłaniając przestrzeń jeziora. Przed chwilą jeszcze jacht był maleńki, ledwie widoczny, a już teraz zbliżał się do „Moby Dicka”, pędząc w ślizgu z niepojętą szybkością. Zaiste, słusznie uczynił jego właściciel malując na burtach nazwę „Swallow”, co znaczy „Jaskółka”. Jacht bowiem zdawał się unosić na swoich dwóch napiętych żaglach jak na skrzydłach.

„Swallow” miał na żaglu litery FD, co znaczy Flying Dutchman. Ale nawet bez tych liter doświadczony żeglarz natychmiast rozpozna sylwetkę takiego jachtu wśród dziesiątków innych.

Oto płynął ku nam Latający Holender — wyczynowy jacht regatowy, o jakim marzą setki żeglarzy. Jest to jeden z najszybszych jachtów dwuosobowych, jakie można spotkać na wodach śródlądowych.

Pływanie na Latającym Holendrze wymaga ogromnego doświadczenia. To nie omega ani nawet finn. Rzadko płynie się na nim siedząc w kokpicie[10], częściej balastować trzeba na trapezie, to na lewej, to znów na prawej burcie. Zbyt powolne wyjście na trapez albo zbyt powolny powrót do kokpitu grozi wywrotką. Prawdziwej akrobacji trzeba, aby utrzymać nad wodą piętnaście metrów kwadratowych żagla na łajbie stosunkowo wąskiej i lekkiej, o niewielkim zanurzeniu.

A na „Swallowie” płynęła kobieta. I to samotnie, podobnie jak samotnie płynął żeglarz na „Moby Dicku”. Widzieliśmy ją na trapezie, zwieszoną nad wzburzonymi falami. Miała białe włosy i biały kapok[11].

Nie patrzyłem na zegarek, ale minęło chyba tylko kilka minut, gdy „Swallow” dopędził „Moby Dicka”, zrównał się z nim, a potem wyprzedził.

— Brawo! — zawyli żeglarze w kawiarni. — Brawo, „Swallow”!

Żeglarka na „Swallowie” zapewne nie zamierzała jednak dobijać do pomostu kawiarni. Raptem zrobiła zwrot, kierując jacht do obozowiska żeglarzy.

I wtedy wiatr ją położył. Upadła na wodę jak motyl ze zwartymi skrzydłami.

Sternik na „Moby Dicku” zerwał się z miejsca, gotów skierować swój jacht na pomoc tonącej. Ale ona dała mu ręką znak, że nie potrzebuje pomocy. Błyskawicznie wskoczyła na miecz swego jachtu i w mgnieniu oka postawiła go na wodzie, dziobem do wiatru. Potem z kocią zręcznością wskoczyła na trapez i ostrożnie, prawym halsem[12] ruszyła w kierunku obozowiska żeglarzy. Albowiem nie może płynąć na Latającym Holendrze ten, kto nie zna sztuki błyskawicznego stawiania jachtu na wodzie.

Obramowanie okna i ściana kawiarni zasłoniły wkrótce Latającego Holendra. Pozostał nam tylko widok „Moby Dicka”, który szedł wprost na brzeg. Lecz gdy mijał pomost kawiarni, sternik nagle dokonał zwrotu, ustawił jacht pod wiatr i zrzucił żagiel. Silny podmuch osłabił pęd „Moby Dicka” do tego stopnia, że wolniutko zbliżył się do desek pomostu prawą burzą. Zwój grubej liny, zwany „buchcią”, ochronił brzeg burty przed otarciem o kant pomostu. Żeglarz wyskoczył na pomost, przytrzymał jacht i zarzucił linę cumowniczą na wystający pacholek. Potem wyjął z kabiny torbę podróżną i puścił wolno jacht, który porwany przez fale odszedł kilka metrów od pomostu i szarpał się na linie jak narowisty koń trzymany cugłami.

Za chwilę żeglarz wszedł do kawiarni. I podobnie jak ja zatrzymał się w drzwiach uderzony boleśnie wrzaskiem tranzystorowych radioodbiorników. Wyraz jego twarzy zdawał się mówić „O Boże, czemu tu taki hałas?” Bezradnie rozglądał się po zadymionej sali, na próżno szukając wolnego stolika.

Ale oto naprzeciw niemu ruszyła Krwawa Mary. I ona, podobnie jak goście z kawiarni, podziwiała samotnego żeglarza, który w tę wietrzną pogodę wypłynął na jezioro. Być może zachwyciła ją także jego rośła sylwetka, opalona, piękna twarz i ogromna szopa jasnych włosów. Zapraszającym gestem wskazała mu służbowy stolik, znajdujący się przy bufecie.

Olbrzym skinieniem głowy podziękował jej za tę uprzejmość. Nie wyrzekł ani słowa, bo i tak zagłuszyłby je wrzask aparatów radiowych. Skromnie usiadł przy wskazanym mu stoliku, postawił swoją podróżną torbę. Gdy przyjrzałem mu się dokładniej, doszedłem do wniosku, że ma chyba około czterdziestu lat, ale odmładzała go szczupła, młodzieńcza sylwetka.

Podeszła do niego kelnerka, aby przyjąć zamówienie. Olbrzym mówił coś do niej, ale ona widocznie go nie słyszała. Kręciła głową, wskazując ryczące pudełka na stolikach.

Olbrzym zmarszczył groźnie brwi. A potem włożył dłoń do swej torby podróżnej. I w tym momencie stało się coś zadziwiającego. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki umilkły wszystkie turystyczne radioodbiorniki. W kawiarni nastała taka cisza, że chyba i bzyczenie muchy by się usłyszało, gdyby mucha mogła żyć w takim dymie.

— Proszę o szklanekę herbaty i ciastko drożdżowe — zabrzmiał w kawiarni tubalny głos olbrzymia.

Motorowodniacy zaczęli oglądać swoje aparaty radiowe. Pukali w nie zagiętymi palcami, przykładali uszy do głośników, kręcili gałkami, wyjmowali i sprawdzali baterie. Na próżno. Aparaty radiowe ucichły, choć wydobywał się z nich cichuteńki szmer, najlepszy dowód, że nic się w nich nie zepsuło. Sprawiały wrażenie, jakby ktoś — jakaś dziwna siła — odepchnął od nich fale radiowe lub zakłócił ich odbiór w taki sposób, że tylko szemrały niewyraźnie i bełkotliwie.

Domyślałem się przyczyny tego zjawiska. Podczas swej podróży do Francji, przejeżdżając przez Republikę Federalną Niemiec, widziałem w tamtejszych sklepach aparaty do zagłuszania aparatów radiowych w cenie trzydziestu siedmiu dolarów i więcej, w zależności od tego, czy działały one w promieniu stu, czy czterystu metrów. Były to aparaty zminiaturyzowane, niektóre wielkości płaskiej latarki elektrycznej, inne jeszcze mniejsze — wielkości pudełka papierosów. I podobnie jak radiowe aparaty tranzystorowe, zasilane były przez baterie elektryczne.

Nie ulegało wątpliwości, że jasnowłosy, żeglarz włączył taki właśnie „zagłuszacz radiowy”. Trzymał go w torbie podróżnej i zdenerwowany hałasem — uruchomił. A teraz z najniewinniejszą miną obserwował motorowodniaków, opukujących swoje radioodbiorniki. Postąpił oczywiście wbrew prawu, gdyż podobnie jak nie wolno nikogo zmuszać do słuchania radia, tak samo nie wolno nikomu zabraniać słuchania. W jednym i drugim wypadku jest to zamach na wolność obywatela.

— Panowie! — wrzasnął nagle Kudłacz: — To jakaś granda! Ktoś nam zrobił głupi kawał.

Szczupły, wysoki chłopak w ciemnych okularach, także motorowodniak — oskarżycielskim gestem wyciągnął rękę w stronę jasnowłosego żeglarza.

— Chcecie wiedzieć, kto zagłuszył nasze radioodbiorniki? To on. Ten osobnik, który przyplłynął tu przed chwilą. Ja go znam, panowie. On był, i chyba jest nadal, docentem na wydziale elektroniki na politechnice. Przez niego oblałem trzeci semestr i wyrzucili mnie z uczelni. Przez niego musiałem powtórnie zdawać egzamin na inną uczelnię. Jestem przekonany, że posiada aparat, który zagłusza głos naszym radioodbiornikom.

Spojrzenia wszystkich gości w kawiarni skierowały się na jasnowłosego żeglarza. Ale on zdawał się tego nie widzieć, podobnie jak udawał, że nie słyszy oskarżeń, które padały pod jego adresem. Z największym spokojem jadł ciastko i popijał je gorącą herbatą.

Krwawa Mary patrzyła na niego z uwielbieniem.

— Proszę państwa — powiedziała — nie wiem, kto włączył ten cudowny zagłuszacz. Ale w imieniu wielu tu obecnych pragnę mu za to serdecznie podziękować.

Jej słowa spowodowały lawinę wrzasku od stolików motorowodniaków. Żeglarze klaskali w ręce, aby wyrazić swój podziw dla tajemniczego właściciela „zagłuszacza”, przyłączyli się także do nich automobiliści. Motorowodniacy jednak wołali jeden przez drugiego:

— To skandal! To bezprawie! To nikczemność! Kupiliśmy radioodbiorniki w państwowych sklepach! Nikt nie ma prawa zabraniać nam na nich grać. Niech ktoś pójdzie na milicję. Tego osobnika powinno się aresztować!

Ale mimo pogroźek, żaden z nich nie ruszył się od stolika. Czuli się również winni, ponieważ wbrew wywieszce włączyli przedtem swoje turystyczne radioodbiorniki.

Olbrzym jadł i pił spokojnie, udając, że nic nie słyszy i nic nie rozumie. A gdy skończył, zapłacił kelnerce i wstał. Gotował się właśnie do wyjścia, gdy do kawiarni wszedł średniego wzrostu szczupły brunet, o gładko zaczesanych włosach i pięknie opalonej twarzy. Mógł mieć około trzydziestu dwóch lat, ubrany był z wyszukaną sportową elegancją. Ani jedna rzecz, którą miał na sobie, nie pochodziła ze sklepu ze standardową konfekcją, a była szyta na zamówienie, według indywidualnego pomysłu. Na nogach miał wąskie zamszowe spodnie beżowego koloru, wpuszczone w oryginalne indiańskie mokasyny, obcisłe i miękkie. Zamszowa bluza włożona była w spodnie, wokół rozchylonego kołnierza czerwieniła się jedwabna chustka.

Jasnowłosy znieruchomiał na widok tego człowieka. Otworzył szeroko ramiona i zawołał na całą kawiarnię:

— Winnetou, mój bracie i przyjacielu...

I obydwaj padli sobie w ramiona, obejmując się mocnym, braterskim uściskiem.

— Idąc nad jeziorem widziałem kanu Milczącego Wilka, który kierował się w tę stronę — powiedział Winnetou. — I natychmiast przybiegłem tutaj, aby uradować oczy widokiem mojego brata. Dlaczego Milczący Wilk ominął wigwam Winnetou i przybył do zadymionego wigwamu bladych twarzy? Czy serce Milczącego Wilka nie mówiło mu, że Winnetou czeka na niego z utęsknieniem?

— Nie chciałem zakłócać spokoju Winnetou — odparł olbrzym. — Wiem, że mój brat lubi samotność. Dusza moja tęskniła za lasem i jeziorem w Złotym Rogu, dlatego przybyłem tutaj znowu. Nie chciałem narzucać się Winnetou.

— Mój wigwam jest twoim wigwamem — powiedział Winnetou kładąc rękę na ramieniu Milczącego Wilka. — Płynmy stąd zaraz, bracie mój. Winnetou nie lubi hałaśliwego wigwamu Krwawej Mary.

I obojętnie rozejrzał się po twarzach gości siedzących w kawiarni. A oni wpatrywali się w niego ze zdumieniem i zaciekawieniem, niektórzy nawet z rozbawieniem. Nie codziennie się przecież zdarza zobaczyć dwóch mężczyzn, którzy mówią do siebie językiem znanym każdemu, kto w młodości rozczytywał się w książkach indiańskich Karola Maya.

Wzrok Winnetou spoczął dłużej tylko na Krwawej Mary. Widziałem, jak dziewczyna się zarumieniła pod tym spojrzeniem, a chcąc ukryć rumieniec, szybko odwróciła twarz.

Winnetou także odwrócił się gwałtownie i ruszył do drzwi kawiarni. Milczący Wilk podjął z podłogi swoją torbę podróżną i pośpieszył tuż za nim. Gdy mijali mój stolik, usłyszałem, jak Milczący Wilk szepnął do swego towarzysza:

— Widziałem dziś na jeziorze Miss Kapitan. Popłynęła na bindugę.

Winnetou przystanął gwałtownie. Jego twarz stała się ponura, usta miał mocno zaciśnięte.

— I ja ją widziałem, mój bracie. Winnetou ma złe przeczucie.

W zamyśleniu potrząsnął głową, jakby starał się pozbyć złych myśli, które go ogarnęły. Potem otworzył drzwi kawiarni i przepuścił przodem Milczącego Wilka.

Przez okna kawiarni widzieliśmy, jak obydwaj zgrabnie wskoczyli na jacht. Milczący Wilk ustawił „Moby Dicka” pod wiatr i wciągnął żagiel gafłowy, a Winnetou uwolnił jacht od cumy. Odeszli od pomostu prawym halsem, potem Milczący Wilk wyostrzył żagiel i zrobił zwrot przez sztag. Teraz lewym halsem przecięli jezioro i skierowali się do zarośniętego lasem brzegu.

Odpłynęli od kawiarni najwyżej czterysta metrów, gdy znowu ryknęły aparaty radiowe. Niewielką salę na powrót wypełnił wrzask. Ale po tym, co się tu przed chwilą stało — motorowodniacy mieli uczucie klęski. Kolejno wyłączali swoje pudła, a potem zaczęli ze sobą półgłosem rozmawiać. Byłem pewien, że mówią o Winnetou i Milczącym Wilku. I że nie wyrażają się o nich z sympatią.

ROZDZIAŁ DRUGI

ZDEWASTOWANE RUINY • OŚRODEK WZASOWY CZY TWIERDZA? • JAK ROZGRABIA SIĘ LASY I JEZIORA • ZŁA REALIZACJA PIĘKNEJ IDEI • KTO LUBI GIGANTOFONY? • SKUTKI PEWNEJ OMYŁKI • TAJNE PLANY KIEROWNIKA PURTAKA • WYKŁADAM SWOJE KARTY • PROŚBY I POGRÓŻKI • CO LUBIĄ ROBOTNICY? • KIM JEST WINNETOU? • KTO UKRADŁ PSA?

Zamek nad jeziorem Zmierzchun zbudowany został w roku 1386 przez prepozyta katedry pomezjańskiej, Henryka ze Skolina. Kiedyś służył ku obronie i posiadał kilka baszt oraz wysokie mury otoczone fosą połączoną z jeziorem. Przebudowany w XV, XVI i XVIII wieku utracił swój obronny charakter i stał się rezydencją mieszkalną ze wspaniałą wieżą bramną, zwieńczoną renesansowym pięknym szczytem. Ale w następnych wiekach popadł w ruinę i do dziś ocalały tylko fragmenty kilku baszt, resztki murów obronnych, wspaniała wieża bramna i dwie ściany mieszkalnego skrzydła w południowym narożu.

Ruiny porosła wysoka trawa, kikuty sterczały pośród starych buków, które wyrosły na niewielkim wzgórzu zamkowym. Wieża i resztki ścian z oczodołami okien widoczne były z daleka, aż z drugiego brzegu, malowniczo rysując się w tle zielonych lasów i jasnego nieba. O odbudowie tego zamku nikt oczywiście nie myślał, zbyt wielki byłby to bowiem koszt i chyba zupełnie niepotrzebny. Niemniej jednak, ze względu na swój historyczny charakter, a także dlatego, że stanowił piękny element krajobrazu, stary zamek podlegał opiece Ministerstwa Kultury i Sztuki — stanowił obiekt chroniony prawem, o czym informowała czerwona tabliczka z godłem państwowym. W obiekcie tego rodzaju nie wolno przeprowadzać jakichkolwiek zmian bez zgody konserwatora wojewódzkiego. Nawet przesunięcie kilkunastu cegieł jest karalne, nie mówiąc o zabieraniu stąd cegieł czy kamieni jako materiału budowlanego dla innych obiektów.

A tymczasem w ruinach zamku w Złotym Rogu ujrzałem kilka pryzm starannie ułożonych renesansowych cegieł, pochodzących z rozbiórki. Wewnątrz murów walały się nowe deski

przygotowane do wzniesienia jakiegoś rusztowania, leżały worki z cementem i kupy nawiezonego żwiru oraz pojemniki do rozrabiania zaprawy murarskiej. Innymi słowy, ktoś chciał tu coś zbudować, wykorzystując stare cegły jako materiał budowlany.

Nie spotkałem w ruinach robotników ani w ogóle żadnego człowieka, ale i nie musiałem wypytywać o sprawcę. Wiedziałem przecież, że to położony po drugiej stronie drogi ośrodek wczasowy jednego z wielkich zakładów pracy prawem kaduka zaanektował ruiny i postanowił przebudować je na klub-kawiarnię.

Jak wspominałem, ośrodek wczasowy mieścił się na półwyspie, dość głęboko wchodzącym w jezioro. Nasadę półwyspu przecięto wysoką siatką z dodatkową ochroną w postaci dwóch linii drutów kolczastych. Tylko wąska brama z budką portiera prowadziła na półwysep, gdzie stało kilka szeregów, podobnych do psich bud, domków campingowych i długi, jaskrawo pomalowany barak, stanowiący zapewne stołówkę i pomieszczenie administracji.

— Pan do kogo? — zatrzymał mnie przy bramie głos brodatego staruszka.

— Do kierownictwa ośrodka — odpowiedziałem.

— Pan nie jest u nas na wczasach?

— Nie. Mam sprawę służbową.

— W takim razie muszę panu wypisać przepustkę do kierownika ośrodka, pana Purtaka. Proszę dać mi dowód osobisty albo legitymację służbową. A przepustkę, proszę pamiętać, żeby kierownik podpisał, bo inaczej ja pana stąd nie wypuszczę.

W milczeniu podałem swoją legitymację służbową i uśmiechając się pod nosem oczekiwałem, aż portier wypełni kilka rubryczek przepustki. Uśmiechałem się, choć ogarnęło mnie uczucie irytacji. Jest bowiem czymś oczywistym, że bez przepustki nie wpuszcza się nikogo do żadnego poważnego zakładu pracy, gdyż nie jest sprawą słuszną, aby kręcili się tam ludzie obcy i nie upoważnieni. Ale tu był przecież tylko ośrodek wypoczynkowy, gdzie nie kryły się żadne tajemnice produkcji, a co najwyżej obcy przybysz mógł stwierdzić — ładne czy brzydkie panienki przyjechały na wypoczynek. Irytowały mnie także wysoka siatka i drut kolczasty nad nią rozpięty. Wydawało mi się, że wystarczyłyby zwykły niski płot, aby oddzielić teren ośrodka wypoczynkowego. Wysokie ogrodzenie jak gdyby chciało dać wszystkim do zrozumienia: wara wam od nas, nikt nie ma tu prawa wstępu, tylko my mamy prawo korzystać z wody i słońca.

Idea, aby nad jeziorami budować ośrodki wczasowe, gdzie ludzie mogliby znaleźć wypoczynek po całorocznej pracy — jest słuszną i trzeba ją upowszechniać. Ale niekiedy po prostu można odnieść wrażenie, że poszczególne wielkie zakłady pracy chciałyby niemal rozdrapać między siebie polskie rzeki i jeziora, pozostawiając innym tylko brzydkie, mało atrakcyjne okolice. Wypacza się też tę piękną ideę budując ośrodki na łapu-capu, bez uwzględnienia życzeń konserwatorów przyrody. Brzegi rzek i jezior zostają upstrzone setkami szkaradnych budek, z prymitywnymi urządzeniami, których ścieki zatruwają wody tychże jezior i rzek.

— Proszę, oto pańska przepustka — obudził mnie z zamyślenia głos brodatego portiera.

Podziękowałem skinieniem głowy i ruszyłem w kierunku jaskrawo pomalowanego baraku. Szedłem wyasfaltowaną uliczką, obsadzoną lampami jarzeniowymi. Tu i ówdzie na słupach latarni wisiały ogromne gigantofony, z których rozlegały się jazgotliwe dźwięki skocznych walczyków i starych, ogranych piosenek. Muzyczkę nadawano z płyt mocno zdartych, gigantofony skrzeczały bardzo głośno. A że po wodzie głos biegnie szeroko, nie było chyba miejsca na jeziorze, gdzie nie dochodziłby ten hałas. I jakże w takich warunkach napawać się ciszą lasu i wody, słuchać szumu trzcin przybrzeżnych, plusku fal, gawędy dzikiego ptactwa? Pomyślałem z żalem, że na skutek hałasu wkrótce zapewne wyniosą się stąd łabędzie i dzikie kaczki, siwe czaple i kormorany. A robotnik, który prawie cały rok pracuje w zgiełku maszyn i przybędzie tu z nadzieją znalezienia ciszy i spokoju — przeżyje ogromne rozczarowanie.

— Poszła Karoolinka do Gogolinaaa... — chrypiały gigantofony starą piosenkę sprzed lat.

Melodia ta towarzyszyła mi aż do drzwi z napisem Administracja Ośrodka. Przycisnąłem klamkę i znalazłem się w niedużym, jasnym pokoiku. Za ogromnym biurkiem z telefonem przełącznikowym siedziała młoda, ładna blondyneczka. Nie miała chyba zbyt wiele pracy, bo na biurku leżała otwarta saszetka z przyrządami do manicure. Ale w tej chwili blondyneczka udawała bardzo zajęta i z surową miną przemawiała do brzydkiej, młodej panienki, której towarzyszył starszy pan z sumiastymi wąsami, w okularach w drucianej oprawce. Przypominał wyglądem majstra z oglądanej kiedyś przeze mnie sztuki czeskiej zatytułowanej Brygada szlifierza Karhana. Brzydka panienka była w kostiumie kąpielowym, a starszy pan w garniturze i z walizeczką w ręku. Domyśliłem się, że panienka dopiero co przyjechała na wczasy, gdyż ciało miała białe, a starszy pan właśnie chyba opuszczał ośrodek wczasowy, gdyż twarz miał ogorzałą od słońca. Zresztą, przed bramą ośrodka zauważyłem duży autokar, przy którym zbierały się gromadki ludzi. Zapewne kończył się właśnie jeden turnus, a zaczynał następny.

— Mówiłam już państwu, że pan kierownik Purtak jest bardzo zajęty — wyjaśniała sekretarka. — Ma konferencję z instruktorem kulturalno-oświatowym, panem Noskiem. A poza tym, mogę wam z góry oświadczyć, że wasze życzenie nie będzie spełnione. Pan kierownik musi się trzymać programu.

Starszy pan wzruszył ramionami.

— Spędziłem tu dwa tygodnie urlopu. Myślałem, że będę mógł łapać rybki i wypocząć. Ale ryby zostały wytrute przez te diabelskie motorówki, a gigantofony nie dawały mi spać. Koledzy upoważnili mnie, abym wniósł tę sprawę pod rozwagę kierownika ośrodka. Wracam do Warszawy, ale ta młoda osoba tu pozostaje i będzie musiała słuchać wrzasków gigantofonów. Ją upoważniła młodzież naszego zakładu, żeby interweniowała u kierownika.

— Bez przerwy tylko „Paryski Gavroche” albo „Karolinka” — burknęła panienka. — Czy to już nie można nadawać innych, nowszych melodii?

— Zwróćcie się do dykcji fabryki, żeby dała pieniądze na nowe płyty — wzruszyła ramionami sekretarka.

— Ach, nie o to chodzi. Po co w ogóle ciągle uruchamiać radiowęzeł? — powiedział starszy pan.

Panienka zza biurka spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Taki jest program, proszę pana. Dyrektor naczelny oświadczył panu kierownikowi Purtakowi, że robotnicy mają odpoczywać w atmosferze przyjemnej i radosnej. A czy można ją stworzyć bez muzyki?

— Dyrektor naczelny nie przyjeżdża tu na wczasy, tylko jeździ do Jugosławii — mruknął starszy pan. — Gdyby tu choć raz przyjechał na kilka dni, to by mu się odechciało tej muzyczki. Ale ja o tym wszystkim poinformuję naszą radę zakładową. Chcemy ciszy, pani rozumie?

Blondyneczka zza biurka doszła do wniosku, że ta rozmowa przybiera niewłaściwy obrót, bo nagle raczyła zwrócić uwagę na moją osobę.

— A pan w jakiej sprawie? Słyszał pan chyba, że kierownik Purtak jest zajęty. Ma konferencję.

— Wiem. Z instruktorem kulturalno-oświatowym, panem Noskiem — przytaknąłem złośliwie. — Ale proszę mu powiedzieć, że przyjechał do niego gość z Warszawy. Z ministerstwa...

Nawet nie dała mi dokończyć. Pisnęła radośnie i jak bomba wpadła do drugiego pokoju.

— Panie kierowniku! Przedstawiciel ministerstwa przyjechał...

Natychmiast na progu ogromnego gabinetu pokazał się młody, przystojny brunecik w białej koszuli, krawacie, nienagannie skrojonym ciemnym garniturku.

— Przedstawiciel z ministerstwa — powtórzył z entuzjazmem i szerokim gestem wskazał mi wewnątrz gabinetu. — Proszę, bardzo proszę, właśnie na pana czekamy już od kilku dni.

Zaprezentował mi instruktora kulturalno-oświatowego, pana Noska, malutkiego, wścibskiego człowieczka z wydatnym nosem, którym co chwila pociągał, jakby wietrzył coś nieprzyjemnego albo miał katar sienny. Zasiadłem w głębokim klubowym fotelu naprzeciw lśniącego biurka. Takich foteli i takiego biurka nie miał nawet minister kultury i sztuki, do którego raz w życiu zostałem wezwany. Na podłodze leżał gruby dywan, na ścianie wisiała jakaś mapa lub obraz okryty zasłonką.

Chciałem wyłuszczyć swoją sprawą, ale pan Purtak nie dał mi dojść do głosu. Ciągłe mówił i mówił:

— Konferowałem właśnie z panem Noskiem na temat naszej dalszej działalności. Z wielką niecierpliwością oczekiwaliśmy pańskiego przyjazdu. Potrzebna jest nam aprobata i pomoc ministerstwa. Chcemy, aby ministerstwo dopomogło nam w realizacji naszych wspaniałych planów. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że napotykałyśmy kolosalne trudności, a z naczelnej dyrekcji pomoc otrzymujemy bardzo niewielką. Dyrektor naczelny ograniczył się tylko do jednego. Powiedział mi: „Purtak, rób pan, co chcesz, a my musimy mieć najwspanialszy ośrodek wypoczynkowy w Polsce. Jeśli okaże się, że ma pan zdolności organizacyjne, zabiorę pana do siebie do Warszawy”. I staram się jak mogę, ale napotykam trudności, które tylko ministerstwo może pokonać. Zacznę od wtajemniczenia pana w nasze plany...

Otworzyłem usta, aby wyjaśnić mu, że zaszła pomyłka, bierze mnie za przedstawiciela Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego, gdy ja jestem z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ale Purtak znowu nie dał mi dojść do słowa. Zerwał się z krzesła i odsłonił mapę wiszącą na ścianie.

— Oto, proszę pana, tak będzie w najbliższej przyszłości wyglądał nasz ośrodek...

Umiem szybko czytać mapy. Ujrzałem zarys jeziora, wysepkę, ruiny zamku, polankę, gdzie mieszkali żeglarze. Gruba czerwona krecha, oznaczająca granice ośrodka, obejmowała na planie i wysepkę motorowodniaków (połączona była z półwyspem czymś w rodzaju mostu), i polankę żeglarzy, i ruiny zamku. Niemal cały lewy brzeg był na planie własnością ośrodka.

W zrozumieniu sprawy dopomógł mi zresztą sam Purtak.

— Wysepka jest na razie własnością zespołu państwowych gospodarstw rybackich i zamieszkują ją turyści motorowodniacy. Dyrekcja zespołu nie chce nam wysepki wydzierżawić. Z uwagi na turystów. Ale my, to znaczy ja i pan Nosek, znamy już sposób na wykurzenie z niej motorowodniaków. Ta polana pozostaje miejscem campingowym dla żeglarzy i stanowi własność nadleśnictwa, gdyż jest to stara binduga. Wspólnie z panem Noskiem opracowaliśmy plan usunięcia stamtąd żeglarzy. Jeśli jeszcze ministerstwo dokona odpowiedniego nacisku na nadleśnictwo, wejdziemy w posiadanie także i bindugi.

— Naprawdę? Macie sposób na żeglarzy i motorowodniaków? — zapytałem zaciekawiony.

— A tak — roześmiał się szyderczo Purtak. — Po prostu napuścimy jednych na drugich, bo oni się strasznie nie lubią. Turyści wezmą się za łby, a my wezwiemy milicję, aby zaprowadziła spokój, czyli innymi słowy — wyprosiła ich z jeziora. Wtedy będzie już łatwiej wejść w posiadanie i wyspy, i polany. Zresztą, pan Nosek opracował piekielnie sprytny plan, w który pana wtajemniczymy, jeśli pan zechce nam okazać pomoc.

— Rozumiem — kiwnąłem głową, choć wyznaję, że zimny dreszcz przeszedł mi po plecach.

— A te ruiny? — wskazałem mapę.

— Ruiny wkrótce rozbierzemy i stanie tam nasz klub. Mamy już zatwierdzone plany. Będzie salka z telewizorem, kawiarnia, sale bilardowe oraz sala kinowa.

— Chcecie rozebrać ruiny? — udałem zdumienie. — A czy nie lepiej wybudować nowy klub z własnego materiału?

— Dyrektor naczelny oświadczył mi, że wyczerpano już fundusze na inwestycje. Natomiast są nie wykorzystane fundusze na remont kapitalny. Jednym słowem — kierownik Purtak chytrze zmrużył lewe oko — dokonamy „remontu kapitalnego” ruin zamkowych. Rozbierzemy stare mury i postawimy nowy klub.

Nabrałem w piersi duży haust powietrza i oświadczyłem:

— Przykro mi, ale to się nie uda. Przyjechałem tu właśnie w tej sprawie. Jestem przedstawicielem Ministerstwa Kultury i Sztuki. Stwierdziłem dewastację obiektu zabytkowego, za chwilę spiszę protokół i prześlę go do prokuratury w celu rozpoczęcia dochodzenia. Jednocześnie zakazuję jakichkolwiek dalszych prac na terenie zamku i w jego pobliżu.

To mówiąc wyjąłem swoje pełnomocnictwo i położyłem je na biurku kierownika Purtaka.

Czy wyobrażacie sobie zdumienie, a zarazem przerażenie Purtaka i pana Noska?

Żaden z nich przez dłuższą chwilę nie był w stanie wydusić z siebie choćby słowa. Nosek poczerwieniał jak burak i głośno pociągał nosem. Purtak machnął gniewnie rękami i zanim wreszcie przemówił szybko zakrył mapę. Albowiem na tej mapie zamiast ruin zamkowych widniał zarys klubu.

— Pan jest z Ministerstwa Kultury i Sztuki? — szepnął wreszcie, zaledwie rzuciwszy okiem na moje dokumenty.

— Tak. I zabraniam dalszej dewastacji obiektu zabytkowego — powtórzyłem twardo.

Purtak usiłował całą sprawę obrócić w żart. Roześmiał się z udaną radością:

— Pan chyba nie mówi poważnie, że to jest obiekt zabytkowy. To kupa gruzu, proszę pana. Zupełnie bezużyteczna kupa gruzu. A my chcemy dla klasy robotniczej naszego wielkiego zakładu zbudować klub, wspaniały obiekt kulturalno-oświatowy. Wydaje mi się, że właśnie Ministerstwo Kultury i Sztuki powinno nam w tym pomóc.

— Myli się pan — odparłem zimno. Cieszy nas, gdy jakiś zakład buduje klub dla swojej załogi. Ale nie może to nastąpić kosztem pozbycia się pamiątki historycznej. Jeśli w tym roku nie macie pieniędzy, zbudujecie klub w innym terminie. Ale ruin zamkowych rozbierać nie wolno. Stanowią one własność narodową, a także są pięknym elementem krajobrazu.

Kierownik Purtak zmienił ton. Zaczął mi grozić:

— Nasz ośrodek wczasowy nie należy do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Podlegamy Ministerstwu Przemysłu Ciężkiego i tylko to ministerstwo może nam coś zakazać. Nasi robotnicy muszą mieć klub i będą go mieli, choćby dziesięć takich ruin zamkowych trzeba było rozebrać.

— Znowu się pan myli — odrzekłem twardo. — Wiem, że ten ośrodek wczasowy należy do jednego z kluczowych zakładów pracy. Będę się cieszył, jeśli jego załoga znajdzie tu wypoczynek. Ale nie wolno zapominać, że robotnicy przyjeżdżają tutaj nie tylko po to, aby opalać się na słońcu i pływać po jeziorze. Chcą przede wszystkim zetknąć się z przyrodą i pięknym krajobrazem. Nie wolno go szpecić, bo tym samym odbiera się możliwość pełnego wypoczynku.

— Wiem, kto pana tu nasłał! Winnetou! — histerycznie zawołał Purtak. — Ale my i jego stąd także potrafimy wykurzyć. To całe jezioro będzie wkrótce należeć do naszej fabryki. Załatwimy to na najwyższym szczyble. Nasz zakład to potęga. Czy sądzi pan, że istnieje siła, która potrafi przeciwstawić się nam, gdy zechcemy rozebrać ruiny i postawić klub dla załogi?

— Tak — odpowiedziałem wcale nie przestraszony. — Tą wielką siłą będzie rozsądek. To prawda, że ośrodek należy do kluczowego zakładu. Jesteśmy dumni z waszej fabryki i z tego, co ona robi. Na pewno nie znajdzie się nikt w naszym kraju, kto by nie zechciał pomóc w tym, aby ośrodek był piękny i dobrze się w nim wypoczywało. Ale to nie może nastąpić

kosztem niszczenia piękna krajobrazu, starych ruin, zabierania całego jeziora. Jeśli na półwyspie jest wam za mało miejsca, zamiast dziesiątków budek campingowych zbudujcie piętrowe pawiloniki. Wasz zakład stać na to. Dziwię się zresztą, że do tej pory nie zjawił się nikt z Ministerstwa Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska i nie opieczętował waszego radiowęzła. Jeszcze teraz żyją na jeziorze dzikie łabędzie, dzikie kaczki, siwe czaple i kormorany. Ale przy takim wrzasku gigantofonów za rok wasi wczasowicze będą mogli te piękne ptaki oglądać jedynie w kinie, na ekranie telewizora albo na rycinie w książce.

Odezwał się Nosek. Zachrypiał jak stary głośnik.

— Realizujemy program opracowany w naczelnej dyrekcji. Program przewiduje: przy śniadaniu, obiedzie i kolacji — muzyka z głośników. A także przejażdżki motorówkami po jeziorze. Co wieczór potańcówka w stołówce. Dyrektor zapowiedział, że ma być wesoło. Ludzie przyjechali tu na wczasy, a nie na uroczystości pogrzebowe.

— A może pan znowu się myli? — powiedziałem. — Może właśnie ten i ów z waszych robotników chce w ciszy postać z wędką nad wodą, a wasza motorówka zatruwa jezioro i powoduje zdychanie ryb?

— Mówi pan jak Winnetou, który tu pana nasłał — zachrypiał znowu Nosek. — Ale to jezioro wkrótce będzie nasze.

Doszedłem do wniosku, że dalsza dyskusja nie ma żadnego sensu. Napisałem przez kalkę protokół w trzech egzemplarzach, w którym opisałem dewastację ruin zamkowych. Zakazałem w protokole dalszych prac w ruinach. Jeden egzemplarz protokołu pozostawiłem panu Purtakowi, drugi postanowiłem wysłać do prokuratury, a trzeci do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Na tym skończyłem swoje czynności służbowe. Pożegnałem się z obydwoma panami bez podania ręki. Skłoniłem się im i poprosiłem o podpisanie przepustki. Gdy opuszczałem budynek administracji słyszałem, jak kierownik Purtak krzyczał na swoją sekretarkę:

— Dlaczego pani nie sprawdziła, co to za jeden? To był opryszek z Ministerstwa Kultury i Sztuki, a nie z naszego ministerstwa. Przez panią zdradziłem mu nasze plany...

Na ławeczce, tuż przy asfaltowej uliczce prowadzącej do portierni, siedzieli brzydka panienska w kostiumie kąpielowym i starszy pan w drucianych okularach na nosie. Wyglądało na to, że czekali, aż opuszczę gabinet kierownika i wyjdę z budynku.

Na mój widok starszy pan wstał z ławki i zagroził mi drogę.

— Nazywam się Rudziński — oświadczył. — Pracuję w naszej fabryce w dziale głównego mechanika. Słyszał pan, co mówiłem sekretarce pana Purtaka? Pan jest z ministerstwa, prawda? Czy nie mógłby pan wpłynąć na Purtaka, żeby wyłączył gigantofony i przestał obwozić wczasowiczów tą przeklętą motorówką? Kapać się nie można, przy brzegu pełno rozlanej oliwy.

Bezradnie rozłożyłem ręce.

— Jestem z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Tomasz mam na imię — podałem rękę panu Rudzińskiemu, który od razu wzbudził moją sympatię. Może dlatego, że podobnie jak i ja nie lubił hałasu.

— Mam na imię Halina — dygnęła przede mną młoda panienska. — Pracuję w księgowości. Szkoda, że pan nie jest z Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego, bo potrafiłby pan zmusić Purtaka, żeby nadawał jakieś nowocześniejsze melodie albo rzeczywiście wyłączył gigantofony. Gdziekolwiek się popłynie jeziorem, wszędzie je słyhać. Człowiek ma wrażenie, że jest na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej, a nie na wczasach. I kąpać się nie można, bo wychodzi się z wody pobrudzonym oliwą.

Doszedłem do wniosku, że pracownicy tej fabryki powinni zostać poinformowani o bezprawnych poczynaniach Purtaka. Usiedliśmy więc na ławeczce i opowiedziałem im o dewastacji ruin zamkowych. Wspomniałem też o tym, co zdarzyło się w kawiarni, wspomniałem o tajemniczej Lidze do Walki z Hałasem, a także o tajnych planach Purtaka i Noska, zmierzających do wyrugowania z jeziora motorowodniaków i żeglarzy, i zawładnięcia wysepką i bindugą.

— Ależ to okropne — oburzył się pan Rudziński — jeszcze dziś będę w Warszawie, a jutro zjawię się w fabryce. Może pan być pewien, że o tych wszystkich sprawach opowiem na najbliższym zebraniu rady zakładowej. Po co nam wyspa i binduga, skoro nie jesteśmy w stanie dobrze zagospodarować półwyspu? Przede wszystkim należy skanalizować ośrodek wypoczynkowy, bo teraz wszystkie ścieki spływają do jeziora, w którym się kąpiemy. Przez prawie cały rok pracuję w huku maszyn i na wczasach chciałbym odpocząć, a nie wysłuchiwać wrzasku gigantofonów.

— I to ze starymi melodiami — dodała Halina.

— Lubilem chodzić na spacer do ruin zamkowych — dodał pan Rudziński. — Zauważyłem, że tam kręcą się jacyś robotnicy i rozbierają wewnętrzne mury. Myślałem, że zamek będzie odrestaurowany. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że pan Purtak zamierza zbudować tam klub-kawiarnię. Czy pan sądzi, że robotnik nie docenia piękna starych budowli? Nasz zakład stać na to, aby zbudować nowy klub, może jeszcze nie w tym roku, ale w następnym. Roczne plany wykonujemy z dużą nadwyżką i mamy ogromny fundusz socjalny właśnie na tego rodzaju cele.

Uściskałem mocno jego prawicę.

— Cieszę się, że znalazłem u pana zrozumienie. I bardzo będę rad, jeśli rzeczywiście poinformuje pan o tych wszystkich sprawach waszą radę zakładową.

Usłyszeliśmy klakson autokaru.

— To na mnie trąbią — rzekł pan Rudziński. — Żegnam więc. I proszę mi zaufać. Ja już poruszę niebo i ziemię, aby tu przyjechali przedstawiciele dyrekcji i rady zakładowej.

Pan Rudziński truchtem pobiegł do autokaru, a ja pocałowałem rączkę panny Haliny.

— Pozwolę sobie panią pożegnać. Wykonałem swój obowiązek służbowy i także wyjeżdżam ze Złotego Rogu. Wprawdzie właśnie od dziś rozpoczynam urlop, ale nie zamierzam go spędzać nad jeziorem, gdzie panuje taki hałas.

Oddałem przepustkę i po chwili już siedziałem w wehikule, który oczekiwał na mnie w pobliżu ruin zamkowych. Zakręciłem starterem i uruchomiłem silnik. Potem ruszyłem ostro, rad, że za chwilę opuszczę Złoty Róg i jezioro Zmierzchun.

Lecz po chwili zacząłem odczuwać narastający we mnie niepokój, jakbym chciał pozostawić jakąś nie załatwioną sprawę. A przecież chyba właściwie wypełniłem polecenie służbowe w Złotym Rogu. Dokonałem lustracji, spisałem protokół i zabroniłem dalszej dewastacji zamku. Więc czemu ów niepokój i niezadowolenie ciągle mnie nie opuszczały?

I gdy podjeżdżałem do kawiarni, przyczyna mego nastroju stała się jasna. Zrozumiałem, że potępiam siebie za chęć ucieczki znad tego jeziora. Należał mi się wprawdzie zasłużony wypoczynek, jak wszystkim pracującym ludziom, ale czy leżało w moim charakterze przechodzić obojętnie obok dziejącego się zła? Czy przez przypadek nie stałem się posiadaczem tajemnicy ujawnionej mi przez Purtaka?

Nad jeziorem Zmierzchun szykowała się podstępna intryga, mająca na celu usunięcie stąd żeglarzy i motorowodniaków. Kierownik Purtak zamierzał przejąć kontrolę nad całym jeziorem i wyrzucić stąd tajemniczego Winnetou. Czyż mogłem pozostać na uboczu tych wydarzeń?

Są ludzie, którzy narzekają na brak przygód. Ja ich mam zawsze nadmiar. Albowiem tylko obojętnych na zło omija przygoda.

Zatrzymałem się przed kawiarnią w Złotym Rogu i znowu wszedłem do wnętrza.

Jak przedtem, zobaczyłem w kawiarni gromadkę motorowodniaków i żeglarzy, z szekłami uczeponymi do pasków spodni. Zmieniło się tu tylko tyle, że panowała teraz cisza. Poprosiłem kelnerkę, aby umożliwiła mi rozmowę z kierowniczką kawiarni.

— Mam na imię Tomasz — przedstawiłem się Krwawej Mary. — Przyjaciele nazywają mnie Pan Samochodzik, ponieważ posiadam bardzo dziwaczny samochód. Pracuję w Ministerstwie Kultury i Sztuki i przybyłem tutaj służbowo, aby uniemożliwić ośrodkowi wypoczynkowemu dalszą rozbiórkę zabytkowych ruin. Załatwiłem tę sprawę i zamierzałem stąd odjechać, ale zainteresowała mnie osoba Winnetou i postanowiłem go odwiedzić. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, kóż to jest naprawdę ów Winnetou i jak do niego dojechać?

Krwawa Mary popatrzyła na mnie z dużym zainteresowaniem.

— Uniemożliwił pan dalszą rozbiórkę ruin? To wspaniale! Wyobrażam sobie, jak wściekał się kierownik Purtak, który miał zamiar wybudować tam klub. Cieszę się z tego, bo lubiłam chodzić na spacer do ruin.

Usiedliśmy przy służbowym stoliku, gdzie można było swobodnie porozmawiać. Zauważyłem, że gdy tylko wspomniałem o Winnetou, jej oczy zabłyśły i wydawało mi się, że dojrzałem w nich jak gdyby mgiełkę rozmarzenia.

— Pyta pan o Winnetou? — odezwała się po chwili. — No cóż, niewiele mogę panu o nim powiedzieć. Przybył tu przed trzema laty z Warszawy. Porzucił miasto i postanowił osiedlić się w głuszy leśnej. Jest plastykiem z wykształcenia, o ile wiem, zajmuje się przede wszystkim ilustrowaniem książek. Przed czterema laty otrzymał nagrodę państwową I

stopnia, a z nią dość dużą sumę pieniędzy. Wtedy kupił tu kawałek nieużytku i zbudował dom z bali drewnianych, ten swój słynny wigwam.

— A skąd u niego te skłonności indiańskie, jeśli tak to można określić?

— Podobno już od dzieciństwa lubił rysować Indian. Potem zyskał uznanie w Polsce i na świecie jako znakomity ilustrator książek Karola Maya. Nawet otrzymał stypendium do Stanów Zjednoczonych, był tam jakiś czas, ilustrując książki o Indianach i poznając indiański folklor. Przywiózł do kraju wiele indiańskich strojów i innych przedmiotów, pióropuszy i tomahawków, nawet bęben wojenny. Jego dom nad jeziorem to takie małe muzeum indiańskiego folkloru. Młodzież w Złotym Rogu przezwiała go Winnetou, a on przyjął to przyzwisko jako własne imię i posługuje się nim w rozmowie z przyjaciółmi.

— Dobrze mu się powodzi?

— Nie wiem — rzekła w zamyśleniu. — Nikomu o tym nie mówi, ale myślę, że zarabia bardzo mało. Mieszka daleko od Warszawy, daleko od wydawnictw i redakcji. Bardzo rzadko przysyłają mu jakieś zlecenia na wykonanie ilustracji. Ale on ma też małe wymagania. Jest samotny, upitrasi sobie byle co i byle jak. Drzew tu pod dostatkiem, więc ma czym ogrzewać swój wigwam. Kocha przyrodę i jest szczęśliwy, że może codziennie oglądać jezioro i przebywać w sąsiedztwie ogromnego lasu. Na tym tle ma zresztą bardzo wiele przeróżnych dziwactw. Należy do naszego koła łowieckiego, ale krzywo patrzy na wszystkich myśliwych, którzy strzelają do zwierzyny z nowoczesnej broni. On sam posiada staroświecką dubeltówkę i oczywiście nigdy nic nie potrafi upolować. Kiedyś, wydaje mi się, że mnie nawet lubił. Ale od czasu, gdy przybyli tu zagraniczni turyści na polowanie i ja im pomagałam (dostałam potem od nich w nagrodę sztucer z lunetą), on powiedział, że jestem morderczynią zwierząt i nazwał mnie Krwawą Mary. Jego cichym marzeniem jest, aby myśliwi polowali za pomocą łuku i strzał. To śmieszne, prawda? A gdy zabiłam rogowca o rekordowym porożu, uznał mnie niemal za swego wroga i ledwo mi się kłania...

— Czy słyszała pani o Miss Kapitan?

— Nie. Nie mam pojęcia, kto to taki...

W tym momencie przed drzwiami kawiarni zajechał żółty terenowy łązik i do wnętrza wszedł szybko wysoki, barczysty mężczyzna w zielonym mundurze z dystynkcjami nadleśniczego.

— To mój ojciec — rzekła Krwawa Mary i podniosła się od stolika.

Nadleśniczy stanął w drzwiach kawiarni i groźnym wzrokiem omiół gości. Miał wielki czerwony nos i bardzo niski, huczący bas.

— Panowie żeglarze — zabrzmiał donośnie jego głos — zrobiliście mi wielką krzywdę. Oświadczam wam, że jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie znajdzie się mój ukochany pies, wypędzę was z bindugi i, na Jowisza, oddam bindugę panu Purtakowi.

Krwawa Mary podeszła do ojca.

— Co się stało, tato? — zapytała zdumiona.

— A co, nic nie wiesz? — oburzył się. — Słyszałem, że i ty należysz do Ligi do Walki z Hałasem. Mówiłem ci przecież, że dostałem list z pogrózkami, podpisany przez tę ligę. Zagrozili mi, że jeśli wezmę się do żywicowania starodrzewu na prawym brzegu jeziora, zginie mój pies. Wczoraj miałem naradę z żywicznymi i kazałem im rozpocząć prace w starodrzewie. I dziś mój Bil zniknął, przepadł. Nie ma go koło domu, nie ma go w lesie, pół dnia straciłem na szukanie. Porwano mojego ukochanego wyżła.

Od stolika podniósł się jakiś żeglarz:

— Proszę pana, to nie my. Nic o tej sprawie nie wiemy.

Znowu zahuczał bas nadleśniczego:

— Panowie żeglarze! Nie przyjmuję do wiadomości żadnych wyjaśnień. Oświadczam publicznie, że dałem rozkaz żywicowania, a następnie wycięcia starodrzewu nad jeziorem, bo taki mamy plan wyrębu. Nie lękam się waszych metod terroru. Bindugę, na której biwakujecie, mogę oddać robotnikom leśnym jako pastwisko dla krów i owiec lub przekazać w użytkowanie ośrodkowi wczasowemu. I zrobię tak, jeśli mój wyżeł nie znajdzie się w ciągu dwudziestu czterech godzin.

To mówiąc nadleśniczy wyszedł z kawiarni, mocno trzaskając drzwiami. A w kawiarni zrobił się tumult. Żeglarze opuścili stoliki i otoczyli Krwawą Mary.

— Proszę pani, to nie my. Nikt z nas nie ukradł psa pani ojcu. Niechże pani jakoś wpłynie na nadleśniczego. Poszukamy tego psa...

Nie mogłem się już docisnąć do Krwawej Mary i opuściłem kawiarnię. Doszedłem do wniosku, że muszę jak najszybciej odnaleźć wigwam Winnetou i porozmawiać z nim o sytuacji nad jeziorem Zmierzchun. Moim zdaniem, sytuacja ta wyglądała bardzo groźnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

NA DRODZE DO WINNETOU • KTO BRUDZI JEZIORO? • CZY WOLNO GWIZDAĆ W LESIE? • SPOTKANIE • W LABIRYNCIE ŚCIEŻEK • STRZAŁ DO ODYŃCA • CZY JESTEM GREENHORNEM? • W WIGWAMIE • BLADA TWARZ • OPOWIEŚĆ WINNETOU • KTO JEST WROGIEM PRZYRODY? • PRZECIWI KOMU NALEŻY WYKOPAĆ TOPÓR WOJENNY? • LIST OD TAJNEJ LIGI

Nie uzyskałem adresu Winnetou, ale pamiętając, w jakim kierunku popłynęła jol Milczącego Wilka, domyśliłem się, że mieszka on najprawdopodobniej na prawym brzegu jeziora. Najłatwiej chyba byłoby znaleźć jego dom od strony wody, poszukując miejsca, gdzie przycumowano „Moby Dicka”. Ale choć wiatr uspokoił się już i na jeziorze pokazało się mnóstwo żaglówek i motorówek, nie zaryzykowałem wypłynięcia swoim wehikułem. Nie lubiłem bez potrzeby ujawniać wszystkich właściwości mego samochodu. Zdecydowałem więc, że pojedę wehikułem wzdłuż prawego brzegu (musiała tam być jakaś leśna droga), a potem napotkawszy kogoś w lesie, zapytam o właściwy kierunek.

Zjadłem obiad w gospodzie ludowej w Złotym Rogu, nie chcąc tracić czasu na przygotowywanie sobie posiłku na kuchence gazowej. Z tego też względu nie przebrałem się w strój podróżny, lecz pozostałem w garniturze i białej koszuli z krawatem, jak przystało na urzędnika Ministerstwa Kultury i Sztuki. W tym to stroju wyjechałem z Warszawy, pomny, że jadę służbowo i będę musiał złożyć oficjalną wizytę w ośrodku wczasowym, a tego nie wypada przecież robić w gumiakach, welwetowych spodniach i wytartym swetrze.

Dość szybko znalazłem na prawym brzegu piaszczystą leśną drogę, która to zbliżała się do jeziora, to znów od niego oddalała, ciągle jednak pozostając w pobliżu wody. Rósł tu ogromny sosnowy starodrzew, stosunkowo rzadki zresztą, ale o pięknym trawiastym podsyciu. W niebo sterczały wielkie sosny, przepuszczające ku ziemi dużo światła słonecznego, tak że teren ten przypominał wspaniały park. To o ten starodrzew walczyła z nadleśnictwem tajemnicza Liga do Walki z Hałasem, uciekając się nawet do terroru i porywając nadleśniczemu ulubionego psa.

Wkrótce jednak starodrzew skończył się i napotkałem mnóstwo młodników świerkowo-sosnowych. Potem nad brzegiem jeziora otworzyła się niewielka polanka, gdzie zobaczyłem dwie syrenki i dwa żółte namioty, a więc zapewne przypadkowy biwak turystów. Pozostawiłem wehikuł na drodze i ruszyłem pieszo ku biwakowi, łudząc się, że może owi turyści wskażą mi drogę do Winnetou.

Ale trafiłem niefortunnie. Obydwaj właściciele syrenek i żółtych namiotów oraz żon o pokażnej tuszy i po dwojgu dzieci do lat dziesięciu — kłócili się ze sobą zawzięcie. Obydwaj zresztą postawili swoje namioty na dwóch końcach polany. Z wyglądu także stanowili swoje przeciwieństwa. Jeden był mały, łysy i gruby, a drugi wysoki, z obfitą czupryną, chudy.

Mały, gruby, łysy wołał:

— Jakim prawem myje pan swój samochód w wodzie z jeziora? Czy pan wie, że nawet jeziora mazurskie są już zatrute przez smary, benzynę i olej oraz przeróżne ścieki fabryczne? Około trzech procent powierzchni Wielkich Jezior Mazurskich stało się zupełnie martwe. Zanieczyszczono Niegocin i Bełdany, a teraz tacy jak pan chcą zanieczyścić jezioro Zmierzchun.

Wysoki, owłosiony, chudy pogroził pięścią małemu:

— A pan co robi? Pańska żona prała bluzkę w jeziorze w proszku ixi. Czy pan nie wie, że detergenty nie rozkładają się w wodzie i zatrują ją na zawsze? A co ona zrobiła z dziećmi? Czy nie myła im głów szamponem i nie płukała w jeziorze? To pan zatrąwa wodę, a nie ja. Ja myłem samochód w pewnym oddaleniu od jeziora i nosiłem wodę w kubelku. Natomiast takich jak pan, którzy zatrują środowisko naturalne, powinno się usuwać znad wody.

— Co takiego? Pan mi grozi?! — krzyczał gruby. — Co zaś tyczy mojej żony, to ona używała szamponu jajecznego, więc nie zatrąła wody.

Panowie kłócili się, ich żony pitrasily obiad na kuchenkach gazowych, głośno grały tranzystorowe radia. Jednym słowem, prawdziwa „urlopowa sielanka” w gronie rodzinnym z miłym sąsiedztwem. Tym przyjemniejsza, że latorośle obydwu panów pluskały się przy brzegu, piszcząc i wrzeszcząc straszliwie.

Czy tacy ludzie mogą wskazać drogę do Winnetou? — pomyślałem. I już chciałem zawracać do wehikułu, gdy nagle za moimi plecami cicho jak duch pojawił się mężczyzna w mundurze leśniczego, z dubeltówką przewieszoną przez ramię. Leśniczy był młody, w okularach, szczupły. Zasalutował i wyjąwszy z raportówki bloczek z mandatami oświadczył obydwu kłócącym się panom:

— Zmuszony jestem obciążyć panów mandatami, po sto złotych od każdego. Panowie złamali przepisy, i to czterokrotnie.

Kłótnia urwała się. Skłóceni panowie poczuli się solidarni, albowiem zaatakowała ich trzecia osoba.

— Co takiego? Mandaty? Łamanie przepisów? Pan się myli, panie leśniczy, nie jesteśmy żadnymi chuliganami. Ja pracuję jako główny technolog w wielkim zakładzie. A ten pan jest inżynierem w zakładach jedwabniczych. Przyjechaliśmy tu na wypoczynek!

Leśniczy rozłożył ręce.

— Po pierwsze: rozbiliście obóz w miejscu nie wyznaczonym do tego celu. Po drugie: używacie kuchenek turystycznych także w miejscu do tego celu nie wyznaczonym. Po trzecie: jak wskazują ślady kół, przejechaliście przez młodnik i uprawę leśną, a, jak wiadomo, nie wolno wchodzić do młodników i upraw, zanim nie osiągną wysokości jednego metra i dwudziestu centymetrów. Po czwarte: zlekceważyliście napis na drodze: „Ostoja zwierzyny”.

— To jest polanka leśna nad jeziorem, a nie żadna ostoja zwierzyny! — wołali solidarnie dwaj panowie. — Nie łamiemy tu krzaków, nie niszczymy drzewostanu.

Leśniczy pokręcił głową:

— Na tej polance leśnej zasialiśmy rośliny motylkowe, aby mogła się żywić zwierzyna leśna i nie szkodziła rolnikom w polu. A panowie swoimi namiotami i nogami zniszczyli kawałek poletka.

Panowie spojrzeli pod nogi:

— To nie jest trawa, lecz rośliny motylkowe? Nie jesteśmy rolnikami, nie znamy się na roślinach. Myśleliśmy, że to trawa.

Leśniczy wzruszył ramionami i zaczął wypisywać mandat. Dodał przy tym:

— A po piąte: i panowie, i wasze dzieci bardzo hałasują, co też jest zakazane.

Oburzenie obydwu mężczyzn osiągnęło szczyt. Aż zachłystywali się, wołając na przemian:

— Jak to? Gdzie mają się wyszumieć nasze dzieci? W domu krzyżeć im nie wolno, bo to przeszkadza sąsiadom. W szkole też nie wolno. To samo na ulicy. Zawsze im mówiliśmy: „Czego się drzesz, nie jesteś w lesie”. A teraz okazuje się, że i w lesie nie mogą się wykrzyżeć?

Leśniczy wręczył im mandaty.

— Niestety, nie mam dzieci i nie wiem, czy one muszą się wykrzyczeć. Natomiast znam przepisy, a te mówią, że w lesie hałasować nie wolno. Nie należy tu krzyczeć oraz jeździć pojazdami z zepsutymi tłumikami. Nie wolno także używać sygnałów dźwiękowych.

— Do licha! — zawołał gruby jegomość — w takim razie w lesie nic nie wolno? To ja przez cały rok ciężko pracuję, kupiłem na raty samochód, żeby móc wyskoczyć z rodziną na zieloną trawkę, a tu się okazuje, że nigdzie nie wolno wypoczywać.

— Wolno. Ale tylko w miejscach do tego celu przeznaczonych — cierpliwie wyjaśniał leśniczy. — Właśnie dlatego, że coraz więcej ludzi posiada samochody i coraz więcej ludzi chce korzystać z zieleni, wydano odpowiednie przepisy, aby zapobiec niszczeniu dobra, które należy do wszystkich. Las rośnie przez dziesiątki lat, a zniszczyć go można w jednej chwili. Jeśli turystyka będzie się rozwijać w takim tempie jak dotąd, być może przyjdzie czas, gdy wstęp do lasu będzie miał tylko ten, kto wykaże się znajomością przepisów obowiązujących w lesie; podobnie jak nie dopuszcza się na drogi publiczne nikogo, kto nie zna przepisów o poruszaniu się po drogach. Las ma określoną pojemność. Naukowcy twierdzą, że może on wchłonąć bez szkody najwyżej dwadzieścia osób na jeden hektar pod warunkiem, że osoby te będą jedynie spacerować po wyznaczonych ścieżkach, nie śmiecić i nie hałasować. Na biwaki wyznaczaliśmy specjalne pola namiotowe.

— Ale tam nie można wytrzymać, taki jest hałas! — zawołał chudy jegomość. — Ciągłe grają radia i gitary. W nocy spać nie można.

— To jest chyba wina samych turystów. Panowie także włączyli swoje radia, a twierdzą, że szukają ciszy.

Obydwaj panowie z bólem serca wyciągnęli z portfeli stułotowe banknoty. Widziałem na ich twarzach ogromne rozczarowanie. Nie tyle przykro im było z powodu utraty pewnej sumy pieniędzy, ile przykrość sprawiła świadomość, że rozwiały się ich wyobrażenia o urlopie spędzonym „sam na sam z naturą”, na łonie przyrody.

Powróciłem na drogę do wehikułu, oczekując, aż leśniczy skończy rozmowę z turystami. To była osoba, która mogła mi wskazać drogę do Winnetou.

— Pan na mnie czeka? — zapytał zdziwiony. — Muszę panu się przyznać, że nie lubię wypisywać mandatów. Niestety, muszę to robić bardzo często. Ot, na przykład w maju na skraju lasu natknąłem się na stojący wspaniały wóz. Właśnie wracali do niego dwie młode panie i pan. Nieśli bukieciki konwalii. Byli zdumieni, gdy obciążyłem ich mandatami, ponieważ konwalia majowa jest częściowo chroniona, wolno ją tylko zrywać dla celów leczniczych. Ów pan z bukiecikiem konwalii okazał się wybitnym konstruktorem, który buduje nasze okręty. A w lesie zachował się jak chuligan. Nie miał pojęcia, że nie wolno zrywać pachnących konwalii. W naszym społeczeństwie ciągle jeszcze żyje wyobrażenie, że w lesie można robić, co się chce.

— Ma pan rację — zgodziłem się z nim. — Ale to sprawa całego naszego systemu wychowawczego. Jak mało ludzi wie, które rośliny są chronione. Do szkół wkroczyła już nauka o przepisach ruchu drogowego. Ale nikt nie uczy ludzi od młodych lat, co wolno robić w lesie lub nad jeziorem. Kiedy gwizdałem w domu, mój ojciec mówił do mnie: „Idź do lasu

z tym gwizdaniem”. Za czasów mojego ojca wolno było gwizdać na wodzie i w lesie. Ale teraz trzeba się zachowywać cicho.

— Cieszę się, że pan to rozumie — uśmiechnął się przyjaźnie leśniczy — choć wygląda pan na niedzielnego turystę, a tacy na ogół nie wykazują zrozumienia dla tych spraw.

— Jestem z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Szukam drogi do Winnetou — wyjaśniłem.

Obejrzał mnie od stóp do głów z nowym zainteresowaniem. Wydawało mi się, że jak gdyby ironiczny uśmieszek przemknął po jego ustach na widok mojej białej koszuli, krawata, białej chusteczki w kieszonce marynarki.

— Do niego nie dojedzie pan samochodem — oświadczył. — Od strony łądu wigwam Winnetou otaczają bagna, na których powstanie rezerwat łośi. Kiedyś można było przez nie przejechać samochodem, ale od czasu, jak się zerwał most na kanale melioracyjnym, do Winnetou prowadzą już tylko ścieżki. Wiele z nich jest fałszywych, wydeptanych przez zwierzynę, łatwo więc zabłądzić.

— Nie można było mostu naprawić?

— Po co? Tam będzie rezerwat łośi, na bagnach nie prowadzimy zrębów i trzebieży. A Winnetou woli chodzić ścieżkami, więc nikt nie jest zainteresowany w odbudowie mostu. Najłatwiej dostać się do Winnetou od strony wody. Niech pan wróci do Złotego Rogu, wynajmie łódkę i trzyma się prawego brzegu. Ujrzy pan leśną zatokę, wpłynie pan tam i zobaczy wigwam z drewnianych bali.

Spojrzałem na zegarek.

— Trochę za późno na powrót do Złotego Rogu. Mam do niego pilną sprawę, więc zaryzykuję pieszą wędrówkę. Do licha, potrafię chyba odróżnić ścieżkę łośi od ścieżki wydeptanej przez ludzką stopę. Gdybym tylko mógł tu gdzieś zostawić swój wehikuł...

Znowu coś w rodzaju uśmieszku przemknęło po twarzy leśniczego. Wydawało mi się, że ubawiła go myśl o mojej wędrówce przez bagna.

— O pół kilometra dalej znajduje się moja leśniczówka — powiedział — na podwórku może pan pozostawić samochód.

Zapraszającym gestem wskazałem mu miejsce w wehikule. Wsiadł i ruszyliśmy do jego domu. Gdy powiedziałem, że przybyłem, aby wstrzymać rozbiórkę starego zamku na lewym brzegu, nabrał do mnie sympatii.

— Ośrodek wczasowy bardzo się tutaj szarogęsi — stwierdził. — Ciągłe są z nimi jakieś kłopoty. Na lewym brzegu też mam trochę lasu i aż serce mi się kraje, że każdej jesieni odkrywam sterty śmieci, całe połacie papierzyk i puszek po konserwach, puste butelki, które na słońcu działając jak soczewka, mogą wzniecić pożar. Ale trudno zabronić wczasowiczom spacerów po lesie. Na szczęście, na prawy brzeg rzadko im się chce przychodzić. Co najwyżej dopływają łódkami i zaśmiecają tylko sam brzeg jeziora. Najgorsze są jednak te wieczorne krzyki w ośrodku, dźwięki muzyki, nawoływania i oczywiście jazgot motorówek. Kormorany już się od nas wyniosły, uciekną także i siwe czaple, które tu miały swoje miejsca lęgowe.

— Czy to prawda, że Winnetou wykopał topór wojenny przeciw motorowodniakom i ośrodkowi wczasowemu? — zapytałem.

— Nic o tym nie wiem — rzekł. — Słyszałem tylko, że napisał memoriał do Państwowej Rady Ochrony Przyrody i Urzędu Rady Ministrów z propozycją, aby nasze jezioro objąć strefą ciszy.

Rozmowa urwała się, bo droga doprowadziła nas do zbudowanej z czerwonej cegły i krytej dachówką dużej leśniczówki. Dość szeroki, zielony od rzęsy kanał łączył leśniczówkę z jeziorem Zmierzchun. Na czerwonym domu widniał napis: Bukownica. Leśniczówka składała się z kilku budynków gospodarczych ogrodzonych płotem z siatki. Na drugim brzegu kanału rozciągał się bukowy las. Dostać się tam było można przechodząc przez wąski most z pni drzewnych.

Okazało się, że w tym ustronnym zakątku leśniczy mieszka tylko z żoną, nauczycielką w szkole w Złotym Rogu. Na podwórku kręciło się kilka białych gęsi i stado kur, między którymi biegał młody piesek, skrzyżowanie wyżła z terrierem. Wczasowiczów nie zauważyłem, więc pomyślałem, czy nie warto by zatrzymać się tu na wypoczynek urlopowy. Ale była to sprawa przyszłości, na razie zamierzałem nawiązać kontakt z Winnetou.

— Musi pan przejść przez kanał i dalej maszerować leśną drogą, a później ścieżkami, trzymając się jednak brzegu jeziora — objaśniał leśniczy. — Ostrzegam jednak, że to droga trudna i niebezpieczna.

Nie bałem się ani trudów, ani niebezpieczeństw. Wehikuł pozostawiłem na podwórku i natychmiast wyruszyłem w drogę.

Jak wspomniałem, po południu wiatr ucichł i zaraz zrobiło się upalnie, a nawet duszno. Im bardziej zagłębiałem się w las, tym trudniej mi się w nim oddychało. I im bliżej byłem bagien, tym zacieklej atakowały mnie ogromne roje komarów i wielkich krwiożerczych bąków. Lubią one bytować na terenie o wilgotnym podłożu, a są tak natrętne i spragnione krwi, że nie odstrasza ich wymachiwanie rękami. Dopiero uderzenie dłonią i śmierć kładzie kres ich krwiożerczemu atakowi. Każde zaś ukąszenie to bolesny bąbel na skórze.

Wkrótce trafiłem na miejsce, gdzie droga leśna skręcała raptownie w prawo, aby ominąć rozległą dolinę, porośniętą bagiennym lasem. Domyśliłem się, że do Winnetou należało iść na wprost, wąską ścieżką przez bagna.

Las, przez który odtąd maszerowałem, był to tak zwany ols jesionowy. Królowały tu jesiony i olsze, rosły też wiązy, dęby i brzozy, a na wzgórkach trafiały się świerki. Widziałem też krzaki leszczyny, czeremchy, czarnego bzu i czarnej porzeczki, podlegającej częściowej ochronie. Jej owoce i liście, a także młode pędy mają zastosowanie w lecznictwie i przemyśle; tyle jej zbierano, że ta kiedyś tak popularna smrodina trafia się już coraz rzadziej. Na dnie lasu zasiedlił się bluszcz kurdybanek, kozłek lekarski, przytulia i rzadki u nas, podlegający całkowitej ochronie — kruszczyk błotny o lancetowatych liściach na długiej, półmetrowej, niemal nagiej łodydze.

Ścieżka wiła się jak wąż, omijając trzęsawiska ze smrodliwą wodą i spróchniałe trupy przewróconych drzew. Gęste liście starych jesionów i olsz zasłaniały słoneczne światło.

Panująca duchota czyniła jeszcze bardziej zjadliwymi żyjące tu komary i bąki bydlęce. Rzecz ciekawa — samczyk bąk żywi się jedynie nektarem kwiatów, a tylko samica jest tak krwiożercza.

Na pniach jesionów i olsz widziałem stojące na wyprostowanych nóżkach gzy sarnie i jelenie, oczekujące tu na swoje ofiary — zwierzynę płową. Pozostawiają one na ich skórze swoje jaja, które potem zwierzę zlizując — wchłania. Larwy gzów wędrują przez ciało zwierzęcia i w końcu usadawiają się blisko jego grzbietu, ujawniając się na skórze w formie wstrętnego ropiejącego wrzodu.

Od czasu do czasu atakował moją twarz, ręce i szyję owad podobny do muchy — strzyżak jelenica — twardy, brunatno-czarny, o dużej głowie i ostrej kłujce. Jego ukąszenie jest bolesne i zwykle kłapięcie dłonią nie wystarcza, aby go zabić. Bez żadnego bólu traci skrzydła i dalej boleśnie kąsa.

Szedłem więc wolno, bo nie tylko musiałem oganiać się od żadnych mojej krwi owadów, ale i uważać, aby w swych płytkich pantoflach nie wdepnąć w błoto, kryjące się pod zdradliwym, miękkim kożuchem mchów lub trawy.

W tym lesie było chyba mnóstwo przeróżnej zwierzyny. Świadczyły o tym nie tylko ślady racic łosi i jeleni, saren i kozłów, wyraźnie odbite w błocie, ale tu i ówdzie widziało się całe połacie ziemi zrytej kłami dzików, czyli jak się to mówi w języku myśliwych, „zbuchtowanej”. Nieliczne świerki, widoczne na małych wzniesieniach, nosiły ślady „spalowania” przez rogacze, czyli na wysokości ich łbów zostały odarte z kory. Tak osłabione drzewa łatwo potem atakuje kornik, największa plaga naszych lasów.

Ścieżka nagle rozdzieliła się na trzy wąskie dróżki. Która z nich prowadziła do Winnetou?

Wybrałem tę od strony jeziora, bo przecież podobno nad wodą znajduje się wigwam tego arcyciekawego człowieka. Ale po kilkudziesięciu krokach drogę zagroził mi szeroki i głęboki kanał odwadniający. Musiałem zawrócić aż do rozstaju ścieżek i tym razem wybrałem dróżkę od prawej strony, a więc najdalszą od brzegu jeziora.

Szedłem i szedłem, a nogi coraz bardziej zapadały się w porośniętą mchem ziemię. Pantofle pokryło mi błoto, twarz oblepiły rozciągnięte między pniami grube pajęczyny. Potem trafiłem na szeroko rozlaną kałużę zielonkawego błota. Może zawrócić? — pomyślałem. Na błocie leżał jednak omszały pień starego jesionu. Postanowiłem przejść po nim aż na drugą stronę rozlewiska. Wydawało mi się bowiem, że dalej już teren jest suchy i trochę wzniesiony, a więc może właśnie tam zaczynało się królestwo Winnetou...

Wstąpiłem na pień i balansując na nim jak linoskoczek wolno szedłem nad zieloną pokrywą błota. Pień nie był na szczęście spróchniały i szło się po nim zupełnie dobrze. Tyle tylko, że musiałem utrzymywać równowagę za pomocą szeroko rozstawionych rąk, przez co łatwy dostęp do mojej twarzy miały stada komarów i wściekłych gzów. Skorzystały z okazji i gryzły mnie niemilosiernie, nieomal oblepiając mi twarz, kark i dłonie.

Raptem jakiś giez uderzył mnie w oko tak boleśnie, że dłońmi złapałem się za twarz. Ta chwila wystarczyła, abym stracił równowagę i zsunął się z pnia wprost w zielonawo-czarną maź.

Wpadłem w bagno po kolana. Na domiar złego przewróciłem się i od stóp do głów umazałem swój garnitur. W opłakanym stanie były teraz moja koszula, krawat i biała chusteczka wyglądająca z kieszonki.

Na brzegu chciałem się osuszyć z błota, lecz okazało się, że jeszcze gorzej się brudzę, ręce bowiem miałem uwalane w mule. A rąk nie było gdzie umyć.

Rozejrzałem się po lesie i stwierdziłem, że znajduję się jakby na dość sporej wysepce wśród bagien. Rosły tu stare świerki i przychodziło mnóstwo dzików, bo pnie u dołu nosiły ślady czochrania się zwierząt. Dziki ocierały się tak długo, aż obdarły pień z kory i świerk puścił żywicę. Na pniach pozostały kłaki i przylepiona do nich szczecina.

Na chwilę stanąłem nieruchomo, aby odpocząć po niefortunnej wędrówce. Ciągle miałem wątpliwości, czy jestem na właściwej drodze. Może należało jednak pójść środkową ścieżką?

Wtem usłyszałem łomot i trzask łamanych gałęzi. A potem jak błyskawica wyskoczył z gęstwiny ogromny odyniec. Równocześnie, nieomal nad swoim uchem, usłyszałem strzał z dubeltówki. Niecelny był to strzał, bo odyniec w ogromnych susach przebiegł obok mnie i przepadł w drugim końcu wyspy. Jeszcze jakiś czas słyszałem łomot jego racic i szelest liści na krzakach, przez które się przedzierał.

Za moimi plecami zabrzmiał głos ludzki:

— Jakież zły duch sprowadził tutaj bladą twarz?

Spoza pnia grubego świerka wyszedł Winnetou z dubeltówką w ręku. Tak, to był on — ogorzała twarz, myśliwsko-indiański strój, na nogach mokasyny z miękkiej skóry.

Obrzucił mnie niechętnym spojrzeniem. Oczywiście nie uszedł jego uwagi mój urzędniczy garnitur uwalany błotem, zielonkawa od bagna biała koszula i chusteczka. Twarz też chyba miałem ubrudzoną błotem i zakrwawioną od ukąszeń komarów.

— Błada twarz wybrała się na spacer? — rzekł. — A ja od dwóch miesięcy na próżno zaczajam się tutaj na odyńca. Szable jego oceniam na dwadzieścia cztery centymetry długości, a fajki mają obwody co najmniej osiem centymetrów. Ale blada twarz tego zapewne nawet nie rozumie, bo wygląda na greenhorna.

Byłem zły, że ogląda mnie w tak opłakanym stanie, i odburknąłem:

— Spudłował pan i to wszystko. Trzeba było celniej strzelać. Miał pan go od siebie na czterdzieści metrów.

— Słusznie — skinął głową. — Ale moja strzelba niesie celnie tylko na małą odległość. Nie używam sztucera z japońską lunetą, nie jestem mordercą zwierząt jak owa Krwawa Mary, która buszuje w tych lasach. Ale blada twarz, która jest greenhornem, nie odpowiedziała jednak na moje pytanie: co robi na tych bagnach? Proszę mi wybaczyć moją ciekawość, mam jednak prawo o to pytać.

To mówiąc odgiął klapę swojej kurtki i pokazał mi błyszczący i kolorowy znaczek ze stylizowanym zubrem i świerkami oraz wyraźnym napisem: Straż Ochrony Przyrody.

Tak, miał prawo pytać, co robię na tych bagnach i czy w sposób właściwy przeszedłem przez teren leśny.

— Przeszedłem tutaj, aby spotkać się z panem, jeśli to pan jest owym słynnym Winnetou.

— Tak, ja nim jestem, choć nie wiem, czy słynnym.

— Pracuję w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Przybyłem do Złotego Rogu, aby zapobiec dewastacji starego zamku. Zadanie swoje wykonałem, ale jednocześnie dowiedziałem się o sprawach, które i pana mogą zainteresować.

— To ja zasygnalizowałem pańskiemu ministerstwu, że Purtak rozbiera stary zamek — stwierdził. — Cieszę się, że mój sygnał wywołał oddźwięk.

I dodał, patrząc na mój uwalany błotem garnitur:

— Musi się pan doprowadzić do porządku. Zapraszam bladą twarz do swego wigwamu. To już bardzo blisko od tego miejsca.

Zgodziłem się pójść do niego, bo zamierzałem porozmawiać o sytuacji nad jeziorem. Traktował mnie nieco pogardliwie, jak niedzielnego turystę, ale miałem nadzieję, że przy bliższym poznaniu nabierze do mnie zaufania.

Poprowadził mnie znaną tylko sobie ścieżką, ledwo widoczną na bagnach. Wkrótce wydostaliśmy się z grząskiej kotliny i stanęliśmy na twardym gruncie, wśród starych buków. Po kilkudziesięciu krokach otworzyła się przed nami mała polana, ograniczona kanałem melioracyjnym, brzegiem jeziora i wysoką palisadą zaostrzonych pni świerkowych. Na środku polanki ujrzałem mały dom, niski a długi, zbudowany z grubych bali. Pokrywał go stromy dach z białego eternitu. Do brzegu jeziora prowadziła ścieżka, a przy brzegu znajdował się drewniany pomost. Cumowały tu „Moby Dick” i dwie podługowate łodzie wyrobione z pnia drzewa, prawdziwe indiańskie kanu.

Piękne to było miejsce. Zaplecze stanowiły las bukowy i bagnisty ols jesionowy, z drugiej zaś strony rozlewała się zatoka. Spokojną jej toń pokrywały ogromne liście grążeli, nenufarów i lilii wodnych, brzegi obrastały trzciny i sitowie. W pobliżu dostrzegłem ogromne gniazdo łabędzia, tu i ówdzie buszowały łyski, nurki i cyranki. Nie docierały tutaj motorówki, a Winnetou w swym kanu sunął chyba przez wodę bezszelestnie jak duch, była to więc prawdziwa ostoja dzikiego ptactwa.

Winnetou otworzył furtkę w palisadzie i wprowadził mnie na podwórze, a potem do wnętrza domu.

Nie było tam ścian działowych, lecz tylko jedna ogromna izba o ścianach wyłożonych drewnem i obelkowanym suficie. Izba miała jakby trzy poziomy, które oddzielały od siebie balustradki. W środkowej części, najniższej — znajdował się ogromny kominek z wielkim paleniskiem, a przy nim ławy z bali drewnnych. Na wyższym podeście były sypialnia i pracownia Winnetou — zobaczyłem tam prosty, zrobiony z desek tapczan i stół zarzucony kartonami papieru. Na drugim, wyższym poziomie znajdowała się sypialnia dla gości, zauważyłem tam także tapczan i niski stolik z ławami. Podłogi na podestach pokrywały skóry

dzików, na drewnianych ścianach wisały pióropusze indiańskie, łuki, maski, tomahawki, dzidy, jednym słowem — prawdziwe muzeum indiańskiego folkloru.

Elektrycznego oświetlenia tu nie było, wszędzie widziało się drewniane świeczniki i ozdobne stare lampy naftowe.

— Oto i mój wigwam — z dumą w głosie oświadczył Winnetou.

Na kominie płonął ogień, w garnku zawieszonym nad płomieniem coś się gotowało. A przy kominie siedział Milczący Wilk i juzingiem[13] obszywał kausze[14] liny fałowej do wciągania żagla.

Zobaczywszy mnie Milczący Wilk odłożył swoją robotę i pytająco spojrzął na przyjaciela.

— Przyprowadziłem bladą twarz, która zabłąkała się na bagnach i wygląda na greenhorna — przedstawił mu Winnetou moją osobę. — Ta blada twarz pracuje w Ministerstwie Kultury i Sztuki i dokonała wspaniałego czynu: zabroniła Purtakowi rozbiórki starego zamku. Dlatego Winnetou przyjął ją życzliwie i pomoże jego szaty doprowadzić do porządku.

Milczący Wilk wstał ze swego miejsca i skłonił się kładąc rękę na piersi:

— Wrogowie Purtaka są przyjaciółmi Milczącego Wilka. Błada twarz znajdzie wygodne miejsce na ławie koło komina.

Uśmiechnąłem się. W tym dziwnym domu, gdzie na ścianach wisały indiańskie pióropusze, łuki i kołczany pełne strzał, nagle doznałem uczucia, jakbym odbył podróż w krainę dzieciństwa. Wtedy także mówiono do mnie takim właśnie językiem. Na podwórku wielkiej kamienicy, gdzie mieszkałem, nosiłem pióropusz, podarunek od ojca. Mój starszy brat był Duchem Puszczy, a ja Sokolim Okiem. Potem przeżywaliśmy przygody Skórzanej Pończochy, byliśmy bohaterami powieści Kiddy — dziecię obozu: Janem Wilczą Łapą i innymi postaciami ze wspaniałych książek o życiu westmanów i Indian. I oto nagle znowu wkroczyłem w tę krainę. Było dla mnie oczywiste, że ci dwaj ludzie — ów Winnetou i żeglarz przezwiskiem Milczący Wilk — jak gdyby prowadzili dalej dawną, piękną zabawę. Może robili to, aby wyzwolić się od trosk codzienności? A może krył się w tej ich zabawie jeszcze jakiś inny, głębszy sens, który miałem dopiero w przyszłości zrozumieć? Czymś niegrzecznym byłoby nieprzestrzeganie w tym domu stylu, jaki narzucał gospodarz. Jeśli chciałem znaleźć w tych ludziach przyjaciół, powinienem był włączyć się w ich zabawę. I nie powiem, abym czynił to z przykrością. W głębi duszy tliła i we mnie tęsknota za tamtymi beztruskimi latami.

Przyłożyłem więc także dłoń do piersi w miejscu, gdzie bije serce, skłoniłem się i oświadczyłem:

— Przybyłem do tego wigwamu ze słowami przyjaźni na ustach i sercem pełnym życzliwości. Cieszę się, że mogłem poznać sławnego męża, Winnetou, i jego przyjaciela i brata, wspaniałego żeglarza, Milczącego Wilka. Przygnała mnie tu troska o los tej okolicy, której zagraża wielkie niebezpieczeństwo. Przybyłem także, aby was ostrzec. Imię moje nie jest wam zapewne znane. Przyjaciele nazywają mnie Pan Samochodzik.

Winnetou, który w tym momencie niósł dla mnie miskę pełną wody, zatrzymał się tak raptownie, że woda chlusnęła na podłogę.

— Czy to znaczy, że blada twarz jest wielbicielem owych cuchnących, blaszanych koni zwanych automobilami?

Nie od razu odpowiedziałem na pytanie. Odebrałem od Winnetou miskę z wodą. Czyszcząc ubranie, twarz i ręce widziałem ich niechętnie spojrzenia skierowane na mnie i nie przestawałem się uśmiechać. Bawiła mnie ta sytuacja. Śmieszyła mnie myśl, że oto ja, człowiek, któremu nieustannie towarzyszyła przygoda, uznany zostałem za niedzielnego turystę, wielbiącego zapach spalin samochodowych.

Gdy skończyłem czyszczenie ubrania, odezwałem się:

— Posiadam starego grata, którym jeżdżę po kraju, bo tego wymagają moje czynności służbowe. Od czasu do czasu słucham radia. Niekiedy także oglądam program w telewizji. Czasami chodzę do kina. Ale kocham także ciszę lasów i jezior, jestem wrogiem tych, co ją zakłócają. Wiem, jak należy zachować się na ulicy, na szosie, w lesie, na jeziorze. Korzystam z dorobku cywilizacji, ale to nie znaczy, że nie będę bronił przyrody przed cywilizacją i jej zgubnym wpływem. Howgh — zakończyłem po indiańsku, pamiętając jeszcze lekturę książek Karola Maya.

— Pshaw — zaklął cicho Winnetou. — Blada twarz przemawia bardzo dumnie.

A ja mówiłem dalej:

— Nad tą okolica zawisło wielkie niebezpieczeństwo. Winnetou i Milczący Wilk popełnili kilka błędów. Obawiam się, że jeśli nie weźmiecie do serca tego, co chcę wam powiedzieć, wasze plany uczynienia z tej okolicy oazy spokoju wezmą w łeb, a i was stąd wkrótce wyrzucą. Po wykonaniu swego służbowego zadania miałem zamiar wyjechać. Ale pozostałem i przyszedłem tutaj, ponieważ również kocham przyrodę.

— Pshaw — zaklął cicho Winnetou. — Blada twarz ma twarz? I czy mamy otworzyć uszy dla człowieka, który nie rozróżnia ścieżki łośi od ścieżki ludzi?

— Zmylił mnie pański trop — odparłem. — Szedł pan ścieżką łośi, aby zapolować na dzika. Dlatego zabłądziłem na bagnach. Ale zanim wyłożę swoją sprawę, zadam wam jedno pytanie i bardzo proszę o szczerą odpowiedź. Od tego zależy bardzo wiele.

— Proszę, niech blada twarz nas pyta — kiwnął głową Winnetou.

— Gdy przyjechałem do Złotego Rogu, usłyszałem, że powstała tu tajna Liga do Walki z Hałasem. Czy naprawdę istnieje taka liga i czy panowie do niej należą?

— Nie — odparł Winnetou. — Nie należymy do tej ligi. Ale sercem i duszą jesteśmy po jej stronie.

— Wierzę — kiwnąłem głową. — Świadczy to jednak, że niebezpieczeństwo wygląda groźniej, niż mogłem przypuszczać.

— Niech blada twarz mówi, bo tracę cierpliwość... — mruknął Winnetou.

— Gdy zjawiłem się w ośrodku wczasowym, kierownik Purtak, wprowadzony w błąd przez sekretarkę, wziął mnie za przedstawiciela Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego i wtajemniczył w swoje plany. Otóż zamierza on powiększyć ośrodek o bindugę, gdzie biwakują żeglarze, i o wyspę, gdzie cumują swoje łajby motorowodniacy. W dalszych planach przewiduje wypędzenie stąd także i Winnetou.

Na twarzy Milczącego Wilka dostrzegłem wyraz rozczarowania.

— I to wszystko, co chciała nam powiedzieć blada twarz? My o tym bardzo dobrze wiemy i potrafimy obronić tę ziemię przed niebezpieczeństwem białego diabła, który nosi nazwisko Purtak. Winnetou jest wodzem wszystkich opalonych mężów, którzy kochają wiatr, ciszę jezior, wodne ptactwo, las i spokój. Przyjdzie dzień, gdy wykopie on swój topór wojenny, a wówczas w popłochu uciekną stąd wszystkie blade twarze, a na miejscu ich ohydnych, drewnianych wigwamów wyrośnie wysoka trawa. Winnetou napisał memoriał do Wielkich Wodzów w Warszawie, aby jezioro to i okolice stały się strefą ciszy i spokoju. Gdy przyjdzie zgoda Wielkich Wodzów z Warszawy, wówczas zdejmemy skalp każdemu, kto zechce hałasować grającym pudeł, ośmieli się pędzić po jeziorze smrodliwym diabłem zwanym motorówką. Umilkną też krzykliwe usta zwane gigantofonami. I tak się stanie, howgh.

Odezwał się Winnetou. Mówił śpiewnie z odrobiną smutku:

— Był czas, gdy nad tym jeziorem unosiły się nieprzeliczone stada ptactwa, a w lasach przebiegały rącze sarny i jelenie. Nad jeziorem leżała wielka cisza, szumiał tylko wiatr w trzcinach i fale zalewały piasek na półwyspie Złotego Rogu, pozostawiając na nim piękne białe muszle. I tylko od czasu do czasu przemykała przez jezioro cicha wiosłowa kanu lub pokazał się biały żagiel. Aż pewnego dnia wtargnęły tutaj krzykliwe blade twarze. Kupiły półwysep w Złotym Rogu. Ogrodziły teren wysoką siatką, zbudowały ohydne drewniane wigwamy i doły kloaczne, z których brud ścieka do czystego dawniej jeziora. Wraz z nimi przybyły smrodliwe diabły zwane motorówkami. Wkopano w ziemię słupy z krzyczącymi ustami. Całą noc palą się u nich światła jarzeniowe, z nocy czyniąc dzień i budząc grozę u ptactwa. Na jeziorze pływają smugi smarów, bo wraz z bladymi twarzami z ośrodka ośmieliły się tu przybyć blade twarze zwane motorowodniakami. One to zasiedliły wyspę, gdzie dawniej dzikie kaczki budowały swoje gniazda i wysiadywały pisklęta. Co roku woda jest brudniejsza, co roku ubywa ptactwa i zwierzyny, która ucieka spłoszona przez blade twarze, spacerujące wszędzie z grającymi pudełami w rękach. Ale przelał się już dzban ze złem. Blade twarze drżą słysząc co noc bęben wojenny Winnetou. Głos wojennego bębna zagłuszy krzyczące usta bladych twarzy i wleje odwagę w serca wszystkich mężów kochających las i wiatr. I, jak nam wiadomo, tu i ówdzie mężowie ci zrywają się do walki z hałasem. Cieszy nas to, bo wkrótce nadejdzie dzień, gdy wykopimy topór wojenny. Nie mogąc jeździć na swych smrodliwych diabłach, nie mogąc słuchać grających pudeł, blade twarze same się stąd wyniosą i trawa porośnie miejsca po ich wigwamach na półwyspie.

— Czy mówiąc o opalonych mężach, którzy tu i ówdzie zrywają się do walki z hałasem, Winnetou ma na myśli ową tajemniczą ligę? Obawiam się, że za działalnością ligi kryje się właśnie Purtak.

— Dziwnie mówi blada twarz — wzruszył ramionami Winnetou. — Wszyscy, którzy walczą o ciszę, są naszymi braćmi. A Purtak kocha hałas i swoje krzyczące usta.

— Liga do Walki z Hałasem ukradła psa nadleśniczemu — powiedziałem. — Nadleśniczy otrzymał list od ligi, w którym ostrzeżono go, że jeśli zdecyduje się wyciąć sosnowy starodrzew, zniknie jego ulubiony pies myśliwski. I pies zginął.

— Wspaniale — zawołał Milczący Wilk. — Nadleśniczy nie ośmieli się teraz wycinać starodrzewu, o którym Winnetou wspominał w swym memoriale do Wielkich Wodzów w Warszawie.

Sceptycznie pokręciłem głową.

— Obawiam się, że skutki tego będą opłakane. Nadleśniczy sądzi, że członkami ligi są żeglarze i Winnetou. I że kradzież psa to wasza sprawka. Postanowił wypędzić żeglarzy z bindugi. W tej sytuacji Purtak bez trudu ją dostanie.

— Co takiego? — oburzył się Winnetou.

— Proszę, niech blada twarz mówi — uspokoił go gestem Milczący Wilk.

— Purtak postanowił wykorzystać wasz memoriał dla swoich celów. Zanim Państwowa Rada Ochrony Przyrody i Urząd Rady Ministrów ustosunkują się do memoriału, on już wejdzie w posiadanie i bindugi, i wyspy. A gdy lewy brzeg jeziora stanie się własnością ośrodka, bez trudu będzie mógł storpedować treść memoriału.

— Oskalpuję go — warknął Winnetou.

— Takie pogrożki na nic się nie zdadzą — powiedziałem. — Sprawa wygląda poważnie. On wpadł na bardzo sprytny pomysł. Postanowił zrazić wszystkich do koncepcji strefy ciszy. Aby przekreślić wasze plany, wilk przybrał skórę jagnięcia. Podejrzewam, że to on założył Ligę do Walki z Hałasem i postanowił na jej konto robić przeróżne brewerie. Wiem, że zamierza skłócić żeglarzy z motorowodniakami, doprowadzić konflikt na jeziorze do stanu wrzenia, a potem przy pomocy milicji rozpędzić całe towarzystwo i stać się panem jeziora. Dam wam przykład: w kawiarni w Złotym Rogu znalazła się wywieszka zakazująca włączania radioodbiorników. Motorowodniacy podejrzewają, że kryje się za tym działalność ligi. I jakby na potwierdzenie tego faktu pojawił się tam Milczący Wilk, przyjaciel Winnetou, i wygłuszył aparaty tranzystorowe. Teraz wszyscy są przekonani, że Winnetou przewodzi tajnej lidze. A tym samym to on kryje się za sprawą kradzieży psa nadleśniczego. Purtakowi chodzi o to, aby zrazić wszystkich do Winnetou, a także zdyskredytować jego memoriał. Obawiam się, że liga będzie dalej działać na konto Winnetou. Dlatego trzeba wystąpić do walki z ligą. Należy zjednoczyć wszystkie siły dla tej sprawy, wciągnąć do walki takich ludzi jak Krwawa Mary...

Winnetou przerwał mi gwałtownie:

— Tajna liga? To wspaniale, że są ludzie, którzy walczą z hałasem. To nasi bracia. Ukradli psa nadleśniczemu? Bardzo dobrze. Leśniczy mógł zrezygnować z wyrębu starodrzewu. To śmieszne radzić mi wystąpić do walki z ludźmi, którzy, podobnie jak i ja, nienawidzą hałasu. I to śmieszne proponować mi wypalenie fajki pokoju z Krwawą Mary, która poluje za pomocą sztucera i lunety japońskiej.

Wstałem z ławy, obciągnąłem na siebie oczyszczony z błota garnitur.

— Spełniłem swój obowiązek. Ostrzegłem was — powiedziałem. — Przyszłość pokaże, kto miał rację: ja czy wy. Pozostanę tu jeszcze jakiś czas nad tym jeziorem. Jeśli dojdziecie do wniosku, że jednak słusność leży po mojej stronie, gotów jestem wypalić z wami fajkę pokoju i wykopać topór wojenny przeciw tajnej lidze, za którą kryje się Purtak.

To mówiąc skłoniłem się obu mężczyznom i opuściłem wigwam Winnetou.

Ale jeszcze pewna okoliczność zatrzymała mnie na krótką chwilę. Oto na zewnętrznej stronie drzwi spostrzegłem przyczepiony pinezką list. Podczas naszej rozmowy w wigwamie Winnetou, ktoś zakradł się na podwórze i niepostrzeżenie zdołał pozostawić list na drzwiach.

Winnetou wziął do ręki kartkę i odczytał ją głośno:

Winnetou! Liga do Walki z Hałasem na swoim konspiracyjnym zebraniu wybrała Cię jednogłośnie swoim Wielkim Wodzem. Czy zgadzasz się na ten wybór? Jeśli tak, to przyptnij dziś na przystań...

W tym momencie Winnetou przerwał czytanie i spojrzał na mnie znacząco. Pojąłem, że daje mi do zrozumienia, abym sobie poszedł, gdyż nie zamierza zdradzać mi miejsca swego spotkania z członkami ligi.

Chciałem jeszcze raz ostrzec go przed ligą, ale wydało mi się, że jest zachwycony wyborem na Wielkiego Wodza. W takiej sytuacji nie przemówiłyby do niego moje argumenty. Czy miałem zresztą jakieś dowody na to, że za działalnością ligi krył się Purtak?

W milczeniu opuściłem podwórze i pomaszerowałem ścieżką przez bagna.

ROZDZIAŁ CZWARTY

JAK WYGLĄDA STAROŚWIECKI ROMANTYZM? • CZY LAS PRZYPOMINA FABRYKĘ? • SZUKAM SOJUSZNIKÓW • NARADA WOJENNA • GDZIE JEST UKRYTY PIES NADLEŚNICZEGO? • PODEJRZANI OSOBNICY • JAK ZOSTAŁEM DON KICHOTEM • CZY MOŻNA ZWYCIĘŻYĆ PURTAKA? • KTO WŁAMAŁ SIĘ DO RADIOWĘŻŁA? • PANNA HALINKA LUBI KRYMINAŁY

Leśniczy Piątkowski okazał duże zrozumienie dla mojej osoby, pogryzionej przez komary i oblepionej błotem. Na moje pytanie, czy nie mógłbym w pobliżu leśniczówki rozbić biwaku, zaproponował mi nocleg w wolnym pokoju. Żona leśniczego, sympatyczna pani Anna, zaprosiła mnie nawet do kuchni, gdzie przyrządziłem sobie kolację. Od pani Anny dowiedziałem się, że obydwoje, ona i jej mąż, choć mogli pracować w dużym mieście, wybrali jednak zagubioną w lasach leśniczówkę, aby pozostać w bliskim kontakcie z przyrodą.

Czy wobec takich ludzi miało sens ukrywanie celu mej wizyty u Winnetou?

— Spodziewałem się, że pana źle przyjmie — pokiwał głową leśniczy. — Już sam pana ubiór, garnitur i biała koszula mogły w nim wzbudzić niechęć. Nie cierpi samochodziarzy i niedzielnych turystów. Oczywiście, nie wiedziałem, że poszedł pan do niego, aby go ostrzec. Wielka szkoda, że nie wziął sobie do serca pańskich rad.

— Czy zalicza się pan do przyjaciół Winnetou? — zapytałem. — Mieszkacie w najbliższym sąsiedztwie i zapewne często spotykacie się z sobą. Może właśnie panu uda się namówić Winnetou, aby się odciął od działalności Ligi do Walki z Hałasem.

Leśniczy zastanowił się chwilę, a potem przecząco pokręcił głową:

— Niestety, nie mam na niego żadnego wpływu. Odniosłem wrażenie, że od pewnego czasu nawet boczy się na mnie. Ma pretensje, że nie przyłączyłem się do jego walki o zachowanie starodrzewu nad jeziorem. W jego pojęciu nie dosyć kocham las i przyrodę. A może myśli, że się obawiam narazić nadleśniczemu?

— A jak jest naprawdę?

— Wydaje mi się, że Winnetou reprezentuje staroświecki, naiwny romantyzm. Jego stosunek do przyrody jest zbyt krańcowy. Dla nas, leśników, las to nie tylko obszar ziemi porośniętej drzewami, ostoja ciszy i spokoju, rezerwar świeżego powietrza, ale także swoista fabryka produkująca drzewo potrzebne dla innych gałęzi naszej gospodarki. Stare, dwusetletnie drzewa są bardzo piękne, ale przedstawiają mniejszą wartość gospodarczą niż drzewa młodsze. Niekiedy lepiej jest wyciąć je i na ich miejsce posadzić nowy młody las. Nasze państwo potrzebuje papierówki dla fabryk papieru, kopalnie żądają kopalniaka dla ochrony podziemnych korytarzy. Do lasu trzeba podchodzić z miłością, ale bez staroświeckiego sentymentalizmu. I tak jest chyba w sprawie starodrzewu, o który walczy Winnetou. Gdyby Winnetou podszedł do tego bez walenia w bęben wojenny i porozmawiał z nadleśniczym, być może potrafiłby przekonać wojewódzki zarząd, aby pozostawić wąski pas starych drzew nad samym jeziorem, resztę zaś wyciąć. Ale on napisał swój memoriał i zaatakował nas jako niszczycieli środowiska. I nadleśniczy postanowił swoje zadanie wykonać, to znaczy cały starodrzew wyżywicować i potem wyciąć. A teraz nadleśniczemu ukradziono psa, aby go zmusić do zmiany planów państwowych. Ma pan słuszość podejrzewając, że nadleśniczy widzi za tą sprawą osobę Winnetou i jego zwolenników, zgromadzonych w lidze. Może zdołam wytłumaczyć nadleśniczemu, że Winnetou nie ma nic wspólnego z tajną ligą?

— Ba — wruszyłem ramionami — on nie miał z nią nic wspólnego jeszcze dzisiaj. Ale czy to samo będzie można powiedzieć jutro?

Leśniczy westchnął:

— Obawiam się, że sprawa przybrała zły obrót. Czym się to wszystko skończy? Winnetou i jego idea stworzenia strefy ciszy nad jeziorem zyska wroga w nadleśniczym, choć sam nadleśniczy kocha las, ciszę i przyrodę. Nadleśniczy zabierze żeglarzom bindugę, bo ich również posadza o przynależność do ligi. Zostaną nad jeziorem motorowodniacy i Purtak, który w końcu zawładnie jeziorem i zaleje je hałasem z gigantofonów i paliwem z motorówek. A gdy władze połąpią się, że jezioro nie nadaje się nawet do kąpieli, będzie już za późno. Trzeba lat, aby oczyścić wodę ze smarów, trzeba wielu lat, aby powróciło tu ptactwo i wyrósł nowy las.

— Dlatego uważam, że powinniśmy coś przedsięwziąć nie oglądając się na Winnetou — powiedział z mocą. — Jestem gotów pozostać tutaj i spędzić tu urlop. Trzeba odnaleźć psa nadleśniczego i zdemaskować tajną ligę. Czy mogę liczyć na pana?

— Tak — odparł szczerze. — Ma pan moją rękę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. A w tym momencie doszedł nas, odbity przez las, głuchy, monotony dźwięk.

— Słyszysz pan? To warczy bęben wojenny Winnetou. Jest to prawdziwy indiański bęben, który przywidzi z Ameryki.

Wyszliśmy przed leśniczówkę. Zapadła już noc, otaczał nas mrok i las pełen łagodnych poszumów. Nad kanałem krzyczały dzikie kaczory.

Nabrałem w płuca głęboki haust powietrza przesyconego aromatem lasu. I pomyślałem, że wielu ludzi w miastach tęskni do takiej chwili, do takiego wieczoru, do zapachu lasu. Taki wieczór pozwala rozprężyć się nerwom zmęczonym pracą, daje nowe siły, budzi energię do dalszego działania.

A jednak znajdują się ludzie, którzy właśnie w imieniu tych spragnionych ciszy i spokoju niszczą jedyne miejsca, gdzie człowiek może rozprężyć swoje nerwy i odzyskać zdrowie.

Oto przez wąski pas drzew oddzielających nas od jeziora, z drugiego brzegu, gdzie rozłożył się ośrodek wczasowy, dobiegły nas hałaśliwe dźwięki gigantofonów. Na jeziorze zaś bzyczały jazgotliwe motorówki.

I w lesie głucho warczał bęben wojenny, wzywający do walki wszystkich ludzi, którzy kochają przyrodę...

— We dwójkę, pan i ja — odezwałem się do leśniczego — niewiele potrafimy zdziałać. Co pan sądzi o Krwawej Mary? Czy nie mogłaby nam pomóc?

— Tak, to świetny pomysł — zgodził się — zaraz do niej zadzwonię i poproszę, aby tu przyjechała. O tej porze kończy pracę w kawiarni. Jest córką nadleśniczego i dzięki niej możemy uzyskać pewien wpływ na niego.

Poszedłem z nim do kancelarii leśnictwa. Piątkowski pokręcił korbką staroświeckiego aparatu telefonicznego i poprosił o połączenie z kawiarnią w Złotym Rogu.

W pół godziny później przed leśniczówką pojawił się ruchliwy strumień światła i zawarczał motorowerek „Komar”. Przyjechała nim Krwawa Mary uzbrojona w swój sztucer z japońską lunetą.

— Mam wrażenie — powiedziała dziewczyna do Piątkowskiego — że w Złotym Rogu dzieje się coś złego. Gdy tu jechałam, dwukrotnie spotkałam jakichś typków, którzy nieśli coś, co wyglądało na tablice ogłoszeniowe. Ale na mój widok schowali się w krzaki. Nie mieli chyba uczciwych zamiarów, skoro tak zrobili.

— Zbadamy tę sprawę — zdecydowałem. — Ale na razie proponuję naradę wojenną.

— Szykujecie, panowie, jakiś spisek? — zaśmiała się dziewczyna. — A może jesteście członkami tajnej ligi, która ukradła psa mojemu ojcu?

Usiedliśmy we trójkę w kancelarii. W krótkich słowach opowiedziałem Krwawej Mary o swym wizycie w ośrodku wczasowym i ujawnionych planach Purtaka. Zrelacjonowałem także odwiedzinę u Winnetou i wyjawiałem swoje podejrzenie w sprawie działalności tajemniczej ligi.

— Postanowiłem spędzić tutaj urlop — oświadczyłem na zakończenie. — Lubię przygody, a ta zapowiada się wspaniale. Stawką jest osiągnięcie spokoju nad jeziorem, wyeliminowanie stąd ludzi, którzy odbierają innym możliwość prawdziwego odpoczynku. Pan Piątkowski zadeklarował mi swą pomoc. A pani?

— Ma pan moją rękę — podała mi małą, kobiecą dłoń.

— Więc jest nas teraz troje — powiedziałem. — Winnetou i Milczący Wilk reprezentują, niestety, skrajne poglądy. Takich ludzi nazywa się ekstremistami. Winnetou chciałby, aby ludzkość wróciła do epoki kamienia łupanego. Nie tędy droga. Jezioro nie może być ani własnością Purtaka, ani Winnetou, albowiem jest wspólnym dobrem.

— Rozumiem — kiwnęła głową Krwawa Mary — i zgadzam się z panem. Rzecz jednak w tym, w jaki sposób zamierza pan działać?

— Naszym podstawowym zadaniem będzie zdemaskowanie Purtaka — powiedziałem. — Jestem przekonany, że to on kryje się za ową ligą. Niech pani postara się przekonać o tym swego ojca.

— To niemożliwe — westchnęła — ojciec nie uwierzy, że Purtak ukradł mu psa. On jest przekonany, że na czele ligi stoi Winnetou, a do ligi należą żeglarze. Wszystkie fakty na to wskazują.

— Zgadzam się z panią. Dlatego przede wszystkim musimy odnaleźć psa pani ojca. Niech on nam da na to dwa, trzy dni...

— Porozmawiam z ojcem — obiecała Krwawa Mary — ale on jest bardzo rozgoryczony tą sprawą. Trzeba panu wiedzieć, że do tej pory tylko dzięki osobistej interwencji ojca wolno było biwakować żeglarzom na bindudze. Albowiem jest to miejsce, które wiosną służy do spławiania drzew i w zasadzie wstęp obcym jest tam wzbroniony. Również robotnicy leśni, którym pozwolono na bindudze paść bydło, mają za złe ojcu, że wpuścił tam turystów, ponieważ żeglarze depczą trawę, a także gubią haczyki od wędek. Był wypadek, że krowa haczyk połknęła i zdechła. Ojciec mój jest jedynym człowiekiem, który tu nad jeziorem bronił interesów żeglarzy.

— I właśnie dlatego zaatakował go Purtak — stwierdziłem. — Chce zdobyć bindugę dla ośrodka wczasowego. Tym szybciej musimy odnaleźć psa i udowodnić nadleśniczemu, że nie zrobili tego żeglarze, ale właśnie Purtak.

— Ach, to byłoby wspaniałe — aż klasnęła w ręce Krwawa Mary. — Wytarguję u ojca te dwa, trzy dni, zanim podejmie decyzję co do bindugi. Ale czy uda się nam odnaleźć psa? Jak pan myśli, gdzie go schowano?

— Nie wiem. I właśnie panią chciałem o to zapytać. Czy są w lesie miejsca, gdzie można by trzymać psa, tak aby go nikt nie usłyszał?

Leśniczy Piątkowski i Krwawa Mary zastanawiali się długo. A wreszcie oświadczyli zgodnie:

— Nie, w lesie psa nie można ukryć. Są składziki na beczki z żywicą i oczywiście można tam zamknąć skradzionego psa. Ale pozostawione samotnie zwierzę będzie wyło i szczekało. Usłyszą go gajowi albo robotnicy leśni i uwolnią.

— W takim razie pies został ukryty w ośrodku wczasowym — oświadczyłem. — Przypuszczam, że znajduje się tam sporo zakamarków. Zdaje mi się również, że widziałem tam wczasowiczów z pieskami i jeśli ktoś usłyszy szczekanie, pomyśli, że to jeden z tych psów daje znać o sobie. Łatwo też uwięzionemu psu dostarczyć jedzenie z wczasowej stołówki.

— Być może, że ma pan rację — zgodził się leśniczy — ale w jaki sposób to stwierdzić?

— Trzeba znaleźć jakiś pretekst, aby się dostać na teren ośrodka wczasowego, rozejrzeć się i posłuchać. Przede wszystkim pani, panno Mary, potrafi rozpoznać szczekanie waszego psa. I to będzie nasze pierwsze bojowe zadanie — zdecydowałem, patrząc na zegarek.

Albowiem pora była kończyć naszą naradę. Zrobiło się późno. Krwawa Mary powinna była wrócić do Złotego Rogu. Ja zaś z leśniczym zamierzaliśmy jeszcze przespacerować się nad brzegiem jeziora, aby stwierdzić, czy nie kręcą się tam ludzie, o których wspomniała dziewczyna.

Ale po godzinnym spacerze po lesie powróciliśmy do domu nie spotkawszy w ogóle żadnego człowieka. Podejrzeni osobnicy przepadli w ciemnościach nocnych.

Spałem na piętrze w pokoiku z oknem wychodzącym na las i kanał do jeziora. Szumiały mi drzewa za oknami, przez otwarte okno osłonięte siatką wpływało do pokoju leśne powietrze. Gdy obudziłem się, było po ósmej rano. Leśniczy już od dawno przebywał w lesie, a nawet zdążył na motorowerze wpaść do nadleśnictwa w Złotym Rogu. Wrócił do domu przywożąc zaskakujące wieści.

Liga ożywiła swoją działalność. W kilku miejscach nad brzegiem jeziora odkryto przybite do drzew drewniane tablice: Strefa Ciszy. Był to czyn sprzeczny z prawem, ponieważ memoriał Winnetou nie został jeszcze rozpatrzony i nie wiadomo było, czy władze wyrażą zgodę. A ponadto wydarzyło się coś jeszcze groźniejszego w skutkach. W nocy włamano się do radiowęzła ośrodka wczasowego i zdemolowano urządzenia nadawcze, połączone z gigantofonami. Na miejscu włamania znaleziono kartkę z napisem Liga do Walki z Hałasem.

Kierownik Purtak wezwał telefonicznie milicję, aby zajęła się odnalezieniem sprawców włamania. Jak opowiadał leśniczy, zdaniem Purtaka sprawcy włamania nie trzeba było daleko szukać. Podobno krytycznej nocy, o godzinie dwunastej, widziano kanu Winnetou dobijające do przystani ośrodka.

— Czyżby Winnetou dał się wciągnąć w aferę i wziął udział we włamaniu do radiowęzła? — zastanawiałem się głośno. — A może po prostu wciągnięto go w pułapkę?

Idąc za pierwszym odruchem serca chciałem już maszerować do wigwamu Winnetou, aby pomóc mu wybrnąć z kłopotów. W porę jednak przypomniałem sobie o jego wczorajszym zachowaniu się wobec mnie i doszedłem do wniosku, że być może znowu potraktuje mnie niechętnie. Kłopoty z tajną ligą uczynią go może bardziej skłonny do zaufania moim słowem — pomyślałem.

Poprosiłem leśniczego o wypożyczenie łódki, zacumowanej w kanale. Postanowiłem popłynąć do kawiarni w Złotym Rogu, a potem ewentualnie do ośrodka wczasowego, aby nawiązać kontakt z panią, którą tam wczoraj poznałem. Mogłem oczywiście pojechać lub popłynąć wehikułem, który był amfibią, doszedłem jednak do wniosku, że wehikuł zbyt rzuca się w oczy. A nie chciałem, aby Purtak lub Nosek wiedzieli, że zostałem w Złotym Rogu, ba, że kręcę się koło ośrodka, co mogło wzbudzić ich podejrzenia.

Płaskodenna, zrobiona z desek łódź leśniczego sunęła po wodzie lekko i szybko. Po kilkunastu ruchach wiosłami wypłynąłem z kanału na szeroko rozlaną toń jeziora. Dzień był od rana ciepły, bezchmurny, po wodzie szły tylko lekkie szkwały, marszczące złocistą od słońca toń. Przy drugim brzegu, koło bindugi, widziałem stojące nieruchomo żaglówki, oczekujące na silniejszy wiatr, który — jak wiem to ze swego żeglarskiego doświadczenia — w taki dzień jak dzisiaj zrywa się dopiero koło południa. Zaroiło się natomiast od motorowodniaków. Od wysepki do brzegu, gdzie znajdowały się kawiarnia, sklep, restauracja i poczta, pracowicie warczały małe tummlery, doczepione do kajaków i puntów wędkarskich, brzęczały głośno ślizgacze z dwudziestokonnymi silnikami. Na całym jeziorze nie znalazłby nikt miejsca, dokąd nie dochodziłby przenikliwy jazgot silników. Na szczęście milczały gigantofony w ośrodku wczasowym i hałas na jeziorze był dziś chyba znacznie mniejszy niż wczoraj.

Przywiązałem łódkę do pala przy pomoście kawiarni i wszedłem do wnętrza. O tej porze gości było bardzo niewiele, usiedliśmy z Krwawą Mary przy służbowym stoliku i mogliśmy swobodnie porozmawiać o naszych sprawach.

— Jeszcze wczoraj, po powrocie z leśniczówki, długo w noc dyskutowałem z ojcem — opowiadała dziewczyna. — Niestety, ojciec nie chce wierzyć, że za szyldem Ligi do Walki z Hałasem kryje się Purtak, a nie Winnetou i żeglarze. Żąda dowodów, a przecież pan ich nie ma, prawda?

— To są tylko moje przypuszczenia.

— No właśnie. Dlatego z największym trudem wymogłam na ojcu, aby wstrzymał się z ustawieniem tablicy, zabraniającej biwakowania na bindudze. Ojciec jest bardzo zmartwiony zaginięciem swojego ukochanego myśliwskiego psa. Opowiedziałam mu o panu i obiecałam, że zajmiemy się poszukiwaniami. Oświadczył mi: „Daję wam dwa dni. Albo uda wam się odnaleźć psa, albo dostarczyć dowodów, że to nie Winnetou i żeglarze, lecz Purtak”.

— A co ze starodrzewem? Oglądałem go. Jest bardzo piękny. W naszym kraju już nie ma tak wiele starych kompleksów leśnych.

— Ech, to trudna sprawa. Jeśli ojciec wstrzyma żywicowanie starodrzewu, dla wielu będzie to znaczyło, że uląkł się terrorystów. Obawia się, że to może zachęcić członków ligi do dalszych ekscesów. Poza tym ma w planie wycięcie starodrzewu i zasadzenie tam młodego lasu. Ojciec jest starym leśnikiem, zakochanym w lasach i swojej pracy. Jemu też żal tego starodrzewu. Co robić w tej sytuacji? Wyjaśnię panu w największej tajemnicy, że i on po cichu jest po stronie Winnetou. Wiem, że w największym sekrecie rozkazał pozostawić w stanie nienaruszonym dość szeroki pas starodrzewu nad samym brzegiem jeziora. A do Ministerstwa Leśnictwa napisał list z prośbą o korektę planu wyrębu uzasadniając to względami krajobrazowo-widokowymi. Jest nadzieja, że ministerstwo zgodzi się na korektę planu. Ale nikt nie może o tym wiedzieć. Albowiem terroryści z ligi zaczną mówić, że to dzięki ich poczynaniom uratowano część starodrzewu. I znowu ruszą do ataku. Pan chyba już słyszał, co się stało minionej nocy?

— Tak. Rozstawiono nad jeziorem tablice z napisem Strefa Ciszy.

— To znowu akt bezprawia. Chyba nikt bardziej od leśników nie pragnie, aby tu była strefa ciszy. Ale z drugiej strony nikt, poza nadleśnictwem, nie ma prawa rozstawiania jakichkolwiek tablic na terenie lasów państwowych. I ojciec kazał gajowym usunąć tablice, a straż leśna rozpoczęła dochodzenie w tej sprawie. I w pojęciu wielu ludzi ojciec okaże się człowiekiem, który rzekomo kocha hałas.

— Przede wszystkim należy odszukać psa. Wtedy uda się pani przekonać ojca, że Liga do Walki z Hałasem to jedno, a Winnetou i jego memoriał to drugie.

Popatrzyła mi w oczy:

— Czy pan jest tego aż tak pewien? W nocy zdemontowano urządzenia radiowęzła. Widziano Winnetou i Milczącego Wilka na przystani ośrodka.

Milczałem. Bo naprawdę nie miałem żadnej pewności, czy Winnetou i Milczący Wilk nie wzięli udziału w nowym terrorystycznym akcie ligi.

A ona nacierała dalej:

— Pamiętaj pan, że to właśnie Milczący Wilk w kawiarni zagłuszył wczoraj radia tranzystorowe. Każdy domyśla się, że on jest członkiem Ligi do Walki z Hałasem. A teraz, gdy zmuszono do milczenia radiowęzła ośrodka, na kogo padną podejrzenia?

— Szatański plan. Piekielnie sprytna intryga.

— W dalszym ciągu sądzi pan, że za tą sprawą kryje się Purtak? Przecież to nie ma sensu. Purtak nie działa przeciw sobie.

— A może właśnie chodziło mu o to, aby odsunąć od siebie podejrzenia?

Z powątpiewaniem potrząsnęła głową:

— Poza panem nikt nie posądza go o związki z ligą. Więc on nie musi się niczego obawiać.

— Łacińskie przysłowie mówi: „Ten jest winien, kto ma z tego korzyść”. Wkrótce przekona się pani, kto odniesie największa korzyść ze zdemontowania urządzeń radiowęzła. Podejrzenia, jak pani sama wie, kierują się w stronę Winnetou. Może właśnie chodziło o to, aby narobić kłopotów najpoważniejszemu przeciwnikowi Purtaka? Taki postępek nazywa się prowokacją.

Odniosłem wrażenie, że nie przekonałem jej. Wprawdzie nie wysuwała przeciw moim słowom żadnych zastrzeżeń, ale też i nie podchwyciła moich argumentów.

— Była pani w ośrodku wczasowym? — zapytałem.

— Tak. Jeszcze wczoraj ośrodek zamówił u mnie trzy tace ciastek na dzisiejszą wieczorną potańcówkę. Pojechałam więc tam pod pretekstem, że nie wiem jakie to mają być ciastka. Ale nie mogłam zbyt długo kręcić się po ośrodku i nie zauważyłam niczego podejrzanego. Zamówienie odwołali, ponieważ z powodu zdemontowania radiowęzła potańcówka się nie odbędzie.

— No cóż, może ja będę miał więcej szczęścia — powiedziałem, podnosząc się od stolika i żegnając Krwawą Mary.

Odprowadziła mnie aż na kawiarniany pomost. Nie chciało się jej pomieścić w głowie, że jakiś obcy człowiek, który tu pierwszy raz przyjechał, nagle zechciał się zająć trudnymi sprawami mieszkańców Złotego Rogu, ba, zdecydował się poświęcić na to swój urlop.

— Pan pracuje w Ministerstwie Kultury i Sztuki? — upewniła się.

— Jestem muzealnikiem.

Zaśmiała się cicho.

— Czy to śmieszne?

— Troszeczkę — przyznała. — Zawsze wyobrażałam sobie muzealnika jako zasuszonego staruszka z pietyzmem wycierającego kurz ze starych obrazów. A pan wczoraj powiedział: „Lubię przygody”. I zdecydował pan w Złotym Rogu spędzić urlop. Dziwne...

— Dziwne — zgodziłem się. — Ale taki już jestem. Może po prostu doszedłem do wniosku, że póki Purtak rządzi się tutaj jak szara gęś, staremu zamkowi wciąż grozi niebezpieczeństwo rozbiórki? A może przeraziła mnie perspektywa urlopu, polegającego na bezczynnym przewracaniu się z boku na bok, w zależności od tego, który bok już się bardziej opalił?

— A może jest pan współczesnym Don Kichotem?

— Czyżby sądziła pani, że walka z Purtakiem przypomina walkę z wiatrakami?

— Za Purtakiem stoi potężne ministerstwo, ogromny zakład. A za panem? Za Winnetou?

Wzruszyłem ramionami.

— Myli się pani. Za Purtakiem nikt nie stoi, bo on nie ma racji. Cała sztuka polega na tym, aby tego dowieść. A wtedy cała jego potęga runie w gruzy.

To mówiąc wskoczyłem do łódki, odbiłem od pomostu i na pożegnanie kiwnąłem jej ręką.

— Do widzenia, Don Kichocie! — zawołała.

— Do widzenia, Krwawa Mary! — odkrzyknąłem.

Złożyła rękę w trąbkę i zawołała:

— Nie lubię tego przezwiska...

Uśmiechnąłem się i jeszcze raz kiwnąłem jej ręką. Byłem już dość daleko od pomostu i nie mogłem jej odkrzyknąć, że mnie się to przezwisko bardzo podoba. Ale warkot przejeżdżającej blisko motorówki i tak zagłuszyłby moje słowa.

Dziewczyna nie zapytała mnie, w jaki sposób zamierzam spenetrować ośrodek wczasowy. W ogóle odniosłem wrażenie, że nie bardzo wierzy w możliwość odnalezienia psa. Jak sama stwierdziła, brała mnie za kogoś, kto porywa się z motyką na słońce. I chociaż ofiarowała mi wczoraj swoją pomoc — rozmawiała z ojcem, nawet odwiedziła ośrodek wczasowy w poszukiwaniu psa — to przecież nie wierzyła w skuteczność tych przedsięwzięć.

Tak rozmyślając kierowałem łódź w stronę pomostu ośrodka wczasowego. Lecz gdy podpłynąłem dość blisko, ominąłem pomost, bo wydało mi się, że w natłoku plażujących tam wczasowiczów dostrzegłem instruktora Noska.

Domyślcie się chyba, Drodzy Czytelnicy, że szukałem panny Haliny, którą wczoraj poznałem w ośrodku. Jakże ją jednak mogłem wyróżnić w tłumie okupującym brzeg jeziora i deski pomostu? Leżało tam na kocach i leżakach mnóstwo osób, na wodzie krążyło kilkadziesiąt kajaków, rowerów wodnych i łódek. W tej masie pływającego sprzętu pozostawałem niezauważalny, ale i mnie również trudno było dostrzec pożądaną osobę. Może zresztą panna Halinka dziś zrezygnowała z opalania i poszła na spacer do lasu?

Krążyłem chyba z godzinę wzdłuż brzegu. I powoli traciłem nadzieję, gdy raptem ktoś do mnie zawołał z przepływającego obok roweru wodnego. Była to panna Halinka.

— Nie odjechał pan jednak, panie Tomaszu.

— Psst! — syknąłem, przykładając znacząco palec do ust i robiąc tajemniczą minę. — Czy może pani podpłynąć bliżej? Mam ważną sprawę do pani.

Zaciekawiona pokręciła pedałami roweru i po chwili znalazła się koło mojej łódki.

— Czy to pani unieszkodliwiła radiowęzeł ośrodka? — zapytałem żartobliwie. — Słyszałem, że spełniły się pani życzenia i zaprzestano nadawać stare melodie.

— Nie, to nie ja. Zrobiła to jakaś Liga do Walki z Hałasem.

Uśmiechnąłem się zagadkowo.

— Czy ma pani coś przeciw małej randce, o tam, za tymi trzcinami? Będziemy mogli swobodnie porozmawiać. Mam dużo do opowiedzenia.

Nie byłaby kobietą, gdyby się nie dała skusić na propozycję odbycia rozmowy, która zapowiadała się tajemniczo. Zakręciła pedałami roweru, a ja poruszyłem wiosłami, i oto znaleźliśmy się za kępą trzcin, osłaniających nas od brzegu.

— Jak pani widzi, zostałem w Złotym Rogu. I będę tu nadal. Zafrapowało mnie tu kilka spraw, o których się dowiedziałem. Chciałbym je wyjaśnić. Wydaje mi się, że warto na to poświęcić urlop.

Opowiedziałem jej o kradzieży psa nadleśniczego, o wizycie u Winnetou, o moich podejrzeniach wobec Purtaka i tajnej ligi.

— Fiuuu — aż gwizdnęła panna Halina. — Toż to prawdziwy kryminał. I pan tego nie zmyślił?

— Nie — podniosłem dwa palce jak do przysięgi.

— I pan sądzi, że ów Winnetou jest niewinny i nie ma nic wspólnego z włamaniem do naszego radiowęzła?

— Jestem tego niemal pewien.

— Pan Purtak wezwał dziś rano milicję. Przyjechali, obejrzelni zdemontowane urządzenie radiowęzła, potem wsiedli na naszą motorówkę i podobno popłynęli do domu Winnetou. Widziano go tutaj ostatniej nocy. Niektórzy mówią, że to właśnie on przewodzi Lidze do Walki z Hałasem.

— To nieprawda. Wiem, że dopiero wczoraj zwrócili się do niego, aby został ich honorowym prezesem i zjawił się o dwunastej w nocy na waszej przystani. Podejrzewam, że była to pułapka, w którą go wciągnięto, aby na niego rzucić podejrzenia o włamanie do radiowęzła.

— To wstrętne. Na niewinnego człowieka rzucać podejrzenia! — oburzyła się panna Halinka.
— Czy można mu jakoś pomóc?

— Oczywiście. Właśnie w tym celu szukałem pani. Chodzi o psa nadleśniczego. Jestem przekonany, że pies został ukryty w waszym ośrodku. Czy są tu miejsca, gdzie pies może pozostawać nie zauważony?

— Ale co ma ten pies wspólnego z Winnetou?

— Psa ukradła liga. Jeśli zdołamy udowodnić, że zrobił to Purtak, tym samym udowodnimy, że to on kryje się za działalnością ligi. I pośrednio pomożemy tym Winnetou.

— Rozumiem. Domyślam się również, że chce pan, abym to ja zajęła się w ośrodku poszukiwaniem psa nadleśniczego. A jak ten pies wygląda?

Stuknąłem się palcem w głowę.

— Nawet nie zapytałem, jak on się wabi i jakiej jest maści. A to ze mnie gapa. Wiem tylko tyle, że to wyżeł. Musi pani wypatrzeć, czy po obiedzie Purtak lub Nosek nie wynoszą gdzieś resztek jedzenia. Wydaje mi się, że pies znajduje się w jakiejś piwnicy albo szopie. Chyba są tu takie miejsca?

— Oczywiście. Służą jako magazyny na łódki, narzędzia i tak dalej.

— No właśnie. Zajmie się tym pani, panno Halinko?

— Naturalnie. Ta historia wygląda jak z kryminału — stwierdziła z entuzjazmem. — A ja bardzo lubię czytać i słuchać przeróżnych sensacyjnych opowieści. Pan naprawdę pracuje w Ministerstwie Kultury i Sztuki? Bo jak się z panem rozmawia, odnosi się wrażenie, że jest pan, no... prywatnym detektywem — uśmiechnęła się z zadowoleniem, że znalazła dla mnie właściwe określenie.

— Zdaje mi się, że za dużo jednak czyta pani kryminałów. Przysięgam, że pracuję jako muzealnik, a nie detektyw.

— Muzealnik? — w głosie jej zabrzmiało rozczarowanie.

— Zaręczam pani, że również muzealnicy potrafią brać udział w przeróżnych sensacyjnych historiach. Przeżyłem ich wiele i kiedyś pani o nich opowiem.

— Świetnie — ucieszyła się. Podała mi rękę i potrząsnęła nią. — Aha — przypomniała coś sobie — czy wolno pana o coś zapytać?

— Słucham...

— Pan jest żonaty?

— Nie.

— I nie ma pan tu żadnej dziewczyny?

— Nie.

— To dobrze.

— Dlaczego?

— Bo ja strasznie nie lubię innych dziewcząt. Mam mnóstwo kolegów, a żadnej koleżanki. Dziewczyny są na ogół zazdrosne i lubią rządzić, zawsze są z nimi jakieś kłopoty, dąsy, obrażania się. Jednym słowem, lepiej, że działamy we dwójkę.

— Może będzie nas więcej... — powiedziałem ostrożnie, myśląc o Krwawej Mary i leśniczym.

— Nie chcę, żeby nas było więcej. We dwoje też odnajdziemy tego psa. Jeśli będzie nas więcej, to ja się wypisuję z tej zabawy.

I zrobiła obrażoną minę.

— Dobrze, dobrze — rzekłem polubownie.

Na pożegnanie poinformowałem ją, że mieszkam w leśniczówce. Kiwnąłem jej głową i popłynąłem w stronę drugiego brzegu. Gdy już oddaliłem się nieco, westchnąłem ciężko. Uświadomiłem sobie, że Halinka pływa samotnie na dwuosobowym rowerze wodnym. Innymi słowy: dotąd nie znalazła żadnej koleżanki i żadnego kolegi. Pomyślałem, że zapewne w jej przypadku sprawdza się przysłowie: „Przygania kocioł garnkowi, a sam smoli”. To ona lubiła rządzić i była zazdrosna o każdą koleżankę. Och, będą z nią jeszcze kłopoty — medytowałem. I ogarnęły mnie złe przeczucia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

CZY LUBIĘ KWIATY? • ŚLEDZTWO W SPRAWIE WŁAMANIA • GDZIE UKRYTO SKRADZONE LAMPY? • FAŁSZYWE OSKARŻENIE I MOJA OBRONA • KTÓRĘDY PRZYBYLI ZŁODZIEJE? • NA TROPIE PRZESTĘPCÓW • JEDNA CZY DWIE KOBIETY • SZMINKA I ŁUSKA NABOJU • KRWAWA MARY MA PODWÓJNY JĘZYK

Bez trudu odnalazłem na drugim brzegu niewielką zatoczkę, wrzynającą się w łąd. W głębi zatoki, w tle starych buków i świerków, białł eternitowy dach domu Winnetou. Stał on, jak już wcześniej wspomniałem, na niewysokim pagórku, otoczonym palisadą z zaostzonych okrągłaków. Zatoka leżała nieco poniżej — wąski pas wysokich trzcin oddzielał łąd od wody. W jednym miejscu trzciny były wycięte: tu znajdował się drewniany pomost, a przy nim cumowały jol Milczącego Wilka i motorówka, którą zapewne przybyli tu milicjanci. Zauważyłem także wyciągnięte na brzeg dwie kanu Winnetou.

Wokół domu i na brzegu zatoki nie było nikogo. Ale chyba zauważono mnie przez okno, bo po chwili otworzyły się drzwi i podszedł do mnie jakiś młody mężczyzna w koszuli z przekrzywionym krawatem. Miał jasne włosy i wesołe spojrzenie.

— Dzień dobry — skłonił się — witam pana i od razu zadaję pytanie: czy jest pan członkiem Ligi do Walki z Hałasem?

Żachnąłem się:

— Broń Boże. Należę do wrogów ligi.

— Czyżby? — zdumiał się szczerze ów osobnik. — Pierwszy raz w życiu widzę człowieka, który lubi hałas.

— Tego przecież nie powiedziałem. Nie lubię hałasu, ale nie mam także nic wspólnego z tajemniczą ligą. Nie podobają mi się metody jej działania. Jestem, proszę pana, przeciw terrorowi.

— To świetnie. To, można rzec, nawet znakomicie. Bo ja, proszę pana, jestem z milicji. Nazywam się Frączak, kapitan.

I machnął mi przed nosem legitymacją Milicji Obywatelskiej.

Pokazałem mu legitymację służbowa Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Popatrzył na mnie z uśmiechem:

— Pan reprezentuje kulturę czy sztukę? — zapytał.

— I jedno, i drugie.

— A radiowęzeł, czy to wchodzi w zakres kultury, czy sztuki?

— To zależy, co się przez niego nadaje — odparłem.

— A jeśli nic się nie nadaje, bo ktoś ukradł dwie lampy?

— No, to wtedy taki radiowęzeł wchodzi w zasięg działania milicji.

— A właśnie — zgodził się ze mną — dlatego tu jestem.

— Zdawało mi się, że radiowęzeł jest po tamtej stronie jeziora.

— Słusznie — pokiwał smutnie głową — ale lampy z radiowęzła znalazłem tutaj. O, w tej drewnianej łódce — wskazał na kanu należące do Winnetou.

— Hm...

— Ale plastyka, proszę pana, wchodzi w zakres zainteresowania Ministerstwa Kultury i Sztuki?

— Oczywiście.

— Pisanie na deskach...

— To nie plastyka, proszę pana.

— A już miałem nadzieję, że może pan coś wie o napisach Strefa Ciszy, rozmieszczonych nad jeziorem.

— Czy i tutaj ich pan szuka? — zapytałem.

— Niezupełnie — odparł. — Napisów tu nie ma. Ale znalazły się pędzle i farby. Leżały w rogu podwórza za domem.

— Hm...

Pomilczał chwilę, a potem zapytał:

— Od dawna zna pan obywatela, którego tu nazywają Winnetou?

— Od wczoraj. Właśnie wczoraj złożyłem mu pierwszą wizytę. Dziwię się jednak, że posądza go pan o włamanie do radiowęzła i malowanie napisów.

Milicjant podniósł obydwie ręce do góry.

— Wiem równie dobrze jak pan, że to człowiek nieposzlakowanej uczciwości, ale nawet człowiek o nieposzlakowanej uczciwości może zdobyć się na czyn kolidujący z prawem, jeśli się go bez przerwy bombarduje hałasem. Czyż nie tak?

W tym momencie otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Winnetou. Szedł do mnie z wyciągniętą ręką. Zdawało mi się, że mój widok sprawia mu radość.

— Witam bladą twarz, którą wczoraj nazwałem greenhornem, a dziś wydaje mi się mądrą jak sowa — powiedział ściskając moją dłoń. — Błada twarz odradzała mi wczoraj spotkania z przedstawicielami tajnej ligi. Nie posłuchałem tej rady i wraz z Milczącym Wilkiem popłynęliśmy do przystani ośrodka wczasowego. Niestety, nikt z członków ligi nie zjawił się na spotkanie. Czekaliśmy na próżno chyba godzinę, a potem powróciliśmy do wigwamu. Rano przybyła milicja i odkryła w mojej kanu dwie lampy skradzione z radiowęzła, a w rogu mego podwórza farby i pędzle, którymi robiono napisy Strefa Ciszy, na tablicach rozstawionych potem wzdłuż brzegu. Winnetou i Milczący Wilk nie posłuchali rady greenhorna i dali się wciągnąć w pułapkę.

Zwróciłem się do milicjanta:

— W której kanu znaleźliście, panowie, lampy? W tej, w której Winnetou popłynął na przystań ośrodka, czy w tej, która tu pozostała?

— W tej, która tu pozostała — odparł po chwili milicjant i popatrzył na mnie z uwagą.

— Wydaje mi się, że mógłbym rzucić nowe światło na te dziwne sprawy — oświadczyłem.

Milicjant szerokim gestem wskazał drzwi domu Winnetou:

— Może tam dokończymy tej rozmowy, panowie.

Weszliśmy do wigwamu Winnetou, gdzie za stołem siedział umundurowany porucznik milicji i pisał coś pilnie na arkuszu papieru. Przed nim, na zydłu, siedział Milczący Wilk. Zapewne spisywano protokół z przesłuchania.

— Nie przybyłem tutaj, aby sycić wzrok klęską mężów, którzy podobnie jak i ja kochają przyrodę — oświadczyłem Milczącemu Wilkowi. — Przybyłem, aby wypalić fajkę pokoju i wykopać topór wojenny przeciw bladej twarzy nazwiskiem Purtak.

— Howgh — rzekł Milczący Wilk i podał mi rękę.

Kapitan Frączak zaprotestował:

— Za pozwoleniem, panowie. Obywatele nie będą tu teraz wykopywać żadnych toporów. Obecnie przeprowadzimy śledztwo w sprawie włamania do radiowęzła. Czy protokół z przesłuchania już gotowy? — zapytał umundurowanego porucznika milicji.

Porucznik przytaknął, ale miał bardzo niezadowoloną minę.

— Obywatelu kapitanie — zwrócił się do kolegi — w drodze do tego domu wspomniałem, że pragnę wycofać się ze śledztwa, albowiem mogą powstać wątpliwości co do mojego obiektywizmu.

— Czy podejrzani — kapitan zerknął na Winnetou i Milczącego Wilka — wyrazili wątpliwość co do waszego obiektywizmu, poruczniku?

— Nie. Ale nie wiem, czy wam wiadomo, że mnie i Winnetou łączy wiele więzów i zależności pozasłużbowych. On jest prezesem koła wędkarskiego, do którego i ja należę. Ja zaś jestem prezesem koła łowieckiego, do którego on należy. Poza tym zostałem członkiem Ligi Ochrony Przyrody, w której on jest przewodniczącym oddziału gminnego, a także członkiem Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Przyrody. Jednym słowem, w pewnym sensie jestem mu podległy. Wspomnę także, iż złożyłem swój podpis na jego memoriale skierowanym do Państwowej Rady Ochrony Przyrody i Rady Ministrów, aby nasze jezioro objąć strefą ciszy.

— Hm — mruknął zakłopotany kapitan — ale czy uczynił pan to jako komendant tutejszego posterunku, czy jako prywatna osoba?

— Jako prywatna osoba, Jan Kluźniak.

— W takim razie nie widzę przeszkód, aby pan dalej prowadził dochodzenie. Korzystając z okazji, również jako prywatna osoba, złożę koledze wyrazy podziękowania za ten czyn. Albowiem i milicjanci lubią niekiedy powędkować w rybnym jeziorze oraz pospacerować z żoną po lesie.

Głos zabrał Winnetou. Przemówił do porucznika Kluźniaka:

— Wypaliliśmy fajkę pokoju. Ale teraz występuje pan tu w majestacie prawa i dlatego niech panu nie zadrży ręka, gdy wyjmie pan kajdanki, aby skuć nimi moje dłonie.

— Obywatele, więcej powagi — zgromił ich kapitan i zwrócił się do mnie. — Nareszcie może dowiemy się, co obywatel ma do powiedzenia w interesującej nas sprawie. Lecz na wstępie: jak się obywatel nazywa i w jakim charakterze przebywa w okolicach Złotego Rogu?

Opowiedziałem im o celu mego przyjazdu w te okolice i o dewastacji ruin, dokonywanej przez Purtaka. Mówiłem dalej:

— Od dziś rozpoczął się mój urlop. Zdecydowałem pozostać w tej okolicy, ponieważ wydała mi się piękna i interesująca pod wieloma względami. Do rzeczy jednak. Otóż wiadomo mi, że działa tutaj jakaś tajna Liga do Walki z Hałasem. Wczoraj przysłała ona do Winnetou list, w którym ogłosiła go swoim honorowym prezesem i zaprosiła na spotkanie o dwunastej w nocy koło przystani ośrodka wczasowego. W tym czasie ktoś włamał się do radiowęzła...

Przerwał mi kapitan:

— Czytaliśmy list tajnej ligi i załączyliśmy go do akt sprawy. Wynika z niego, że liga zaplanowała na tę noc jakąś swoją akcję, być może właśnie włamanie do radiowęzła. Jaka jednak mamy gwarancję, że nie wziął w niej udziału ani Winnetou, ani Milczący Wilk?

Odezwał się Winnetou. Oświadczył z ogromną godnością:

— Winnetou nie splamił ust kłamstwem. Przybył z Milczącym Wilkiem na spotkanie z ligą, ale do tego spotkania nie doszło. Gdy powróciliśmy do wigwamu i położyliśmy się spać, ktoś przypląnął tu i do mojej kanu podrzucił skradzione lampy. Podobnie zrobiono z puszką farby i pędzlem. Powód takiego postępowania wydaje się oczywisty. Wszyscy tu wiedzą o moim memoriale do Wielkich Wodzów w Warszawie. Ale nie wszystkim się on podoba. Błade twarze z ośrodka wczasowego zamierzają zdobyć nowe tereny: bindugę i wyspę, chcą także wykurzyć stąd Winnetou. O tajnych planach Purtaka dowiedziała się wczoraj błada twarz, niesłusznie przezwana przeze mnie greenhornem. Ostrzegła mnie przed Ligą do Walki z Hałasem. Nie posłuchałem jednak, bo wydawało mi się, że ludzie z ligi są moimi braćmi. Niestety, to była pułapka. Chodziło o to, aby skompromitować mnie w oczach Wielkich Wodzów i nie dopuścić do zatwierdzenia memoriału. Howgh.

Kapitan potrząsnął głową:

— Nas obchodzą fakty.

— Chwileczkę, pozwólcie mi mówić — odezwał się. — Otóż, jak wywnioskowałem, Winnetou i Milczący Wilk sądzą, że po ich powrocie do domu ktoś tu przypląnął łódką i podrzucił dowody przeciw nim. Ale czy tak naprawdę było? Jestem przekonany, że to w czasie nieobecności Winnetou i Milczącego Wilka podrzucono dowody ich winy. Dlatego lampy znalazły się w tej kanu, która pozostała na brzegu. Twierdzę, że tajemniczy „ktoś” przybył tu z dowodami rzeczowymi nie wodą, ale lądem.

Kapitan zastanowił się:

— Załóżmy, że ma pan rację...

— Ten „ktoś” musiał pozostawić ślady — powiedziałem.

Winnetou gwałtownie wstał ze swego zydła:

— Ależ tak! Na rogi największego byka, ten greenhorn ma rację! Koło palisady i na bagnach musiały pozostać jakieś ślady.

Zerwaliśmy się ze swoich miejsc i wyszliśmy na podwórze.

— Zacznijmy szukać śladów po drugiej stronie palisady — zaproponował Winnetou. — Nie zrobiliśmy tego, bo sądziliśmy, że wroga błada twarz przypląnęła łódką. Jeśli jednak przybyła lądem, to musiała w którymś miejscu przejść przez palisadę.

Ogrodzenie było wysokie na dwa metry, zaostrome.

Okorowane pnie nie dawały żadnego oparcia dla rąk i nóg. Wydawało się niemożliwe, aby ktoś zdołał przez nie przejść.

Ale Winnetou nie dał się zwieść pozorom. Przyklęknął i zaczął uważnie badać ziemię w narożniku. Po chwili wskazał nam dwa niemal niewidoczne zagłębienia w ziemi.

— Czy moi przyjaciele widzą te dwa znaki? — zapytał. — Tutaj zagłębiły się w trawie dwa długie drągi. Wróg wyciął je w lesie, dostawił do palisady i wdrapał się po sękach jak po szczeblach drabiny. Potem przełożył drążki na drugą stronę i zlazł po nich. Podrzucił dowody rzeczowe i wrócił tym samym sposobem. Winnetou jest pewien, że w bliskiej odległości od tego miejsca znajdziemy te dwa drągi. A na bagnie będą dalsze ślady.

Spostrzeżenie okazało się trafne. Nie dalej niż dwadzieścia metrów od palisady znaleźliśmy dwa drążki świerkowe o sękach tak przyciętych, że mogły służyć dla nóg jako oparcie. Nieco dalej odkryliśmy w błotnistym terenie ścieżkę splecionych z sobą śladów ludzkich.

— Tędy przyszedł i tędy wrócił — oświadczył Winnetou.

Wskazałem dalsze ślady na błocie.

— Było ich dwóch lub dwoje. Szli w gumiakach, co poznać po prążkowanym wzorze podeszew.

— Nasz greenhorn dobrze tropi ślady — stwierdził z uznaniem Winnetou. — Szkoda, że jest bladą twarzą.

Roześmiałem się:

— Za dwa tygodnie będę opalony tak jak i pan. I nikt nie ośmieli się nazwać mnie bladą twarzą.

— O, to nie będzie aż takie proste — stwierdził Milczący Wilk. — Nie wystarczy się opalić, aby przestać być bladą twarzą. Nie kolor skóry trzeba zmienić, ale swoje nastawienie do świata przyrody. Surowy egzamin czeka każdego, kto chce zostać członkiem plemienia ludzi kochających przyrodę.

Winnetou zatrzymał się, położył mi rękę na ramieniu i zaglądając w twarz zapytał z powagą:

— Czy blada twarz, zwana greenhornem, pragnie poddać się takiemu egzaminowi?

— Tak — odpowiedziałem.

— W takim razie niech blada twarz przybędzie dziś wieczorem do wigwamu Winnetou na egzamin. Jeśli wyjdzie z niego zwycięsko, Winnetou i Milczący Wilk wypalą z nim fajkę pokoju i nazwą go swoim bratem. A później wykopimy topór i odtańczymy taniec wojenny.

Kapitan podrapał się w głowę.

— Nie jestem pewien, czy wykopywanie toporów wojennych i tego rodzaju tańce są prawnie dozwolone. A jak wygląda ów topór? Czy nie należy zaliczyć go do białej broni, a ta, jak wiadomo, wymaga jednak specjalnego zezwolenia?

— Winnetou posiada takie zezwolenie — odpowiedział. — Albowiem jest to biała broń o charakterze zabytkowym. Topór wojenny plemienia Irokezów.

— Używać białej broni nie wolno — wtrącił żartobliwie komendant posterunku — ale prawo nasze nie wyraża się negatywnie o zakopywaniu i wykopywaniu białej broni. Również o tańcach wojennych nie ma mowy w naszym kodeksie karnym. Uważam, że możecie wykopać topór, trochę potańczyć.

— Ale czy mają prawo walczyć z ligą? — podchwycił żart kapitan. — Od spraw wojennych jest Ministerstwo Obrony Narodowej, a od bezpieczeństwa i spokoju publicznego — organa milicji oraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Jeśli jednak założymy, że owa liga nie jest jak na razie ciałem materialnym, ale wyobrażeniem zła, to nawet jest wskazane, aby obywatele walczyli ze złem, każdy na swoim odcinku.

— Walka z ligą to walka o ochronę środowiska naturalnego — powiedziałem.

— No, jeśli tak przedstawia się ta sprawa, to i ja nie widzę żadnych przeciwwskazań — rzekł kapitan.

— W takim razie może i blada twarz z organów ścigania przyjdzie dziś wieczór na naszą uroczystość — zaproponował Winnetou.

— Niestety, nie umiem tańczyć — wykręcił się kapitan.

Tak żartobliwie rozmawiając, ani przez chwilę nie traciliśmy z oczu podwójnego śladu. Nie ulegało wątpliwości, że kierował się ku brzegowi jeziora. Grunt był tu bagnisty, w błocie gniły przewrócone wiatrem pnie olszyn i jesionów, wędrówkę utrudniały gęste krzaki i rozlewiska wody, które nasi wrogowie spod znaku ligi musieli omijać. Jeśli drogę tę przebyli dwukrotnie, i to w nocy, nietrudno się domyślić, że wrócili od stóp do głów umazani błotem. Ślady, jakie po nich pozostały, świadczyły, że niejeden raz się przewrócili.

— Proszę tu spojrzeć — w pewnej chwili przywołał nas Milczący Wilk.

I wskazał nam miejsce, gdzie osoba, która niosła pudełko z farbami, przewróciła się. Podczas upadku wieczko pudełka odskoczyło i trochę czerwonej farby wylało się w błoto.

Brzeg jeziora okazał się już bardzo bliski. Obrastały go wysokie trzciny, wyraźnie jednak widniał w nich przesmyk pozostawiony przez łódkę. Na wąskim skrawku piasku rzucił się nam w oczy trójkątny ślad po dziobie łodzi, wyciągniętej na ląd. W najbliższym sąsiedztwie piasek był zdeптany ludzkimi stopami.

— Łódka miała kil, a nie była płaskodenna — stwierdził Winnetou. — Takie łodzie spacerowe posiada ośrodek wczasowy.

— Podobnych łódek jest wiele na naszym jeziorze — odparował komendant posterunku. — Ja też mam taką.

Winnetou znalazł na piasku trzy niedopałki papierosów. Każdy z nich nosił czerwoną obwódkę szminki do ust.

— W akcji przeciw Winnetou — odezwałem się — brały udział trzy osoby. Prawdopodobnie dwóch mężczyzn i jedna kobieta.

— Nasz greenhorn ma rację — poparł mnie Winnetou. — Kobieta nie wysiadła z łódki. Czekala w niej, aż tamtych dwóch wypełni swoją misję. Gryzły ją tu komary i siedząc w łódce nieustannie paliła papierosy. Dlatego są ślady aż po trzech niedopałkach.

— To były giewonty — stwierdził komendant, chowając niedopałki do koperty. — Na szminkach, niestety, nie znam się. Trzeba by dać do ekspertyzy. Zresztą, mogę zapytać żony, bo chyba nie będziemy wysyłać tych niedopałków do zakładu kryminalistyki.

Nagle komendant posterunku pochylił się ku ziemi, podniósł coś, obejrzał i schował do kieszeni.

— A może w łódce czekały dwie kobiety, a nie jedna? — odezwał się nieoczekiwanie. — Innymi słowy, może w wyprawie do domu Winnetou brały udział aż cztery osoby?

— Z czego pan to wywnioskował? — zaciekałem się.

— Jedna kobieta paliła papierosy giewont i miała usta wymalowane szminką. Druga natomiast nie używa szminki i nie pali papierosów. Natomiast miała ze sobą strzelbę. A że jest zapalonym myśliwym, gdy zobaczyła w świetle księżyca wypływającą z szuwarów łyskę, oddała do niej jeden strzał. Znalazłem na piasku łuskę naboju śrutowego.

— Skąd pan wie, że to była łyska? — zdumiał się kapitan.

— Bo teraz wolno strzelać tylko do łysek — odparł komendant. — A ja znam tę panią i wiem, że ona nie kłusuje.

— Zgoda, Ale na jakiej podstawie twierdzi pan, że to była ta właśnie kobieta? — dopytywał się kapitan.

Porucznik wyjaśnił:

— W naszym kole łowieckim jest tylko jedna dubeltówka o kalibrze dwadzieścia. A to są tereny łowieckie naszego koła. Dubeltówka taka jest własnością Krwawej Mary. Ma ją oprócz swego sztucera. Znalazłem tu łuskę dwudziestkę.

Wyjął z kieszeni łuskę i pokazał ją nam na swej otwartej dłoni.

Winnetou pokiwał głową:

— Krwawa Mary. Wiedziałem, że mnie nie cierpi...

Odzyskałem głos, który na chwilę odebrało mi zdumienie:

— Nigdy w to nie uwierzę! Może ta łuska leżała tu wcześniej? Czy o dwunastej w nocy słyszeliście strzały?

— Tak — powiedział Milczący Wilk — nawet kilka.

— Och, to nie żaden dowód — rzekł komendant. — Około dwunastej ja również polowałem. Niedaleko stąd, w polu, oddałem trzy strzały do wielkiego odyńca. Niestety, spudłowałem. Tym niemniej, nie ulega wątpliwości, że ta łuska należy do Krwawej Mary.

Znowu odezwał się Winnetou:

— Nie można się niczego dobrego spodziewać po skwaw, która zamiast gotować obiady i niańczyć dzieci, ugania się po lesie ze sztucerem. Usta niewiasty są gładkie, a oczy błyszczące jak gwiazdy. Ale kto uwierzy jej słowom i zapatrzy się w jej oczy, ten posmakuje napoju z piołunu. Nie cierpi mnie, ponieważ ją głośno gromię za to, że strzela ze sztucera i ma japońską lunetę. Można było się domyślić, że należy do ligi.

— Nie, to niemożliwe — zaprotestowałem — ona bardzo boleje nad tym, że Winnetou wykluczył ją z grona swych przyjaciół.

Winnetou popatrzył na mnie z odrobiną współczucia:

— Błada twarz, zwana niesłusznie greenhornem, jest jeszcze młoda.

— Ona nie należy do ligi. Rozmawiałem z nią szczerze! — zawołałem.

Winnetou z ubolewaniem potrząsnął głową:

— Dziwnie mówi teraz blada twarz. Wczoraj przez jego usta płynęły rozsądek i prawda, której nie posłuchaliśmy. A w tej chwili jakby zasłona spadła mu na oczy. Purtak to przystojny mężczyzna. Może obiecał Krwawej Mary, że jeśli pomoże mu opanować jezioro, to gdy zostanie awansowany do Warszawy, zabierze ją ze sobą?

Nie miałem żadnych kontrargumentów. Czułem tylko, że ta dziewczyna nie mogła być zdolna do podłości. Ale żegnając się ze mną powiedziała tak dziwnie: „Do widzenia, Don Kichocie”. Nie wierzyła, że uda się walka z ligą. Skąd ten brak wiary? Czy nie dlatego, że i sama zaliczała się po cichu do zwolenników Purtaka? Zdawała sobie sprawę, że będę walczył samotnie, otoczony utajonymi wrogami, i muszę przegrać.

Powróciliśmy do domu Winnetou.

— Rzeczywiście, rzucił pan nowy snop światła na tę historię — oświadczył kapitan. — Śledztwo w sprawie włamania do radiowęzła pójdzie teraz szerszym frontem, musimy bowiem uwzględnić możliwość fałszywych oskarżeń. Odnalezione lampy zwrócimy, oczywiście, ośrodkowi wczasowemu. Myślę, że wkrótce, niestety odezwą się gigantofony.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

PRZYSMAK, PASSAT I DZIEWCZYNA MOICH MARZEŃ • LADY ELISABETH I ANNA ORZELSKA • CZY MOŻNA ZAKOCHAĆ SIĘ W PORTRECIE DAMY? • PANI DO TOWARZYSTWA PURTAKA • PIĘKNY ANTONIO • ZAPROSZENIE NA BAL GAŁGANIARZY • DZIEWCZYNA W KŁOPOTACH • POZNAJĘ PRAWDZIWĄ LADY • WYKOPUJEMY TOPÓR WOJENNY • MILADY WYMYŚLA PODSTĘP

Zwróciłem leśniczemu jego łódkę i zdałem mu relację z porannych wydarzeń u Winnetou. Potem zasiadłem w swym wehikule i wyruszyłem do Złotego Rogu, aby w bezpośredniej rozmowie z Krwawą Mary wyjaśnić tajemniczą sprawę łuski z jej strzelby. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że to ona brała udział w próbie zrzucenia na Winnetou winy za włamanie do radiowęzła.

Zanim jednak doszło do tej rozmowy, zjadłem obiad w restauracji w Złotym Rogu. A gdy zająłem wreszcie miejsce na parkingu przed kawiarnią, tuż za mną wjechał tam wspaniały passat z doczepnym wózkiem, na którym znajdowała się czerwona plastikowa motorówka. Z passata wysiadł mężczyzna lat około trzydziestu, niezwykle przystojny i znakomicie ubrany. Był bardzo podobny do włoskiego aktora nazwiskiem Mastroianni — ten sam czarny zabójczy mały wąsik, ten sam owal twarzy i krucze włosy. Razem z nim opuściła wóz dziewczyna, ciemna blondynka uczesana na pazia.

Wyznaję, że na jej widok aż mi dech zaparło w piersiach. Nie, nie dlatego, że odznaczała się aż tak wielką urodą, choć była ładna, z niebieskimi oczami, małymi ustami i mocno zarysowanymi ciemnymi brwiami. Ona po prostu ubrana była w kretonową błękitną sukienkę z dużym dekoltem i krótkimi rękawkami. Sukienka miała dół kłoszowy, wiatr odsłonił zgrabne, opalone nogi w pantofelkach na wysokim obcasie. Na szyi zobaczyłem białe, duże korale, w raku trzymała białą torebkę.

Patrząc na nią z zachwytem, raptem uświadomiłem sobie, że chyba od bardzo dawna nie widziałem dziewczyny w sukience i dlatego ta zrobiła na mnie aż tak silne wrażenie. Nie nosiła elastycznych spodni jak moje koleżanki w biurze. Nie miała na sobie powycieranych dżinsów i powyciąganego na wszystkie strony swetra z fantazyjnymi łatami jak dziewczęta motorowodniaków lub żeglarzy. Jednym słowem — nareszcie prawdziwa dziewczyna, taka, jakie kiedyś widywało się często, a dziś są zjawiskiem rzadkim, niemal wyjątkowym.

— Spójrz, Elisabeth — powiedział Przystojniak, wskazując mój wehikuł — jaki śmieszny samochód. Prawdziwe straszdyło. Czy nie przypomina ci wehikułu z „Wakacji pana Hulot”?

Nie wiedziałem, obrazić się czy też udać, że nie słyszałem tej uwagi. Ostatecznie, pan Hulot z filmów Tatiego był postacią bardzo sympatyczną. Mój wehikuł zaś wyglądał rzeczywiście szkaradnie i choć ja, świadomy jego niezwykłych zalet, przyzwyczaiłem się do jego wyglądu, to przecież nie mogłem mieć pretensji, że u innych wzbudzał drwiny i śmiech. Przypominał skrzyżowanie czółna na kołach z namiotem turystycznym lub domkiem campingowym. Z przodu wyglądał jak jakaś larwa dziwnego owada o czterech oczach ogromnych wypukłych reflektorów, z zadartym ku górze odwłokiem, pod którym kryła się śruba napędowa, używana, gdy pojazd mój pływał po wodzie. Jego blaszana karoseria była wyklepana młotkiem i źle leżał na niej lakier. Patrząc na tę brzydką, pokraczną sylwetkę, trudno było przypuszczać, że kryje wspaniały silnik ferrari 410.

Ale dziewczyna tylko musnęła wzrokiem mój samochód i odrzekła z nutką krytyki w głosie:

— Straszdyło? Dlaczego, Antoni, używasz zawsze aż tak ostrych określeń? Czy nie wystarczy zauważyć, że samochód, który tu stoi, jest po prostu nieco odmienny od tych, jakie zazwyczaj oglądamy na szosach?

Przystojniak wzruszył ramionami:

— Ech, Elisabeth, czy ty zawsze musisz być aż taka wytworna? Teraz, gdy jesteśmy już daleko od Warszawy, mogę ci szczerze wyznać: uważam cię za kawałek lodu. Na litość boską, czy zawsze musisz pamiętać, że jesteś tłumaczką w Ministerstwie Spraw Zagranicznych? Nie przebywasz na raucie w ambasadzie, przyjechałaś na camping do mego przyjaciela.

Dziewczyna udała, że nie dostrzegła tego wybuchu złości.

— Czy jesteś pewien, Antoni — zapytała — że będzie on miał dla mnie wolny domek campingowy?

— Ech, stara, oczywiście...

— Nie mów do mnie „stara” — zażądała stanowczo.

Przystojniak znowu zareagował gniewnie:

— Będę mówił tak, jak zechcę. W słowie „stara” nie ma nic obraźliwego, to po prostu wyraz pewnej poufałości.

— Nie zgadzam się na żadne poufałości.

— Jesteś moim kumplem, czy nie?

— Nie jestem i nie będę niczym kumplem — potrząsnęła energicznie głową, aż jej włosy przez moment rozpięchły się na wietrze. Po chwili jednak znowu leżały gładko ułożone.

W Przystojniaku narastał gniew:

— Ejże, Elisabeth, czy naprawdę jeszcze nikt nie nauczył cię rozumu? Chcesz wiedzieć, jak cię nazywają twoi koledzy i koleżanki? „Lady Elisabeth”. Inaczej na ciebie nie mówią tylko „lady”. Żalotne, prawda?

— Lady? — zdumiała się odrobinę. — Zawsze chciałam być lady.

— Teraz żadne lady nie są w modzie. Teraz jest moda na fajne dziewczyny.

— Więc nie jestem modna — odrzekła pogodnie.

W Przystojniaku gniew osiągnął szczyty. Wybuchnął ze złością:

— Powiem prawdę, przywiozłem cię dla swego kolegi, który prowadzi tu ośrodek campingowy. Ja znam mnóstwo dziewcząt miłszych od ciebie. Ale on mnie kiedyś prosił, żebym poznał go z jakąś prawdziwą damą, bo towarzystwo wczasowiczek już mu się znudziło. Przywiozłem mu więc ciebie. Musisz być dla niego miła, bo inaczej obrazi się i każe ci mieszkać we wspólnym pokoju.

Dziewczyna zerknęła na niego z nowym zainteresowaniem.

— Zdaje mi się, że czeka cię podróż do Warszawy — powiedziała cicho.

— Nie zwariowałem — roześmiał się bezczelnie. — Jeśli chcesz wracać do Warszawy, raz na dzień odchodzi stąd autobus. To znaczy już dziś odszedł. A teraz chodź napić się kawy — i schwyć dziewczynę za łokieć.

Stanowczym gestem wyjęła z jego ręki swoje ramię.

— Bardzo cię proszę, podaj mi z samochodu mój neseser — zażądała.

Wzruszył ramionami i rzekł pojednawczo:

— Dobra, dobra, nie gniewaj się, Elisabeth. Najpierw napijemy się kawy i przy stoliku omówimy nasze sprawy.

Dziewczyna zastanowiła się chwilę, zanim dała odpowiedź:

— Zgoda, napiję się kawy. Ale nie wydaje mi się, aby ta rozmowa była już dla mnie ciekawa. Wiem z góry, co mi zechcesz powiedzieć i jaką usłyszysz odpowiedź.

Obydwoje wolnym krokiem ruszyli do kawiarni, a ja siedziałem w swym wehikule — bezwiedny świadek ich rozmowy — i patrzyłem za nimi, a szczególnie za nią, która wydawała mi się jakąś nadzwyczajną istotą, kimś, o kim się marzy, ale nigdy nie spotyka.

— Lady. Młoda lady. Prawdziwa lady — szeptałem do siebie i ze zdumieniem aż potrząsnąłem głową.

Do tej pory tylko w starych książkach i przeróżnych romansach angielskich czytałem o młodych damach, czyli „lady”. W życiu powszednim spotykałem dziewczęta i młode kobiety, które poufale poklepywały mnie po plecach albo trącały łokciem i mówiły: „Jak się masz, stary. Jak ci leci, chłopie? Chodź, bracie, napijemy się kawy”. Nosiły spodnie, powyciągane swetry, sprawiały wrażenie wiecznie zajętych i zabieganych. Objuczone siatkami wystawiały w kolejkach do rzeźnika, godzinami rozmawiały przez telefon o ciuchach, które miały nadejść do jakiegoś sklepu albo właśnie nadeszły. Usiłowały być dobrymi kumplami, świetnie zdawały egzamin podczas urlopów, bo znakomicie wiosłowały i silnie trzymały szoty żagli. Można było przy nich opowiadać słone kawały, nie obrażały się o byle co. I podobały się wielu moim kolegom, którzy żenili się z nimi, tworzyli rodziny, mieli dzieci. A ja? Dopiero teraz zrozumiałem, że podświadomie marzyłem o prawdziwej lady. Albowiem w dobie, gdy strojem i sposobem bycia dziewczęta upodobiały się do chłopców, ten i ów mężczyzna zaczynał smętnie zastanawiać się nad portretami dam, które prezentowały minione epoki. Czy nie stała się moim ideałem owa słynna Anna Orzelska, córka króla Augusta Mocnego, zwana „błękitną”, bo stroje swe, liberie i pałac w Warszawie, wszystko miała w kolorze błękitnym?

Jej portret zobaczyłem w pałacu w Nieborowie, zrobiłem jego fotografię i zawiesiłem nad biurkiem w swoim pokoju. To była kobieta moich marzeń.

A teraz tu, w Złotym Rogu, minęła mnie dziewczyna, którą nazywano „lady”. Nosiła niebieską, kretonową sukienkę...

Z trzaskiem zamknąłem drzwi wehikułu i pośpieszyłem do kawiarni.

Gdy wszedłem, Przystojniak z młodą damą stali obok stolika, przy którym siedział kierownik Purtak w towarzystwie instruktora Noska. Następowła właśnie scena powitania i prezentacji.

— Oto jest dama dla ciebie, przyjacielu — mówił Przystojniak, wskazując lady.

Purtak chciał z największą galanterią ucałować dłoń panny Elisabeth, ale młoda dama skinęła lekko głową i powiedziała z największą swobodą:

— Panowie wybaczą, ale jestem zmęczona podróżą i chcę chwilę wypocząć. Tym bardziej, że jeszcze dziś czeka mnie powrotna droga do Warszawy.

To mówiąc, mimo ich protestów, zajęła miejsce przy wolnym stoliku w najbliższym sąsiedztwie tego, gdzie i ja zdażyłem się usadowić.

— Ależ, proszę pani — zawołał Purtak i zaczął bezradnie wymachiwać rękami. Słów mu brakło dla wyrażenia zdumienia i oburzenia na zachowanie młodej damy.

Przystojniak położył mu rękę na ramieniu.

— Młode damy mają to do siebie, że lubią się obrażać o byle co — powiedział uspokajająco.
— Ale nie przejmuj się tym, stary. Z nimi trzeba jak z zającem. Musi skruszeć. To znaczy, trzeba je pozostawić jakiś czas w samotności, aby przemyślały to i owo.

Purtak usiadł posłusznie, ale ciągle odwracał głowę w stronę młodej damy. Natomiast dama nie odwracała głowy w żadną stronę, jak przystało na lady. Wyjęła z torebki płaską skórzaną papierośnicę, zapaliła długiego papierosa z ustnikiem i gdy podeszła kelnerka, zamówiła dużą kawę. Z jej zachowania i wyrazu twarzy nikt by nie poznał, że przeżyła wielką przykrość i czeka ją nie lada kłopot: powrót do Warszawy w sytuacji, gdy autobus już odszedł. Ciekawe, czy damy jeżdżą autostopem — zastanawiałem się, bo ani przez chwilę nie przyszło mi na myśl, aby młoda dama zdecydowała się zamieszkać w ośrodku wczasowym.

Tymczasem przy stoliku Purtaka dość głośno rozmawiano. Może zależało im na tym, aby młoda lady bezwiednie słyszała, o czym mówią?

— Dobrze, że przyjechałeś, Antonio — mówił Purtak. — Na dziś wieczór zaplanowaliśmy bal gałganiarzy, czołową imprezę turnusu. Mieliśmy obawy, że impreza się nie odbędzie, bo wyobraź sobie, włamano się do naszego radiowęzła i skradziono dwie lampy. Ale na szczęście znalazły się.

— Czy masz dla mnie wolny domek? I dla tej... damy?

— Oczywiście. Byłem przecież przygotowany na wasz przyjazd.

Z zaplecza wyszła Krwawa Mary. Trzymała w ręku duże, blaszane pudło, zawierające ciastka na wieczorną zabawę w ośrodku. Postawiła je na stoliku przed Noskiem. Zobaczyła Przystojniaka i uśmiechnęła się.

— O, Piękny Antonio — zawołała — przypomniał pan sobie o Złotym Rogu?

Piękny Antonio poufałym gestem objął ramieniem Krwawą Mary i serdecznie ją uściskał.

— Zapomnieć o Złotym Rogu? Nigdy — wyrzekł. — A Złoty Róg to przede wszystkim piękna Mary.

Krwawa Mary wysunęła się z jego objęć.

— Przez cały rok nie raczyłeś nawet napisać kartki — stwierdziła sucho.

Piękny Antonio zakłopotał się:

— To prawda, Mary. Ale czy wiesz, ile miałem zajęć? Chyba słyszałaś, że w tym roku startowałem w wyścigu do Monte Carlo.

— I zająłeś przedostatnie miejsce — zaśmiała się Krwawa Mary.

— To także prawda — zgodził się potulnie. — Ale to nie moja wina. Miałem wóz źle przygotowany. W przyszłym sezonie będzie lepiej.

I zmienił temat, który wydawał mu się kłopotliwy.

— Przybyłem tu z pewną propozycją, Mary — rzekł. — W naszym zakładzie otwieramy kawiarnię klubową. Wydaje mi się, że istnieje pewna szansa dla ciebie. Mogłabyś objąć stanowisko kierowniczkę. Szkoda takiej dziewczyny dla Złotego Rogu.

— Ach, nie wiem, czy nadawałabym się...

Odezwał się Purtak:

— Ja też obiecałem zabrać do Warszawy pannę Mary. Mam nadzieję, że przyjdzie pani na nasz bal gałganiarzy. Jak nazwa wskazuje, stroje będą dowolne. Im gorsze, tym lepsze.

Nie wiem, o czym dalej rozmawiali, bo zauważyłem, że od stolika w rogu kawiarni ktoś daje mi jakieś znaki.

To była Halina. Siedziała samotnie, z mocno skwaszoną miną. Oczywiście pośpieszyłem na jej wezwanie, przywitałem się i usiadłem na wskazanym mi krześle.

— Widzi pan to towarzystwo — wskazała oczami Purtaka, Pięknego Antonia, Noska i Krwawą Mary. — Dobrana paczka, prawda?

— Pani zna tego Przystojniaka? — zapytałem.

— Oczywiście. Pracuje w dziale zaopatrzenia naszej fabryki. Tak naprawdę jednak, to działa w klubie sportowym. Nasz zakład bowiem rokrocznie wystawia załogę do rajdu samochodowego. Piękny Antonio, bo tak go nazywają, jest właśnie naszym czołowym rajdowcem.

— Ma piękny nowy wóz. Passat — stwierdziłem. — I rzeczywiście jest bardzo przystojny. Dziewczeta za nim szaleją, prawda?

— O wa — uśmiechnęła się drwiąco. — W ubiegłym roku właśnie szalał za mną. Byliśmy na wczasach w Złotym Rogu. Wszystko między nami zapowiadało się tak pięknie, aż nagle wtrąciła się ta Krwawa Mary. Niech mi pan powie, dlaczego ona się tak podoba mężczyznom?

— Nie wiem. Co do mnie, większe wrażenie robi na mnie ta dama w niebieskiej sukience.

— To jakaś lala z Warszawy. A co do Krwawej Mary i Antonia, to tym razem ja im popsuję szyki. Znajdę sposób, aby zemścić się za ubiegłoroczne postępowanie.

Niebezpieczna zazdrośnica — westchnąłem w duchu. Potem pomyślałem o Krwawej Mary i także doznałem uczucia przykrości. Do tej chwili bowiem dałbym sobie uciąć głowę, że łuska od naboju Krwawej Mary znalazła się przypadkowo w miejscu, gdzie wylądowała łódka, którą przybyli ci, co włamali się do radiowęzła. Teraz nie byłem tego aż tak pewien. Okazało się, że Purtak, Nosek, Piękny Antonio i Krwawa Mary to była paczka przyjaciół czy też kolegów wakacyjnych. Krwawa Mary mogła oczywiście mieć do Purtaka takie czy inne zastrzeżenia, ale zapewne stanowił on dla niej szansę wyjazdu ze Złotego Rogu. I pomyślałem: owszem, latem w Złotym Rogu jest pięknie i ona znajduje tu ciekawe towarzystwo. Ale jesienią? Zimą? Winnetou miał rację, Purtak obiecał jej, że gdy dyrektor zabierze go do Warszawy, on i dla Mary znajdzie tam miejsce.

— Co się pan tak zamyślił? — doszło do mnie pytanie Halinki.

Ocknąłem się z zamyślenia:

— Czy nie mogłaby pani zaprosić mnie na bal gałganiarzy? Skorzystam z okazji, żeby pokręcić się po ośrodku. Może trafię na ślad psa nadleśniczego?

Panna Halinka skinęła głową:

— Zgoda. Zapraszam pana. Ale ja już domyślam się, gdzie jest ten pies. U Purtaka, w jego domku.

— Co też pani mówi? Naprawdę?

— A tak. Dziś po obiedzie Purtak wziął ze stołówki miskę z resztkami jedzenia i zaniósł ją do swego domku. A trzeba panu wiedzieć, że on ma domek nieco na osobności, ogrodzony żywopłotem. Gdy wrócił do swego biura, zakradłam się tam i starałam się zajrzeć do jego pokoju przez okno. Niestety, nic nie widziałam, bo w oknie są bardzo gęste firanki. Usłyszały mnie psy i zaczęły szczeleć.

— Psy?!

— No tak. Purtak ma jamniczkę. Otóż dawniej ta jamniczka biegała po całym ośrodku, a teraz jest zamknięta w jego domku. To właśnie wydało mi się podejrzane i dlatego tam poszłam. Nie omyliłam się. Usłyszałam szczekanie dwóch psów. On trzyma swoją jamniczkę w domu, bo wraz z nią ukrywa psa nadleśniczego.

— Wspaniale — szepnąłem — pani jest nadzwyczajnym detektywem.

— Tak pan sądzi? — ucieszyła się.

— Dziś wieczorem, podczas balu, zakradniemy się pod domek Purtaka i upewnimy się, czy to rzeczywiście pies nadleśniczego.

— Jak się pan upewni, skoro nigdy pan nie widział tego psa ani nie rozpozna pan jego szczekania? Pan nawet nie wie, jak on się wabi.

— Racja. Ale myślę, że na balu również będzie Krwawa Mary. Ją o to poproszę.

— Krwawa Mary? — oburzyła się.

— To przecież córka nadleśniczego. Im zginął ten pies.

Panna Halinka chytrze przymrużyła oko.

— Krwawa Mary należy do jednej paczki z Purtakiem i Pięknym Antonio. Jeśli dowie się, że Purtak skradł im psa, pokłóćą się. I skończy się przyjaźń. A to bardzo dobrze — aż ręce zatarła, taka była zadowolona. — Purtak jest przyjacielem Antonia, który na pewno będzie się z nim solidaryzował. Krwawa Mary wypadnie więc z ich towarzystwa za to, że narobiła Purtakowi kłopotów.

Panna Halinka, zdaje się, lubiła intrygi. Ale mnie ta jej intryga była na rękę. Chodziło przecież o odnalezienie psa nadleśniczego.

— Spotkamy się więc na balu gałganiarzy — upewniłem się, ściskając na pożegnanie dłoń Haliny.

— Tak. Proszę oczywiście zabrać odpowiedni strój — uśmiechnęła się do mnie.

Wróciłem do swojego stolika. A w tym czasie Krwawa Mary pożegnała paczkę Purtaka i wróciła do swych zajęć na zapleczu. Piękny Antonio i jego przyjaciele zapłacili za kawę. Nosek zabrał pudło z ciastkami i cała trójka skierowała się do wyjścia.

Piękny Antonio na krótką chwilę zatrzymał się przy stoliku Elisabeth.

— Jedziesz do ośrodka, czy zostajesz tutaj? — zapytał.

— Oczywiście zostaję. Bądź tak uprzejmy i przynieś mi z samochodu mój neseser.

Roześmiał się beczelnie:

— O nie, moja droga. Zgłoś się po niego do ośrodka, gdzie czeka na ciebie twój domek campingowy. I przestań robić minę wielkiej damy.

W tej chwili gotów byłem zerwać się ze swego miejsca i zażądać, aby przyniósł Elisabeth jej neseser. Ale powstrzymałem się. Przecież nie znalazłem młodej damy. Nie upoważniła mnie do takiego kroku. Nie znałem w ogóle tych ludzi i nie miałem najmniejszego prawa wtrącać się w ich sprawy.

Opuszczając kawiarnię Piękny Antonio zauważył Halinę.

— O, jeszcze jedna znajoma — stwierdził głośno. — Może chcesz jechać do ośrodka? Pojedziemy moim nowym wozem. Chodź z nami, Halinka. Cieszę się bardzo, że cię tu spotkałem.

Zrobił to specjalnie, aby Elisabeth zrozumiała, że on zna naprawdę mnóstwo dziewcząt, które nie są tak obraźliwe jak ona.

Halina wstała od stolika i dołączyła się do towarzystwa. Widziałem przez okno, jak wsiadali do passata i odjechali śmiejąc się z czegoś. Może z Elisabeth, która pozostała w kawiarni? Ta dziewczyna znalazła się rzeczywiście w trudnej sytuacji. Autobus do Warszawy już odszedł. Piękny Antonio zatrzymał jej neseser, w którym być może miała nie tylko swoje osobiste rzeczy, ale i pieniądze.

Serce zabiło mi bardzo mocno. Oto miałem wspaniałą szansę, aby poznać młodą damę. Ale jak to zrobić, żeby jej nie urazić? Czy wypadało podejść do jej stolika i zaofiarować swoją bezinteresowną pomoc? Jak na takie postępowanie reagują prawdziwe lady?

Pomyślałem, że prawdziwe damy cechuje chyba rozsądek. Nie obrazi się na mnie, bo nie jest gęsią czy głupią kozą. Prawdziwa dama zawsze zachowuje się właściwie, czyli rozsądnie.

Odważnie więc stanąłem przy jej stoliku i skłoniwszy się grzecznie powiedziałem:

— Pani wybaczy, ale mimo woli byłem świadkiem pani konfliktu z jej znajomym. Wiem, że pozostała pani tu w dość kłopotliwej sytuacji. Proszę nie brać mi za złe, że gotów jestem zaofiarować swoją bezinteresowną pomoc.

— Ach tak — zarumieniła się jakby zawstydzona świadomością, że wiem o jej kłopotach.

— Autobus do Warszawy będzie dopiero jutro. W leśniczówce, gdzie mieszkam, są wolne pokoje.

Podniosła na mnie swoje duże niebieskie oczy.

— Nie wiem, czy mam prawo wykorzystywać pańską uprzejmość. Ale rzeczywiście nie widzę innego wyjścia, jak tylko przenocować tutaj i jutro odjechać do Warszawy.

— W takim razie podwiozę panią do leśniczówki, gdzie załatwi pani nocleg. Możemy to zrobić zaraz.

— No tak, naturalnie — z roztargnieniem skinęła głową, ciągle spoglądając na mnie uważnie, jakby jeszcze zastanawiając się, czy wypada przyjąć moją pomoc.

Ale rozsądek zwyciężył.

— Dziękuję panu — powiedziała i poprosiła kelnerkę, aby przyjęła od niej pieniądze za kawę.

Zaprowadziłem Elisabeth do wehikułu, otworzyłem drzwiczki. Jednocześnie pilnie obserwowałem jej twarz, oczekując, że pojawi się na niej wyraz niechęci, bo mój wehikuł przypominał odrapane czółno na kółkach. Ale ona usiadła w wehikule z taką miną, jakby to był mercedes.

— Pani wybaczy, że jeżdżę takim śmiesznym pojazdem — tłumaczyłem — ale, niestety, nie stać mnie na inny. A poza tym to bardzo dobry wehikuł.

— Rozumiem — uprzejmie kiwnęła głową i ucięła rozmowę na ten temat.

Nic nie wskazywało na to, że ma ochotę słuchać moich zwierzeń o samochodzie. Zobowiązałem się zawieźć ją do leśniczówki i czekała, aż to zrobię. Robiła wrażenie, że nie oczekuje, abym się jej przedstawił, ani sama nie zamierza tego uczynić. Uraziło mnie to trochę, bo byłem przyzwyczajony do łatwego zawierania znajomości. Piękny Antonio ma rację — pomyślałem — to zapewne sople lodu.

W zupełnym milczeniu, już nie zabierając głosu, zawiozłem lady do leśniczówki i zaprezentowałem ją żonie leśniczego, która zaprowadziła ją do wolnego pokoju. Młoda dama podziękowała mi grzecznie za okazaną jej pomoc, poza tym oświadczyła, że nigdy mi nie zapomni wyświadczonej uprzejmości. Jej ton dawał mi jednak do zrozumienia, że naszą znajomość uważa za skończoną, a w każdym razie nie pragnie jej kontynuować. I wymówiwszy się zmęczeniem, natychmiast zniknęła w swoim pokoju, który zresztą sąsiadował z moim.

Wyznaję, że i mnie przeszła ochota na kontynuowanie znajomości z „prawdziwą lady”.

Sople lodu, kawałek drewna, manekin — określałem ją w myślach. Moja męska próżność została urażona. Spodziewałem się przynajmniej, że po tym, co dla niej zrobiłem, okaże mi trochę zainteresowania. Ale cóż, to była może naprawdę prawdziwa dama, a takie przyjmują każdą grzeczność za coś naturalnego i oczywistego. Z goryczą pomyślałem, że być może tak samo wobec mnie postąpiłaby słynna piękność sprzed lat, Anna Orzelska z portretu w Nieborowie. I postanowiłem, że po powrocie do domu zdejmę ze ściany fotografię jej portretu.

Znowu pożyczyłem łódkę od leśniczego i obmyślając plan postępowania na balu, powiosłowałem do wigwamu Winnetou, aby wziąć udział w wykopaniu topora wojennego przeciw Purtakowi.

Ale zanim to się stało, Winnetou pokazał mi swoje szkice do ilustracji nowego wydania książek Karola Maya. Zobaczyłem straszliwe postacie czerwonoskórych i białych rabusiów, Winnetou i Old Surehanda oraz innych znakomitych westmanów.

Potem, gdy dzięki rysunkom wprowadziłem się w odpowiedni nastrój, Winnetou i Milczący Wilk sięgnęli do szafy w ścianie i wyjęli z niej indiańskie stroje. Przebrali się w nie, twarze pomalowali sobie na kolor wojenny.

Dla mnie wynaleźli oryginalne sombrero, zamszową bluzę z mnóstwem kieszeni i jedwabną apaszkę pod szyję. Wyglądałem w tym jak król cowbojów.

— To mój podarunek dla bladej twarzy zwanej greenhornem — oświadczył mi Winnetou. — Przyda ci się na balu gałganiarzy.

— Świetnie — ucieszyłem się — zrobię sobie maskę z pończochy i będę występował jako „Zorro-jeździec w masce”.

Następnie Winnetou i Milczący Wilk podsunęli ławę do kominka, na którym paliły się brzożowe polana, i usiedli na niej. Mnie wskazali zydel.

— Czy blada twarz imieniem Pan Samochodzik, a przeze mnie zwana greenhornem, pragnie poddać się egzaminowi i stać się członkiem plemienia ludzi miłujących przyrodę? — zapytał Winnetou.

Zrobiłem w myślach rachunek sumienia. Przyrodą interesowałem się od najwcześniejszego dzieciństwa. Wiedziałem, jak się zachować w lesie, w górach, nad wodami. Znałem przepisy o ochronie środowiska naturalnego.

— Tak — odparłem po chwili zastanowienia.

Winnetou i Milczący Wilk wymienili między sobą spojrzenia. Zapewne porozumiewali się co do kolejności pytań.

— Nie wystarczy kochać przyrodę. Ją trzeba także chronić — rzekł Milczący Wilk. — A więc pierwszy warunek wstępny: czy blada twarz jest członkiem Ligi Ochrony Przyrody?

— Tak. Oto moja legitymacja — sięgnąłem do portfela i podałem legitymację.

— Dobrze. Jakie gatunki drzew podlegają ścisłej ochronie? — zapytał Winnetou.

— Cis. Limba. Brzoza ojcowska. Brząk. Jarząb szwedzki.

— A jakie rośliny zielne?

— Paproć, widłaki, pełnik, orlik pospolity, tojad, sasanka, zawilec, miłek, rosiczka, kotewka, dyptam, mikołajek nadmorski, goryczki, szarotka, arnika, dziewięciśń, pajęcznica, lilia złotogłów...

— Dosyć. Słyszę, że blada twarz zna rośliny chronione. A krzewy i krzewinki?

Zacząłem wymieniać:

— Kosodrzewina, wiśnia karłowata, wawrzynek wilcze łyko, wawrzynek główkowy, kłokoczka południowa, bluszcz, różanecznik żółty, wiciokrzew pomorski...

— W porządku — skinął głową Milczący Wilk. — A teraz następne pytanie: jakie zwierzęta podlegają ścisłej ochronie?

— Jeż, wszystkie gatunki ryjówkowatych, kret, nietoperz, zając bielak, świstak, bóbr, pilchowate, niedźwiedź, gronostaj, łasica, łaska, norka europejska, kuna domowa, żbik, żubr, kozica.

— Błada twarz mówi słusznie — ucieszył się Winnetou. — A płazy?

— Salamandra, kumak nizinny i kumak górski, traszki, grzebiuszka ziemna, rzekotka drzewna, ropucha paskówka...

— A gady?

— Żółw błotny, jaszczurka zwinka, jaszczurka żyworodka, padalec zwyczajny, wąż Eskulapa, gniewosz plamisty, zaskroniec zwyczajny.

Winnetou i Milczący Wilk powstałi ze swych miejsc.

— Błada twarz imieniem Pan Samochodzik — rzekł uroczyście Winnetou — od tej chwili przestała być bladą twarzą. Czy Milczący Wilk widzi potrzebę, aby pytać ją jeszcze, jak powinien człowiek zachowywać się w lesie lub nad wodą?

— Nie — odparł Milczący Wilk — on wie to wszystko. Dlatego wypalimy z nim fajkę pokoju i uczynimy go swoim bratem.

— Nasz nowy brat — powiedział o mnie Winnetou — okazał rozwagę i mądrość godną wielkiego wojownika. Dlatego nie będziemy więcej nazywać go greenhornem. Czy nasz nowy brat zgadza się wraz z Winnetou i Milczącym Wilkiem zasiąść przy jednym ognisku i wypalić z nimi fajkę pokoju?

— Będę tym zaszczycony.

— Imię naszego brata brzmi Tomasz. Nosi on przezwisko Pan Samochodzik, ale przypomina to śmierdzące spalinami maszyny. Nasz brat, jak już powiedziałem, jest mądry i rozważny jak sowa. Niech mi będzie wolno nazwać go Szarą Sową. Winnetou ma przecucie że imię to stanie się wkrótce sławne nad mazurskimi jeziorami. Przy wieczornych ogniskach będą o nim opowiadać harcerze i myśliwi, żeglarze i wędkarze. Howgh.

Winnetou zdjął ze ściany wiszącą na gwoździu długą fajkę, ozdobioną piórami. Napełnił ją tytoniem o nazwie amfora, zapalił, wydmuchał dym ku niebu i ku ziemi, a potem na cztery strony świata. Następnie podał fajkę mnie, a ja postąpiwszy podobnie, podałem ją Milczącemu Wilkowi.

— Niech mi będzie wolno — rzekł Winnetou — zwać Szarą Sowę swoim bratem. A Szara Sowa niechaj uważa Winnetou za swego brata. Mój wigwam jest twoim wigwamem, a moje myśli nie będą tajemnicą dla Szarej Sowy.

Te same słowa usłyszałem i od Milczącego Wilka. A wtedy powiedziałem:

— Szara Sowa jest tylko przelotnym ptakiem nad tym pięknym jeziorem. Przybył tu, aby bronić piękna tego zakątka przeciw zaborczym planom bladej twarzy o nazwisku Purtak. Mój wigwam pozostał daleko stąd, aż w Warszawie. Lecz Winnetou i Milczący Wilk niech wiedzą, że jego wigwam jest także ich wigwamem, a myśli Szarej Sowy nie będą dla nich tajemnicą. Szara Sowa ma przed sobą dwa tygodnie, które postanowił spędzić w Złotym Rogu. Swoje ramię oddaje do pomocy Winnetou wiedząc, że wykorzystają on je w dobrej sprawie ochrony przyrody.

A gdy wypowiedziałem te słowa, Winnetou wziął z domu szpadel i skinął na nas, abyśmy wyszli z nim na dwór. Kilkoma ruchami szpadla odsunął ziemię obok małego krzaka dzikiego bzu i wyjął owinięty w natłuszczony papier — ogromny indiański topór. Ujął go w rękę, zamachnął się nim parę razy i przemówił:

— Blade twarze z ośrodka wczasowego dowiedzą się tej nocy, że przyroda ma także swoich obrońców. Winnetou, Milczący Wilk i Szara Sowa dopiszą dziś nowy rozdział do kroniki swoich czynów. Nie pozwolimy, aby nasze jezioro stało się śmierdzącym bajorem, które omijać będzie dzikie ptactwo, a zatrute ryby ukazać swoje brzuchy. Oto jest nasz topór wojenny. Niech myśl o nim spędza sen z powiek bladym twarzom z ośrodka wczasowego i wszystkim tym, którzy niszczą naturalne środowisko człowieka. Blade twarze chcą osiąść te tereny za pomocą gwałtu, przekupstwa, intryg i fałszywych oskarżeń. Ale wszystkie ich knowania przetnie ostrze tego topora. Howgh.

To mówiąc Winnetou uderzył toporem w jedną z odrośli krzaka bzu i przeciął je jak zapałkę. A później mówił dalej:

— Przysięgam, że nie spocznę, nie zaznam spokojnego snu ani nie najem się do syta, dopóki nad tym jeziorem nie zapanuje cisza. Wypędzimy stąd śmierdzące motorówki, zmusimy do milczenia krzyczące usta gigantofonów. Kto będzie chciał przebywać nad jeziorem, będzie musiał szanować prawa przyrody.

— Howgh — rzekł Milczący Wilk.

— Howgh — powiedziałem i ja, Szara Sowa. I dodałem: — Blade twarz nazwiskiem Purtak musi doznać stokrotnych cierpień przy palu męczeństwa. Nie żądam jego krwi. Męka zawiedzionych ambicji jest niekiedy gorsza od mąk fizycznych. Purtak odejdzie stąd w niesławie, a cóż może być gorszego dla mężczyzny?

Usłyszeliśmy skoczną muzykę gigantofonów na drugim brzegu. Głos niosły wody jeziora, odbijał go i wielokrotniał las na naszej stronie. W ośrodku wczasowym rozpoczynała się zabawa.

Winnetou wyniósł na podwórko zrobiony ze skóry bęben wojenny. Przykucnął i zaczął w niego uderzać dłońmi. Usłyszałem rytm wojennego bębna Irokezów, który popłynął przez wodę w stronę ośrodka wczasowego i musiał tam być słyszalny mimo wrzaskliwej muzyki z gigantofonów.

I ja również, wiosłując do leśniczówki, długo słyszałem warkot bębna. Rytm zwiastujący wojnę dochodził mych uszu jeszcze i wówczas, gdy dobiłem do przystani w leśniczówce i wyciągając na brzeg łódkę ujrzałem siedzącą na leżaku lady Elisabeth.

— Och, jaki piękny ma pan ubiór — raczyła zauważyć młoda dama. — A czy nie wie pan, któż to tak bębni w lesie przez całą wieczór?

— To mój przyjaciel Winnetou ogłasza całemu światu, że wstąpił na ścieżkę wojenną.

— Winnetou? — zdziwiła się lekko — zdaje mi się, że znam tę osobę. Ale raczej z literatury.

— Słusznie, milady — rzekłem, zdejmując kapelusz i kłaniając się z największą galanterią — w istocie rzeczy, Winnetou jest postacią literacką. Ale w tej okolicy zamieszkał pewien człowiek, który zbudował wigwam i stara się tu żyć na sposób indiański. On to przybrał sobie imię Winnetou. I on to właśnie uderza w bęben.

— Dlaczego to robi? Czyżby nie lubił ciszy?

— A słyszy pani muzykę z ośrodka wczasowego? To ich gigantofony zakłócają ciszę nad jeziorem. Ich motorówka hałasuje bez przerwy na wodzie, wypłasza ptactwo i brudzi wodę. Kierownik Purtak, który został pani dziś przedstawiony, chce za pomocą najróżniejszych intryg stać się panem całego jeziora i rozbudować ośrodek. To właśnie przeciw jego knowaniom swój topór wojenny wykopał Winnetou.

— Rozumiem, bawicie się, panowie, w Indian. Zapewne w dzieciństwie mieliście zbyt surowych rodziców — stwierdziła lady i jak przystało na bardzo wytworną osobę, znowu nie okazała większego zainteresowania tematem.

O czym z nią rozmawiać? Chyba tylko o pogodzie — pomyślałem, wspominając książki o angielskich lady, gdzie temat pogody bywał zawsze mile widziany. A przecież mógłbym jej powiedzieć, że to może dzięki takim jak Winnetou i Milczący Wilk jezioro w Złotym Rogu uniknie zagłady swego życia biologicznego i stanie się oazą spokoju i prawdziwego wypoczynku.

Jak rozkruszyć ten sople lodu? — zastanawiałem się.

Wyjąłem z kieszeni przygotowaną u Winnetou pończochę z dziurami na nos, usta i oczy, naciągnąłem ją na twarz i zawołałem do lady, udając zbira:

— U hu hu...

Nareszcie jakby nikły uśmiech pojawił się na jej ustach.

— Pan jest bardzo wesołym człowiekiem — stwierdziła. — Czy wybiera się pan na bal maskowy?

— Tak. Dziś wieczorem w ośrodku wczasowym jest bal gałganiarzy.

Uśmiech pierzchnął natychmiast z jej ust.

— Ach, tak — szepnęła i zamyśliła się.

Poszedłem do swego pokoju i kończyłem ostatnie przygotowania do wyjścia, gdy ktoś zapukał do moich drzwi.

— Milady?

— Przepraszam pana — odezwała się nieśmiało, z wyrazem zażenowania na ładnej buzi. — Ośmielam się jednak zapytać, czy nie mógłby pan wziąć mnie ze sobą do ośrodka wczasowego. Jak panu wiadomo, zabrano tam mój neseser. Mam w nim przybory toaletowe, szlafrok, nocną koszulę — zarumieniła się przy tych słowach, jakby noszenie nocnych koszul było czymś nad wyraz wstydliwym i niestosownym, a w każdym razie nie należało o tym mówić w towarzystwie mężczyzny.

— I sądzi pani, że Piękny Antonio bez żadnych oporów wyda pani neseser?

— Och, użyję podstępu. Powiem mu, że zdecydowałam się pozostać w ośrodku, zażądam domku i nesesera. On zaprowadzi mnie do domku i da neseser, a ja zaniosę go do pana samochodu. O ile, rzecz jasna, da mi pan klucze od wozu i pojedzie pan tam samochodem. Potem powrócę tu razem z panem. I neseserem.

— O, milady! — zawołałem z udanym zdumieniem — przenigdy nie sądziłbym, że stać panią na podobne podstępny. Choć pomysł oczywiście jest bardzo dobry.

— Czy rzeczywiście postąpię bardzo niestosownie? — zakłopotana się. — Ale i ja zostałam tutaj zwabiona podstępem. Wydaje mi się, że winnam panu pewne wyjaśnienia w związku z tą sprawą. Otóż Piękny Antonio jest moim znajomym. Przedwczoraj spotkałam go na ulicy i powiedziałam mu, że niespodziewanie otrzymałam urlop, a nie mam załatwionych wczasów. Oświadczył mi, że on jedzie do swego przyjaciela, który prowadzi ośrodek wczasowy, i znajdzie się tam dla mnie domek campingowy. Zgodziłam się. A potem okazało się, że mam być damą do towarzystwa dla kierownika.

— Nie spodobał się pani?

— Nie odpowiada mi taka rola.

— Rozumiem. Ale okolice Złotego Rogu chyba są bardzo ładne, prawda?

— Tak. Podoba mi się tutaj. Po raz pierwszy znalazłam się na Mazurach.

— Więc może pani tu pozostanie?

— W ośrodku wczasowym? — wyraz wstrętu pojawił się na jej twarzy.

— Nie. U leśniczego. Na złość Pięknemu Antonio i Purtakowi.

— Nie zależy mi na tym, aby komuś robić na złość — rzekła ta wytworna osóbką.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

NA BALU GAŁGANIARZY • LADY WRACA DO NIEWOLI • TAJEMNICA DOMKU
CAMPINGOWEGO • POJAWIENIE SIĘ CZERWONOSKÓRZYCH • KTO ROZPOZNA
PSA? • CZY MOŻNA ZAUFAC KRWAWEJ MARY? • SEKRETARKA KRZYŻUJE
NASZE PLANY • LADY ELISABETH I LADY MAKBET • MAM OSTRY START •
PODEJRZLIWOŚĆ PURTAKA • PODWÓJNY JĘZYK SKWAW

Zaparkowałem wehikuł przed bramą ośrodka wczasowego, wręczyłem milady klucze od mojego samochodu. Wąsaty portier wpuścił nas bez przepustek, ponieważ z okazji balu zaproszono wiele osób ze Złotego Rogu.

Zapał już zmierzch, w ośrodku paliły się jarzeniowe lampy, rozrzucające wokół swoje trupie światło. Gigantofony ryczały melodię tanga milonga.

Bal, a raczej zabawa taneczna, odbywał się w stołówce, mieszczącej się w długim baraku, jednym z tych szpetnych budynków, którymi upstrzono brzeg przepięknego jeziora. Przez otwarte okna widać było tańczące pary. Prawie wszyscy goście byli przebrani — nosili zawoje z ręczników na głowach, fezy, burnusy z prześcieradeł. Najwięcej było, rzecz jasna, przeróżnych piratów oraz Cyganek w kolorowych bluzkach i przydługich sukienkach. Zobaczyłem przez okno Krwawą Mary tańczącą z Purtakiem, była w stroju myśliwskim — na głowie miała kapelusik z piórkiem, Purtak miał na twarzy wąską maseczkę.

Podobnie wąską, wytworną, czarną maseczkę nosił i Piękny Antonio. O, jakże rozpromienił się na widok Elisabeth. Potem zmarszczył groźnie brwi, zobaczywszy, że przybywa w męskim towarzystwie Zorra.

— Widzę, że poszłaś po rozum do głowy — powiedział do lady. — A kim jest ten pan?

— Jestem Hulot — przedstawiłem się.

Ale on chyba już zapomniał o rozmowie przed kawiarnią, bo moje nazwisko przyjął jako prawdziwe.

— Miło mi niezmiernie, panie Hulot — rzekł z fałszywą grzecznością. — Mam nadzieję, że nie znajdę w panu przeciwnika, który zechce odebrać mi moją branke. Bo trzeba panu wiedzieć, że pani Elisabeth została wzięta w jasyr.

— Ten pan — rzekła mu Elisabeth, skłaniając głowę w moim kierunku — po prostu podwiózł mnie tutaj z wioski. A teraz, Antonio, zaprowadź mnie do mojego domku i daj mi mój nesoser. Chciałabym się przebrać i przyjść także na bal.

— Tak, tak, oczywiście — zgodził się Antonio. Ujął pod rękę Elisabeth i poprowadził ją do długiego rzędu kolorowych budek, które nazwano domkami campingowymi.

W drzwiach sali tanecznej natknąłem się na Halinę. Przebrana była za Cyganke, miała kolorową bluzkę i duże kółka-klipsy przyczepione do uszu. Na włosach nosiła barwną, pstrokatą chusteczkę. Patrzyła w ślad za Antoniem i Elisabeth, odchodzącymi alejką między domkami.

— To pan przyprowadził tu tę lalę z Warszawy? — burknęła niechętnie.

— Tak. Ale ona nie chce tu zostać. Powiem pani w tajemnicy, że wynajęła już pokój w leśniczówce, a teraz przyszła po neseser, którego Antonio nie chciał jej oddać. Ona nie stanie pani na drodze do Antonia.

— To dobrze. Starczy mi Krwawej Mary — rzekła ze złością. — A teraz chodźmy się bawić. Jeszcze chyba za wcześnie, aby zakraść się do domku Purtaka.

Zatańczyłem z Haliną dwa tańce — co sprawiło mi zresztą dużą przyjemność, ponieważ lubię tańczyć, a Halina była dobrą tancerką — gdy na sali zjawił się Piękny Antonio. Był sam, zapewne Elisabeth powiedziała mu, że zamierza się przebrać i kazała mu wrócić na zabawę. Antonio podszedł zaraz do Purtaka, bawiącego się z Krwawą Mary, zatrzymał ich i coś im mówił z ożywieniem. Purtak śmiał się bardzo głośno, przypuszczać mogłem, że Antonio opowiadał mu o powrocie Elisabeth.

Halina nie mogła znieść tej wesołości, przerwała taniec i wyciągnęła mnie przed barak.

— Nie cierpię Krwawej Mary — powtarzała z uporem, tak jakbym o tym nie wiedział. — Odkąd ona tu jest, Antonio znowu nie zwraca na mnie żadnej uwagi. Czy wie pan, że on zamierza zabrać ją do Warszawy?

— Owszem, słyszałem o tym — skinąłem głową.

Spacerując przed barakiem, odeszliśmy główną alejką, obsadzoną dość wysokim żywopłotem ze śliwy syberyjskiej.

Narastała we mnie niechęć do Haliny, bo nie lubię aż tak zazdrosnych dziewcząt.

Od strony bramy wyjazdowej ośrodka nadeszła Elisabeth. Zdążyła się jednak przebrać, bo kretonową sukienkę zmieniła na również błękitną, ale z wełny, robioną na drutach. Sukienka była bardzo obcisła i teraz można było ocenić, jak bardzo jest Elisabeth zgrabna.

— Proszę — powiedziała, wręczając mi klucze do wehikułu. — Mój neseser znajduje się w pańskim wozie. Od tej chwili gwizdź sobie na Antonia i Purtaka.

— Lady?! — zawołałem z akcentem potępienia w głosie. — Czy godzi się, aby dama gwizdała?

Zarumieniała się, co było widoczne nawet w okropnym świetle lamp jarzeniowych.

— Ma pan słuszność. Ale jestem już u kresu wytrzymałości nerwowej. Czy pan wie, jak strasznie Antonio wyśmiewał się ze mnie, gdy prowadził mnie do domku campingowego i oddawał neseser? Mówił: „Wróciłaś jednak, koteczku. Wróciłaś, owieczko, przyszłaś do nas, zajączku. Ja wiem, jak trzeba postępować z dziewczętami. Ze mną żadna nie będzie robić fochów”. Dlatego postanowiłam się zemścić. Pozostanę tu jeszcze trochę, będę tańczyć, śmiać się, bawić, a gdy pan zdecyduje się na powrót do leśniczówki, wymknę się z balu.

— Jak Kopciuszek — rzekłem.

— Ale nie zostawię im nawet swego pantofelka.

— Zaiste, zemsta godna prawdziwej lady — stwierdziłem z głębokim przekonaniem.

— Tak, pani jest wspaniała — zgodziła się Halinka, albowiem wiedziała już na pewno, że Elizabeth nie stanie jej na drodze do Antonia.

W tym momencie za plecami Elisabeth zaszemrało coś w żywopłocie. Piękna lady obejrzała się przestraszona i zobaczyła dwóch czerwonoskórych wychylających się zza krzaków. Na głowach mieli wspaniałe pióropusze, twarze ich pomalowane były jaskrawo.

— O Boże! — jęknęła.

Halina także wyglądała na zaskoczoną. Nie uprzedziłem jej przecież, że Winnetou i Milczący Wilk przypląną tu na kanu i pod osłoną ciemności zakradną się do ośrodka, aby pomóc mi w odnalezieniu psa nadleśniczego.

— Proszę pamiętać, milady — powiedziałem uspokajająco — że odbywa się tutaj bal gałganiarzy i obowiązują dowolne stroje.

— Rozumiem — odetchnęła z ulgą Elisabeth — ci panowie wyglądają jednak tak autentycznie...

— To moi przyjaciele — wyjaśniłem — Winnetou i Milczący Wilk.

Winnetou zapytał mnie półgłosem:

— Czy białe skwaw, z którymi rozmawia Szara Sowa, są tymi skwaw, które zaprowadzą nas do wigwamu Purtaka?

— Tak. Ta oto biała skwaw imieniem Halina wie, gdzie jest wigwam Purtaka.

Winnetou potrząsnął wspaniałym pióropuszem.

— Dzicy mężowie nie zapomną jej dobrego czynu — rzekł z powagą.

— A ta druga biała skwaw — wskazałem Elisabeth — to biała lady, która znalazła się w niewoli Purtaka. Szara Sowa postanowił ją uwolnić.

Winnetou znowu skinął pióropuszem.

— Mój brat, Szara Sowa, uczynił słusznie. A więc to jest lady?

— Tak. Prawdziwa lady.

— Lady — powtórzył Winnetou i przyjrzał się jej bacznie. — Prawdziwa lady to dziś rzadki okaz.

Wyciągnął przez żywopłot swoją dłoń i ujął malutką rękę Elisabeth. Potrząsnął ją mocno, aż lady przykucnęła.

— O Boże — jęknęła znowu trochę przestraszona.

A Winnetou oświadczył groźnie:

— Winnetou nie ufa żadnej skwaw, albowiem wszystkie one mają język rozdwojony. Ich słowa przeczą ich czynom, ich czyny przeczą słowom. Ale tym razem Winnetou zaufa białym skwaw. Chodźmy więc do wigwamu Purtaka.

Ktoś pokazał się w drzwiach sali tanecznej, więc moi przyjaciele skryli się za żywopłotem. Ująłem pod ręce obie dziewczyny i udając, że chcemy odbyć krótki spacer, poszliśmy wolno główną alejką. Winnetou i Milczący Wilk skradali się za nami wzdłuż żywopłotu.

Elisabeth wciąż nie mogła ochłonąć ze zdumienia, wywołanego słowami Winnetou.

— Oni naprawdę są pańskimi przyjaciółmi? — ośmieliła się zapytać. — Trochę ich się obawiam. Nie wyglądają na takich, którzy przyszli się bawić, ale raczej dokonać jakiegoś strasznego czynu.

— Są na ścieżce wojennej — powiedziałem. — Przecież słyszała pani głos bębna? Wykopaliliśmy topór wojenny. Ja jestem ich bratem i, jak dowiedziała się pani, otrzymałem imię Szara Sowa.

— Tak, tak, rozumiem — rzekła z roztargnieniem, bo w rzeczywistości nic nie rozumiała. — Ale dlaczego zamiast bawić się, oni robią takie groźne miny?

— Purtak ukradł psa nadleśniczemu i być może więzi go w swoim wigwamie. Musimy zbadać tę sprawę.

— Ukradł psa? — Elisabeth zamrugnęła powiekami. — Pan wybaczy, ale ja nic nie rozumiem.

— Nareszcie — stwierdziłem.

— Co nareszcie?

— Nareszcie pani nic nie rozumie. Bo do tej pory pani wszystko rozumiała i dlatego nie mogłem niczego wyjaśnić. Teraz jednak nie mam już na to czasu.

Byliśmy poza zasięgiem lamp jarzeniowych. Halina skręciła w boczną uliczkę, gdzie stało zaledwie kilka domków campingowych. Na samym końcu uliczki, w pewnym oddaleniu od innych, znajdował się samotny domek otoczony żywopłotem. Domyśliłem się, że to jest właśnie mieszkanie Purtaka. Jak z tego wynikało, kierownik ośrodka na własny użytek cenił sobie ciszę i odosobnienie i zamieszkał jak najdalej od gigantofonów i innych wczasowiczów.

Domek składał się z pokoiku, mikroskopijnej kuchenki i malutkiej sieni. Na oknach były okiennice, teraz zamknięte, więc nie mogliśmy zajrzeć do środka.

Gdy tylko zbliżyliśmy się do drzwi, wewnątrz domku zaszczekał grubo pies. A po chwili odezwał się drugi psi głos.

Niemal bezszelestnie, kocimi skokami, nadbiegli Winnetou i Milczący Wilk. Dzięki żywopłotowi, który obrastał wszystkie uliczki w ośrodku, udało im się tu przyjść niezauważenie w ślad za nami.

— Biała skwaw miała rację. Tu są dwa psy — stwierdził Winnetou.

— To prawda. Ale czy ten drugi należy do nadleśniczego?

Psy szczekały coraz głośniejsze i zajadlej.

— Powinniśmy się stąd wycofać — rzekł Winnetou. — Szczekanie słychać bardzo daleko i może dojść do uszu Purtaka.

Odeszliśmy od domku na dużą odległość i szczekanie urwało się.

— Mógłbym teraz wsiąść w wehikuł i pojechać do nadleśnictwa — odezwał się. — Myślę że potrafiłbym nakłonić nadleśniczego, aby przybył tutaj i sprawdził, czy to nie jego pies został uwięziony przez Purtaka. Jeśli jednak okaże się, że Purtak ma jakiegoś innego psa, zblążnimy się, a to może okazać się bardzo niekorzystne dla naszych przyszlých planów...

— No to co robić? Nie będziemy chyba siedzieć tutaj z założonymi rękami — odezwał się Milczący Wilk. — Może włamiemy się do wigwamu i zabierzemy obydwą psy, a potem wyjaśnimy, czy jeden z nich jest psem nadleśniczego. Teraz, podczas zabawy w ośrodku, to jedyna okazja, aby dokonać takiej akcji.

— Na zabawie znajduje się Krwawa Mary — zabrałem głos po chwili zastanowienia. — Ona potrafi rozpoznać szczekanie psa jej ojca. Jestem pewien, że zdołam ją nakłonić, aby przyszła tu ze mną.

— Nie ufam żadnej skwaw, a tym bardziej Krwawej Mary — zaproponował Winnetou.

— Ona trzyma z Purtakiem — odezwała się milcząca dotąd Halina. — Purtak i Antonio obiecali jej pracę w Warszawie. Jeśli się dowie, że chcecie uwolnić psa, zdradzi was.

— Tak, skwaw mają podwójne języki — powiedział Winnetou.

Młoda lady zwróciła się do mnie z pytaniem:

— Dlaczego ten pan wciąż mówi tak źle o kobietach? Przecież nie wszystkie kobiety kłamią.

— Słusznie — zgodziłem się z nią. — Zresztą, nie mamy wyboru i musimy zaryzykować. Jestem przekonany, że mimo chęci wyjazdu do Warszawy, Krwawa Mary nas nie zdradzi. Ostatecznie to pies jej ojca. Będzie zaskoczona, gdy się okaże, że Purtak ukradł psa, i zapewne opowie się po naszej stronie. A poza tym zrodził się w mojej głowie plan, który uniemożliwi jej zdradę. Winnetou i Milczący Wilk pozostaną tutaj na czatach, a my pójdziemy na zabawę. Porozmawiam z Krwawą Mary i przyprowadzę ją tutaj. Jeśli rozpozna psa swego ojca, wówczas Winnetou i Milczący Wilk zabiorą ją swoją kanu po nadleśniczego. W takiej sytuacji nie będzie miała okazji, aby nas sypnąć.

— Zgoda — przytaknął Winnetou — z ust Szarej Sowy płynie mądrość.

Obydwaj mężowie ukryli się za żywoplotem. A ja wziąłem pod rękę młodą lady i Halinę, i ruszyliśmy do baraku.

W sali tanecznej nadal bawiono się wesoło. Grano właśnie „Ostatni walc”.

— Mam prośbę — zwróciłem się do Haliny — wołę nie kręcić się po sali. Najlepiej będzie, jeśli pani wejdzie między tańczących i gdy skończy się ten kawałek, wywoła na dwór Krwawą Mary.

Usiadłem z lady na ławeczce przed barakiem, a Halina weszła do środka.

Zdjąłem maskę Zorra, którą do tej pory nosiłem na twarzy. Było mi w niej bardzo gorąco i niewygodnie.

— Czy mógłby mi pan wyjaśnić wasze dziwne postępowanie?... — zagadnęła mnie lady.

Zacząłem mówić o przyczynach mego przyjazdu do Złotego Rogu, bo przecież miało to istotne znaczenie dla całej sprawy, ale raptem wyrósł obok mnie Piękny Antonio.

— Elisabeth — rzekł gniewnie — gdzie ty się podziewasz? Twój domek zamknięty, na sali balowej cię nie ma. Zacząłem podejrzewać, że uciekłaś z ośrodka. A ty siedzisz tutaj z panem Hulotem...

Urwał. Zobaczył mnie bez maski i przypomniał sobie swoje żarty przed kawiarnią. Domyślił się teraz, że podając mu nazwisko „Hulot” zażartowałem sobie z niego. Rozgniewało go to tym bardziej.

— Pan Hulot — powiedział rozsierdzony — ma upodobanie do starych samochodów, ale woli młode dziewczyny, hę? I to cudze, prawda?

Szukał wyraźnie zaczepki ze mną, a ja nie mogłem mu stawić czoła, bo chciałem, aby jak najszybciej stąd odszedł. Dlatego nie zareagowałem na jego słowa tak, jak bym tego chciał.

— Nie wiedziałem, że lady Elisabeth jest pańską dziewczyną — odpowiedziałem uprzejmie.

— Lady Elizabeth? — roześmiał się. — Oświadczam panu, że ona nie jest żadną lady, a po prostu Elką, która urodziła się na Solcu. Jej mama pracuje jako salowa w szpitalu, a tata jest ślusarzem. Na te swoje wielkie miny może nabrać tylko takiego faceta jak pan, mnie tym nie zaimponuje. Odkąd zaczęła pracować jako tłumaczka w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i parą razy podwieziono ją służbowym mercedesem, zaczęła nosa zadzierać. Czym pan chce jej zaimponować? Swoim gratem, pudłem, muzealnym eksponatem samochodowym? Ona sobie wymarzyła wyjść za mąż za angielskiego lorda i jeździć rols-roysem. Kręci nosem nawet na Purtaka...

— Niech pan mu nie wierzy, że chcę wyjść za mąż za lorda — szepnęła Elisabeth, Wydawało mi się, że jest bliska płaczu, ale, jak przystało na lady, opanowała się.

— No, dość gadania, chodź na salę do Purtaka — rzekł jej rozkazująco Piękny Antonio.

Czułem, że lady się sprzeciwi, co mogłoby utrudnić moją sytuację. Dlatego popchnąłem ją delikatnie w stronę Antonia. Chyba zrozumiała, o co mi chodzi, bo posłusznie poszła w jego towarzystwie.

Piękny Antonio zawołał do mnie na odchodnym:

— Nawet z lady trzeba ostro, panie Hulot.

Zniknęli w drzwiach i jednocześnie urwała się melodia „Ostatniego walca”. Z sali tanecznej wysypało się mnóstwo ludzi, wyszła także Halina z Krwawą Mary.

— Ma pan do mnie jakąś sprawę? — zapytała mnie Krwawa Mary, zbliżając się do ławki, na której siedziałem.

— W domu Purtaka są dwa psy — wyjaśniłem. — Jeden z nich należy do niego. Ale drugi? Może to jest pies pani ojca? Gdy zaczną znowu grać, oddalimy się ostrożnie i pójdziemy do tego domku. Myślę, że rozpozna pani po szczekaniu waszego psa.

— Czyżby pan miał rację i Purtak rzeczywiście maczał palce w kradzieży psa? — rzekła w zamyśleniu.

Nie wyglądała na zmartwioną tą informacją. Nie sprzyjała więc chyba Purtakowi, jak to sobie wyobrażali Winnetou i Halina.

„Nie, ona nas nie zdradzi — pomyślałem — nie mogę chyba aż tak bardzo mylić się w swoich sądach o ludziach”.

Podziękowałem Halinie za jej dotychczasową pomoc i doradziłem, żeby wróciła na salę zabaw. Jej udział w dalszej akcji już był zbyteczny. Nie chciałem, aby Purtak spostrzegł, że ona nam sprzyja i że mamy w ośrodku swoją wtyczkę.

Gigantofony zaryczały „Do zakochania jeden krok” i przed barakiem zrobiło się natychmiast zupełnie pusto. Spacerowym krokiem, jak gdyby chcąc odetchnąć chłodnym powietrzem nocy, poszliśmy z Krwawą Mary w stronę domku Purtaka. Powitało nas ujadanie dwóch psów. — To Bil! Nasz Bil — zawołała Krwawa Mary i podbiegła do drzwi domku.

Ale drzwi były zamknięte. Z drugiej strony usłyszeliśmy skomlenie psa, który rozpoznał głos Krwawej Mary. Teraz już nie ulegało żadnej wątpliwości, że Purtak razem ze swoją jamniczką trzymał także psa nadleśniczego.

Obok nas jak spod ziemi wyrosły dwie postacie w strojach indiańskich. Krwawa Mary oczywiście rozpoznała Winnetou i Milczącego Wilka, ale nie odezwała się ani słowem. Jej urażona ambicja nie pozwalała powitać Winnetou, który głosił o niej, że jest morderczynią zwierząt i nazwał ją Krwawą Mary.

— Purtak postąpił bardzo brzydko — odezwała się dziewczyna. — Jeśli ojciec dowie się, że to on skradł psa, długo tutaj miejsca nie zagrzeje.

— Właśnie chodzi nam o to, aby sprowadzić tu pani ojca — powiedziałem. — Niech w jego obecności Purtak otworzy drzwi swego domku i uwolni psa. Dlatego najlepiej będzie, jeśli w towarzystwie Milczącego Wilka i Winnetou popłynie pani do nadleśnictwa.

— Dobrze — skinęła głową. — Zróbmy to natychmiast.

I szybkim krokiem podążyła w kierunku przystani, a za nią, kryjąc się za żywopłotem, pobiegli Winnetou i Milczący Wilk. Co do mnie — nie spiesząc się, bo nie było dokąd, poszedłem do baraku.

Nieszczęściem w samym centrum ośrodka wczasowego znajdował się dość duży placyk, nie ogrodzony żywopłotem. Winnetou i Milczący Wilk musieli przez niego przebiec, pozostając w tym momencie w blasku lamp jarzeniowych. Tak się złożyło, że akurat przechodziła tędy sekretarka Purtaka, ta sama platynowa blondynka, którą już zdążyłem poznać po przyjeździe do Złotego Rogu.

Zobaczyła dwóch Indian i okrzyk zdziwienia wyrwał się jej z ust.

— Czy widziała pani, pani Mario? — zwróciła się do mijającej ją Krwawej Mary — co to za dziwni ludzie w takich strojach?

Winnetou i Milczący Wilk zdołali znowu ukryć się w ciemnościach, ale sekretarka nie mogła o nich zapomnieć.

— Nikogo nie widziałam — skłamała Krwawa Mary.

— Przysięgam, że byli tutaj dwaj Indianie — powtarzała.

— No to co? Przecież mamy bal gałganiarzy — uspokajająco rzekła Krwawa Mary.

Sekretarka ze zdziwieniem pokręciła głową:

— Nie widziałam, żeby tak ubrani wczasowicze tańczyli na sali. Skąd zresztą wzięli takie piękne stroje?

— A co? Myśli pani, że prawdziwi Indianie przyjechali tutaj aż ze Stanów Zjednoczonych, aby oskalpować kierownika Purtaka? — żartobliwie powiedziała do niej Krwawa Mary.

Sekretarka roześmiała się. I wszystko może byłoby w porządku, gdyby nie nagłe pojawienie się Purtaka, a właściwie lady Elisabeth, która wybiegła z sali balowej, a za nią pospieszył Purtak.

— Panno Elisabeth, proszę się na mnie nie gniewać — mówił przepraszającym tonem, drepcząc za nią — nikt tu naprawdę nie zamierza pani więzić. Jesteśmy ludźmi kulturalnymi i w ogóle dżentelmenami.

Zobaczył Krwawą Mary rozmawiającą z jego sekretarką.

— O, pani Maria — ucieszył się. — Antonio pani szuka, bo obiecała mu pani taniec.

— Indianie — zachichotała sekretarka. — Indianie zaraz pana oskalpują.

— Co takiego? — zdumiał się Purtak.

— A tak. Widziałam tutaj dwóch Indian — wyjaśniła sekretarka. — Ciekawe, skąd wypożyczono takie piękne stroje? Może od pana Winnetou, który mieszka po drugiej stronie jeziora.

Tylko tego brakowało. Krwawa Mary domyśliła się, że jeśli nie zacznie działać, cały nasz plan może runąć. Chwyliła Purtaka i pociągnęła go w stronę baraku:

— Z Antonim nie będę tańczyć, bo on ma dwie prawe nogi. Ale pan tańczy jak Fred Astaire. Może zrobi mi pan tę grzeczność i każe jeszcze raz nastawić płytę z Dąbrowskim i razem zatańczymy?

Purtakowi pochlebiały słowa Krwawej Mary, tym bardziej, że padły one w obecności Elisabeth, która zdawała się nim gardzić. Z dumną miną ujął pod rękę Krwawą Mary i poszedł z nią na salę taneczną.

Odetchnąłem z ulgą, choć było oczywiste, że realizacja naszego planu musi się odwlec, dopóki Krwawa Mary nie odtańczy „Do zakochania jeden krok” i nie zdoła wymknąć się z sali tanecznej.

Pośpieszyłem do sekretarki.

— Czy można panią prosić? — zapytałem, kłaniając się grzecznie. — Nie jestem wprawdzie tak wspaniałym tancerzem jak pan Purtak, ale słyszałem, że pani świetnie tańczy.

— A od kogo pan słyszał? Zdaje mi się, że ja pana nie znam. Pan nie jest z naszego ośrodka.

— Przyjechałem z Warszawy, z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Poznałem panią przedwczoraj...

— Ach, to pan — przypomniała sobie niemiłą omyłkę, jaką popełniła.

— Poznanie nasze być może nie wypadło najlepiej — przytaknąłem jej myślom. — Ale zrobiła pani na mnie wielkie wrażenie. Właśnie ze względu na panią zdecydowałem się pozostać w Złotym Rogu. Chyba nie odmówi mi pani tego tańca?

Kłamałem jak najęty. Ale może właśnie takie prymitywne kłamstwa odnoszą najlepszy skutek? Jaka? dziewczyna nie wierzy, że potrafi uczynić na kimś „piorunujące wrażenie”?

— Pan buja — stwierdziła sekretarka — ale oczywiście chętnie z panem zatańczę, jeśli panu tak na tym zależy. Pan pozwoli, że dokończę papierosa.

Paliła carmena, którego mdlący zapach nietrudno wyróżnić z innych gatunków papierosów. A więc to nie ona pozostawiła niedopałki koło łódki — pomyślałem.

W tej chwili nie miało to jednak żadnego znaczenia. Najważniejsze było, aby na jakiś czas zapomniiała o Indianach i nie opowiadała o nich na prawo i lewo.

Skończyła papierosa, niedopałek rzuciła na żwir i przydeptała go nogą.

— Chodźmy, bo właśnie zaczęli grać — rzekła i ruszyła do baraku.

Lady Elisabeth dotknęła mojego ramienia.

— Proszę o klucz od pańskiego wozu — szepnęła — Mam dosyć wszystkiego. Wolę w pańskim wozie poczekać na pana niż być narażona na umizgi Purtaka.

Bez słowa wręczyłem jej klucz i pośpieszyłem za platynową blondynką.

Przetańczyliśmy „Do zakochania jeden krok”. Potem „O mamy, mamy blues”. Przez cały czas plotłem blondynie jakieś duby smalone o niespodziewanym zainteresowaniu się jej osobą. Nie bardzo mi wierzyła, bo nie umiałem zdobyć się na przekonujący ton.

Obok mnie tańczyła Krwawa Mary z Purtakiem. Zapomniałem, że nie mam na twarzy maski Zorra, i kierownik ośrodka mnie rozpoznał. Zauważyłem, że wymienił z Mary jakąś uwagę na mój temat, zapewne zapytał ją, czy nie wie, kto mnie zaprosił na zabawę. Od chwili, gdy mnie rozpoznał — wyraz jego twarzy stał się podejrzliwy. Byłem dla niego przedstawicielem Ministerstwa Kultury i Sztuki, który przyjechał służbowo w sprawie ruin zamkowych i po załatwieniu sprawy powinien był wrócić do Warszawy. A tymczasem widział mnie w kawiarni i zobaczył na swojej zabawie. Nie mógł wiedzieć, że mam już urlop, miał więc prawo podejrzewać, że może nie dowierzam jego oświadczeniu o zaprzestaniu rozbiórki zamku. Ale chyba nie wiązał tej historii ze sprawą ukrytego psa?

Po drugim tańcu miałem już nadzieję, że Krwawa Mary zdoła wymknąć się z baraku. Niestety, wpadła w ramiona Pięknego Antonia, któremu udało się wyrwać z ramion Haliny. Ta ostatnia pocieszyła się Purtakiem i bawiliśmy się dalej, to znaczy ja musiałem trzeci raz tańczyć z platynową blondynką. W miarę upływu czasu stawałem się coraz bardziej roztargniony i milczący, co z kolei i w niej wzbudziło podejrzliwość. Oświadczyła mi w końcu:

— Dziwny z pana człowiek. Najpierw to pan aż rwie się do tańca ze mną, a teraz ma pan minę, jakby chciał pan już tańczyć z kimś innym. Myśli pan, że nie wiem o pańskiej dziewczynie?

— Mojej dziewczynie?

— Zauważyłam, że ta dziewczyna w błękitnej sukience wzięła od pana klucze od samochodu. Niech pan się przyzna, zaprosił mnie pan do tańca, żeby jej zrobić na złość.

— Tak jest. Pani jest spostrzegawcza — przyznałem się.

— Wygląda strasznie lalkowato — określiła Elisabeth.

— Owszem. Ale to prawdziwa lady.

— Lady? — zdumiała się. — Widziałam tylko jedną lady. Lady Makbet.

I aż nią wstrząsnął dreszcz na wspomnienie tamtej lady, która wślawiła się licznymi morderstwami.

— Ta nie jest taka groźna. Starczy tu jedna Krwawa Mary.

— A ja myślałam, że ją przywiózł tutaj Piękny Antonio.

— Zrobił to. Ale ja mu sprzątnąłem ją sprzed nosa.

Spojrzała na mnie z uznaniem:

— Nie wygląda pan aż na takiego uwodziciela.

— Maskuję się.

Przyglądała mi się z wielkim zainteresowaniem. Piękny Antonio był niezwykle przystojny, o mnie tego powiedzieć nie było można. A jednak to właśnie ja zabrałem mu dziewczynę i to w zawrotnym tempie. Musiała więc tkwić we mnie jakaś magnetyczna siła. Długo się nad tym zastanawiała, aż wreszcie powiedziała:

— Ma pan ostry start, to prawda. Jak pan do mnie wystartował, aż tchu nie mogłam złapać. Dlatego był pan lepszy od Antonia. Tylko że nie wszystkie dziewczyny to lubią.

Na szczęście przestali grać. Zauważyłem, że Antonio zaprosił Krwawą Mary do bufetu, który znajdował się w sąsiednim pomieszczeniu. Poszedł tam także Purtak z Haliną. Platynowa blondynka miała nadzieję, że może i ja uczynię podobnie, ale przeprosiłem ją grzecznie i wyszedłem na dwór. Pomyślałem, że należy porozumieć się z Winnetou i Milczącym Wilkiem, którzy ukryci za żywopłotem oczekiwali na Krwawą Mary.

Obydwo przyjaciół znalazłem w pobliżu przystani. Powiedziałem im o trudnościach, jakie Krwawa Mary ma z opuszczeniem baraku. Tymczasem jednak z powodu przedłużającej się przerwy w tańcach coraz więcej osób opuszczało salę taneczną i spacerowało po alejkach ośrodka. Musieliśmy więc odejść jeszcze dalej w ciemność, aż na samą przystań.

I to był nasz największy błąd, o czym przekonaliśmy się wkrótce.

Rozmawialiśmy długą chwilę, gdy nagle usłyszeliśmy odgłos spieszych kroków. Nadbiegły Krwawa Mary i Halina.

— Domyśliłam się, że ukryliście się na przystani — powiedziała Krwawa Mary zadyszana biegiem — stało się chyba coś złego. Purtak nabrał podejrzeń, bo dowiedział się od swojej sekretarki o buszujących w ośrodku Indianach. Słyszałam, jak powiedział do Pięknego Antonia: „Winnetou coś knuje. Musisz mi pomóc, Antonio”. Obydwaj wybiegli z baraku i popędzili do jego domku campingowego.

Winnetou ciężkim wzrokiem popatrzył na Krwawą Mary.

— Purtak nie mógł się sam domyślić, że przyszliśmy uwolnić psa. Ktoś nas zdradził. Zawsze mówiłem, że białe skwaw mają język podwójny. Purtak postanowił wywieźć stąd psa.

Nie było czasu na dyskusje.

— Za mną! Musimy pokrzyżować ich zamiary — krzyknąłem i rzuciłem się biegiem w stronę domku Purtaka.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W POGONI ZA BLADĄ TWARZĄ • CZYJ RUMAK JEST SZYBSZY? • KTO JEST PIRATEM DROGOWYM? • PIĘKNY ANTONIO WYPROWADZA NAS W POLE • INDIANIE CZY GANGSTERZY? • CO ZROBIONO Z PSEM? • LADY PÓJDZIE DO REZERWATU • TRZECH DZIWNYCH DŻENTELMENÓW • LIST DO REDAKCJI • LOS MOTOROWODNIAKÓW WISI NA WŁOSKU • KTO KOCHA WINNETOU? • DECYZJA KRWAWEJ MARY

Ile mi tylko tchu w piersiach starczyło, pędziłem przez ośrodek wczasowy, a za mną, wielkimi susami, przeskakując żywopłoty, biegli Winnetou i Milczący Wilk. Pędziliśmy na ukos przez klomby, rabaty, trawniki, byle tylko prędzej dopaść Purtaka i Pięknego Antonia.

Musiał to być dość zabawny widok dla licznie zebranej przed barakiem publiczności, dwaj biegnący Indianie i Zorro w czarnej masce na twarzy. Słyszeliśmy uwagi i okrzyki:

— Ej, Indianie, kogo chcecie oskalpować?

— Patrzcie, ludzie, inwazja Indian! Ratuj się, kto w Boga wierzy!

— Indianie atakują...

— Dokąd to, panowie? Panie proszą do tańca, dlaczego uciekacie?

Zauważyłem jakiś ruch koło bramy ośrodka.

— Tam, tam — wskazałem bramę. — Piękny Antonio uruchamia swojego passata. Próbuje z Purtakiem wywieźć psa z terenu ośrodka. Za nimi, przyjaciele!

Przed wierzejami bramy stał passat z pracującym silnikiem. Przednie i tylne światła miał zapalone. Wąsaty portier mozolił się z otwarciem bramy, a wychylony przez okno samochodu Purtak pomstował na niego:

— Prędzej, panie Józefie! Nam się śpieszy. Co pan, śpi?

Dopędziłem passata gotującego się do drogi. Zajrzałem do wnętrza, ale było tam ciemno. Z tylnego siedzenia odezwały się psy. Tak, wyraźnie rozróżniłem dwa psie głosy.

Portier otworzył bramę. Passat ostro ruszył z miejsca. Stało się to tak nagle, że nawet nie zdążyłem chwycić za klamkę drzwiczek.

Stojąc przed bramą widzieliśmy już tylko dwa czerwone tylne światła samochodu, który skręcił na asfaltową szosę i odjechał w stronę Złotego Rogu. Oczywiście Purtak i Antonio musieli mnie zobaczyć, gdy przybliżyłem twarz do szyby samochodu. Widzieli chyba także nadbiegających Winnetou i Milczącego Wilka.

— Piekło i szatani! — mruknął Winnetou. — Błede twarze mają cuchnącego konia. Nie zdołamy ich dogonić.

— Ja także mam tutaj swojego blaszanego konia — oświadczyłem Winnetou i kiwnąłem ręką, aby pobiegł za mną.

Portier zdążył zamknąć jedną połówkę bramy, gdy przebiegliśmy obok niego i znaleźliśmy się przy zaparkowanym wehikule. Drzwiczki samochodu zastałem otwarte, a we wnętrzu, na przednim siedzeniu tkwiła lady.

— Kto to!?! — zapytał groźnie Winnetou.

— To lady. Ukrywa się przed Purtakiem — wyjaśniłem szybko i odebrałem od niej klucze do wozu.

Uruchomiłem silnik, a Winnetou i Milczący Wilk zajęli miejsca na tylnym siedzeniu.

— Czy stało się coś złego? — zapytała Elisabeth swoim wytwornym tonem. — Przed chwilą odjechał stąd samochód z Antoniem i Purtakiem. Przeraziłam się, że może odkryli moją ucieczkę i ruszyli w pościg.

— Nie, lady. Tym razem porwali psy i uciekają. Ale my ich dogonimy i schwytny.

— Rozumiem — skinęła głową lady. I dodała z wahaniem: — Nie, nie rozumiem. Passata chce pan dogonić swoim samochodem? Czy pan wie, że passat to bardzo szybki samochód?

— A pani zna się na samochodach? No tak, jeździła pani nawet mercedesem — dodałem z przekąsem, bo zirytowała mnie jej niewiara w możliwości mego wehikułu.

— Ach — szepnęła lady — pan jest bardzo złośliwy.

Ruszyłem z miejsca, od razu nabierając dużej szybkości. Z pogardą myślałem o passacie. Cóż z tego, że miał piękną sylwetkę i aż lśnił lakierem, podczas gdy mój wehikuł przypominał rozkraczoną żabę albo skrzyżowanie czółna z domkiem campingowym. Passat stanowił najnowszy krzyk techniki fabryki Volkswagen w Niemczech Zachodnich. Ale nie rozwijał szybkości większej niż 160 kilometrów na godzinę. Mój wehikuł posiadał silnik ferrari 410 i potrafił osiągnąć szybkość 240 kilometrów na godzinę. Pokraczna, klepana młotkiem karoseria kryła istne cudo techniki. Można rzec — brzydka powłoka zawierała wspaniałą duszę[15].

Zwalniając szybkość minąłem wieś pogrążoną we śnie i ciemnościach. Dokąd mógł pojechać Piękny Antonio? Tylko dalej tą samą asfaltową szosą. Nie było w bok żadnej innej drogi, poza polnymi wyboistymi drózkami.

Antonio nie zaryzykowałby skręcić w żadną z nich, obawiając się o resory nowego wozu.

— Zaraz go dogonimy — pocieszyłem przyjaciół — Antonio nie jedzie chyba szybko, bo nie spodziewa się pościgu.

Dodałem gazu i wkrótce strzałka szybkościomierza zaczęła pełzać w prawo, osiągając liczbę sto czterdzieści. Zapaliłem halogeny i szosa przed moim wehikułem stała się jasna jak w słoneczny dzień. Wcisnąłem pedał gazu i na uchylonym wywietrzniku jazgotliwie zaśpiewał wiatr. Słupy telefoniczne po obu stronach drogi zwały się jakby w jeden.

— Och — cichutko jęknęła lady zaskoczona szybkością, jaką osiągnął wehikuł.

Asfaltowa szosa uciekała przez lasy licznymi zakrętami. Raz po raz światła reflektorów trafiały na zwartą ścianę drzew, co znaczyło, że za chwilę szosa skęci w lewo lub w prawo. Potem przez kilkaset metrów droga biegła prosto, aby znowu ukazać zwartą ścianę lasu i zagrozić wirażem w lewo lub prawo. Niestety, o kierunku skrętu nie informowały tablice przydrożne, wydział komunikacji zadowolił się jednym znakiem drogowym — „siedemnaście zakrętów”.

Zwolniłem więc, choć na szosie z powodu późnej pory nie widziało się ani wozów konnych, ani motocyklistów czy rowerzystów, lecz w każdej chwili z lasu wybiec mogła sarna lub dzik.

Minąłem trzeci zakręt, gdy zobaczyłem tylne czerwone światła uciekającego passata.

— Błade twarze mają cuchnącego konia o dużej prędkości — stwierdził Winnetou — ale blaszany koń mojego brata to prawdziwy rumak, pędzi szybciej od wiatru.

— Ale cuchnie więcej niż inne blaszane konie — powiedziałem. — I spala dwa razy tyle benzyny.

— Dlatego Winnetou nie lubi blaszanych koni bladych twarzy.

— Słusznie — przytaknąłem — ale czy Winnetou wie, dlaczego w Ameryce wyginęli Indianie? Bo walczyli z bladymi twarzami za pomocą strzał i łuków. Błade twarze zaś posiadały szybkostrzelne karabiny. Jeśli chce się zwyciężyć swoich wrogów, trzeba mieć broń równie dobrą, a nawet lepszą. Nie dogoni się piechotą Pięknego Antonia. Ale przy pomocy blaszanego konia nauczymy go rozumu.

Młoda lady była zachwycona szybką jazdą.

— On jest rajdowym kierowcą — rzekła o Pięknym Antonio — a pan, panie Szara Sowo? Przepraszam, że tak pana nazywam, ale przedstawiając mi się bardzo niewyraźnie powiedział pan swoje imię.

— Niech będzie Szara Sowa — skinąłem głową.

Zaczerpnęła w piersi więcej powietrza:

— Czy nie możemy jechać trochę szybciej?

Spojrzałem na nią zdumiony:

— Och, lady, w pani drzemie prawdziwy demon prędkości. Nie wiem, czy potrafię sprostać pani wymaganiom.

— Prędeż, prędeż! Uwielbiam wyścigi samochodowe — wołała Elisabeth, zapominając, że prawdziwa lady powinna zachowywać się bardziej powściągliwie.

Przycisnąłem pedał gazu i już siedziałem na ogonie passata. Zmieniłem długie światła na krótkie, potem przycisnąłem klakson i dałem Pięknemu Antonio do zrozumienia, że zamierzam go wyprzedzić.

Piękny Antonio zjechał na prawą stronę, ustępując mi drogi. Zapewne ani mu przez myśl nie przeszło, że to właśnie my doganiamy go pokracznym wehikułem pana Hulot. Sądził, że to jakiś turysta mercedesem lub innym luksusowym i szybkim wozem śpieszy ze Złotego Rogu na warszawską szosę.

Nasze samochody zrównały się i przez moment jechaliśmy błotnik przy błotniku, szyba w szybę. Dopiero wtedy Piękny Antonio zauważył, że wyprzedza go pokraczny wehikuł, który był przedmiotem jego drwin.

Natychmiast niespodziewanie dodał gazu i wysforował się do przodu, wyciskając pedałem przyspieszacza największą prędkość z passata.

— O Boże — jęknęła lady. — Mówiłam, że on jest rajdowcem.

— Piratem, lady — burknąłem. — Tak zachowuje się pirat drogowy. Usiłował nas zepchnąć na pobocze, co przy tej szybkości grozi katastrofą.

— Błada twarz imieniem Piękny Antonio okazała się zdolna nawet do zbrodni — powiedział ponuro Winnetou.

Dodałem gazu i bez trudu dopędziłem passata. Znowu przycisnąłem klakson zmieniając światła. Lecz tym razem on nie zareagował, ba, gdy tylko usiłowałem go wyprzedzić, zajeżdżał mi drogę, spychając na pobocze.

Pędziliśmy więc jeden za drugim z coraz większą szybkością.

Przed każdym zakrętem wyhamowywałem gwałtownie, potem na prostej dodawałem szybkości. Piszczały opony na wirażach, świstał ponuro wiatr na wywietrzniku. Piękny Antonio ciągle nie mógł uwierzyć, że pokraczny wehikuł jest jednak szybszy od jego samochodu. Skąd miał wiedzieć, że ściga go nie żaden śmieszny wehikuł pana Hulot, ale wóz o ogromnej mocy? Passat miał silnik o pojemności 1450 centymetrów sześciennych, a mój prawie... 5000. Passat posiadał moc znamionową 75 koni mechanicznych, gdy mój wehikuł... 340. Wróbel i jastrząb — oto było chyba najwłaściwsze porównanie dla obydwu wozów. Tylko że jego był piękny, a mój brzydki.

Nic dziwnego, że nieustannie miał mnie za sobą.

Dopiero gdy dojechaliśmy do szosy warszawskiej, zrozumiał jednak, że nie ucieknie. I wówczas to postanowił wykorzystać swoją szkołę jazdy rajdowca. Przy wjeździe na

warszawską autostradę na naszej drodze widniała mała wysepka z ruchem jednokierunkowym, Passat skręcił w prawo i światłem migacza dał mi znać, że i na autostradzie skieruje się w prawo. Ale gdy tylko znalazł się tam, raptem przycisnął mocno hamulce (a dwa przednie hamulce miał tarczowe). Wozem zarzuciło gwałtownie. Lecz on umiał kontrolować poślizg. Niemal na miejscu dokonał zwrotu o 180 stopni i zamiast w prawo, pojechał w lewo, i jeszcze raz w lewo powracając na szosę do Złotego Rogu.

Niestety, nie przewidziałem takiego manewru i pojechałem w prawo. Dopiero po chwili wyhamowałem i zawróciłem. Ale on już był daleko, tylne światła ginęły za pierwszym zakrętem drogi przez las.

Dogoniłem go dopiero za trzecim zakrętem. O dziwo, jechał wolno, nawet bardzo wolno. Bez najmniejszego oporu dał się wyprzedzić.

Zajechałem mu drogę i ustawiłem się w poprzek szosy, zmuszając go, aby się zatrzymał.

— Co to za żarty? — zawołał oburzony, wysiadając z wozu.

Winnetou i Milczący Wilk również wyskoczyli z wehikułu, bez słowa minęli go i otworzyli tylne drzwiczki passata.

— Panowie, co to? Rozbój? — oburzył się Purtak, zajmujący miejsce przy kierowcy.

Na tylnym siedzeniu passata leżał tylko jeden pies. Jamnik. A raczej jamniczka. Pies Purtaka.

Spojrzałem na Winnetou i skinąłem głową, aby wracał do wehikułu. Rozumieliśmy się bez słów. Antonio i Purtak wykorzystali czas, gdy wyprzedzili nas po swym zaskakującym manewrze, zatrzymali się gdzieś na moment i wypuścili, a raczej wypchnęli do lasu psa nadleśniczego.

— Pies wróci sam do domu — powiedziałem do Winnetou — o ile wiem, bywał na polowaniach i chyba ten las zna tak jak jego pan.

Ale nie dane nam było spokojnie wrócić do wehikułu. Piękny Antonio zastąpił nam drogę.

— Panowie, co to wszystko ma znaczyć?! — wołał oburzony.

Coraz głośniejszy krzyczał, bo wiedział, że nie możemy już teraz udowodnić, że oni oprócz jamniczki wieźli innego psa. Zapewne po drodze Purtak uświadomił Antonia, dlaczego ukrywał drugiego psa i dlaczego musi się go pozbyć.

— Pan jest piratem drogowym, panie Antonio — rzekłem ze wzgardą. — Mam świadków, że nie dał się pan wyprzedzić. Zajeżdżał nam pan drogę, starał się zepchnąć mnie na pobocze, co groziło katastrofą i śmiercią.

— A pan mnie oślepił swoimi reflektorami — odparł bezczelnie Antonio. — Nie zmienił pan długich na krótkie. To także jest piractwo.

— Jechałem na krótkich światłach.

— Nie!

— Tak!

— Nie! — upierał się Antonio. — Gdy mnie pan oślepił, a mam na to świadka w osobie kierownika ośrodka wczasowego, postanowiłem nie ustąpić panu z drogi i zmusić do zatrzymania się.

— To czemu pan tego nie zrobił?

— Odradził mi to potem pan Purtak. Ma on wyrobione zdanie o pańskich dwóch pasażerach w tych strojach błazeńskich. Obawiał się, że zostaniemy przez was napadnięci w lesie.

— No i co? Nikt pana nie napadł?

— Chce pan wiedzieć, co myślę o panu? Pan jest gangsterem. Dla niepoznaki przyodział pan swój wehikuł w brzydką karoserię.

— Tak. I mam wmontowane w niego dwa karabiny maszynowe — kiwnąłem głową.

Nie umiał jednak pohamować w sobie ciekawości samochodziarza.

— A swoją drogą, co to za wóz, panie szanowny?

— Wehikuł pana Hulot — odrzekłem drwiąco i zająłem miejsce za kierownicą. Szkoda mi było czasu na kłótnie z Pięknym Antonio.

Ciekawość przygnała go jednak aż do wehikułu. Wtedy to zobaczył młodą lady.

— Elisabeth? Ty tutaj? Z nimi? — oburzył się.

A potem zaczął przywoływać Purtaka, który wciąż siedział w passacie, nie chcąc bezpośrednio angażować się w kłótnie między kierowcami. Był szczęśliwy, że ominęła go rozmowa o psach. Wiedział, że nie potrafimy mu udowodnić przestępstwa, ale wołał oczywiście nie poruszać tego tematu.

— Chodź, przyjacielu, zobacz, kto tu siedzi. Nasza lady — wołał do Purtaka Piękny Antonio.

Kierownik ośrodka przyszedł wreszcie do wehikułu, zerknął na lady i bez słowa wzruszył ramionami.

— Co? — zdziwił się Antonio. — Nic cię to nie obchodzi? Przecież to twoja dziewczyna. Przywiozłem ci ją z Warszawy. A ci gangsterzy ją porwali!

— Nie jestem porwana — odezwała się młoda lady. — Siedzę tutaj dobrowolnie i sprawia mi to przyjemność.

— Ach tak? Przyjemnie ci w towarzystwie takich typów? Usmarowanych szminką w najrozmaitsze wzory? I tak się zachowuje dama! Wybiera pierwsze lepsze podejrzane towarzystwo i czuje się w nim znakomicie. Czy wiesz przynajmniej, cc to za ludzie?

— Naturalnie, że wiem — odparła lady — ci dwaj panowie z tyłu to Indianie. Jeden z nich nosi nazwisko Winnetou, a drugi Milczący Wilk. Ten zaś pan jest Szarą Sową.

Pięknego Antonia ogarnął śmiech. Aż zgiął się w pół, tak go rozbawiła naiwność młodej lady.

— Indianie, Elisabeth? — ryczał ze śmiechu. — Ależ to przebierańcy, dziewczyno.

Purtak położył mu ręką na ramieniu:

— Daj spokój, Antonio. Ta pani zrobiła tak jak chciała. Ale mówię ci, że nie jest to prawdziwa dama.

— Pewnie, że nie jest — podchwycił Antonio i oświadczył nam tryumfująco: — I w ogóle wkrótce przekonacie się, co to za osóbką. To nie dziewczyna, to sopel lodu, zimny głaz, kamień, kukła drewniana, manekin. Jeszcze będziecie żałować...

Włączyłem rozrusznik i ruszając samochodem, zawołałem do Antonia:

— Wtedy ją panu odwiozę...

Nie wiem, czy milady uwierzyła w moją pogroźkę. A jednak trochę się zaniepokoiła, gdy zamiast do leśniczówki, skręciłem do ośrodka wczasowego. Nie wiedziała przecież, że obok przystani pozostała kanu Winnetou. Obydwaj moi przyjaciele zamierzali powrócić do domu tą samą drogą.

Wysadziłem ich przed bramą ośrodka. Żegnając się z nami, Winnetou powiedział najpierw do mnie, a potem do milady:

— Sprawdzą się słowa Winnetou, że nie można wierzyć białym skwaw, albowiem mają one podwójne języki. Ale biała skwaw, zwana lady, zyskała sobie szacunek Winnetou. Dlatego, jeśli zdecyduje się ona pozostać w Żółtym Rogu, mój wigwam stoi dla niej otworem. Młoda biała skwaw jest prawdziwą lady, a to rzadkość. Podobnie jak rzadkie kwiaty powinno się lady otoczyć ochroną i trzymać w rezerwacie, dokąd nie miałyby wstępu blade twarze podobne do Purtaka i Pięknego Antonia. Howgh.

To mówiąc odszedł wraz z Milczącym Wilkiem.

A lady zmartwiła się:

— On naprawdę chciałby mnie zamknąć w rezerwacie?

— O, milady, to był przecież komplement. Uznał, że jest pani jak rzadki i piękny kwiat.

Uśmiechnęła się z odrobiną zakłopotania. Wydawało mi się, że trafił ją jakiś niepokój. Wreszcie nie wytrzymała i odważnie zapytała:

— Antonio mówił tak źle o panach. To nieprawda, że jesteście gangsterami?

— On jest gangsterem — odparłem z oburzeniem.

— Pan się myli. On jest po prostu źle wychowany...

— Ach tak — mruknąłem z ironią.

Ale milady wciąż trapiła ta sprawa:

— Proszę nie obrażać się i nie sądzić, że jestem wścibska lub nietaktowna. Ale ciekawi mnie, czym się panowie zajmują?

— Jestem muzealnikiem, Winnetou uprawia grafikę, a Milczący Wilk pracuje na politechnice jako elektronik.

— Rozumiem, ale ciekawi mnie także, czy to, co tu robicie, owe dziwne pogonie, stroje, zaginione i porywane psy, ma jakiś związek z waszą pracą?

— W pewnym sensie, milady. Jesteśmy w trakcie walki o ochroną środowiska naturalnego.

— Rozumiem. W gazetach wiele się ostatnio pisze na ten temat. Nie przypuszczałam jednak, że ta walka odbywa się właśnie w taki sposób...

Zaparkowałem wehikuł na podwórzu i pożegnałem milady u drzwi jej pokoju.

— Żegnam panią i życzę szczęśliwej podróży do Warszawy — powiedziałem na pożegnanie.

Jeszcze raz obrzuciłem spojrzeniem jej piękną, delikatną twarz, która przypominała mi damę z portretu w Nieborowie. Te same szlachetne rysy, drobne usta, kształtny nos i dumne spojrzenie wielkiej damy. Ale może i tamta była tak samo drewniana?

— Bal maskowy... skradziony pies... pościgi samochodowe... Indianie i muzealnicy — powtarzała z zachwytem milady. — Jakie to wszystko ciekawe i podniecające. W gazetach namawiają wszystkich, aby brali udział w walce o ochronę środowiska naturalnego i teraz zupełnie się temu nie dziwię. To naprawdę pasjonujące zajęcie.

— Żegnam, milady — skłoniłem się i zniknąłem za swoimi drzwiami.

Kładąc się do snu pomyślałem, że na dłuższą metę wielkie damy jednak są nie do zniesienia.

* * *

Nazajutrz obudziłem się dość późno. Elisabeth chyba jeszcze spała, bo z jej pokoju nie dochodził mnie żaden odgłos. Pośpiesznie przygotowałem sobie śniadanie w pustej kuchni leśniczego i wyjechałem swym wehikułem do Złotego Rogu.

Dzień był pochmurny, zbierało się na deszcz. Niebo miało burą barwę, jakby ktoś ciemną czapą nakrył cały świat. Ogromną toń jeziora nie marszczyła najdrobniejsza fala. Na wodzie stało kilka żaglówek z obwisłymi żaglami, ich załogi pracownicy machały wiosłami.

Przy pomoście kawiarni cumowało kilkanaście motorówek, jakby w kawiarni odbywał się zjazd motorowodniaków.

Gdy parkowałem wehikuł, zauważyłem trzech dziwnych osobników, siedzących w pobliżu kawiarni na trawniku przy asfaltowej drodze. Ubrani byli w powycierane dżinsy i pstrokatę koszulę z przedziwnymi napisami. Na jednej z nich widniało groźnie brzmiące hasło: *memento mori*, co znaczy pamiętaj o śmierci. Drugi miał na plecach reklamę coca-coli, a trzeci napisał sobie na koszuli czerwonym atramentem: *jestem Genek*. Mieli brody, wąsy, długie włosy i patrząc na nich przypominał mi się fragment „Powrotu taty” Mickiewicza: „Brody ich długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknia plugawa”. Ale na zbójów nie wyglądali, tylko na autostopowiczów. Siedzieli w kucki, u nóg ich leżały małe tobołki. Na wbitym w ziemię patyku tkwiła deska z ogłoszeniem: *trzech dżentelmenów szuka niezbyt ciężkiej pracy*.

Rozbawił mnie ten napis. Nie wyglądali na dżentelmenów. Ale ucziwie przyznawali się do tego, że nie lubią ciężkiej roboty.

I raptem, tuż obok owych dżentelmenów, zatrzymał się przejeżdżający droga łązik z nadleśnictwa. Wsiadł z niego nadleśniczy Wojtczak.

— Panowie szukają roboty? — zapytał ich, a ja przystanąłem, ciekawy, jaką to pracę zaproponuje im nadleśniczy. — Potrzebujemy ludzi do czyszczenia młodników.

— Na czym polega ta robota i ile można zarobić? — odezwał się rzeczowo dżentelmen z napisem *memento mori*.

— Dostaniecie siekiery i będziecie wycinać młode drzewka, które rosną zbyt gęsto. Jeśli przyłożycie się do roboty, to zarobicie po dwa, a nawet trzy tysiące przez miesiąc.

Popatrzyli na siebie pytająco. Wreszcie dżentelmen z napisem *memento mori* plunął sobie pod nogi i oświadczył nadleśniczemu:

— Nie czytał pan naszego ogłoszenia? Szukamy niezbyt ciężkiej pracy. Machać siekierą to nie dla nas.

Nadleśniczy zaklął pod nosem, wsiadł do łązika i odjechał. A trzech dżentelmenów znowu pograżyło się w swoim sennym oczekiwaniu na chętnego, który by ich wynajął do niezbyt ciężkiej roboty.

W kawiarni odbywała się chyba rzeczywiście narada motorowodniaków. Zestawili trzy stoliki i obsiedli je szczerze, dyskutując nad czymś po cichu. Omawiali jakąś bardzo ważną sprawę, bo nawet nie włączyli swoich tranzystorowych aparatów, aby im hałas nie przeszkadzał.

Usiadłem przy wolnym stoliku i zaraz podeszła do mnie Krwawa Mary.

— Bil powrócił — oświadczyła z największą radością. — Przyszedł do domu dziś nad ranem. Był bardzo zmęczony...

Opowiedziałem jej o naszych wczorajszych przygodach, o pościgu samochodu i fortelu, jakiego użył Piękny Antonio, aby wyprowadzić nas w pole.

— Niestety, nie mamy dostatecznego dowodu na to, że Purtak więził psa pani ojca. Ale rozpoznała pani głos Bila w domku Purtaka. My wiemy więc, że to on kryje się za sprawkami rzekomej ligi. Ciekawe, co pomyślał pani ojciec, gdy zobaczył wreszcie Bila przed drzwiami swego mieszkania?

— Powiedział, że żeglarze zlekli się groźby wyrzucenia ich z bindugi.

— O Purtaku nie pomyślał?

— Ani trochę. Uważa, że jest nonsensem podejrzewać kierownika ośrodka o takie głupie intrygi.

— A pani, co o tym wszystkim naprawdę sądzi?

— Nie wiem, co o tym myśleć. Słyszałam głos Bila w domku Purtaka. Ale nie mogłabym sobie dać uciąć głowy, że to był właśnie Bil.

— Skomlał za drzwiami.

— No tak, ale...

— A więc jest jakieś „ale”? Nie chce pani uwierzyć w przewrotność Purtaka. Dlaczego? Bo zależy pani na znajomości z Purtakiem i Pięknym Antonio. Obiecali pani posadę w Warszawie. Winnetou ma rację mówiąc, że białym skwaw nie można wierzyć. On jest przekonany, że to pani zdradziła nas Purtakowi.

Opadła na krzesło obok mojego stolika. Twarz ukryła w dłoniach, jakby jej się na płacz zbierało. Opanowała się jednak.

— Wiem, że Winnetou sądzi mniej jak najgorzej — wyszeptała. — Od chwili, gdy dostałam sztucer z lunetą japońską, znienawidził mnie. Nie cierpi każdego, kto nie prowadzi takiego trybu życia jak on. A ja nie zgadzam się z nim pod wieloma względami. Lecz nie zdradziłam was, przysięgam. Och, gdyby pan domyślał się, jak bardzo mi zależy na przyjaźni z Winnetou i jego sympatii. Lecz wszystko sprzysięga się przeciwko mnie...

— Halina nas zdradziła — stwierdziłem.

— Ona?

— Nie cierpi pani, bo wydaje jej się, że pani zabiera jej Pięknego Antonia. Chciała pokłócić panią z Purtakiem i jego towarzystwem, udowodnić Purtakowi, że pani stoi po naszej stronie. I dopięła swego. Purtak już nie będzie miał do pani zaufania. Omyliła się jednak co do Antonia. Jego te sprawy nic nie obchodzą. Jemu pani się bardzo podoba...

— Dzwonił tu dziś rano i proponował przejażdżkę swoją nową motorówką.

— Zgodziła się pani?

— Nie miałam czasu.

— Tylko dlatego? — zapytałem, patrząc na nią uważnie. Albowiem zdawało mi się, że odgaduję w tej dziewczynie jej głęboko ukrytą tajemnicę.

— Winnetou... — mruknąłem.

Położyła mi dłoń na ustach:

— Błagam pana, niech pan nie mówi tego, o czym pan myśli w tej chwili.

— Dobrze — skinąłem głową.

Była smutna, zgaszona.

— Wszystko sprzysięgło się przeciw mnie. Uchodzę w jego oczach za morderczynię zwierząt. Podejrzewa, że to ja zdradziłam wszystko Purtakowi. A teraz jeszcze...

— Co się stało?

— Dziś był u mnie komendant posterunku, porucznik Kluźniak, i zadał mi mnóstwo dziwnych pytań. Okazało się, że ktoś podrzucił Winnetou skradzione z radiowężła lampy. Komendant podejrzewa, że ja również jestem w tę sprawę wmieszana, ponieważ gdzieś tam znaleziono łuskę z mojej dubeltówki.

— To prawda. Odkryliśmy ślady, które doprowadziły nas na brzeg jeziora do miejsca, gdzie złodzieje przybyli łódką. Najprawdopodobniej byli to dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Jedna paliła giewonty i malowała usta perłową szminką...

— Nie palę i nie maluję się.

— Na piasku leżała łuska z dubeltówki kaliber dwadzieścia. Tylko pani ma w tej okolicy taką strzelbę.

Krwawa Mary pokręciła głową:

— Nie mam pojęcia, skąd wzięła się tam moja łuska, Komendant opisał mi miejsce jej znalezienia. Nie byłam tam w tym roku.

— A kiedy ostatnio polowała pani?

— Z dubeltówką? Cztery dni temu. Strzelałam do łysek, ale w zupełnie innej stronie.

— Czy polowała pani z łódki?

— Oczywiście. Ojciec ma ciężką krykę, pożyczyłam więc łódkę w ośrodku wczasowym. Lekką, spacerową łódź, na polowanie.

— Strzelała pani z łódki?

— Kilkakrotnie.

— I w łódce zostały łuski?

— Nie pamiętam, ale najprawdopodobniej łuski upadły na dno łódki.

— Teraz już wszystko rozumiem. Łódkę pani zwróciła ośrodkowi, ale łusek pani nie wyjęła. Potem tej samej łódki użyli złodzieje. Dwaj mężczyźni poszli z lampami do lasu, do domu Winnetou, a kobieta, która została na brzegu, nudziła się, paliła papierosy, trafiła nogą na łuskę, podniosła ją i wyrzuciła na brzeg. Oczywiście, nie zrobiła tego w tym celu, aby na panią rzucić podejrzenia.

— A kim mogła być ta kobieta?

— Myślałem z początku, że to sekretarka Purtaka. Używa perłowej szminki. Ale pali carmeny, a nie giewonty.

— Carmeny? — zdumiała się Krwawa Mary. — Przecież to bardzo drogie papierosy.

— A jednak sam widziałem, że wczoraj na zabawie paliła carmeny.

— Może wyjątkowo na zabawę kupiła paczkę carmenów albo ktoś ją poczęstował. Nie wiem, jakie ona pali papierosy, ale na pewno nie carmeny.

— Ma pani rację. Nie pomyślałem o tym, że sekretarki w ośrodku wczasowym nie stać na takie drogie papierosy. Jak z tego wynika, nie mógłbym być detektywem, bo jestem za mało spostrzegawczy.

— Och, niech pan tak nie mówi. Jest pan świetnym detektywem.

Wskazałem naradzających się motorowodniaków:

— A oni nad czym tak debatują? Nawet o swoich radioodbiornikach zapomnieli.

— Nie czytał pan dzisiejszej gazety? Zamieszczono list ze Złotego Rogu.

I przyniosła mi dzisiejszą gazetę, wskazując na korespondencję umieszczoną w dziale Listy od Czytelników.

Przeczytałem:

Do jednego z piękniejszych zakątków Polski należy grupa jezior koło miejscowości Złoty Róg. Jest to kilka jezior, połączonych ze sobą wąskimi przesmykami. Co roku przyjeżdża tu coraz więcej turystów, motorowodniaków i żeglarzy, bo jeziora mają piękne brzegi i stosunkowo czystą wodę. Niestety, rybacy w Złotym Rogu, należący do zespołu Państwowych Gospodarstw Rybackich, przegrodzili przesmyki sieciami i żakami, co bardzo utrudnia motorowodniakom przepłynięcie z jednego jeziora na drugie. Tego rodzaju praktyki rybaków nie są chyba wskazane, nie tylko ze względu na turystykę wodną, ale i ochronę środowiska naturalnego. Przez oka sieci i żaków mogą przepływać tylko małe ryby, duże zaś dostają się w sieci i są wyławiane. W ten sposób uniemożliwia to naturalną wymianę dużych okazów między

jednym a drugim akwenem wodnym. Taką gospodarkę rybacką należy uznać za niestuszną i rabunkową.

(imię i nazwisko znane redakcji)

Żeglarz-turysta

— I to o tej korespondencji dyskutują tak zawzięcie nasi motorowodniacy?

— Są bardzo zaniepokojeni.

— Dlaczego? Przecież jeśli artykuł odniesie właściwy skutek, rybacy będą musieli zdjąć żaki z przesmyków i motorowodniakom ułatwią turystykę wodną.

— Och, pan nie zna tutejszych stosunków. Dzięki tym żakom na przesmykach rybacy mają lepsze połowy. Jeśli im każą zdjąć żaki, rozeżłą się na turystów. Żeglarzom nie będą mogli dokuczyć, ponieważ oni biwakują na bindudze, a ta należy do nadleśnictwa. Ale motorowodniacy zamieszkują wyspę, która jest własnością zespołu Państwowych Gospodarstw Rybackich. Rybacy ze Złotego Rogu od dawna już proszą dyrekcję swego zespołu o zezwolenie na wypas krów i byków na tej wysepce. Dyrekcja jednak, ze względu na turystów, zakazywała przewożenia tam byków, które mogą narobić szkody biwakującym. Trudno przewidzieć, co się teraz stanie. Być może dyrektor zespołu poczuje się urażony korespondencją w gazecie, każe zdjąć żaki z przesmyków, ale jednocześnie zezwoli rybakom na wypas bydła na wyspie, co jest jednoznaczne z wypędzeniem motorowodniaków. Woleli oni podnosić silniki w chwili przepływania nad żakami, a mieszkać na wyspie.

— Ależ to identyczna historia, jak ta z kradzieżą psa i bindugą. Tylko że tym razem napisano list do redakcji i chodzi nie o bindugę, a o wysepkę.

— Znowu podejrzewa pan Purtaka?

— Oczywiście. To najpewniej on przebrał się w strój „żeglarza-turysty”. Mówiłem pani, że w jego planach leży wypędzenie żeglarzy z bindugi, a motorowodniaków z wyspy. Gdy turystów nie będzie już ani na bindudze, ani na wyspie, wystąpi do nadleśnictwa i do PGR o jedno i drugie miejsce na poszerzenie ośrodka wczasowego. Ani nadleśnictwo, ani PGR nie znajdują argumentów, aby ośrodkowi odmówić tych terenów.

— Czy pan naprawdę sądzi, że Purtak to jakiś demon zła?

— Nie. Po prostu wielki spryciarz i urodzony intrygant. Chce za wszelką cenę przenieść się do Warszawy.

— Myślę, że można w redakcji gazety sprawdzić, co to za „żeglarz-turysta”?

— Wątpię, skoro zastrzegł sobie anonimowość. Co innego, gdyby podane w korespondencji fakty okazały się fałszywe i krzywdzące kogoś, wówczas redakcja ujawniłaby nazwisko autora listu. Takie są obyczaje prasowe.

— Więc nie dowiemy się, kto jest tym tajemniczym „żeglarzem”?

— W każdym razie nie poprzez redakcję. Autora listu trzeba szukać tu, na miejscu. Zresztą, przecież wiemy, gdzie go szukać.

— Ach, pan ciągle o Purtaku. Niestety, tym razem nie mogę dać wiary pańskim podejrzeniom. Po prostu nie może mi się pomieścić w głowie, że on jest zdolny aż do tak piekielnie przewrotnej intrygi.

— Rozczarowuje mnie pani.

— Rozczaruję pana jeszcze bardziej, gdy powiem, że zdecydowałam się przyjąć w Warszawie pracę kierowniczkę klubu-kawiarni przyzakładowej. Postanowiłam wyjechać ze Złotego Rogu. — To mówiąc smutnie popatrzyła w okno, przez które widać było jezioro — szary przestwór wód okolony ciemnozielonym lasem.

— No cóż, zrobi pani tak, jak zechce — powiedziałem, wstając od stolika.

Byłem naprawdę bardzo rozczarowany postawą Krwawej Mary. Okazała się jedną z tych wielu dziewcząt, które marzą, aby opuścić swoją rodzinną wieś choćby była najpiękniejsza — i przenieść się do wielkiego miasta. Ale czy miałem prawo ją potępiać? Czy jest w tym coś złego, że młoda, ładna dziewczyna chce mieć pod bokiem kino, teatr, nowe towarzystwo, szybsze tempo życia? Gdyby potępiać takich jak ona ludzi, należałoby to samo zrobić wobec dziesiątków tysięcy osób, które rokrocznie opuszczają wioski i przenoszą się do miast. A za godną pochwałę postawę trzeba by uznać jedynie krok Winnetou, który porzucił wielkie miasto i przeniósł się do swego wigwamu nad jeziorem. Ale przecież tak jak on nie mogą robić wszyscy! Rozwijający się przemysł potrzebuje wciąż nowych rąk do pracy. Czy to nam się podoba, czy nie, co roku pewna liczba mieszkańców wsi przeniesie się do miasta i jest to proces zupełnie naturalny.

Ale przecież czułem jednak żal do Krwawej Mary. Ukłoniłem się jej chłodno i opuściłem kawiarnię. Pośpieszyłem do Winnetou, aby powiadomić go o nowej intrydze Purtaka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

KŁAMSTWO SZAREJ SOWY • O KARAMPUKACH SŁÓW KILKA • DZIWNY POMYSŁ • KIEDY ZAKOPIEMY TOPÓR WOJENNY? • BLADE TWARZE I PRZYRODA • JAK BĘDZIE WYGLĄDAŁ ŚWIAT? • CZY MOŻNA NAUCZYĆ LUDZI CHODZIĆ PO LESIE? • PORTRET ANNY ORZELSKIEJ • MÓJ PODWÓJNY JĘZYK • NA WZBURZONYM JEZIORZE • CZY GROZI NAM KATASTROFA?

Na drodze do leśniczówki napotkałem Elisabeth. Szła wolno w lekkich pantofelkach i błękitnej sukience, dźwigając swój nesoser. Domyśliłem się, że idzie do przystanku autobusowego.

Wydała mi się prześliczna z tymi włosami na pazia, zgrabną sylwetką i manierami wielkiej damy. Znowu przypomniała mi Annę Orzelską z portretu w Nieborowie.

I nagle zrobiło mi się żal, że odjeżdża i oto nigdy już jej nie zobaczę.

Zahamowałem, aż koła podniosły tuman kurzu.

— Ach, milady — zawołałem, wyskakując z wehikułu. — Czy pani, broń Boże, nie zamierza wyjechać?

Kichnęła raz i drugi. Tuman kurzu powoli opadał.

— Tak, właśnie idę do autobusu...

— Za późno — skłamałem beczelnie. — Widziałem, jak odchodził.

Zdziwiła się i spojrzała na zegarek:

— Przecież dopiero jedenasta. Autobus odchodzi o jedenastej trzydzieści.

— Pani zegarek źle chodzi. Spóźnia się właśnie o te pół godziny.

— Do tej pory był punktualny. Może zapomniałam go dziś nakręcić.

— Proszę, niech pani wsiada do samochodu. Nie pozostaje nic innego jak powrócić do leśniczówki. Nikt z niej pani nie wypędza.

— No tak, ale nie wiem, czy wypada...

— A cóż w tym złego, że pozostanie pani tutaj jeszcze przez jeden dzień? Chce pani spędzić urlop w Warszawie? Zresztą, Winnetou zapraszał panią do swego wigwamu. Nie wypada nie złożyć mu wizyty.

— Tak pan myśli? — zastanawiała się, wsiadając do wehikułu. — A czy moja obecność nie sprawi mu kłopotu? Ja zupełnie nie wiem, jak należy postępować z Indianami. Obawiam się, że mogę postąpić nietaktownie i on się obrazi. A poza tym trochę się go boję. A także tego Milczącego Wilka. Czy oni zawsze mają na twarzach takie straszne barwy?

— Mam nadzieję, że dziś nie wyruszają na wyprawę wojenną.

— A panu... czy nie sprawiam zbyt wielkiego kłopotu?

— Mnie?

— No tak. Wydawało mi się, że chwilami bardzo pana irytuję. Myślę, że Antonio miał rację mówiąc o mnie, że jestem trochę jak sopel lodu. A ja naprawdę nie wiem, jak postępować z mężczyznami, żeby czuli się dobrze w moim towarzystwie.

— Pani jest bardzo piękna...

— Ach, wszyscy mi to mówią, ale tak naprawdę to nikt się mną nie interesuje.

— Proszę się tym nie przejmować. Dla mnie i dla Winnetou jest pani prawdziwą lady. Nieczęsto zdarza się spotkać damę. Wydaje mi się, że potrafimy to docenić.

— Naprawdę? — i z największą ufnością popatrzyła na mnie swoimi błękitnymi oczami Anny Orzelskiej.

Zajechaliśmy przed leśniczówkę. Zaniósłem jej bagaż do pokoju, a gdy wróciłem na dół, zastałem ją rozmawiającą z żoną leśniczego.

— Zostałam zaproszona do wigwamu pana Winnetou — informowała ją Elisabeth — ale naprawdę nie wiem, czy wypada mi tam pójść.

— Ale dlaczego?

— Pan Winnetou mówił mi, że jest dzikim mężem...

— Ach, nie jest aż tak bardzo dziki, jak to o sobie twierdzi. Zapewne zastanie pani w jego wigwamie także i mojego męża. Ale tam to on nazywa się Cicha Stopa. Umie chodzić po lesie niemal bez szmeru i dlatego nazwali go Cichą Stopą. Dziś nad ranem obydwaj z Winnetou ustrzelili potężnego odyńca. Mąż skończył wcześniej zajęcia służbowe i poszedł pomóc go oprawiać.

— Czy będę mógł pożyczyć łódkę? Chciałbym z panią Elisabeth popłynąć do Winnetou — zwróciłem się do pani Anny.

— Niestety, łódkę pożyczył jeden z gajowych — odrzekła.

Zmartwiła mnie ta wiadomość, bo nie wiedziałem, jak w tej sytuacji dotrzeć do wigwamu Winnetou. Wehikułem nie zamierzałem płynąć. Wieloletnie doświadczenie nauczyło mnie, abym krył właściwości mego pojazdu.

— A może znajdą się jakieś gumowe buty dla pani Elisabeth? Znam drogę przez bagna, ale nie można jej przebyć w pantofelkach.

Pani Anna miała nogę nieco większą niż milady, ale po włożeniu filcowej wkładki Elisabeth mogła nosić jej gumki. Nałożyła je i wyruszyliśmy obydwójce przez ols jesionowy. Oczywiście, przedziłem Elisabeth o trudnościach wędrowki, ale nie zrezygnowała.

— Pan ma o mnie złe wyobrażenie, panie Szara Sowo — powiedziała. — Jeśli potrzeba, umiem maszerować. Nie uwierzy pan zapewne, ale lubię gotować. Jestem wytrwała i nigdy nie chorowałam. Wydaje mi się, że potrafiłabym polubić wieś.

— Och, muszę o tym powiedzieć Winnetou. On powinien się ożenić.

— Z Indianką, prawda?

— Przecież on nie jest Indianinem, milady. To słynny malarz i grafik. Zauważyłem, że z wielkim zainteresowaniem odnosi się do pani.

Zatrzymała się przed ogromnym rozlewiskiem wody i błota.

— Nie pójde dalej — stwierdziła. — Zachowuje się pan jak Piękny Antonio. On przywiózł mnie tu dla Purtaka, a pan prowadzi mnie dla Winnetou. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak

się dziwnie dzieje, że ilekroć poznam jakiegoś pana, mimo zachwyków, których mi nie szczędzi, natychmiast pragnie mnie poznać z kimś innym.

— O, milady, pani mnie opacznie rozumiała. Wychwalam zalety Winnetou, aby zniknęły pani obawy przed jego osobą.

Popatrzyła mi w oczy i rzekła twardo:

— Ja się nikogo nie boję. Ani Antonia, ani Purtaka, ani pana, ani Winnetou. Nie lękam się również ciemności, żab i myszy.

I chyba mówiła prawdę. Mimo delikatnego wyglądu i wytwornych manier w gruncie rzeczy twarda z niej była dziewczyna. Zręcznie przechodziła po pniach, leżących w bagnie, śmiało brnęła po kostki w mule i uginającym się pod nogami mchu. Z przyjemnością obserwowałem jej harmonijne ruchy, zgrabne nogi, wysmukłą postać.

Kiedyś moda robiła wszystko, aby w kobiecie podkreślić jej kobiecość. Towarzyszył temu również sposób bycia, odpowiednio dobrany do płci. Dziś dziewczyna starannie ukrywa swą kobiecość, sposób bycia niczym nie różni jej od mężczyzny, obyczaje są szorstkie i gminne. Po współczesnym świecie całymi stadami chodzą „karampuki”, tato-mamy, babo-chłopcy, o niezdecydowanej płci i nie zdecydowanych obyczajach.

Elisabeth była inna i dlatego zachwycająca. Gdy w pewnej chwili zatrzymała się, aby wejść na spróchniały pień drzewa na trzęsawisku, raptem ująłem ją pod kolana i samemu grzęznąc w błocie przeniosłem dziewczynę na suchy skrawek ziemi. Przytuliwszy do niej głowę, poczułem zapach perfum „Chanel” nr 5, którymi — jak uczyła mnie lektura romansów — pachnieć winna każda prawdziwa dama.

Postawiwszy ją na ziemi, trochę zadyszany, bo była jednak dość ciężka, odezwałem się nieśmiało:

— Milady, czy to będzie bardzo niestosowne, jeśli panią pocałuję?

— W rękę?

— Nie. W usta.

Popatrzyła na mnie z niekłamany zdumieniem:

— Skąd panu taki pomysł przyszedł do głowy?

— Nie wiem. Czasami miewam takie pomysły. Czy to coś złego? Nie mam pojęcia, skąd się one we mnie biorą.

— I często to się panu zdarza? To znaczy, czy często podobne pomysły przychodzą panu do głowy?

— Nie... — wybąkałem.

— A ja myślę, że nawet bardzo często. Podobny wyraz twarzy, jak teraz, miał pan na zabawie w ośrodku, gdy rozmawiał pan z Krwawą Mary. Taki sam wyraz twarzy widziałam u pana, gdy tańczył pan z ową tlenioną blondynką. Mam nadzieję, że to nie jest chorobliwe — stwierdziła i ruszyła ścieżką ku przodowi.

A ja nie wiedziałem: zakpiła sobie ze mnie, czy też dała do zrozumienia, że uważa mnie za nicponia w rodzaju Pięknego Antonia. To już nie sople lodowe. To prawdziwa góra lodowa — pomyślałem — Ocean Lodowaty!

Ale po chwili minął mi zły humor. Oto weszliśmy na suchy pagórek i zahaczyliśmy wysoką palisadę ogradzającą wigwam Winnetou. Wprowadziłem dziewczynę na podwórzec, ukazałem zbudowany z drewnianych bali dom mojego przyjaciela.

Twarz milady wyrażała szczerzy zachwyt.

— Chciałabym tu mieszkać — zawołała.

— I rąbać drewno do kominka — rzuciłem zjadliwie.

— Naturalnie. Tylko musiałabym mieć lekką siekierkę.

— I nosiłaby pani wodę z jeziora?

— Oczywiście. Ale musiałabym mieć małe wiadro.

— A zimą, milady? Zimą jest tu śnieg po kolana i jezioro zamarza.

— Sprawiałabym sobie długie buty...

Wyszedł Winnetou ubrany w swój zwykły strój — spodnie zamszowe i kurteczkę z weluru. Nie miał na twarzy barw wojennych. Czarne, gładko przyczesane włosy przylegały do głowy, twarz była ogorzała i piękna. Nie wyglądał na swoich trzydzieści pięć lat.

— Milady — skłonił się jej dwornie — miło mi powitać panią u wejścia do mego wigwamu. Dziś rano upolowałem dzika. Przed chwilą, razem z Milczącym Wilkiem i Cichą Stopą, oprawiliśmy go i teraz smażymy dziczą wątrobę. Mam nadzieję, że piękna biała skwaw i mój brat Szara Sowa nie pogardzą skromną strawą dzikich mężów.

Milady dygnęła jak pensjonarka. A Winnetou ujął ją pod rękę i wprowadził do wigwamu. Na wielkim kamiennym palenisku płonął ogień podgrzewający patelnię, na której smażyła się smakowicie pachnąca wątroba dzika. Nad ranem leśniczy Piątkowski i Winnetou zaczęli się w pobliżu uprawy ziemniaczanej pod lasem, gdzie — jak powiadomił ich jeden z rolników w Złotym Rogu — co noc przychodził jakiś wielki dzik i robił ogromne szkody. Dziką zabił Winnetou, wypatroszyli go z leśniczym i odwieźli do gospody ludowej w Złotym Rogu, a sobie — zwyczajem myśliwskim — pozostawili tylko wątrobę. Teraz przyrządzano ją na kolację.

Przy kominie zasiadło nas pięcioro: lady Elisabeth, Winnetou, Milczący Wilk, leśniczy i ja. Czy trudno odgadnąć, o czym zaczęli rozmawiać ludzie kochający wiatr, wodę, szum lasu i

ciszę wielkich jezior? Oczywiście, jedynym tematem, który ich nigdy nie znudzi, jest właśnie las i woda, przygody przeżyte podczas wędrówek.

Opowiedziałem o rozmowie z Krwawą Mary i o liście, który ukazał się w gazecie, budząc niepokój motorowodniaków. Winnetou skwitował tę wiadomość ostrymi słowami:

— Błada twarz nazwiskiem Purtak nie spocznie, dopóki nie poszerzy posiadłości ośrodka wczasowego, bo spodziewa się za to służbowego przeniesienia do Warszawy. Ale tak, jak pokrzyżowaliśmy jego plany zagarnięcia bindugi, tak być może potrafimy nie dopuścić do zagarnięcia wyspy. Lada dzień należy oczekiwać odpowiedzi Wielkich Wodzów z Warszawy. A gdy zgodzą się nasze jezioro objąć strefą ciszy, wówczas wyniosą się stąd motorowodniacy, a i zakład pracy będzie gdzie indziej szukać miejsca na ośrodek wczasowy. Pójdą tam, gdzie będzie można grzmieć krzyżącymi ustami i jeździć na śmierdzących motorówkach. Błade twarze z ośrodka wczasowego nie potrafią żyć bez hałasu i smrodu spalin. Trawa porośnie ośrodek wczasowy, a my zakopimy wówczas topór wojenny.

Z powątpiewaniem pokręciłem głową:

— Decyzja o strefie ciszy może rozzłościć Purtaka, ale w gruncie rzeczy będzie ona na rękę także i wczasowiczom z ośrodka. Będą mogli odpoczywać w ciszy i spokoju, kąpać się w czystej wodzie. Porzucą motorówkę, zamkną radiowęzeł, a do wycieczek po jeziorze zaczną używać tylko łódek, kajaków, rowerów wodnych i żaglówek. Jeśli mój brat Winnetou nie zgodzi się z faktem, że ośrodek wczasowy i blade twarze mają tutaj rację bytu, spotka go klęska. Błade twarze muszą znaleźć miejsce na wypoczynek po ciężkiej pracy.

Winnetou milczał długą chwilę. Ale wreszcie rzekł:

— Odwiedziłem kiedyś Stany Zjednoczone. Byłem także w kraju, który nazywa się Japonia, i w wielkim jego mieście o nazwie Tokio. I co tam widziałem? Oglądałem miasta o tak zadymionych spalinami ulicach, że policjanci, kierujący ruchem, musieli mieć na twarzach maski z tlenem. Widziałem kioski uliczne, gdzie sprzedawano ludziom łyk czystego powietrza. Widziałem połacie ziemi zmienionej w śmietnisko. Widziałem ogromne obszary niegdyś żyznej ziemi zamienione w jałową pustynię. Widziałem rzeki i jeziora martwe od jądów, które wydzielają fabryki. Oglądałem ginące od dymu lasy. Widziałem jeziora tłuste od rozlanej na nich ropy naftowej i oleju... Nasza ojczyzna jest pięknym krajem. Czy możemy dopuścić, aby i u nas wszystko zmieniło się w jedno wielkie śmietnisko? To prawda, że Wielcy Wodzowie wydali zbiór przepisów o ochronie środowiska naturalnego, który może być przykładem dla całego świata. Ale czy wszyscy stosują się do tych przepisów? Czy nie jest tak, że wiele zakładów pracy woli płacić kary za zatrucie rzek i jezior, zamiast budować oczyszczalnie ścieków? Mylicie się sądząc, że Winnetou jest przeciw wszystkim bładym twarzom nad jeziorem. Niech mają swój ośrodek wczasowy na półwyspie. Ale jak on wygląda? Zabudowali go ohydnymi barakami, zamiast poradzić się plastyków i konserwatorów przyrody i wybrać taki typ domku campingowego, który harmonizowałby z krajobrazem. Mają pieniądze na dalsze baraki w nowych miejscach, a szkoda im pieniędzy na kanalizację. Wolą spuszczać brudy do jeziora, w którym się kąpią. A czy ich obecność tutaj musi wiązać się z hałasem gigantofonów, radiodbiorników, z łoskotem silników? Dlatego nie wolno dopuścić do tego, aby otrzymali jeszcze bindugę i wyspę. Na bindudze powinna w przyszłości stać stacja wodna dla żeglarzy i kajakowiczów. A wyspę niech pozostawią bezludną jako miejsce lęgowe dla ptactwa wodnego. Oto i wszystko, co chce osiągnąć Winnetou.

Głos zabrał, małowówny zazwyczaj, Milczący Wilk:

— Winnetou powiedział prawdę. Walka nasza nie będzie łatwa i krótka. Nie tak szybko zdołamy zakopać topór wojenny. Ludzie w wielkich miastach duszą się od zatrutego powietrza i głuchną od hałasu. Tragedia polega jednak na tym, że gdziekolwiek wyruszą w poszukiwaniu ciszy i czystego powietrza, niosą ze sobą smród spalin i hałas.

— Tak jest — zgodziłem się z Milczącym Wilkiem.

— A więc rzecz polega na tym, aby chronić przyrodę nie przed ludźmi, ale dla ludzi. I taki powinien być nasz program działania. A skoro cel naszej walki jest słuszny, mamy obowiązek stosować legalne metody walki, bo tylko takie mogą odnieść skutek. Purtak działa przy pomocy intryg i kłamstw. A my? Słusznie postąpił Winnetou opracowując memoriał. Jestem pewien, że znajdzie on zrozumienie u Wielkich Wodzów w Warszawie. Ale to jeszcze mało.

— Zgadzam się — podchwycił moje słowa Cicha Stopa. — Groźenie toporem wojennym nie na wiele się zda. Trzeba stosować zupełnie inne formy działania. Wydaje mi się, że sprawą ochrony przyrody powinniśmy zainteresować młodzież. Przed tygodniem odwiedziłem obóz harcerzy, położony nad drugim jeziorem. O trzy kilometry od nich znajduje się rezerwat kormoranów. Na stosunkowo niewielkiej przestrzeni, na drzewach obrastających mały półwysep, ptaki zbudowały ponad sześćset gniazd. Ale ta kolonia chyba wkrótce ulegnie likwidacji Dlaczego? Właśnie z powodu bladych twarzy z ośrodka wczasowego kierowanego przez Purtaka. On wszystkim wczasowiczom radzi odwiedzić rezerwat kormoranów. I nad jezioro idą codziennie gromadki turystów. Z aparatami radiowymi, krzycząc i hałasując. Podchodzą do drzew, na których znajdują się gniazda, płoszą ptaki, nie dają im spokojnie wysiadywać młodych. Purtak radzi zwiedzać, ale nikogo nie informuje, jak się powinni zachować w takim miejscu. Opowiedziałem o tym harcerzom. I wiecie, co zdecydowano? Wyznaczyli patrole. Codziennie wokół rezerwatu krążą teraz warty harcerskie, nie dopuszczając turystów bezpośrednio pod drzewa, na których znajdują się gniazda, przypominając o zachowaniu ciszy. Turyści oglądają z pewnej odległości, co zresztą w niczym nie odbiera wrażeń, ponieważ właśnie z daleka łatwiej obserwować ptaki na gniazdach. Jestem pewien, że ta grupa harcerzy będzie już przez całe życie wiedziała, w jaki sposób powinno się zachowywać w rezerwacie przyrody. Staną się oni nowymi obrońcami naturalnego środowiska człowieka.

Z dużym uznaniem przyjęliśmy opowiadanie Cichej Stopy. Ja także byłem zdania, że takie formy walki są warte upowszechnienia. Ale jedno wydało się nam bezsporne. Nieszczęściem dla przyrody nie są ośrodki wczasowe nad jeziorami i w lasach, ale niewłaściwe nimi zarządzanie przez ludzi pokroju Purtaka. W imię poszerzenia terenów rekreacyjnych chcieliby oni zawładnąć jeziorami i lasami, poogradzać je drutami kolczastymi, zabudować koszmarnymi budkami, napełnić brudem i hałasem.

Dla wielu ludzi las to tylko zbiorowisko drzew. Ale właśnie to zbiorowisko drzew wytwarza swoisty mikroklimat, pewien układ warunków, który naukowcy nazywają biocenozą. W lesie wszystkie rośliny są w jakiś sposób od siebie zależne i mogą żyć jedynie w tej współzależności. Wielkie drzewo potrafi rozrastać się właśnie dlatego, że ma odpowiednie podłoże, gdzie egzystują małe krzewy, zioła, bakterie. Niszczenie tego podłoża — zrywanie ziół, kwiatów, wydeptywanie mchów, porostów — powoduje umieranie bakterii umożliwiających rozwój życia roślin, a tym samym niszczy cały las.

Lady Elisabeth, wpatrzona w blask ognia buszującego na kominie, w milczeniu przysłuchiwała się naszej rozmowie, nie zabierając głosu. Była zachwycona wnętrzem wigwamu i wspaniałymi ilustracjami Winnetou do książek o Indianach i zwierzętach. Podobały się jej proste meble w wigwamie, skóry służące jako dywany i pokrycia na ławach. Szybko zorientowała się, że ma do czynienia z ludźmi wykształconymi i kulturalnymi, których połączyła miłość do przyrody.

Jadła więc ze smakiem wątróbkę z dzika i popijała ją herbatą. Winnetou i Milczący Wilk, jak przystało na dzikich mężów, nie używali widelców. Cicha Stopa i ja również przystosowaliśmy się do tej konwencji. Ale dla lady znalazł się i nóż, i widelec, choć wyraziła gotowość jedzenia na sposób indiański. Albowiem prawdziwa lady, nawet jedząc palcami, nie przestaje być damą.

Czas mijał szybko.

— Już dziewiąta — w pewnej chwili stwierdził Cicha Stopa.

— Dziewiąta? — upewniła się lady, spoglądając na swój zegarek.

— Z całą pewnością — potwierdził leśniczy.

— Ach tak — mruknęła lady, a potem zwróciła się do Winnetou: — Tyle razy wspominał pan, że białe skwaw mają podwójne języki. A cóż należy sądzić o mężu, który ma także rozdwojony język?

— Godzien jest potępienia — wyrzekł z powagą.

— W takim razie musicie potępić Szarą Sowę. Okłamał mnie, gdy szłam dziś do autobusu, aby odjechać do Warszawy. Powiedział, że mój zegarek spóźnia się o pół godziny. Okazuje się jednak, że zegarek chodzi punktualnie.

Zapadło milczenie. Winnetou, Milczący Wilk i Cicha Stopa patrzyli na mnie z uwagą, czekając, jak wyjaśnię im tę sprawę. Lecz ja jakbym nabrał wody w usta.

— Czy Szara Sowa ma coś na swoją obronę? — zapytał Winnetou.

— Nie.

— Więc Szara Sowa przyznaje się, że okłamał białą skwaw?

— Owszem. Albowiem nie chciałem, żeby wyjechała ze Złotego Rogu.

— A dlaczego?

— Przykra mi była myśl, że biała skwaw spędzi swój urlop w dużym mieście, ponieważ Piękny Antonio ją oszukał, a ona nie załatwiła sobie żadnych wczasów. Poza tym biała skwaw bardzo mi przypomina pewną bliską mi osobę.

— Kogo? — zainteresowała się Elisabeth.

— Byłem wówczas studentem historii sztuki i wiele czasu spędzałem w pałacu w Nieborowie, pomagając tamtejszemu kustoszowi. Wpadł mi w oczy portret Anny Orzelskiej, tak zwanej błękitnej damy, córki Augusta II Mocnego. Zakochałem się w niej pierwszą młodzieńczą romantyczną miłością. Lady Elisabeth trochę przypomina mi tamtą damę. Żal mi było, że odjeżdża...

— Hm — chrząknął niepewnie Winnetou i spojrzał pytająco na Milczącego Wilka i Cichą Stopę. — Co moi bracia sądzą o tej sprawie? Jaki wydadzą wyrok na Szarą Sowę?

— Ach, nie musicie być specjalnie surowi — powiedziała w mojej obronie Elisabeth — w gruncie rzeczy jestem bardzo zadowolona, że tu pozostałam i poznałam miłe towarzystwo. Szarą Sową kierowały szlachetne pobudki.

— Mimo to bardzo źle postąpił — pokiwał głową zmartwiony tą sprawą Winnetou.

— Bardzo żałuję swego postępu... — mruknąłem.

— Co takiego? — oburzyła się milady. — Gotowa byłam mu wybaczyć jego kłamstwo, bo dowiedziałam się, jak mu bardzo zależy na mojej obecności. Ale skoro on teraz żałuje, że pozostałam w Złotym Rogu, czuję się głęboko dotknięta. Bardzo proszę o surowy wyrok.

— Zgoda — przytaknął Winnetou. — Ale nam, przyjaciołom, trudno będzie wynaleźć dla niego karę. Niech więc pani sama osądzi Szarą Sowę i wyda wyrok.

— Dobrze — zgodziła się lady — przemyślę jego winę i wezmę pod uwagę skruchę. A swoją drogą, ciekawa jestem, jak wygląda Anna Orzelska.

— O, to się da załatwić — uradował się Winnetou. Podeszedł do ściany, odsunął misternie ukryte drzwi; ukazała się dość bogata biblioteka.

— Mam tu album o Nieborowie — powiedział. Wyciągnął książkę, przekartkował ją i podał milady otwartą na stronie z reprodukcją portretu pięknej damy.

Elisabeth długo wpatrywała się w portret. Wreszcie z westchnieniem zamknęła książkę:

— Nie wiem, czy rzeczywiście jestem do niej podobna. Jeśli jednak chodzi o młodzieńczą miłość Szarej Sowy, to trzeba przyznać, że ma on dobry gust. Szkoda tylko, że, jak wynika z podpisu, dama ta liczyłaby dziś ponad dwieście lat. Jemu jednak, jako muzealnikowi, zdaje się to zupełnie nie przeszkadzać.

Złośliwa z niej osobka. Moi przyjaciele parsknęli śmiechem. Ale wybaczyłem jej ostry język. Przepięknie bowiem wyglądała w blasku ognia, tańczącego na wielkich polanach w kominie. Jej długie rzęsy rzucały na policzki bardzo wyraziste cienie, na czole i policzkach pełzał migotliwy złoty blask, a dłonie, które spoczywały na obnażonych kolanach, miały żółtawą barwę kości słoniowej. Nie mogłem się jej napatrzeć, bo na tle drewnianych ścian domu Winnetou, w swej błękitnej sukience, wydawała się jakby damą z portretu lub starego sztychu. I mówiąc prawdę zupełnie nie czułem się winny, że moje kłamstewko zdecydowało o jej pozostaniu w Złotym Rogu.

Gdy wyszliśmy przed dom, pora już bowiem była wracać do leśniczówki, dziewczyna zadrżała od chłodu.

Noc była ciemna i wietrzna, po niebie pędziły ogromne zwaliska chmur i tylko od czasu do czasu ukazywał się księżyc. Ponuro szumiał las otaczający wigwam. Winnetou i Milczący Wilk postanowili nas odstawić łódką. Należało się spodziewać, że na jeziorze będzie jeszcze zimniej.

— Milady — odezwał się Winnetou — czy zgodzi się pani przyjąć ode mnie skromny indiański przyodziewek? Mokasyny, spodnie z frędzlami i bluzę podszytą futerkiem.

Przystała na tę sensowną propozycję. Wróciliśmy do wigwamu; Winnetou otworzył jedną ze swych potężnych skrzyń. Zawierała ona stroje indiańskie i przeróżne inne rekwizyty, które potrzebne były Winnetou, gdy robił ilustracje do książek o Indianach. Oczywiście strój, który wypożyczył milady, nie był oryginalny, a tylko w pewien sposób stylizowany na indiański. Ale wyglądał przepięknie i był ciepły.

Elisabeth przebrała się w niego w ciemnym kącie wigwamu i gdy ukazała się nam, wydała się jeszcze piękniejsza. Wyglądała jak paż królowej ze starego historycznego filmu.

— Milady — skłonił się jej Winnetou — mój brat, Szara Sowa, nie ma podwójnego języka. Myśliwy, gdy poluje na dorodną zwierzynę, ma prawo naśladować głosy rozmaitych zwierząt, aby przywabić ją do siebie. Nikt nie uważa tego za oszustwo. Zręczny wybieg należy do broni wojownika.

— Ach tak? — zdumiała się lady. — Czy tę myśliwską ewentualność miał pan na myśli wspominając o rezerwacie? Zresztą, o ile dobrze usłyszałam, on żałuje swojego postępuku i tego mu nie mogę wybaczyć.

To mówiąc skierowała się do drzwi — wysoka, smukła, wiotka, prawdziwa Sosnowa Igiełka z czytanej przeze mnie kiedyś indiańskiej powieści.

Wypowiedziałem głośno to imię. Winnetou pokiwał głową z uznaniem, a Milczący Wilk powiedział:

— Nasz brat znalazł piękne imię dla milady. Ona jest jak Sosnowa Igiełka, choć nie pachnie lasem, ale perfumami.

Winnetou zarzucił na ramię swoją strzelbę i wyszliśmy przed dom, kierując się do przystani.

Zabłyśła latarka elektryczna w ręku Cichej Stopy. Poza kręgiem światła rozpościerała się nieprzenikniona nocna ciemność i szumiał groźnie las.

Smagani podmuchami wiatru zajęliśmy miejsca w kanu. Milczący Wilk usiadł na dziobie, Winnetou na rufie, a my: lady, ja i Cicha Stopa — w środku. Łódź była wąska, można w niej było siedzieć tylko jeden za drugim. Wiosłowali także tylko Milczący Wilk i Winnetou, posługując się krótkimi wiosłami.

Odbiliśmy od brzegu i wkrótce zaczęło nas mocno kołysać.

Na jeziorze szalały wielkie grzywacze. Co chwila któryś z nich załamywał się i mimo szumu wiatru słyszeliśmy syk piany, rozpraszającej się po wodzie. Na szczęście wiatr wiał od Złotego Rogu tak, że nie zmieniając kierunku mogliśmy płynąć pod fale.

— Czy Sosnowa Igiełka nie boi się fal i wichury? — zawołał Winnetou, przekrzykując łoskot wiatru i szum wody.

Lady milczała, nie wiedząc, do kogo skierowane były te słowa.

— To panią nazwaliśmy Sosnową Igiełką — powiedziałem.

— Mnie?

Jakaś wysoka fala załamała się w pobliżu i bryzgi wody uderzyły ją w twarz. Wzdrygnęła się cała i szybko otarła mokre policzki.

— Nie, nie boję się — odrzyknęła — z wami niczego się nie boję.

Słowa te połechtały miłą naszą męską ambicję. Milczący Wilk i Winnetou zaczęli silniej wiosłować, kierując dziób przeciw falom. Usłyszałem szept lady:

— Czy to imię oznacza, że zostałam Indianką?

— Nie.

— To dobrze. Bo już bałam się, że odtąd każecie mi jeść rękami.

Raptem, gdy na moment zaświecił księżyc — zobaczyliśmy na trawersie jakiś ogromny, zbliżający się ku nam czarny kształt. Jakby jakaś ogromna skała wyrosła nagle przed nami.

— Uwaga! Przed nami duża łajba — krzyknął ostrzegawczo Milczący Wilk.

Winnetou wyjął z kieszeni latarkę z wymiennymi kolorowymi szkiełkami i kilkakrotnie błysnął czerwonym światłem w kierunku zbliżającej się łajby. Albowiem na wodzie panuje zasada, że bardziej zwrotna i szybka jednostka pływająca powinna ustępować jednostce wolniejszej i mniej zwrotnej.

Niestety, z napływającej łajby jak gdyby nas nie zauważono. Uparcie płynęła wprost na nas, ani na chwilę nie zmieniając kursu. Był to chyba jacht żaglowy, ale żagle nie zostały wciągnięte. Nie słyszeliśmy również łoskotu silnika. Czarna masa kadłuba wyrastała z wody coraz bliżej — i było coś groźnego w tej ogromnej sylwetce płynącej ku nam w milczeniu. Jak gdyby dążyła ku nam, aby nas rozbić i zatopić.

A dookoła, jak okiem sięgnąć, rozciągało się rozszalałe jezioro, zewsząd nadbiegały wielkie fale o spienionych grzbietach. Wiatr chłostał nas kroplami piany zerwanej z grzywaczy. Kanu gwałtownie podrywała się do góry, dziobem swym bodąc niebo, potem zaś równie gwałtownie zesuwała się w dół w otwarte na moment czeluście jeziora. I czarny kształt wciąż zbliżał się. Groźny, milczący, cichy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

JACHT ZJAWA • TAJEMNICA BEZLUDNEGO RAMBLERA • RATUJEMY DRYFUJĄCĄ ŁAJBĘ • ZAGADKA ŚLIZGACZA • CZY „SWALLOW” PŁYNIE DO PIEKŁA? • NA POKŁADZIE LATAJĄCEGO HOLENDRA • KTO DOKONAŁ PRZESTĘPCZEGO CZYNU? • URODA MISS KAPITAN • WDZIĘCZNOŚĆ BŁADYCH TWARZY • ŻEGLARZE NA ŚCIEŻCE WOJENNEJ • CZY JESTEM ZMIENNY W SWYCH GUSTACH? • WYRUSZAMY, ABY ZAPOBIEC WOJNIE

Mają swoje legendy morza i oceany, a należy do nich historia Latającego Holendra, który jest zjawą statku. Jeziora mazurskie również obfitują w przeróżne niesamowite opowieści. Ileż to ich osnuto na temat zatopionego na Mazurach luksusowego jachtu, należącego ongiś do jednego z hitlerowskich zbrodniarzy wojennych — Goeringa. Na żeglarskich biwakach słyszy się, że ten i ów widział jacht przepływający nocą w ciszy i bez świateł. Podobno w duszne noce letnie wypływa on z dna jeziora i prowadzony przez upiory krąży bez celu z jeziora na jezioro, omijając wyspy i półwyspy, dopóki błądy świt nie rozwieje go jak poranną mgłę...

Czy i w tej chwili ukazał się przed nami ów jacht-upiór, jacht-zjawa?

Był coraz bliżej. Dzieliło go od nas zaledwie kilka metrów. Jego dziób kierował się w prawy bok naszej łodzi. Na moment ukazał się księżyc — zobaczyliśmy grotmaszt bez żagla, stalowe liny, pusty pokład. Światło księżyca połyskiwało na szybach bulajów, jakby dając jakiś znak, ostrzegając przed czymś lub grożąc.

— Uwaga! Zaraz w nas uderzy — krzyknąłem.

Milczący Wilk i Winnetou ostro pracowali wiosłami, starając się uciec z kursu jachtu-upióra. Ale wielka bryła szła wprost na nas, wiatr i silne fale uniemożliwiały manewry kanu. Nadludzkim wysiłkiem udało się nam odwrócić łódź tak, że dziób jachtu tylko otarł się o naszą burtę. A wtedy Winnetou wskoczył na pokład jachtu. Milczący Wilk także chwycił się burty, ale nie wchodził na jacht, tylko mocno przywarł do niego, nie opuszczając kanu. W ten sposób płynęliśmy razem, trzymani przez Milczącego Wilka.

Po chwili Cicha Stopa i ja również wskoczyliśmy na pokład jachtu.

— Jest pusty, brak załogi — poinformował nas Winnetou, który już zdążył zajrzeć do kabiny, świecąc elektryczną latarką.

Jacht dryfował na jeziorze, niesiony wiatrem i falami. Był to turystyczny rambler[16] z kabiną i żaglami omegi. Kołysało nim mocno, więc Winnetou chwycił za rumpel[17], kierując dziób skośnie do uciekającej fali. Chciał jacht skierować jak najdalej od brzegu, bo przy takim wietrze mógł się rozbić.

— Przywiążcie kanu do jachtu — rozkazał Winnetou. — I wchodźcie wszyscy na pokład. Pomóżcie Sosnowej Igiełce.

Ogromne fale kołysały ramblerem. Chwyciłem pod pachy Sosnową Igiełkę i wciągnąłem ją na jacht.

— O Boże, utoniemy — szeptała milady, gdy któraś z wyższych fal uderzyła w bok ramblera i przewalała się przez pokład dziobowy, zalewając nas zimną, spienioną wodą.

Sosnowa Igiełka miała mokre ubranie, na szczęście zamsz dobrze chronił jej ciało przed wilgocią. Z krótkich włosów ściekała woda, grzywka nad oczami przylepiła się do czoła. Jachtem wciąż mocno kołysało, raz po raz strugi wody zalewały nas wszystkich. Wydawało się, że lada chwila jacht zatonie albo przewróci się na bok.

Milady kurczowo trzymała mnie za ramię, uniemożliwiając jakiekolwiek działanie.

— Utoniemy! Utoniemy! — krzyczała mi w ucho.

Zgromiłem ją:

— Milady! Jest pani wśród dżentelmenów. Nikt nie pozwoli pani utonąć.

Teraz Milczący Wilk odebrał ster od Winnetou i zaczął wydawać rozkazy:

— Wciągnąć grotżagiel aż do trzeciej refy...

Uwolniłem się z uścisku Sosnowej Igiełki i skoczyłem wykonać rozkaz. Brzeg był już blisko, za chwilę jacht mógł się roztrzaskać albo osiąść na mieliźnie, gdzie fale przewróciłyby go w mgnieniu oka. Ratunek zależał od szybkiego działania.

Mokra liklina z trudem posuwała się w lickszarpe[18]. Porządnie namęczyłem się, zanim wciągnąłem do góry kilka ref żagla.

W tę odrobinę żagla wpadł wiatr i Milczący Wilk zdołał jacht postawić bokiem do wiatru, a potem dziobem. Teraz wciągnęliśmy wyżej żagiel.

— Dość! — krzyknął Milczący Wilk, gdy na bomie pozostały jeszcze trzy refy. Przy tak silnym wietrze wolał pływać ze zmniejszoną powierzchnią głównego żagla.

Zawiązałem grotfał na knadze[19] umiejscowionej na cęgach[20] masztu i z dachu kabiny zeskoczyłem do kokpitu. W tym czasie Winnetou przeszedł na dziób i powrócił do nas z informacją, że wyciągnął z wody linę kotwiczną. Jego zdaniem, wyglądała na przeciętą lub przerwaną jakimś ostrym narzędziem. Kotwica została w piasku przybrzeżnym, a wiatr poniósł jacht na jezioro.

— Najpewniej urwał się z bindugi — doszedł do mnie głos Milczącego Wilka.

I w tamtą stronę skierował jacht, każąc mu na razie płynąć lewym halsem. Oczywiście, czekało nas jeszcze parę zwrotów, bo nie sposób płynąć na żaglach wprost pod wiatr. Kanu Winnetou ciągnęła się za jachtem uczepiona na linie cumowniczej.

Na jakiś czas zapanowała kompletna ciemność, bo księżyc okrył się chmurami. Płynęliśmy po omacku, albowiem latarka Winnetou oświetlała wzburzone jezioro tylko na kilka metrów.

Nagle poprzez szum fal i wycie wiatru na wantach doszedł naszych uszu narastający łoskot silnika nadpływającej motorówki. Po chwili zabłysło ostre światło reflektora i omiotło pokład jachtu. Ktoś mijał nas ślizgaczem, który szedł ostro z fali na fale, uderzając dnem kadłuba w grzywy fal.

— Hej, hej, ludzie! — wołał stojący na dziobie Winnetou, wymachując latarką.

Załoga ślizgacza musiała nas zauważyć. A jednak motorówka nie tylko nie zwolniła biegu, ale jak gdyby go przyspieszyła. Zamontowany na motorówce reflektor oświetlał wyraźnie i Winnetou, i nas na jachcie. Wszyscy dawaliśmy płynącym znaki, aby się zatrzymali.

Raptem zgasło światło reflektora i ślizgacz zniknął w ciemnościach nocy.

I znowu przez pewien czas płynęliśmy niemal po omacku, aż wreszcie wyszedł księżyc i oświetlił spienione od grzywaczy jezioro.

— Uwaga! Na trawersie znowu kanu bez załogi! — zawołał Winnetou. — Niech Milczący Wilk przesunie trochę ster w lewo, spróbujemy je schwytać.

Milczący Wilk przesunął rączkę rumpla i dał mi znak, abym przejął ster. Chciał dopomóc Winnetou w zatrzymaniu dryfującej żaglówki.

Ale gdy tylko uważniej wpatrzył się w mrok, krzyknął ponuro:

— To Latający Holender. „Swallow”!

Zauważyłem, że obydwaj opuścili ręce, rezygnując z zatrzymania jachtu.

— Tak. To „Swallow” — mruknął Winnetou. — Niech więc płynie, choćby do piekła.

Nie rozumiałem ich zachowania. Wprawdzie przypomniałem sobie krótką wymianę zdań w kawiarni gdy mówili o tajemniczej Miss Kapitan, ale dla mnie nic to wszystko nie znaczyło. Nie mieliśmy prawa pozostawić jachtu jego własnemu losowi.

— Ja go sam uratuję, jeśli wy nie chcecie — zawołałem.

I skierowałem ramblera do prawego boku dryfującego „Swallowa”. A potem przekazałem ster Milczącemu Wilkowi i chwyciłem się ręką stalowej wanty[21]. Wszedłem na burtę w momencie, gdy obydwaj jachty niemal ocierały się o siebie i przeskoczyłem do kokpitu Latającego Holendra.

— Szara Sowo! Co pan robi? Pan się utopi! — usłyszałem za sobą rozpaczliwy krzyk Sosnowej Igiełki.

Jachty błyskawicznie oddaliły się od siebie. Po omacku chwyciłem rączkę rumpla i obróciłem jacht pod wiatr. Potem w rozkołysanej straszliwie żaglówce na czworakach doszedłem do masztu, znalazłem knagę i zawiązany na nim fał grotu. Podtrzymując lewą ręką bom, prawą zacząłem wciągać żagiel, co przychodziło mi z trudnością, ponieważ jacht znowu stanął bokiem do wiatru, a nie było komu trzymać steru. Ale gdy tylko odrobina żagla znalazła się przy maszcie, jacht stał się zaraz nawietrzny i posłusznie zaczął ustawiać się do wiatru. Teraz

łatwiej mi było wciągnąć na maszt jeszcze kilka metrów żagla, resztę pozostawiając nawiniętą na bomie.

Trzymając szot[22] grota wlażłem na trapez i popłynąłem lewym halsem w stronę bindugi. O kierunku decydowała moja intuicja żeglarska, a nie wzrok, panowała bowiem prawie zupełna ciemność.

Lecz potem ukazał się księżyc i zorientowałem się, że płynę we właściwą stronę. Wyostrzyłem nieco sterem[23] i odtąd szedłem kursem na wiatr, czyli beidewindem.

Jacht dawał się dobrze prowadzić i mimo że nie wciągnąłem całego grota i obywałem się bez foka, płynął bardzo szybko. Zachwycała mnie zręczność, z jaką wchodził na fale, to znów przecinał je dziobem. Był wrażliwy na każde uderzenie wiatru, lecz jednocześnie jak rasowy koń na drgnienie wędzidła, tak on reagował na każde poruszenie steru lub szotów. Wykonano go w dobrym zakładzie skutniczym i był świetnie utrzymany. Osprzęt i takielunek miał zresztą zupełnie nowy, podobnie jak i dakronowe żagle.

Płynąc nim nie mogłem nie pomyśleć o Miss Kapitan, która z taką brawurą, a jednocześnie znajomością sztuki żeglarskiej, wpłynęła niedawno na jezioro i osiedliła się zapewne na bindudze. Nie ulegało wątpliwości, że jej osobę i Winnetou oraz Milczącego Wilka wiązały w przeszłości jakieś sprawy. Miss Kapitan pozostawiła chyba w pamięci moich przyjaciół nie najlepsze wspomnienia, skoro jej przybycie zrobiło na nich aż tak złe wrażenie, a Winnetou wzdrygnął się, gdy pojął, że wypada mu ratować „Swallowa”.

A teraz oto ja płynąłem na „Swallowie”, aż ujrzałem brzeg jeziora i mnóstwo poruszających się na nim światełek. To połyskiwały elektryczne latarki żeglarzy, którzy zorientowali się, że ich jachty wiatr poniósł na jezioro.

Mimo że płynąłem szybko, Milczący Wilk zdołał już doprowadzić ramblera do brzegu bindugi. On, Winnetou, Cicha Stopa, i milady stali na brzegu otoczeni gromadą żeglarzy i opowiadali o tym, jak zobaczyli na jeziorze dryfujący jacht, schwytali go i doprowadzili do bindugi. Okazało się, że wiatr porwał na jezioro aż osiemnaście żaglówek.

Gdy zbliżyłem się na „Swallowie”, kobieta z jasnymi włosami wbiegła do wody, nie zważając na to, że jest w ubraniu. Chwyciła dziób Latającego Holendra i pomogła mi wprowadzić żaglówkę na płyciznę. Podniosła miecz i płetwę sterową.

— Mój „Swallow”, kochany „Swallow” — mówiła pieszczotliwie głaszcząc dłonią poszycie pokładu i burty jachtu. — Czy nic mu się nie stało, proszę pana? Nie uszkodził go wiatr? Nie uderzył o brzeg?

Pytała mnie gorączkowo, zarazem oglądając dokładnie kadłub i takielunek, sprawdzając, czy żagiel nie został porwany. Dopiero potem wyciągnęła do mnie rękę:

— Dziękuję panu. Uratował pan mojego „Swallowa”. Nigdy panu tego nie zapomnę.

Była piękna. W blasku księżycy, który oświetlał wyraźnie jej twarz, wyglądała na dwadzieścia pięć lat, ale liczyła sobie zapewne znacznie więcej. Miała figurę modelki, rysy klasyczne jak Wenus, której kopię oglądałem w Muzeum Narodowym w Warszawie. Głos jej

brzmiał ciepło, lecz jednocześnie wyczuwało się w tej kobiecie jakąś ogromną siłę i władczość.

— Kim pan jest? — zapytała. — Chciałabym wiedzieć, komu jestem winna wdzięczność.

— Moje nazwisko nic pani nie powie. Przyjaciele nazywają mnie Pan Samochodzik. Tutaj otrzymałem przydomek Szara Sowa.

— A mnie nazywają Miss Kapitan — uśmiechnęła się i po męsku, silnie potrząsnęła moją dłońią. — Pan nawet nie wie, jak wiele zrobił pan dla mnie. „Swallow” to dla mnie i wiatr, i słońce, i włóczęga po jeziorach. A to jest cała moja miłość.

Wydała mi się czarująca. Jej głos, spojrzenie, uśmiech — mogły zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie. Jakiż zresztą prawdziwy mężczyzna nie zachwyciłby się kobietą, dla której jedyną miłością były jeziora, wiatr i słońce.

— To nie tylko moja zasługa — odezwałem się — płynąłem razem z Winnetou i Milczącym Wilkiem...

Przerwała mi. Potrząsnęła głową:

— Nie wierzę, aby któryś z nich chciał ratować mój jacht. Och, ileż oni by dali, abym była bardzo daleko stąd. Nie lubi się człowieka, którego się skrzywdziło. Bo stanowi on wyrzut sumienia.

Chciałem zapytać o bliższe szczegóły tej historii, ale podeszła do nas Sosnowa Igiełka.

— Tak się bałam o pana, Szara Sowo — powiedziała. — Gdy przeskoczył pan na tę żaglówkę i przepadł w ciemnościach, przez chwilę myślałam, że nigdy już pana nie zobaczę. I strasznie się przeraziłam.

Rzuciła dyskretne spojrzenie na Miss Kapitan i umilkła, jakby spłoszona widokiem urody tej kobiety. Lecz była przecież lady, umiała nad sobą panować.

— Winnetou i Milczący Wilk również się o pana niepokoiли — dodała.

Miss Kapitan znowu miała uśmiech na twarzy i jej głos brzmiał ciepło.

— Narzeczona? Sympatia? — spytała mnie o Sosnową Igiełkę.

— Nie — odparłem.

— A więc to tylko wakacyjna znajomość — powiedziała domyślnie i od tej chwili przestała w ogóle zwracać uwagę na milady.

Ani jedna, ani druga nie zrobiły gestu, który wskazywałby, że chcą się poznać. Mimo to zdecydowałem się przedstawić sobie obie panie, ale zbliżył się Cicha Stopa.

— Nie ulega wątpliwości, że lina kotwiczna w ramblerze została przecięta nożem — oświadczył. — W piasku nadbrzeżnym i na płyciźnie odnaleziono uwięzioną kotwicę z resztą liny. A ten jacht?

Zamiast mnie odpowiedziała mu Miss Kapitan:

— W „Swallowie” zrobiono to samo. Kotwica z kawałkiem liny pozostała na brzegu, a reszta liny wlokła się za jachtem. Proszę zobaczyć...

Cicha Stopa zajął się z Miss Kapitan oglądaniem przeciętej liny, a ja wraz z milady podszedłem do gromadki żeglarzy otaczających Winnetou i Milczącego Wilka.

— Głowę dałbym sobie uciąć — grzmiał gruby młodzian, jak okazało się później właściciel uratowanego przez nas ramblera — że to świństwo zrobili motorowodniacy. Podejrzewają, że jesteśmy członkami tajnej Ligi do Walki z Hałasem i chcemy ich usunąć z jeziora.

— Nie ma pan na to żadnych dowodów — rzekł Milczący Wilk.

— Nie muszę mieć dowodów. Poprzecinano liny kotwiczne w naszych żaglówkach. Wygląda na to, że jest to zorganizowana akcja. Wygląda na zemstę. A kto ma coś przeciw nam? Tylko motorowodniacy.

Do gromady żeglarzy dołączyła się teraz Miss Kapitan.

Usłyszałem jej głos:

— Jest dowód winy motorowodniaków. Ten pan — wskazała Cichą Stopę — powiedział mi, że gdy płynęli tu, minęła ich motorówka, która nie zatrzymała się, mimo że dawali sygnały.

— Motorówka płynęła od strony przystani ośrodka wczasowego, a nie z bindugi — wyjaśnił Cicha Stopa.

— To nic nie znaczy — zawołał gruby młodzian. — Może specjalnie zatoczyli półkole. To był wybieg, proszę państwa. Któż inny poprzecinałby nam liny kotwiczne? I po co? Dla głupiego kawału? Nie, to był akt zemsty za to, że podejrzewają nas o chęć wyrugowania ich z jeziora. A kto jest wszystkiemu winien? Pan, Winnetou.

Nastała cisza. Żeglarze spoglądali na Winnetou takim wzrokiem, jakby to on wypędził jachty na jezioro.

— Niech blada twarz mówi szczerze — odezwał się Winnetou pogardliwym tonem.

— Błada twarz, blada twarz — przedrzeźniał go gruby młodzian. — Pan się bawi w Indian, a nam przecinają liny. Bo pan tu chce mieć strefę ciszy. Przyznaję, to dobry pomysł, ale nierealny. Nikt się nie zgodzi, aby wypędzić stąd motorowodniaków i zabronić ośrodkowi wczasowemu używania gigantofonów. W gazecie ukazał się list wymierzony przeciw motorowodniakom, a podpisany przez jakiegoś żeglarza. Nikt z nas go nie napisał. Ale oni nas posadzają i zdecydowali się zemścić. Odbyli naradę w kawiarni, a to są jej skutki. To szalony pomysł z tą strefą ciszy. Jestem wdzięczny panu Winnetou za to, że przyprowadził mój jacht, ale nie da się ukryć, że pośrednio właśnie on jest odpowiedzialny za wszystko.

Winnetou odpowiedział z dumą:

— Błede twarze mogą sobie myśleć, co chcą i obarczać mnie winą za wszystko, co się tu stało. Winnetou nie rezygnuje jednak z walki o strefę ciszy nad jeziorem i nie wycofa swego memoriału. Nie robię tego, aby przypodobać się bladym twarzom, zwanym żeglarzami lub motorowodniakami. Czynię to dla zachowania czystości jeziora, dla ptactwa wodnego i ryb, dla wszystkich ludzi, którzy teraz i w przyszłości będą chcieli korzystać z nieskażonych zasobów przyrody. Winnetou także oświadcza, że ani on, ani jego przyjaciele nie należą do żadnej ligi. Ale Winnetou wykopał swój topór wojenny i nie spocznie, dopóki na jeziorze nie zapanuje cisza i spokój. Winnetou nie kocha bladych twarzy zwanych motorowodniakami i dąży do tego, aby opuścili oni nasze jezioro. Ale dopóki nie ma dostatecznych dowodów, aby sądzić, że to oni dokonali przestępczego czynu, odradza wam jakiegokolwiek działania przeciw nim. Jest ktoś, komu zależy bardzo na tym, aby nasze jezioro stało się widownią wojny między różnymi rodzajami bladych twarzy.

— Któż to taki? — odezwały się liczne głosy.

— Winnetou nie rzuca na wiatr swoich oskarżeń. Dlatego zamilczy jego imię.

I dał nam znak, abyśmy wraz z nim udali się na kanu i opuścili bindugę.

Za naszymi plecami podniosła się wrzawa:

— Bronił motorowodniaków, słyszeliście? To jakiś podstęp z jego strony.

Wydawało mi się, że wyróżniłem głos Miss Kapitan:

— Nie wierzcie Winnetou! On coś knuje. Powiadam wam, on coś knuje.

Ktoś inny wołał:

— Rano odnajdziemy jachty na jeziorze, ale ile z nich zostanie uszkodzonych? I kto nam za to zapłaci?

I znowu usłyszałem głos Miss Kapitan:

— Gdy pomyślę, że i mój jacht mógł spotkać najgorszy los, aż zęby mi dzwonią ze złości. Nie jesteście mężczyznami, jeśli nie potraficie się zemścić.

— Tak jest. Odplącić im trzeba tą samą monetą.

— Jeśli wy tego nie zrobicie, to ja sama, kobieta, pokażę wam, jak trzeba się zemścić.

Milczący Wilk mruknął jakby do siebie:

— To prawda. Ona potrafi się mścić.

Cicha Stopa i Milczący Wilk ściągnęli kanu na wodę. W tym czasie znalazłem się sam na sam z Winnetou i zdecydowałem się zapytać:

— Dlaczego mój brat Winnetou nie chciał ratować „Swallowa”?

Znieruchomiał. A potem odwrócił się do mnie, położył mi dłoń na ramieniu i rzekł cicho:

— Niech mój brat Szara Sowa wybaczy, że nie odpowiem mu na to pytanie. Może jeszcze przyjdzie chwila, gdy Szara Sowa dowie się prawdy. Ale teraz niech mój brat przyjmie moje ostrzeżenie i jak zarazy unika skwaw o imieniu Miss Kapitan.

I wszedł do kanu, chwytając do rąk wiosło. Pomogłem usadowić się Sosnowej Igiełce. Odbiliśmy od brzegu, znowu wyruszając na wzburzone jezioro, w mrok, bo księżyc skrył się za chmurami. Po twarzach chłostał nas wiatr, strzępy piany osiadały na ubraniach.

— Piękna, prawda? — usłyszałem szept milady.

— Kto?

— Niech pan nie udaje, że pan nie wie, o kim mówię. O Miss Kapitan.

— To prawda, że jest klasycznie piękna. Jak Wenus.

Zaśmiała się cichutko:

— Czy pan nigdy nie wyjdzie poza swoje muzealne piękności? A swoją drogą myślałam, że pozostanie pan wierny tej Annie Orzelskiej z Nieborowa. Jak to dobrze, że wczoraj na bagnach nie przyjąłem pańskich zalotów. Zbyt pan zmienny w swych upodobaniach, Szara Sowo.

Jakiś czas płynęliśmy w zupełnym milczeniu. Potem wiatr przycichł i zaczęło mżyć.

Odezwał się Cicha Stopa:

— A mimo wszystko ciekawe, kto poprzecinał im liny kotwiczne. Może jednak żeglarze mają rację, posądzając o tę sprawę motorowodniaków? Widzieliśmy przecież motorówkę, która nie zatrzymała się, mimo dawanych jej przez nas sygnałów.

— Nie — odparł Winnetou. — Źle myślę o motorowodniakach, ponieważ pływają na kanu, które cuchną benzyną i zatruwają jezioro. Ale Winnetou nie posądza motorowodniaków o czyny przestępcze. Jedna tylko osoba zdolna tu jest do najgorszych łajdactw. Jest nią błada twarz nazwiskiem Purtak.

Było już po dwunastej w nocy i wciąż siąpił deszcz. Wydawało się, że w taką pogodę nikt, oprócz nas, nie wypłynął na jezioro, co najwyżej błakają się żaglówki z przeciętymi linami kotwicznymi.

A jednak? Usłyszeliśmy nagłe warkot motorowej łodzi. Dobiegł nas od strony zatoki, gdzie mieszkał Winnetou. Potem zaczął się oddalać i wreszcie ucichł, stłumiony przez odległość, szum wiatru i fal.

— Mam przeczucie — powiedział Cicha Stopa — że to ta sama motorówka, która minęła nas, nie zatrzymując się. Słyszeliście jej warkot? Ona chyba popłynęła do przesmyku na Jezioro Łabędzie. To nie jest motorówka z wyspy.

Winnetou przestał na chwilę wiosłować.

— Winnetou wie, o czym myślą jego przyjaciele. Powinniśmy popłynąć teraz na wyspę motorowodniaków i przekonać się, czy to oni dokonali przestępczego czynu. Jeśli śpią spokojnie, nie rozstawiając żadnych straży, będzie to najlepszy dowód ich niewinności. A jeśli czuwają lub naradzają się, będzie to znak, że mają nieczyste sumienia i spodziewają się zemsty żeglarzy.

— Należy ich ostrzec przed zemstą żeglarzy — powiedziałem.

— Słowa Szarej Sowy są słowami Winnetou — przytaknął.

— Może jednak najpierw odstawimy Sosnową Igiełkę do wigwamu Cichej Stopy — zaproponowałem. — Nie chciałbym narażać jej na trudy i niebezpieczeństwa.

— Słusznie. Nie możemy narażać białej skwaw na trudy wyprawy — zgodził się ze mną Winnetou.

Ale Sosnowa Igiełka ani przez chwilę nie chciała zrezygnować z naszego towarzystwa:

— Zanim odstawicie mnie do leśniczówki, żeglarze już zdążą dostać się na wyspę motorowodniaków. A przecież jeśli chcecie osiągnąć swój cel, powinniście być tam przed nimi. Coś mi się zdaje, panowie, że wy nic nie wiecie o białych skwaw. Nie boją się trudów ani niebezpieczeństw.

— Pani nie jest zwykłą skwaw — odparłem — pani jest lady.

— No to co?

— Tam mogą być sytuacje niestosowne dla dam.

— A cóż to? Czyżby czterech wojowników nie potrafiło obronić jednej skwaw? — oburzyła się. — Zresztą Sosnowa Igiełka nie boi się bladych twarzy zwanych motorowodniakami.

Roześmiałem się. Lady Elisabeth, odkąd została Sosnową Igiełką, przeszła wielką przemianę.

Ale miała rację. Mijaliśmy właśnie wyspę motorowodniaków. Droga do leśniczówki zajęłaby nam wiele czasu, a to mogło uniemożliwić realizację naszych zamiarów. Dotknąłem więc ramienia Winnetou i dałem mu do zrozumienia, aby skierował kanu do wyspy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NA WYSPIE MOTOROWODNIAKÓW • ALARM WŚRÓD NOCY • GDZIE SZUKAĆ SPRAWCÓW ZŁA? • W OCZEKIWANIU NA „MŚCICIELI” • KTO LUBI DZIEŁA SZTUKI? • DLACZEGO POZOSTAJĘ KAWALEREM? • „MŚCICIELE” WPADAJĄ W

POTRZASK • WINNETOU GODZI BLADE TWARZE • SZYDERSTWA MILADY •
SKRADZIONA MOTORÓWKA • DAMA W NOCNEJ KOSZULI

Ponuro i groźnie huczał wiatr w gałęziach drzew, które wianuszkami obrastały brzeg wyspy, zamieszkaney przez motorowodniaków. Ten groźny pomruk usłyszeliśmy wcześniej, nim zamajaczył przed nami ciemny kształt niewielkiego skrawka ziemi, otoczonego wodami jeziora. Księżyc pokazywał się teraz tylko na krótkie chwile, dobiliśmy więc do wyspy prawie po omacku. Szmer piasku pod dnem kanu powiadomił nas, że jesteśmy na miejscu i pora wysiadać.

Kanu Winnetou osiadła na mieliźnie w niewielkiej zatoczce, oddzielonej piaszczystym cyplem od drugiej zatoki. Tam na kotwicach cumowało kilkanaście motorówek. W głębi wyspy, na dużej łące otoczonej drzewami, białe dachy kilkudziesięciu namiotów, zgrupowanych w zwartą osadę.

Wyciągnęliśmy kanu na brzeg. Nie mogło to się odbyć bez hałasu, a jednak nikt nie wyszedł ku nam. Obóz motorowodniaków spał mocno, nikt nie czuwał na straży. W takiej sytuacji rozgniewani żeglarze mogli bez najmniejszego ryzyka przyplłynąć tutaj i w odwecie poprzecinać nożem wszystkie cumy łajb motorowodniaków.

— Jest to chyba najlepszy dowód, że są niewinni -stwierdził Winnetou. — Gdyby to oni dokonali hańbiącego czynu na bindudze, czuwaliby dzieląc się wrażeniami i oczekując zemsty żeglarzy. Tylko głupiec nie domyślałby się, że żeglarze nie puszcza płazem wyrządzonej im krzywdy.

Zatrzymaliśmy się między namiotami. Winnetou wydał okrzyk wojenny Irokezów, aby zaalarmować śpiących.

— Ihihihihihii — zabrzmiało na wyspie groźne wycie.

Po chwili z namiotów zaczęli wyskakiwać rozespiani motorowodniacy. Zabłyły światła latarek elektrycznych. Rozpoznałem Kudłacza i Adwokata. Podeszli do nas, świecąc latarkami.

— Co się stało? Dlaczego podnosicie alarm? — pytał podejrzliwie Kudłacz, gdy rozpoznał Winnetou i Milczącego Wilka. O obydwu miał zdanie, że należą do tajnej ligi, a więc są wrogami motorowodniaków.

— Siadajcie — zaproponowałem. — Przybyliśmy tu z ważną wiadomością.

— A co? Chcecie nam może powiedzieć, że jezioro objęto już strefą ciszy i mamy się stąd wynosić? — mruknął Kudłacz.

— A może to któryś z was napisał list do gazety? — zapytał Adwokat.

Otoczyły nas niechętne, wrogie twarze. Zdałem sobie sprawę, że przybywając tutaj podjęliśmy się bardzo trudnego zadania.

— Dziś w nocy, przed niecałą godziną — oświadczyłem — ktoś poprzecinał liny kotwiczne jachtów żeglarzy na bindudze. Większość żaglówek wiatr poniósł na jezioro.

Milczeli, nie bardzo wiedząc, jak się ustosunkować do tej wieści. Zapewne sprawiła im satysfakcję wiadomość, że ich wrogom przydarzył się kłopot. Ale natychmiast pomyśleli o swoich motorówkach, które mógł spotkać podobny los.

Kilku motorowodniaków pobiegło zaraz na brzeg, aby sprawdzić, czy motorówki nie uciekły na wodę. Wrócili jednak z wieścią, że wszystko jest w najlepszym porządku.

— Łajby stoją na miejscu. Ale powinniśmy wystawić warty — zaproponował któryś z motorowodniaków.

Kudłacz wciąż był wobec nas nieufny.

— Dziękujemy wam za wiadomość — odezwał się — ale chciałbym wiedzieć, co się naprawdę kryje za waszym przybyciem. Wiem przecież, że pan Winnetou potopiłby w jeziorze wszystkich motorowodniaków. A tu raptem przypląnął, aby nas ostrzec.

— Tak jest. To wygląda podejrzanie — przytaknął Adwokat. — Nie mam zaufania do Winnetou, a tym bardziej do tego pana z politechniki — miał na myśli Milczącego Wilka.

Pora była wyjaśnić sprawę do końca.

— Żeglarze z bindugi myślą, że to wy poprzecinaliście im liny — powiedziałem.

— My!?! — oburzył się Kudłacz. — A to łajdaki! Tylko łajdaki mogą nas posądzić o coś takiego!

— Spokojnie — wstrzymałem potok wymysłów na żeglarzy. — Wy posadzacie ich o napisanie artykułu do gazety, oni zaś sądzą, że w ten sposób zemściliście się na nich.

Podniosła się wrzawa. Przekrzykiwali się jeden przez drugiego:

— To pewne, że oni napisali ten artykuł. Chcą nas wyrzucić z jeziora. Ale nikt z nas nie przeciął im lin. Nawet przez myśl nie przeszło nam coś podobnego.

— Widziano was w południe, gdy w kawiarni naradzaliście się w związku z artykułem — przypomniałem im. — Podejrzewają, że podczas tej narady zdecydowaliście zemścić się na nich.

Kudłacz uciszył kolegów, którzy znowu podjęli wymysły pod adresem żeglarzy.

— Owszem, naradzaliśmy się. Ale poprzecinanie lin kotwicznych nie zmieniłoby w niczym naszej sytuacji — wywodził logicznie Adwokat. — A nawet przeciwnie, mogłoby nam to zaszkodzić w opinii społecznej. Podczas narady postanowiliśmy napisać list do dyrekcji Zespołu Państwowych Gospodarstw Rybackich i odciąć się od treści artykułu.

— Faktem jest jednak, że ktoś przeciął liny...

— Ale to nie my. To fałszywe oskarżenie — oburzał się Adwokat — w języku prawniczym nazywa się to oszczerstwo. A za oszczerstwo jest kara.

Zacząłem im tłumaczyć:

— Postawcie się na miejscu żeglarzy. Przecięto im liny kotwiczne w jachtach. Kogo mogą winić za ten czyn? Tylko was, ponieważ wiedzą, że macie do nich wiele pretensji.

— Proszę im więc powiedzieć, że to nie my — zaproponował Kudłacz.

— Mówiliśmy. Ale nie wszystkim trafiło to do przekonania — powiedziałem. — Zresztą nie mieliśmy żadnych dowodów waszej niewinności.

Kudłacz wzruszył ramionami:

— Skoro sami nie macie pewności, że jesteśmy niewinni, dlaczego przybyliście, aby poinformować nas o tej sprawie?

— Ktoś chce za wszelką cenę skłócić nas wszystkich — odezwał się Winnetou. — To prawda, że ja i moi przyjaciele dążymy do tego, aby jezioro objąć strefą ciszy. Jesteśmy wrogami silników spalinowych. Ale to nie znaczy, że uciekamy się do metod niedozwolonych. Tymczasem ktoś tutaj zaczął działać na cudzy rachunek. Najpierw ukradziono psa nadleśniczemu, potem rozstawiono tablice z napisami Strefa Ciszy. Wreszcie włamano się do radiowęzła w ośrodku i do mojej kanu podrzucano skradzione lampy. Teraz zaś ktoś chce skłócić ze sobą motorowodniaków i żeglarzy, i doprowadzić do otwartej walki między bladymi twarzami.

— Nic z tego nie rozumiem — wzruszył ramionami Adwokat. — W jakim celu to robi? Jaką będzie miał z tego korzyść?

— Ach, to proste — powiedziałem — gdy dojdzie do otwartej wojny między dwoma grupami bladych twarzy, wówczas można będzie i jednych, i drugich usunąć z bindugi i wyspy. Albowiem gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

Milczeli. Nie mieli pojęcia o tajnych planach Purtaka.

— Komu zależy na wyspie albo bindudze? — zastanawiali się głośno.

Postanowiłem, jak to się mówi, wyłożyć wszystkie karty.

— Przed niedawnym czasem na własne oczy widziałem w gabinecie kierownika ośrodka wczasowego, Purtaka, wielką mapę. Na tej mapie ośrodek wczasowy rozpościera się na wyspie, obejmuje bindugę i ruiny zamku.

Nastąpiła konsternacja. Rzuciłem podejrzenie na ich największego sojusznika. Nie tak łatwo było im się pogodzić z myślą, że uknuł on intrygę nie tylko przeciw żeglarzom, ale i motorowodniakom.

— Sprawdzę u Purtaka, czy rzeczywiście ma taką mapę — powiedział podejrzliwie Kudłacz.

Winnetou oświadczył dumnie:

— Nie obchodzi nas, czy blade twarze, zwane motorowodniakami, dają wiarę naszym słowom. Przyłynęliśmy tu bowiem w innym celu. Obawiamy się, że niektórzy żeglarze powodowani uczuciem zemsty mogą przybyć tutaj, aby dokonać tej zemsty.

Zawrzało.

— Niech tylko odważą się na coś podobnego. Już my się z nimi rozprawimy! Połapiemy ich, zwiążemy i odstawimy na milicję — przekrzykiwali się wzajemnie i coraz dalej zapędzali się w swych pogróżkach. Proponowali nawet najbardziej wyrafinowane kary dla żeglarzy.

Uciszyłem ich z największym trudem. Wyjaśniłem, że tego rodzaju postępek spowoduje zaognienie stosunków z żeglarzami. Wyłożyłem im także plan, który napędce przyszedł mi do głowy:

— Ja, Winnetou i Milczący Wilk, a także Cicha Stopa — wskazałem swoich przyjaciół — miłujemy pokój. Pragniemy doprowadzić do tego, aby żeglarze wypalili z wami fajkę pokoju. Jeśli nie posłuchacie naszych rad, wybuchnie otwarta wojna. A wtedy i was, i ich usuną z tego jeziora.

Zrozumieli, że mam rację i wysłuchali mojej propozycji. W kilka chwil później, zgodnie z moją radą, na wyspie pogasły światła latarek i zapanowała cisza. Obóz motorowodniaków znowu pogrążył się we śnie.

Minął kwadrans, a potem pół godziny. Wiatr gnał po niebie deszczowe chmury, od czasu do czasu pokapowało, potem przestawało padać i ukazywał się księżyc. O brzeg wyspy z głośnym szumem rozbijały się fale, a w blasku księżyca widziało się białe płaty piany na nadbiegających grzywaczach. Szumiały także chłostane wiatrem drzewa na wyspie, a szmer liści głużył wszystkie inne odgłosy.

— Czy moi bracia, Winnetou, Szara Sowa i Milczący Wilk — zapytał nas Cicha Stopa — pewni są, że żeglarze przyłyną tej nocy, aby zemścić się na motorowodniakach? Noc jest deszczowa i wietrzna, nie będzie im się może chciało kręcić po jeziorze i zemstę odłożyć na inną porę. Mają zresztą tylko dwie łajby, które im przyprowadziliśmy: ramblera i Latającego Holendra.

— Właśnie dlatego jeszcze dziś tu przybędą — stwierdziłem. — Nie da im zasnąć myśl o żaglówkach, które wiatr porozpędzał po jeziorze.

— Szara Sowa ma słuszość — zgodził się ze mną Winnetou.

— Założę się o swój skalp, że za chwilę w ciemnościach zamajaczą ich żagle — dorzucił Milczący Wilk — albowiem znajduje się wśród nich Miss Kapitan, a ona jest mściwa.

Zauważyłem mimo mroku, że po tych słowach Winnetou skinął głową i rzucił Milczącemu Wilkowi ostrzegawcze spojrzenie, jakby dając mu znak, żeby nie poruszał tego tematu.

— Pora na nas — rzekł głośno.

I obydwaj z Milczącym Wilkiem zniknęli w ciemnościach, zgodnie z opracowanym przez nas uprzednio planem działania.

Odezwała się milady:

— Odniosłem wrażenie, że obydwaj ci waleczni mężowie, Winnetou i Milczący Wilk, znają dobrze tę piękną panią podobną do Wenus z Muzeum Narodowego. I nie są najlepszego zdania o jej charakterze. Co pan na to, Szara Sowo?

— Ach, lady, zapomina pani, że jestem z wykształcenia historykiem sztuki. Uwielbiam piękno. Nic nie wiem o charakterze Anny Orzelskiej, a jednak była ona przedmiotem moich westchnień.

— Charakter dla pana nie ma znaczenia? Piękno przemija, drogi panie.

— Charakter również ulega zmianom. Znałem osoby, o których mówiono, że w młodości były przemiłe. A przecież z wiekiem stały się nie do wytrzymania. Zresztą, czy przeminęło piękno Anny lub Wenus?

— Panu, jako muzealnikowi, wystarczy zapewne portret pięknej damy. Być może właśnie dlatego do tej pory pozostał pan w stanie bezzęnnym. Nie znalazł pan na swej drodze życiowej istoty wystarczająco szacownej. Teraz ma pan więcej szczęścia.

— Co pani ma na myśli?

— Miss Kapitan. Ona jest wystarczająco... spatynowana.

— Nie bardzo rozumiem — mruknąłem.

— Powiedziałam: spatynowana. Tak się to mówi o starych przedmiotach, jeśli mają na sobie piętno czasu.

— Ale co to ma wspólnego z Miss Kapitan?

— Nie zauważył pan, ile ona ma na sobie patyny w postaci kremów, pudru i szminek? I to na obozie żeglarskim. Jej uroda, drogi panie, jest podrabiana. Tak samo sztuczna jak biała peruka.

— Ona była w peruce?

— Naturalnie, Szara Sowo. Żadna kobieta na świecie nie ma naturalnie białych włosów. Przyznaję, że jako dzieło sztuki jest być może interesująca ze względu na ilość farb i tak dalej, natomiast jako żywa istota...

I pastwiłaby się nade mną Bóg wie jak długo, ale oto Cicha Stopa podniósł rękę do góry i uciszył ją.

— Płyną — stwierdził krótko.

Daleko od wyspy, na krawędzi księżycowego blasku, który jak srebrny strumień płynął ku nam po wodzie, zamajaczyły przed nami dwie białe plamy żagli.

Obydwie łajby wielkim łukiem omijały wyspę. Ich sternicy zapewne zamierzali dobić do brzegu od strony zawietrznej.

— Płyną rambler i Latający Holender — oświadczyłem, przyjrawszy się obydwu jachtom — a więc sprawdziły się nasze przewidywania.

Wziąłem za rękę lady Elisabeth i wraz z Cichą Stopą pośpieszyliśmy w tę stronę wyspy, gdzie należało się spodziewać przybycia mściwych żeglarzy.

Położyliśmy się w trawie za dużą polacją dziko rosnących malin i cierpliwie oczekiwaliśmy, aż żeglarze wyjdą na brzeg.

— Blade twarze zwane żeglarzami — tonem Winnetou szepnęła Sosnowa Igiełka — nie spodziewają się pułapki. Jestem pewna, że odniesiecie zwycięstwo.

— Przestała pani lubić blade twarze?

— Dzięki wam odkryłam, że blade twarze są pewne siebie, zarozumiałe i lekceważą skwaw. Wydaje im się, że skoro posiadają blaszane cuchnące konie i mieszkają w kamiennych miastach z wodą bieżącą, to cały świat do nich należy i każda skwaw powinna padać przed nimi na kolana. Czy nie tak odnosili się do mnie? Czy nie podobnie traktują Krwawą Mary?

Nie miałem czasu roztrząsać tej kwestii. Oto obydwie jachty na pełnych żaglach zaczęły podchodzić do brzegu.

Po niedługim czasie najpierw rambler, a potem Latający Holender podniosły swoje miecze i płetwy sterowe, aby dopłynąć jak najbliżej lądu. Potem opadły żagle, chlupała woda na płyciźnie, gdy żeglarze zeskakiwali z jachtów.

Księżyc świecił teraz mocno i sylwetki przybyszów rysowały się przed nami bardzo wyraźnie. Widziałem więc, że z ramblera zeskoczyło sześciu mężczyzn, a z Latającego Holendra — Miss Kapitan i jakiś żeglarz, którego zabrała z sobą jako członka załogi.

Usłyszałem głos Miss Kapitan:

— Jestem pewna, że nas nie oczekują. Śpią w namiotach i ani im przyjdzie do głowy, że przyplłynęliśmy tutaj. Nie wiedzą przecież, że odzyskaliśmy dwa jachty.

Komendę chciał objąć gruby młodzian w okularach, ale ona natychmiast narzuciła wszystkim swą wolę:

— Motorówki cumują po drugiej stronie wyspy — mówiła — a namioty mają na środku wyspy. Pójdziemy brzegiem. W mroku drzew ominiemy namioty i w ten sposób dostaniemy się do ich motorówek. Pamiętajcie: przecinać liny kotwiczne i motorówki spychać na jezioro. Czy wszyscy mają noże?

— Tak — zabrzmiała chóralna, lecz cicha odpowiedź. Nie pozostawili żadnego wartownika przy obydwu jachtach, co było nam bardzo na rękę. Gdyby ktoś z nich pozostał, musielibyśmy z Cichą Stopą obezwładnić go i zakneblować, aby nie podniósł alarmu. A wszelka przemoc, nawet w słusznej sprawie, jest mi wstrętna. Dlatego odetchnąłem z ulgą, gdy cała ósemka przepadła w ciemnościach.

Odczekaliśmy kilka minut, a potem bez zbędnych słów ja i Cicha Stopa podnieśliśmy się z trawy i podbiegliśmy do jachtów.

Najpierw wyrzuciliśmy z nich wszystkie pagaje[24] i ukryliśmy je w krzakach. Cicha Stopa zdjął nawinięty na bom grotżagiel ramblera, a ja to samo zrobiłem z żaglem Latającego Holendra. Zanieśliśmy je w krzaki i ukryliśmy starannie.

I znowu zapadliśmy w trawach, czekając na dalszy ciąg wydarzeń.

Nastąpił on zresztą już po chwili. Raptem z drugiej strony wyspy dobiegł naszych uszu czyjś ostrzegawczy krzyk, potem rozległo się wołanie, zabrzmiały wrzaski. Narastał tumult i odgłos kilkunastu biegnących nóg. To schwytani na gorącym uczynku żeglarze uciekali teraz do swych jachtów, aby czym prędzej odpłynąć na bindugę. Umykali przez wyspę, ile sił mieli w nogach, a za nimi podnosiła się wrzawa rozbudzonego obozu motorowodniaków i połyskiwały światła wielu latarek.

Zdyszani, z głośnym chlupotem wbiegli w wodę i wskoczyli na łajby. Wyrwali kotwice z piasku. A potem posypały się przerażone okrzyki:

— Gdzie żagiel? Nie ma bomu i żagla!...

— Gdzie pagaje?!

— Ścigają nas! Odbijajcie od brzegu! Prędzej! Prędzej!

— Nie ma żagla!

— Nie ma wiosła!

— Słuchajcie, ktoś nam ukradł pagaje...

— Żagiel też zginął...

Miotali się na jachtach, a tymczasem pogoń, złożona z Winnetou i Milczącego Wilka oraz gromady motorowodniaków, stała już na brzegu, o kilka kroków od jachtów, którymi „mściciele” nie mogli odpłynąć. Ku ich przerażeniu, światła kilkunastu latarek skierowane zostały na łajby, oświetlając dokładnie każdego z nich.

Nad wrzawą podniósł się gromki, wyraźny głos Winnetou.

— Niech blade twarze uspokoją się i posłuchają Winnetou. Jesteście w pułapce, do której wprowadziła was chęć zemsty. Uspokójcie się, usiądźcie w swych kanu i posłuchajcie, co mamy wam do powiedzenia.

Gruby młodzian wrzasnął:

— Zdrada, panowie! Winnetou nas oszukał!

— A ostrzegałam was, głupcy — zawołała Miss Kapitan. — Mówiłam, żeby mu nie wierzyć!

— To było jasne od początku, że on trzyma z motorowodniakami — krzyknął któryś z żeglarzy. — Może nawet to on, wraz z nimi, poprzecinał liny i rozpędził jachty po jeziorze.

Znowu podniósł się tumult, wydawało się, że żeglarze rzucają się z pięściami na motorowodniaków. Ale tych ostatnich było znacznie więcej i każdy zdawał sobie sprawę, że tego rodzaju postawa jeszcze pogorszy sytuację żeglarzy.

Znowu rozległ się głos Winnetou:

— Nie oszukałem was, a przeciwnie, ostrzegałem przed próbą wywarcia zemsty na bladych twarzach zwanych motorowodniakami. Twierdziłem, że nie ma żadnych dowodów ich winy i sąd Winnetou potwierdził się całkowicie. Blade twarze, zwane motorowodniakami, nie brały udziału w hańbiącym czynie. Ale blade twarze, zwane żeglarzami, nie uwierzyły zapewnieniom Winnetou i postanowiły zemścić się na motorowodniakach. Winnetou miłuje jednak pokój i postanowił uniemożliwić wywarcie zemsty, albowiem ten fakt mógł rozpętać nieobliczalną w skutkach wojnę. Teraz nadeszła chwila, gdy jedna grupa bladych twarzy będzie mogła porozmawiać z drugą grupą i dojść do porozumienia. Winnetou żąda, aby obydwie strony wypaliły ze sobą fajkę pokoju.

— Co takiego? — oburzyli się motorowodniacy. — Mamy z nimi pertraktować, gdy schwytaliśmy ich na gorącym uczynku? Wiosłami ich, panowie, potraktować, a nie fajką pokoju!

Przez chwilę myślałem, że dojdzie do bójki. Ale Winnetou wystąpił ostro.

— To nasi jeńcy — oświadczył motorowodniakom. — Blade twarze zwane motorowodniakami umówiły się z nami, że przekażą nam tych ludzi. Zrobimy nad nimi sąd.

Żeglarze oburzyli się:

— Jaki sąd? Co za sąd? Kto ma nas prawo sądzić?

— Żyjemy w wolnym kraju. Jesteśmy uczciwymi obywatelami pod ochroną prawa.

— Cicho! — wrzasnął na nich Winnetou. — A czy uczciwi obywatele przecinają liny cumownicze? Sami łamiecie prawo, a chcecie jego ochrony. Wychodźcie natychmiast na brzeg, bo zaraz was wyciągniemy z jachtów.

— A gwarantujecie nam bezpieczeństwo? — zapytał gruby młodzian.

— Tak! Choć na to nie zasługujecie i należy się wam porządne lanie — powiedział Winnetou.

Ostrożnie i z wahaniem wyszli z jachtów. Zaraz też otoczył ich zwarty krąg motorowodniaków.

— Siadajcie. Porozmawiamy w spokoju — zaproponował Winnetou wskazując bujną trawę, porastającą brzeg.

Musieli go słuchać. Usiedli gromadką, a dookoła nich zajęli miejsca motorowodniacy.

Winnetou usiadł na skrzyżowanych nogach, po indiańsku. I z ogromną godnością zadał pierwsze pytanie:

— Czy blade twarze, zwane żeglarzami, mogą wyjaśnić tym oto bladym twarzom, zwanym motorowodniakami, dlaczego dokonano zdradzieckiego najazdu na wyspę?

Głos zabrał gruby młodzian. Opowiedział o jachtach, które tej nocy wiatr rozpędził po jeziorze. Stwierdził, że przyprawiony przez nas rambler i Latający Holender miały liny kotwiczne przecięte nożem. Kto dokonał tego haniebnego czynu? Zdaniem żeglarzy, zrobili to ich wrogowie. Czyż motorowodniacy nie odgrazali się, że wypędzą żeglarzy z bindugi? Czy nie wprawił ich we wściekłość artykuł w gazecie, który został podpisany przez jakiegoś żeglarza, lecz żaden z żeglarzy nie przyznaje się do tego. W tej sytuacji postanowili zemścić się na motorowodniakach.

— Chcieliśmy zapłacić im pięknym za nadobne — zakończył swe wyjaśnienia.

— Blade twarze zwane motorowodniakami — powiedział Winnetou — przysięgają, że nie przecięli waszych lin kotwicznych. Owszem, myśleli, żeby wam dokuczyć, ale nie w takiej formie.

— Więc któż to zrobił? — zapytał gruby młodzian.

Milczeliśmy. Nikt z nas nie mógł dać wyraźnej odpowiedzi na to pytanie.

— Szukajcie, a znajdziecie sprawców — oględnie przemówił Winnetou. — Pamiętajcie jednak moje słowa: zrobił to ktoś, kto jest wrogiem nie tylko żeglarzy i motorowodniaków. Zależało mu na skłóceniu z sobą wszystkich grup wodniackich. Jest to ktoś, kto chce wejść w posiadanie i bindugi, i wyspy.

A potem podjął decyzję:

— Blade twarze zwane żeglarzami odpłyną stąd wolni, jeśli przyrzekną, że przekonają inne blade twarze o niewinności motorowodniaków. Wypalą także z nimi fajkę pokoju na znak, że zeszli ze ścieżki wojennej. Ze swej strony blade twarze, zwane motorowodniakami, pomogą im rano w odszukaniu jachtów rozpędzonych przez wiatr i przyrzekną, że nie będą hałasować na swoich krzyczących pudłach w kawiarni, w lesie i na jeziorze.

— O przepraszam — wrzasnął Kudłacz, a przytaknął mu Adwokat. — Z jakiej to racji mamy pójść na ustępstwa w stosunku do żeglarzy? To nie my przecięliśmy im liny. To nie my przyplłyniemy do nich z wrogimi zamiarami.

Winnetou podniósł rękę do góry, nakazując obydwu milczenie:

— Gdy Winnetou przybył tutaj ze swymi braćmi, motorowodniacy spali juk susły. Gdyby nie my, wasze motorówki znajdowałyby się teraz na jeziorze, porwane przez wiatr. Winnetou i jego bracia nie dopuścili do rozpętania wojny, która obydwu stronom mogłaby przynieść niepowetowane szkody. Nie wystarczy chwilowo uśmierzyć konflikt. Jeśli chce się osiągnąć trwałą pokój, należy także usunąć choć częściowo jego źródło, a jest nim hałas powodowany nie tylko przez silniki motorówek, ale i przez grające pudła.

— A jeśli nie zgodzimy się na to? — zapytał zaczepnie Kudłacz.

— Winnetou zaproponował wypalenie fajki pokoju bladym twarzom. Nie powiedział jednak, że sam wypali fajkę pokoju z motorowodniakami. Albowiem Winnetou jest na ścieżce wojennej i walczy o strefę ciszy na jeziorze. Motorowodniacy będą mieli wystarczająco dużo kłopotów w walce o pozostanie na wyspie, po co więc chcą robić sobie dodatkowych wrogów?

— Innymi słowy — odezwał się Adwokat — pan twardo stoi na stanowisku, że my musimy stąd odejść?

— Tak.

— Ale dokąd, jeśli łaska powiedzieć?

— Nie wiem, Winnetou pragnie jednak, aby to jezioro było ciche i nie zabrudzone smarami. W Polsce jest wiele innych jezior, gdzie wolno pływać motorówkami. Blade twarze tam się przeniosą. Zresztą Winnetou pomyślał i o tej sprawie. Znacie jezioro o nazwie Kikuł? Pływają tam nawet statki spacerowe. Tam niech się przeniosą blade twarze ze swoimi cuchnącymi kanu.

— Byłem tam w ubiegłym roku — wzruszył ramionami Adwokat. — Strasznie dużo turystów i zatręśnienie motorówek. Taki hałas, że spać nie można. Nawet w nocy pływają na motorach.

— A właśnie. Błada twarz uważa, że jest tam zbyt wielki hałas, więc część tego hałasu przyniósł na nasze jezioro.

Adwokat machnął ręką:

— Na szczęście jezioro to nie jest niczyją prywatną własnością i nikt nie ma prawa zabronić nam pływać tu motorówkami. Istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, aby Rada Ministrów rozpatrzyła pozytywnie waszą propozycję.

Dyskusja przedłużała się. Spostrzegłem, że zaczyna świtać i postanowiłem przyczynić się do zakończenia sporu.

— Panowie — powiedziałem — jak na razie nie ma mowy o usunięciu stąd żadnego wodniaka. Ale chyba nikt z was nie chce, aby ciągle z nową siłą wybuchały kłótnie i awantury. Wszyscy musimy pójść na pewien kompromis. Żeglarze zgodzą się wysłuchiwać waszych motorów, ale wy musicie przynajmniej w kawiarni, na wodzie i na jeziorze nie włączać aparatów radiowych.

Deliberowali jeszcze jakiś czas, lecz w końcu przystali na warunki pokoju. Winnetou wyciągnął z kieszeni swoją fajkę, nabił ją amforą i wręczył ją Kudłaczowi. Ten zapalił, parę razy wydmuchnął dym i podał fajkę grubemu osobnikowi, przywódcy żeglarzy.

Wyznaję, że bardzo mnie bawił ten widok. Byli to najpewniej ludzie skądinąd poważni, a jednak wszyscy poddali się formom indiańskim, narzuconym im przez Winnetou. Może decydowała o tym atmosfera wczasów i wypoczynku, jakiegoś odprężenia psychicznego? To, co w innym miejscu byłoby jakimś bezsensownym wygłupianiem się, tu nikogo nie śmieszyło.

Jedna tylko osoba spośród grona żeglarzy nie przyjęła fajki pokoju. Była to Miss Kapitan. Oświadczyła drwiąco pod adresem tych, z którymi przyплыnęła:

— Jesteście głupcami, że pozwalacie sobie rozkazywać, jakbyście byli małymi dziećmi. Kim jest Winnetou, że daje mi prawo, aby wam narzucał swoją wolę?

— On ma rację. Po co nam tutaj wojna? — oburzyli się na nią inni żeglarze. — Przyjechaliśmy wypoczywać, a nie toczyć spory.

— Róbcie, jak chcecie. Uważam was za tchórzki — powiedziała. — Nie będę brała do ust tej ohydnej fajki. Jutro odpłynę stąd nad inne jezioro, gdzie żeglują prawdziwi mężczyźni, a nie tchórzliwe baby.

I skierowała się do „Swallowa”, nie chcąc brać udziału w ceremonii zawarcia pokoju. Po drodze na moment zatrzymała się obok mnie.

— Żal mi pana — stwierdziła — dał się pan opętać przez Winnetou. Jak dawno go pan zna?

— Od trzech dni...

— Przyjechał pan tu na wczasy? Pływa pan na jakiejś łajbie?

— Sprowadziła tu mnie sprawa służbowa...

— I przystał pan do bandy Winnetou?

— Dlaczego pani jego przyjaciół nazywa bandą? — oburzyłem się.

Zmieniła ton. Głos jej zabrzmiał miękko, pieszczotliwie:

— Przepraszam, jeżeli pana uraziłam. Ale pan jeszcze nie zna Winnetou. Kiedyś przekona się pan, jaki on jest naprawdę. Zapomnijmy jednak o nim. Czy umie pan żeglować?

— Mam nawet patent sternika.

— O, to świetnie. Więc może jutro, a właściwie dziś, bo przecież północ minęła, odwiedzi mnie pan na bindudze? Popływamy na „Swallowie”. Podoba się panu mój jacht?

— Jest wspaniały.

— Przebywam tu sama, brakuje mi drugiego członka załogi. Zresztą to pan uratował jacht, powinien pan na nim popływać.

— Bardzo chętnie — uradowałem się.

A potem przyniosłem jej bom z grotem. Teraz, gdy nastąpiła ugoda, można już było żeglarzom zwrócić ich żagle i wiosła.

Natychmiast odbiła od brzegu, nie zabierając nawet tego żeglarza, z którym przypląnęła.

— Będę czekała — zawołała ku mnie, odchodząc „Swallowem” od wyspy.

Była piękna, choć rzeczywiście na twarzy jej zauważyłem staranny makijaż, który tak wyszydziła Sosnowa Igiełka. Ale miała zarazem jakiś dziwny, niepokojący urok, którego milady nie zauważyła. Miss Kapitan była tajemnicza, a ja przepadałem za tajemniczością.

— No i co? Umówiła się z panem — stwierdziła ironicznie Sosnowa Igiełka, gdy jacht Miss Kapitan oddalił się. — Zaiste, odniósł pan błyskawiczny sukces. Można powiedzieć, zrobił pan na niej „piorunujące wrażenie”.

— Może...

— Ech, Boże — westchnęła z udanym ubolewaniem. — U wszystkich ta sama męska próżność. Szkoda, że pan nie może siebie widzieć. Chudy, zgarbiony, w dużych okularach, typowy mól książkowy. I pan naprawdę wierzy, że taki mężczyzna może jej się podobać?

— A pani myśli, że taki mężczyzna jak ja nie może się podobać żadnej kobiecie?

— Nie takiej jak ona. Jej chodzi o to, że pan jest przyjacielem Winnetou, a ona go nie cierpi z niewiadomych mi powodów. Umawia się z panem, bo ma nadzieję, że odciągnie pana od Winnetou.

Skłoniłem się Sosnowej Igiełce.

— Milady — powiedziałem z emfazą — być może jestem chudy, przygarbiony i brzydki. Ale do licha, mam prawo chyba iść na randkę z piękną kobietą?

Zbudził się dzień. Żeglarze podnieśli żagiel na ramblerze, a my wsiedliśmy do kanu i odpłynęliśmy w stronę leśniczówki. Motorowodniacy obiecali żeglarzom, że gdy tylko zjedzą śniadanie, uruchomią silniki w swoich łajbach i wyruszą na jezioro w poszukiwaniu zaginionych jachtów.

Dzień wstał pochmurny, z deszczowymi chmurami, które szybko przelatwały po niebie. Wiatr znowu wzmógł się i rozkołysał jezioro. Od strony Złotego Rogu nadbiegały wysokie fale ołowianej barwy, na środku jeziora załamując się z szumem i niosąc na sobie kożuch białej piany.

Sosnowa Igiełka ziewała w kanu, dyskretnie zakrywając dłonią usta.

— Przeżyłam niezapomniane chwile — oświadczyła. — To było naprawdę wspaniałe obserwować, jak dwie wrogie grupy bladych twarzy zmusiliście do zgody. Wierzę, że dostaniecie w swoje ręce straszliwego Purtaka. Ale czy on naprawdę jest aż tak niebezpieczny? — zapytała z odrobiną powątpiewania w głosie. — Bo na mnie zrobił wrażenie zupełnie sympatycznej bladej twarzy. Oczywiście, nie chciałam być jego damą do towarzystwa, ale to zupełnie inna historia.

— To samo zapewne myśli pani o Pięknym Antonio, który zabrał pani neseser i chciał uwięzić w ośrodku wczasowym — burknąłem.

— Och, nie przesadzajmy z tym uwięzieniem — ziewnęła znowu milady.

Wszystko wskazywało na to, że kołysanie łodzi i długa podróż przez jezioro wprowadzi ją w sen.

Ale nie dane jej było zasnąć w kanu. Oto od przystani ośrodka wczasowego z głośnym warkotem odbiła wielka motorówka do przewożenia wczasowiczów. Nabrała rozpędu i pędziła wprost na nas, ostro rozbijając fale i tworząc za sobą spieniony kilwater[25]. Po kilku minutach znalazła się tuż koło nas i zatrzymała się, kołysząc na fali. Silnik jej pracował na wolnych obrotach, uniemożliwiając dryf.

Zobaczyliśmy, że w oszklonej nadbudówce stoi za sterem instruktor Nosek, a w ogromnym kokpicie z dwoma rzędami ławek siedzieli Purtak, Piękny Antonio, Halina i... Krwawa Mary ze sztucercem na ramieniu.

Piękny Antonio wychylił się za burtę i przekrzykując szum wiatru wołał w naszym kierunku:

— Halo, panowie, czy nie widzieliście mojej czerwonej motorówki? Podejrzewamy, że ukradło ją w nocy trzech opryszków, którzy kręcili się po Złotym Rogu w poszukiwaniu pracy.

Zrobiłem z dłoni trąbkę i krzyknąłem do Antonia:

— O dwunastej w nocy minęła nas jakaś motorówka. Ale nie rozpoznaliśmy barwy ani załogi. Zachowywała się trochę podejrzanie...

— To oni! — wrzasnął Antonio. — Dokąd odpłynęli?

— W stronę przesmyku na drugie jezioro — odkrzyknąłem, przypomniawszy sobie uwagę Cichej Stopy, że słyszał hałas motoru oddalającego się do przesmyku.

Piękny Antonio zauważył milady.

— Elisabeth — krzyknął — znowu gdzie cię uwożą? Może chcesz przesiąść się na naszą łajbę? Co się z tobą stało, Elisabeth? Czy to wypada, żeby dziewczyna gustowała w towarzystwie dzikusów?

Taka była jego zapłata za nasze informacje. Łajdak! Postanowiłem odplacić mu się tym samym.

— Pani Mario — zawołałem do Krwawej Mary — prosimy do nas, na pieczeń z dzika. Winnetou i ja zapraszamy panią serdecznie. Chyba nie gustuje pani w towarzystwie bawidamków?

Krwawa Mary pomachała nam przyjaźnie ręką:

— Teraz nie mogę, bo obiecałam im pomóc w schwytaniu złodziei. Zwolniłam się z kawiarni i płynę z nimi. Ale jak wrócę, przyjdę do was na pieczeń z dzika.

Purtak dał znak Noskowi i ten włączył bieg. Motorówka ruszyła ostro. Wywołana przez nią fala o mało nas nie przewróciła.

— Mój biały brat zaprosił Krwawą Mary — z niezadowoloną miną rzekł Winnetou — a przecież mój brat wie, co Winnetou sądzi o Krwawej Mary. Ona ma podwójny język, zdradziła nas Purtakowi.

— To nie ona, ale Halina — odparłem. — To Halina ma podwójny język.

— O Boże, panowie — jęknęła milady. — Czy znowu będziecie w kółko mówić o podwójnych językach? Już wolę, gdy wymyślicie bladym twarzą.

Nareszcie dobiliśmy do przystani w kanale obok leśniczówki. Sosnowa Igiełka wyskoczyła na brzeg, a za nią opuściłem kanu wraz z Cichą Stopą. Winnetou i Milczący Wilk odплыnęli natychmiast do swej zatoki. Po nocy spędzonej na jeziorze czułem się zmęczony i chciało mi się spać. Współczułem Cichej Stopie, który musiał zaraz udać się do swych zwykłych zajęć w lesie.

Kiwnąłem głową milady i szybkoitko zniknąłem w swoim pokoju. Pośpiesznie rozebrałem się i wlałem pod koc, obiecując sobie, że będę spał aż do południa.

Ale nawet oczu nie zdołałem zmrużyć. Wkrótce usłyszałem głośne kroki na schodach i po chwili w moim pokoju zjawili się Winnetou i Milczący Wilk.

— Niech mój biały brat ubiera się szybko — gromko oświadczył Winnetou. — Dziś w nocy, podczas naszej nieobecności, ktoś włamał się do wigwamu Winnetou i skradł jego stroje indiańskie oraz inne cenne przedmioty zabytkowe. Być może zrobili to ci sami opryszkowie, których goni Antonio. Winnetou skorzysta teraz z telefonu Cichej Stopy i powiadomi o kradzieży milicję w Złotym Rogu. A potem wyruszymy w ślad za opryszkami. „Moby Dick” czeka na przystani w kanale.

Zbiegli po schodach do kancelarii leśniczego, aby zatelefonować do Złotego Rogu, a ja ubrałem się. Wrzuciłem do podróźnej torby najpotrzebniejsze rzeczy i pobiegłem na przystań.

Po chwili przybyli tam także i moi dwaj przyjaciele. Milczący Wilk zasiadł za sterem, Winnetou odepchnął jacht od przystani. Na pełnych żaglach wypłynęliśmy na jezioro, kierując się w stronę przesmyku.

Wszedłem na pokład i odwróciwszy się w stronę leśniczówki, zawołałem:

— Żegnaj, milady. Szkoda, że już się nie zobaczymy... Jacht płynął ostro fordewindem[26], z cichym szumem rozcinając dziobem wysokie fale. Nie znałem czekającej nas trasy, poprosiłem więc Winnetou o mapę tych jezior. Poszedł po nią do kabiny, ale natychmiast cofnął się, jakby zobaczył diabła. Z trzaskiem zamknął drzwiczki.

— Niech nas Wielki Manitou ma w swojej opiece — wyszeptał. — W kabinie znajduje się milady. I do tego tylko... w nocnej koszuli.

— Boże drogi! — Milczący Wilk miał oczy pełne zdumienia.

— To niemożliwe — wydusiłem z siebie.

Winnetou potrząsnął głową:

— Niech mój brat sam przekona się o tej prawdzie...

Odważnie podszedłem do kabiny i zapukałem w drzwiczki:

— Milady? Halo, milady...

— Proszę nie wchodzić — usłyszałem piskliwy głosik — jestem tylko w nocnej koszuli.

Ręce mi opadły.

— Milady, czy to stosowne dla młodej damy?...

— Wiem, że to niestosowne — odpowiedziała — ale co miałam zrobić? Usłyszałam, co mówił Winnetou u pana w pokoju, a wiedziałam, że nie zechcecie mnie zabrać. Więc zdołałam tylko chwycić sukienkę i szczoteczkę do zębów i ukryłam się w kabinie jachtu. Jeśli żaden z was nie będzie tu teraz zaglądał, zdołam się przebrać w sukienkę.

— Dobrze, milady — mruknąłem.

Odszedłem od kabiny i z dumą popatrzyłem na swoich towarzyszy.

— A jednak nie zapomniała szczoteczki do zębów. Ona jest naprawdę lady.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

O WODNYCH ROŚLINACH • „PIEKIEŁKO” • CZY ŻEGLARSTWO ŚRÓDLĄDOWE JEST TRUDNE? • ROZBITKOWIE • POMAGAMY NASZYM WROGOM • BUNT KRWAWEJ MARY • GDZIE SZUKAĆ OPRYSZKOW? • KTO JADA ZUPY Z PUSZEK? • CO MYŚLĄ DZIEWCZĘTA O INDIANACH? • ANTONIO JAKO „WOREK TRENINGOWY” • CO ODKRYLIŚMY W TRZCINACH?

Na zielonej od lasów mapie regionu, tuż obok ogromnego rozlewiska Śniardw, które podobne jest do wielkiego błękitnego naczynia — wpadał w oczy jak gdyby duży wisiorek, złożony z

trzech niebieskich kamieni-jezior. Pierwsze z jezior nosiło nazwę Zmierzchun, drugie — Łabędzie, a trzecie — Kikuł. Łączyły je wąskie przesmyki, a potem długi kanał wiązał z basenem Śniardw i Krainą Wielkich Jezior Mazurskich.

Mapa powiedziała mi, że Jezioro Łabędzie jest dwukrotnie większe od jeziora Zmierzchun. Nasze — bo tak je w myślach określiłem — miało tylko jedną wysepkę, tę, gdzie biwakowali motorowodniacy. Na Łabędzim były aż cztery wyspy różnej wielkości i żadnego ośrodka campingowego. Jezioro miało bowiem niedostępne, bagniste brzegi, porośnięte trzcinami, co jest zjawiskiem częstym na akwenach Mazur. Niegościnnie trzciny uniemożliwiają dostęp do wody, kąpiel nie jest przyjemna z powodu wywłócznika kłosowego, moczarki kanadyjskiej, tojeści rozestanej lub rdestu. Unikają takich jezior motorowodniacy, bo rośliny okręcają się wokół śrub napadowych. Dzięki temu wody te są oazą spokoju dla ptactwa wodnego i prawdziwy miłośnik przyrody odnajdzie tu okazy, które gdzie indziej zupełnie wyginęły.

Ale czy wielu jest prawdziwych miłośników przyrody? Wydaje mi się, że dla większości turystów rośliny obrastające brzegi noszą pogardliwą nazwę trzcin lub szuwarów. A przecież brzegi jezior zarasta nie tylko trzcina pospolita, ale i oczeret jeziorny, sit skupiony i dwudzielny, tatarak, pałka szerokolistna i wąskolistna, zwana rogózką. Owe zaś zarośla, które z taką złością i pogardą zdejmują ze skrzydełek śruby motorowodniak, są znakomitym jadalnym orzechem o nazwie kotewka. Orzech kotewki jest bardzo smaczny. Kiedyś zbierany był masowo i dlatego stał się dziś rośliną chronioną prawem. Podobnie jest z rosiczką okrągłolistną oraz pływaczem zwyczajnym o nitkowanych liściach. Nie wolno także zrywać pięknie kwitnących białych grzybieni.

Nie odnośmy się więc z pogardą do owych roślin pokrywających wody jezior, nie uważajmy ich za chwasty, które należy wyrwać, aby „oczyścić” wodę. Wśród łodyg trzcin kwitnie bujne życie drobnych zwierzątek i owadów, które stanowią pokarm większości ryb. Pod olbrzymimi liśćmi grzybieni znajdują osłonę i cień zwierzęta wodne; spodnia część liści to prawdziwe mieszkania dla setek przeróżnych wodnych stworów. Tu, na brzegach niegościnnych dla ludzi jezior, napotkać można żabę wodną, kumaka, traszkę lub żółwia błotnego. Tu — wśród trzcin i na brzegach, gdzie rzadko zagląda człowiek z tranzystorowym radiodbiornikiem w rękę — żyje jeszcze znajdujący się pod ochroną bliski krewny słowika — podróżniczek, a także remiz, prześmieszny zimorodek, siewka, czajka, trzcinak, bąk. W okresie, gdy siedzą na jajach, w gniazdach ukrytych wśród trzcin lub na drzewach, płoszy je warkot motorówek, jaja stygną, pisklęta zdychają. Dlatego akweny, na które wkracza niekulturalny turysta, wkrótce pustoszeją z ryb i ptactwa.

Na mapie, tuż przy wyjściu z przesmyku na Jezioro Łabędzie, zauważyłem kilkanaście maleńkich, czarnych kropek. U każdego wodniaka znaki te budzą ogromny niepokój. Kropeczki te ostrzegają, że w tym właśnie miejscu znajdują się skały podwodne, głazy albo mielizny upstrzone kamieniami. Z początkiem lata, gdy poziom wody w jeziorach bywa zazwyczaj jeszcze dość wysoki, owe skały i kamieniste mielizny pokrywa woda i łatwo na nich złamać miecz w żaglówce lub rozorać kadłub. Motorowodniacy w takich miejscach łamią śruby napędowe, krzywią kolumny silników, wyłamują rufy.

— Czy mój brat wie o podwodnych rafach przy wyjściu z przesmyku? — zapytałem Milczącego Wilka.

Potakująco skinął głową:

— Niech Szara Sowa będzie spokojny. Milczący Wilk zna miejsce zwane przez wodniaków „piekiełkiem”, Znajduje się ono bliżej lewego brzegu, dlatego my będziemy się trzymać brzegu prawego. Gdy płynąłem na jezioro Zmierzchun, widziałem, że skały piekiełka pokrywa woda, bo poziom jeziora jest obecnie dość wysoki. Ale myślę, że duża fala będzie obnażać głązy na płyciźnie. Mój brat zobaczy wówczas, dlaczego miejsce to nazwano „piekiełkiem”.

Zbliżaliśmy się już do przesmyku i Milczący Wilk rozkazał mi odknagować szoty foka i wybrać go nieco. Wybrał również bezanżagiel i to samo rozkazał zrobić z grotzaglem, który trzymał Winnetou. Ostrzegł nas, że z uwagi na wysoką ścianę lasu, rosnącego na prawym brzegu przesmyku, może nam grozić niespodziewana „rufa”, czyli nagłe przerzucenie żagli na drugą stronę burty na skutek gwałtownej zmiany kierunku wiatru. A nieoczekiwany zwrot przez rufę w najlepszym wypadku kończy się uderzeniem bomu w głowę, w najgorszym zaś — przewróceniem jachtu.

Milczący Wilk był dobrym wodniakiem, bez żadnych więc kłopotów weszliśmy w przesmyk. Wiatr dmuchał tutaj z większą siłą, wtłoczony między dwie ściany lasu, które tworzyły jak gdyby komin z potężnym ciągiem. Szliśmy więc ze zdwojoną prędkością.

— Uwaga! Sieci! — krzyknął nagle Milczący Wilk.

Były to sieci, o których w liście do redakcji pisał tajemniczy „żeglarz”.

Błyskawicznie rzuciłem się do kabiny i podniosłem miecz. Milczący Wilk zrobił to samo z pletwą sterową. Przeszliśmy nad sieciami, które z cichym szmerem otarły się o dno kadłuba.

Tajemniczy korespondent miał rację. Nie wolno było przegradzać żakami przesmyku. Przeszkadzało to w wędrówkach ryb, a także utrudniało turystykę wodną.

Brzegi cieśniny były zarośnięte. Szum wody, rozcinanej dziobem jachtu, wypłoszył z trzciny stada perkozów i kaczek krzyżówek, które z furkotem skrzydeł uciekały przed nami na Jezioro Łabędzie.

Otworzyło się ono przed nami niemal nagle. Wielka toń wody, czarna jak niebo pokryte ciemnymi, zwalistymi chmurami. Przetaczały się po jeziorze ogromne, krótkie fale, co znaczyło, że dno nie znajduje się tutaj głęboko. Po chwili zobaczyłem „piekiełko” — spienioną kapiel w pobliżu wysepki o piaszczystych brzegach, zalewanych przez fale. Gdy woda ustępowała, ukazywały się oślizgłe głązy, niektóre o spiczastych końcach.

Na piaszczystym brzegu wysepki tkwiła przechylona na lewą burtę ogromna motorówka ośrodka wczasowego. Z daleka widzieliśmy kilka sylwetek ludzkich, kręcących się koło niej. Sprawiali wrażenie, że usiłują zepchnąć motorówkę na wodę. Potem, gdy podpłynęliśmy bliżej, zaczęli machać ku nam rękami. Zapewne coś wołali, ale wiatr wiał od nas i porywał ich głosy,

— Coś mi się zdaje, że instruktor kulturalno-oświatowy, pan Nosek, rozbił motorówkę na skałach „piekiełka” — odezwałem się do Winnetou.

— Mój brat ma słuszość — skinął głową Winnetou.

I stało się dla nas oczywiste, że będziemy musieli dobić do wysepki i zająć się rozbitkami. W takiej sytuacji należało zapomnieć o wrogości wobec Purtaka. Milczący Wilk ominął wysepkę dość dużym łukiem, a potem lewym halsem podszedł do niej od strony zawietrznej. Wyciągnąłem miecz i kadłub jachtu lekko poszorował po piasku Winnetou rzucił kotwicę i po chwili wyskoczyliśmy na mały skrawek lądu, który raz po raz zalewały fale. I zaraz, człapiąc po wodzie, podszedł ku nam Piękny Antonio.

— Nosek wpakował nas na głazy i urwał skrzydełko śruby. Panowie, zabierzcie mnie, proszę, na swoja łajbę i popłynijmy na poszukiwanie mojej motorówki. Te łajdaki nie mogły odpłynąć daleko, bo w baku było niewiele benzyny.

Wyraz jego twarzy świadczył, że rzeczywiście bardzo go martwi strata motorówki. Prosił nas o pomoc, nie wiedząc oczywiście, że złodzieje, którzy porwali mu łajbę, okradli także i Winnetou. Wiedziałem, że zabierzemy go z sobą na jacht, ale jednocześnie irytowała mnie świadomość, że bezczelnie prosi nas o pomoc, on, który pomagał Purtakowi wywieźć psa nadleśniczego.

Przyczłapała Krwawa Mary, a potem zbliżyła się i Halina. Może miała nas za naiwniaków, którzy nie wiedzą o jej zdradzie, bo nawet udawała radość na nasz widok...

— Cześć, panie Tomaszu! — zawołała. — Czy wyratuje pan rozbitków?

— Oczywiście — skinąłem głową — przewieziemy was na brzeg i dalej już piechotą dostaniecie się do ośrodka.

— Piechotą? — oburzyła się. — To chyba z dziesięć kilometrów. Myślałam, że dostarczycie nas aż do domu.

— Nie mamy czasu — wyjaśnił Milczący Wilk. — Tych trzech opryszków, którzy ukradli motorówkę, zabrało Winnetou jego rzeczy. Musimy ich ścigać.

— To świetnie — ucieszył się Antonio. — Moi wrogowie są i waszymi wrogami. Panie Milczący Wilk, szkoda czasu na gadanie z dziewczynami. Niech one tu zostaną na wyspie, a my od razu płynijmy za opryszkami. Dziewczynom nic tu nie grozi. Będzie płynąć jakaś inna łajba, to je stąd zabierze.

Krwawa Mary i Halina zawrzały oburzeniem.

— Toś ty taki? Każesz nam tu siedzieć i marznąć? Patrzcie go, jaki się znalazł dżentelmen.

— Zrozumcie, moja motorówka — tłumaczył się. — Chodzi o pośpiech. Oprychy sprzedadzą ją komuś albo utopia.

Wreszcie przyczłapali Purtak i Nosek, który pociągnął nosem, jakby mu się na płacz zbierało.

— Gdyby panowie byli tak uprzejmi i podrzucili nas do brzegu, to będziemy po stokroć zobowiązani — oświadczył grzecznie Purtak. — Wyciągnęliśmy naszą łajbę na brzeg, tak że fale jej nie porwą. Niech tu czeka. W ośrodku mam zapasową śrubę, przyptynę tutaj łodzią i naprawię silnik.

Dziewczęta weszły na jacht i zaraz zniknęły w kabinie, bo zmarzły na wyspie. Purtak i Nosek pomogli zepchnąć jacht na wodę, potem także wskoczyli na pokład. Prawym halsiem popłynęliśmy szybko w stronę najbliższego brzegu.

Purtak, gdy dowiedział się o kradzieży strojów indiańskich Winnetou, udał ogromne oburzenie.

— Żałuję bardzo — oświadczył — że stosunki między mną i panami układają się nie najlepiej. Ale mimo to proszę przyjąć ode mnie wyrazy ubolewania i życzenia, abyście jak najszybciej schwytali złodziei.

— Przy okazji, mam nadzieję, odzyskam i motorówkę — pocieszał się Antonio.

Uprzejme słowa Purtaka nie zrobiły wrażenia na Winnetou. Nie odezwał się też ani słowem. Dla niego Purtak był tylko bladą twarzą, która ma rozdwojony język. Trzymając szot grota patrzył na wodę i zapewne pragnął jak najszybciej dobić do brzegu i pozbyć się niemiłego towarzystwa.

Nosek przestał raptem pociągać nosem i odezwał się płaczliwie:

— To wszystko stało się przez pana kierownika. Chciałem płynąć prosto, a pan kierownik rozkazał mi skrócić w lewo. I dlatego wpadliśmy na głazy.

— Na mnie pan zwala? — oburzył się Purtak. — A czy ja kiedykolwiek wypływałem na Jezioro Łabędzie? Skąd mogłem wiedzieć, że tu są skały podwodne? To pan obwozi wycieczki. To pan jest instruktorem kulturalno-oświatowym.

Z kabiny wyjrzała Krwawa Mary. W ręku miała kubek z herbatą, którą zapewne otrzymała od milady, gospodarującej w kabinie.

— Jeśli sądzicie, panowie, że ja wysiądę na brzegu, to się mylicie — oświadczyła, podając Winnetou kubek z herbatą.

A ten przez moment zawahał się, czy przyjąć herbatę z rąk skwaw, której nie darzył sympatią, ale w końcu wziął do ręki kubek, nie chcąc demonstrować swojej niechęci.

— Biała skwaw, zwana Krwawą Mary, nie zdaje sobie chyba sprawy, że Winnetou i jego przyjaciele znajdują się na ścieżce wojennej — powiedział.

Wzruszyła ramionami:

— Po pierwsze: nie jestem żadną białą skwaw, zwaną Krwawą Mary. To pan mnie tak nazwał, a ja nie cierpię tego przezwiska. Po drugie: nie jest to chyba aż tak niebezpieczna wyprawa, skoro zabraliście tę lalkę z Warszawy.

Zabrałem głos:

— Co tyczy pani Elisabeth, to ona zobowiązała się nam przyrządzać strawę. A poza tym ona jest lady.

Krwawa Mary była zdumiona:

— Co to znaczy, że ona jest lady?

Przez chwilę milczałem zastanawiając się, jak w krótkich słowach wyjaśnić postawę Sosnowej Igiełki.

— Ona jest lady, a to znaczy, że wie, jak się zachować w każdej sytuacji. Z taką skwaw nie będziemy mieli żadnych kłopotów.

Krwawa Mary wróciła do kabiny i po chwili wyszła z niej, niosąc coś w ręku.

— Czy wiecie, co to jest, panowie — potrząsnęła białą szmatką. — To jest nocna koszula waszej pani. Nie wzięła kurtki ani ciepłych spodni, ale zabrała nocną koszulę. Umrzeć można ze śmiechu.

Znowu zabrałem głos, żeby ratować nasz autorytet:

— Prawdziwa lady — powiedziałem — może zapomnieć o ciepłej kurtce i spodniach. Ale nigdy nie zapomni o nocnej koszuli i szczoteczce do zębów.

— I to się wam podoba? — zdumienie jej nie miało granic.

Wyszła milady. Podała mi kubek z herbatą i wzięła od Krwawej Mary swoją nocną koszulę.

— Proszę pani — powiedziała do niej z wyniosłą miną — nie wydaje mi się słuszne, aby swoje rachunki z tymi panami załatwiała pani za pomocą mojej nocnej koszuli.

To mówiąc dystygowanie powróciła do kabiny. A Krwawej Mary zrobiło się głupio.

Piękny Antonio milczał dyskretnie, nie chcąc żadną uwagą przeciw Sosnowej Igiełce narażać się któremuś z nas. Milczeli także Purtak i Nosek. Zapewne marzyli o chwili, gdy wysiądą na brzeg i nie będą korzystać z naszej łaski.

Ale Krwawej Mary trudno było przyznać się do klęski. Wpadła w złość. W przeciwieństwie do milady, miała, zdaje się, ogromny temperament. Ujęła się pod boki, stanęła wyzywająco przed Winnetou i zaczęła mówić:

— Nie rozumiem, za co nie cierpi pan kobiet, panie Winnetou, i dlaczego mnie uważa pan za swojego największego wroga. Chyba tylko dlatego, że ustrzeliłam lepszego zwierza niż pan. Czy to moja wina, że pan jest zacofanym myśliwym? Jeśli pan jutro wymyśli, że wszyscy powinni polować za pomocą łuku i dzidy, to też mamy się do tego stosować?

— Polować tylko za pomocą łuku? Hm, to zupełnie niezły pomysł — mruknął Winnetou.

— O, wiedziałam, że pan tak powie, panie Winnetou — zawołała Krwawa Mary — zresztą nie zamierzam z panem dyskutować. O ile się nie mylę, nie pan tu jest kapitanem, ale pan Milczący Wilk. Prawda, że nie wyprosi mnie pan ze swego jachtu? — zwróciła się do niego.

Milczący Wilk chrząknął z zakłopotaniem i spojrzał pytająco na Winnetou.

— Wszystkie skwaw mają podwójne języki — mruknął Winnetou.

Krwawa Mary machnęła ręką:

— Może pan mówić, co pan chce. A ja nie opuszczę Antonia. Przyjaciół nie opuszcza się w biedzie — powiedziała.

— Ach tak? — Winnetou zacisnął usta.

Antonio chwycił dłoń Krwawej Mary i ucałował ją szarmancko:

— Dziękuję ci, Marysiu. Jesteś wspaniałą dziewczyną.

I wówczas stało się coś dziwnego. Krwawa Mary niemal ze złością wyrwała mu swoją rękę i krzyknęła w stronę Winnetou:

— Mam dosyć tego jeziora! I zapadłej dziury, jaką jest Złoty Róg! Antonio i pan Purtak obiecali, że zabiorą mnie do Warszawy. A pan, panie Winnetou, niech pan sobie siedzi w swoim wigwamie i gotuje zupki z puszek. Myśli pan, że nie wiem, co mówił lekarz o panu? Że jeszcze trochę, a przez ten swój indiański tryb życia nabawi się pan kataru żołądka. A gdy pan zachoruje, to nikt do pana nawet nie zajrzy, bo wszyscy się z pana śmieją. Tak, wszyscy, wszyscy! — zawołała.

Wybuchnęła płaczem i uciekła do kabiny.

A Winnetou aż zgarbił się, jakby ten potok słów spadł mu ciężarem na plecy.

Z kabiny wyszła Halina i powiedziała do nas z wyrzutem:

— No proszę, doprowadziliście dziewczynę do płaczu.

Myślę, że Winnetou czuł się fatalnie. Mnie zresztą również zrobiło się przykro.

— Boże drogi — westchnął Milczący Wilk — przecież tak naprawdę to nikt nie zamierzał was wyprasać z jachtu. Jeśli chcecie, możecie z nami płynąć. Tylko nie urządźcie tutaj ryków.

Tymczasem nasz jacht wpłynął w trzciny i rozorawszy je dziobem, dotknął suchego lądu.

— Dziękuję panom i do zobaczenia — zawołał Purtak, zeskakując na brzeg. — Życzę szybkiego schwytania złodziei.

Nosek również wyskoczył z „Moby Dicka”. Odepchnęliśmy się pagajami od płytkiego w tym miejscu dna i zawróciliśmy na jezioro.

— I dokąd teraz popłyniemy? — zapytał Antonio.

Winnetou zastanowił się.

— Czy blada twarz może mi powiedzieć, ile benzyny znajdowało się w baku jego hałaśliwej kanu?

— Najwyżej na pół godziny pracy silnika.

— W takim razie opryszki nie zdołały opuścić Jeziora Łabędziego i tutaj powinniśmy ich szukać.

— Może pożyczili albo kupili od kogoś benzynę?

Winnetou wymownym gestem wskazał wzburzoną falami toń jeziora.

— Blada twarz widzi, że jezioro jest puste. Opryszki, a przynajmniej kanu, którą oni ukradli, pozostaje gdzieś tutaj. A co o tym sądzi mój brat, Szara Sowa?

— Zgadza się z Winnetou — odparłem.

— Ja również — powiedział Milczący Wilk. — Dlatego musimy płynąć wzdłuż brzegu, pilnie obserwując, czy nie widać połamanych trzciny, co może oznaczać, że ktoś wpłynął w nie łajbą.

A więc byliśmy zgodni co do taktyki i kierunku poszukiwań. Przez jezioro przetaczały się silne szkwały i spienione fale. W taką pogodę tylko bardzo doświadczony żeglarz wyruszał w rejs, a u żeglarzy trudno zaopatrzyć się w paliwo. Motorowodniacy zaś unikali Jeziora Łabędziego z powodu roślinności, która je pokrywała. Dla motorowodniaków rajem było jezioro Zmierzchu i trzecie w łańcuchu jezior, największe jezioro Kikuł, o wodach przejrzystych i piaszczystych brzegach. Jeśli więc rzeczywiście w baku motorówki paliwa było tylko na pół godziny pracy silnika, opryszki nie były w stanie wydostać się na Kikuł i tu ich należało szukać.

Mieli jednak nad nami przewagę przynajmniej dziesięciu godzin. O ile — rzecz jasna — słuszne było nasze założenie, że około północy dokonali włamania do wigwamu Winnetou i warkot skradzionej motorówki słyszeliśmy na jeziorze w chwili, gdy opuściliśmy bindugę. Pod osłoną ciemności opryszki wypłynęły na Jezioro Łabędzie i tu zapewne śruba napędowa wplątała się im w wodną roślinność. Z powodu mroku nie ryzykowali chyba oczyszczenia śruby i w takim razie musieli płynąć wolniej, zużywając większą ilość paliwa, bo śruba pracowała z największym wysiłkiem. Być może w połowie jeziora zabrakło im paliwa. Była duża fala, wiatr zaczął dryfować motorówkę ku brzegowi. A ponieważ w nocy i teraz wiatr wiał w tym samym kierunku, motorówkę zносиło na północny brzeg.

— Mój brat ma rację — stwierdził Winnetou, zauważywszy, że szkła lornetki kierują na północny brzeg jeziora. W tym zresztą kierunku Milczący Wilk prowadził „Moby Dicka”. — Tam na północnym brzegu wylądowali złodzieje.

— Od tamtej chwili minęło wiele godzin — odparłem. — Kto wie, co zdążyli zrobić z motorówką.

Piękny Antonio zajął do kabiny.

— Dziewczęta! — zawołał. — Wyjdźcie na pokład i obserwujcie brzegi. Im więcej oczu będzie wypatrywać motorówki, tym jest większa szansa, że ją odnajdziemy.

Dziewczęta posłusznie wyszły z kabiny i rozsiadły się na wolnej burcie. Wiatr zaczął wiać z nieco mniejszą siłą, ale był ciągle przenikliwie zimny i chłostał kroplami wody.

Winnetou miał na sobie ciepłą kurtkę sztormową.

Zdjął ją i okrył nią Krwawą Mary, która trzęsła się z zimna. Ale dziewczyna zdjęła kurtkę.

— Tak się pan o mnie troszczy? A przed półgodziną chciał mnie pan wyprosić z jachtu.

I przyjęła ortalionową kurtkę od Antonia.

Fakt, że Antonio oddał swoją kurtkę Krwawej Mary, wywołał na twarzy Haliny wyraz niezadowolenia. Sama sięgnęła po kurtkę Winnetou i ostentacyjnie usiadła koło niego na burcie. Moja kurtka okryła ramiona Sosnowej Igiełki.

Winnetou rzekł z obojętną miną:

— Jeśli chciałem wyprosić wszystkie skwaw z jachtu, to tylko dlatego, że wyprawa nasza potrwa długo i może być niebezpieczna. Uważam zresztą, że wszystkie skwaw powinny siedzieć w swoich wigwamach i warzyć stawę.

Krwawa Mary zaśmiała się:

— A czemu to pański wigwam jest pusty i żadna skwaw nie warzy stawy, tylko przyrządza pan sobie zupki z puszek?

— Czemu Krwawa Mary mówi wciąż o zupkach z puszek? Nie jadam zup z puszek.

— Czyżbym się myliła? — zakpiła Krwawa Mary. — Sklepowa w Złotym Rogu mówiła mi, że pan bez przerwy kupuje albo zupy w proszku, albo zupę w puszcze. A na drugie danie zawsze przyrządza pan wołowinę w sosie własnym, również z puszek. Przy takim odżywianiu się grozi panu wrzód żołądka.

Zabrałem głos:

— Wczoraj jadłem u Winnetou znakomicie przyrządzoną wątróbkę z dzika.

— Coś podobnego! — udała zdumienie Krwawa Mary. — Winnetou zdołał zabić dzika? Aż mi się wierzyć nie chce. Zabił dzika ze swojej przedpotopowej dubeltówki? To była chyba chora sztuka.

Winnetou nie reagował na jej złośliwość. Siedział na burcie, trzymając w ręku szot żagla, pogrążony w wyniosłym milczeniu.

A temat, porzucony na chwilę przez Krwawą Mary, niespodziewanie podjęła Sosnowa Igiełka, kierując ku mnie pytanie:

— A pan, Szara Sowa, dlaczego do tej pory nie ma pan żadnej skwaw?

— Jadam w stołówce Ministerstwa Kultury i Sztuki — odparłem wykrętnie.

— A pan? — zwróciła się do Milczącego Wilka.

Nasz kapitan wskazał obrączkę na palcu:

— Mam miłą żonę, milady. Jest podobnie jak i ja elektronikiem i żeglarzem. Obecnie jednak przebywa na zagranicznym stypendium. Mimo licznych zajęć, gotuje w domu obiady. W gronie moich znajomych słynie ze wspaniałych racuchów.

Milady ze smutkiem potrząsnęła głową:

— Mój Boże — westchnęła — dlaczego tak się dzieje, że gdy się pozna interesującego mężczyznę, to okazuje się, że jest on już żonaty?

— Słusznie — podchwyciła Krwawa Mary. — Dla nas zostają potem sami dziwacy, z którymi dziewczyna zupełnie nie wie, jak postępować.

— Czy mnie także uważa pani za dziwaka? — oburzył się Piękny Antonio.

— Nie — odparła zdecydowanie. — W panu nie ma nic z dziwaka. Reprezentuje pan banalny typ flirciarza. Przebywając wciąż w miejscowości wczasowej widywałam takich całe tuziny.

W jego obronie stanęła Halina:

— Antonio jest inny niż wszyscy. Przypomina Mastroianniego. I nie bawi się w Indian.

— No tak, to rzeczywiście wielka zaleta — przytaknęła Krwawa Mary. — Powiedzcie sami, jak długo zwykła dziewczyna może przysłuchiwać się takim oto rozmówkom: „Czy mój brat, Szara Sowa, myśli podobnie jak i ja? Czy mój brat Winnetou widzi na horyzoncie jakieś dziwne blade twarze? Niech mój brat Szara Sowa pamięta, że wszystkie skwaw mają podwójne języki”. A przecież ci panowie mają już po trzydziestce. Inni mężczyźni w ich wieku są już żonaci, mają dzieci, a oni ciągle bawią się w Indian. A wiecie dlaczego? Bo to łatwiejsze niż ponosić odpowiedzialność za czyjś los, za szczęście ukochanej kobiety.

Z odsieczą niespodziewanie przyszła nam milady:

— Jak słyszałam, tęskni pani do miasta i miejskiego towarzystwa. No cóż, życzę pani szczęścia. Co do mnie, znudziło mi się odbierać te same telefony od tych samych młodych ludzi, którzy nieustannie proponują: „Ej, Elka, masz dziś trochę czasu? Mamy chatę, płyty, będziemy robić ubaw. Przyjdź, Elka, zabawimy się”. A gdy spotkasz się z młodym mężczyzną w rodzaju Antonia, to albo musisz wysłuchiwać jego życiorysu, albo mówi ci o samochodach, albo o tym, jak to on zamierza dorobić się wielkiej ilości pieniędzy. Po raz pierwszy w życiu ktoś mi mówił o pięknie przyrody i nazwał mnie Sosnową Igiełką. Po raz pierwszy w życiu płynę po wzburzonym jeziorze i jestem szczęśliwa, że mogę komuś zrobić herbatę. Po raz pierwszy w życiu byłam w domu niepodobnym do owych M-2 i M-3 w monotonnych i jednakowych blokach mieszkalnych, z ich standardowym wyposażeniem, tym

samym układem pokojów, mikroskopijnymi kuchenkami i łazienkami, meblościankami i wielkimi pudłami telewizorów.

— I mogłaby pani żyć bez łazienki? — przeraziła się Halina.

— Wodę do mycia można zagrzać i w kotle, a kąpać się w balii — odparła zdecydowanie milady. I dodała: — Ze strachem myślę już o powrocie do Warszawy, do telefonów od Antonia i jemu podobnych.

— Och, Elisabeth, czemu to ze mnie zrobiłaś worek treningowy? — burknął Piękny Antonio.
— Przysięgam, że więcej do ciebie nie zadzwonię.

Słowa Sosnowej Igiełki jakoś głęboko zapadły w moje serce. Westchnąłem na myśl, że będę musiał powrócić do swej kawalerki na Starym Mieście, słuchać przez ścianę jak kłóca się ze sobą moi sąsiedzi lub wrzeszczy u nich telewizor. I nikt już nie powie: „Czy Szara Sowa widzi ślad białych twarzy na piasku nabrzeżnym?”. O, jakże zazdrościłem Winnetou, który obserwować będzie nadejście jesieni. A gdy przyjdzie zima, śnieg opatuli jego wigwam. Potem będzie on brnąć przez zasy i zamrożone bagno do Złotego Rogu, aby kupić w sklepie puszkę zupy i pudełko wołowiny w sosie własnym — a ja powlokę się do kina albo usiądę przy kaloryferze, wspominając tylko zapach ognia płonącego na wielkim palenisku.

— Uwaga! Przed nami północny brzeg jeziora — obudził mnie z zamyślenia głos Milczącego Wilka. — Płyniemy za szybko i ukryta w trzcinach motorówka może ujść naszej uwagi. Zrzucić grot! Pozostaniemy tylko przy fok.

Pomogłem Winnetou opuścić grot, który ułożyliśmy na bomie. Potem opuściliśmy i bezanżagiel. Jacht zwolnił szybkość tak, że mogliśmy dokładnie obserwować brzeg, który wyrósł przed dziobem „Moby Dicka” i ukazał głęboką zatokę. Jezioro wyglądało tutaj jak ogromna butelka z wielką szyjką. Brzegi były dość wysokie, porośnięte sosnowym borem. Pasma trzcin głęboko wchodziło w wodę. Przesmyk wydawał się z daleka niemal całkowicie zarośnięty i dopiero gdy podeszliśmy bliżej, ujrzeliśmy wąską smugę wody prowadzącą gdzieś dalej.

Nagle zaczął padać deszcz i dziewczęta skryły się w kabinie. To samo zrobił Piękny Antonio. Ale my musieliśmy zostać na odkrytym pokładzie, bo wiatr niósł nas wprost w przesmyk.

Fale były ogromne, rozpędzone na całej długości jeziora. Z szumem wpadały w trzcinę, gięły je, rozchylały. Raptem wydawało mi się, że dostrzegam jakiś duży kształt rytmicznie, unoszony do góry z falami atakującymi ląd.

— Uwaga na prawo! Spójrzcie tam, gdzie rośnie pochylona wierzba — zawołałem do przyjaciół.

Milczący Wilk szybko skrzył sterem jachtu. Dziób wjechał w trzcinę i zaczął je rozchyłać, coraz głębiej wchodząc w zieloną gęstwinię. Wiatr parł na fok, który wybrzuszył się mocno i popychał jacht mimo oporu, jaki stawiały zarośla. Wreszcie opór stał się tak wielki, że „Moby Dick” zatrzymał się, choć wybrzuszony fok pracował całą swoją powierzchnią. Ale byliśmy już tylko o dwa metry od czerwonej motorówki, przywiązanej do pochylonej wierzby nadbrzeżnej i okrytej dla niepoznaki wiązками zerwanego tataraku. Gdyby nie wysoka fala,

która chwilami podnosiła kadłub ponad poziom zielonej gęstwiny, przenigdy nie dojrzelibyśmy motorówki Pięknego Antonia.

Niestety, miejsce to wyglądało na bezludne. Opryszków już tutaj nie było. W motorówce brakowało także silnika.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

GDZIE SZUKAĆ OPRYSZKÓW? • PRAWDZIWY WINNETOU I WINNETOU ZE ŻŁOTEGO ROGU • PODWÓJNE OBLICZE MILCZĄCEGO WILKA • CO USŁYSZELIŚMY PRZEZ RADIO • BIAŁY HOŁOWNIK • POŻEGNANIE MILCZĄCEGO WILKA • GAJÓWKA SOLNIK • SOSNOWA IGIEŁKA NIE ZAWIEDZIE PRZYJACIÓŁ • NA TROPIE ZŁODZIEJASZKÓW

Przycumowaliśmy jacht do pochylonej nad wodą wierzby i odrzuciwszy wiązki sitowia obejrzeliliśmy odnalezioną motorówkę.

Brakowało doczepnego silnika D-18 oraz pompki benzynowej z przewodem i kanistra. Pozostał tylko plastikowy czerwony kadłub z kierownicą i urządzeniem do sterowania.

— Silnik i kanister ważyły co najmniej czterdzieści kilogramów — stwierdził Piękny Antonio. — Oprychy stąd odeszły, ale chyba takiego ciężaru nie zabrały ze sobą. Ukryli gdzieś, a teraz chyba poszukują kupca.

Przyznaliśmy mu rację. I rozpoczęliśmy poszukiwania silnika.

Motorówkę zdryfowało — jak wspomniałem — pod wysoki brzeg porośnięty sosnowym borem. Podszycie było tu bogate, a mnóstwo wiatrołomów stwarzało wiele kryjówek. Znaleźliśmy miejsce, gdzie oprychy uctowały po kradzieży i oczekiwały świtu, aby przy świetle dziennym wyruszyć w dalszą drogę. Trawa była tu zgnieciona, leżało kilkanaście niedopałków papierosów sport, pusta butelka po owocowym winie i opróżnione płaskie pudełko z angielskimi napisami po mielonej szynce.

— A może oni włamali się również do naszego magazynu? — zastanawiała się Halina. — Właśnie z takich puszek dostajemy szynkę na śniadanie i takie wino widziałam w magazynie ośrodka.

— Wątpliwe — pokręcił głową Antonio. — Magazyn jest dobrze zamknięty. Takie samo wino i konserwę można dostać w sklepach.

— A właśnie, że szynki eksportowej w naszym sklepie nie było — upierała się Halina, — Pytałam o nią, bo mi smakowała i chciałam ją kupić na podwieczorek, bo kolacje w ośrodku nie są smaczne.

Nie byliśmy w stanie wyjaśnić tej sprawy. Nie odnaleźliśmy także silnika, choć bardzo dokładnie przeszukaliśmy teren w promieniu przynajmniej dwustu metrów.

W kabinie „Moby Dicka” nasze panie odkryły puszki konserw i duże pudło dietetycznego chleba, a że wszyscy wyruszyliśmy bez śniadania, podały nam smakowity posiłek.

— Gdyby tu był prawdziwy Winnetou — odezwała się Krwawa Mary — natychmiast odkryłby trop złodziei i ruszylibyśmy za nimi. Pamiętam „Old Surehanda” i „Winnetou” Karola Maya. Bohaterowie tych powieści zawsze bez trudu znajdowali tropy. Jakież złamane gałązki, grudki ziemi poruszone stopą ludzką wskazywały im, dokąd poszli przestępcy. Ale nasz Winnetou jedynie z przydomku przypomina tamtego dżentelmena.

— Ale jest również dżentelmenem — powiedziała milady.

Lecz Krwawa Mary puściła jej uwagę mimo uszu.

— A Szara Sowa, choć chciałby odgrywać rolę Old Shatterhanda — ciągnęła dalej — nie tylko nie ma dwóch strzelb, ale może nawet nie umie strzelać. To po prostu niemożliwe, aby trzech oprychów, dźwigających ciężki silnik, nie pozostawiło żadnego widocznego tropu. Z silnika musiał kapać olej, bo każdy dwusuwowy silnik jest zapaprany oliwą. Idąc łamali gałązki, gięli trawę...

— O wa! — wzruszyłem ramionami. — Pełno tu połamanych gałązek i przygiętej trawy. Konia z rzędem temu, kto wśród tego bogatego podszycia leśnego odnajdzie kroplę oliwy, która skapnęła z silnika.

Ja także czytałem książki Karola Maya, Rzeczywiście, bohaterowie tych powieści bez trudu odkrywali każdy trop na sawannie albo w Górach Skalistych. Może jednak tam inaczej rosty trawy, mniej było złamanych gałązek i w ogóle trop wyraźniej się zaznaczał? Albo tamte historie należało między bajki włożyć.

Winnetou milczał skonfundowany. Siedział na trawie po indiańsku trzymając strzelbę na kolanach. Niestety, tropu złodziei odnaleźć nie umiał. I Krwawa Mary mogła sobie z niego do woli dworować.

Autorytet nasz zmalął do tego stopnia, że Piękny Antonio wyjął z torby podróźnej zminiaturyzowany radiodbiornik i choć wiedział, że nie lubimy hałasu, wyszukał na skali jakąś muzyczkę o bardzo szybkim rytmie.

Krwawa Mary zainteresowała się miniaturowym aparatem. Zaczęła go oglądać na wszystkie strony, potem przejechała po skali i znalazłszy śpiewającego Presleya, zaczęła go słuchać z wielkim zadowoleniem.

— Ejże, panie inżynierze — zawołała ostrzegawczo do Milczącego Wilka, który podniósł się ze swego miejsca i skierował do jachtu. — Wiem, że ma pan zagłuszacz. Ale chyba nie zabroni nam pan posłuchać muzyki? Ktoś mi mówił, że to właśnie pan jest jednym ze współtwórców tego radiodbiornika.

Milczący Wilk zatrzymał się w pół drogi do „Moby Dicka”.

— To prawda — odrzekł z powagą — ale tutaj jestem Milczącym Wilkiem, który najchętniej potopiłby w jeziorze wszystkie tranzystorowe pudełka grające.

— Naprawdę wierzy pan w to, że jest pan Milczącym Wilkiem? Skoro pomagał pan budować ten aparat, to może wypadałoby go trochę posłuchać? Nie chce pan chyba, abym pomyślała, że wprowadzie niejedna skwaw ma podwójny język, ale niektórzy mężczyźni mają podwójne oblicza.

Winnetou zerwał się z miejsca. Na jego twarzy widać było determinację.

— Zgaście to wrzeszczące pudło — powiedział. — Winnetou nienawidzi hałasu. I nigdy nie wprowadzi żadnej skwaw do swego wigwamu, bo wraz z nią musiałby wprowadzić grające pudło.

W tym momencie muzyka się urwała. I rozległ się głos spikera radiowego:

Uwaga. Podajemy komunikat. Inżynier Mieczysław Pawłowski, przebywający w podróży żeglarskiej na Mazurach, proszony jest o natychmiastowy powrót do Warszawy, do miejsca pracy. Powtarzam...

Milczący Wilk spojrzał na Winnetou, a ten odpowiedział mu zdumionym spojrzeniem.

— Wzywają mnie do Warszawy — szepnął Milczący Wilk — zapewne zbiera się komisja, która ma rozpatrzyć mój wynalazek. Chodzi o nowy system zasilania dla miniaturowych aparatów radiowych.

Krwawa Mary wyłączyła radioodbiornik. Nastąpiła zupełna cisza.

Nagle uświadomiłem sobie, że niezależnie od tego, jakie przybieraliśmy pozy, byliśmy jednak nieodrodnymi dziećmi swej epoki. Ukształtowała nas cywilizacja i pozostawaliśmy od niej zależni. Winnetou potrafił trwać w swoim wigwamie, obywając się bez wody bieżącej, bez elektryczności i gazu, bez samochodów i szybkostrzelnych strzelb z noktowizorami. Ale inni? Mogli jedynie co jakiś czas udawać, że są jego braćmi i potrafią żyć tak jak on.

Zapytałem ze smutkiem:

— Czy naprawdę nie można uciec od siebie? Na czas urlopu i wypoczynku umawiamy się, że jesteśmy kimś innym, niż jesteśmy, nie widzimy radia i telewizji, nie czytamy gazet, nie chcemy wdychać spalin samochodowych. Ale tysiące niewidzialnych nici łączy nas ze światem, w którym należy słuchać radia i oglądać telewizję, trzeba jeździć samochodami.

— Tak — rzekł cicho Milczący Wilk — dla mnie właśnie skończyła się ta zabawa. Krwawa Mary zwyciężyła. Nie jestem Milczącym Wilkiem, ale inżynierem Pawłowskim, elektronikiem, który musi przerwać swój urlop.

Popatrzyłem na Krwawą Mary. Ale nie zobaczyłem wyrazu tryumfu na jej twarzy. Winnetou siedział milczący, przygarbiony. A mnie było bardzo żal i jego, i Milczącego Wilka, i siebie, ponieważ także uległem przez kilka dni czarowi pięknej zabawy.

Nawet Antonio, którego chyba niewiele interesowało poza szybkimi samochodami i dziewczynami, zrozumiał klęskę Winnetou. Stwierdził, wzruszywszy ramionami:

— Przecież to było jasne od samego początku. Nikt nie zamieni kaloryferów na piec kaflowy. Latem można się bawić w różne gry, czemu nie. Ale życie jest brutalne, panowie. Na co dzień zostaje proza. I najwcześniej rozumieją to kobiety. One mocniej niż my chodzą po ziemi. Dlatego Mary wie, co robi, że chce się stąd wyrwać do dużego miasta.

Wydawało mi się, że Krwawa Mary ma ochotę podejść do Winnetou i powiedzieć coś takiego, co znowu wróciłoby mu wiarę w jego ideały. Ale nie odważyła się. Bo czy to nie ona właśnie najbardziej zjadliwie wyśmiewała jego postawę wobec życia?

I nagle obudził się we mnie bunt:

— To wszystko jest nieprawda, co powiedziałem przed chwilą.

Nikt mi nie odpowiedział. Dopiero po jakimś czasie zapytał mnie Winnetou:

— A co jest prawdą?

— Nie wiem — odparłem szczerze. — Wydaje mi się jednak, że coraz więcej ludzi na świecie nie chce żyć w pętach cywilizacji, która uczyniła z nas niewolników samochodów, aparatów radiowych i telewizyjnych, lodówek i odkurzaczy. Ale bunt nie może polegać na tym, że pewnego dnia rozbijemy samochody, utopimy w jeziorze aparaty radiowe i telewizyjne, wyłączymy lodówki i odkurzacze i wrócimy do epoki kamienia łupanego. Bo taki bunt skazany jest na klęskę, a pogarda dla cywilizacji staje się tylko krótkotrwałą urlopową zabawą w Indian. Istnieje możliwość podporządkowania sobie cywilizacji. Czy posiadając samochód musimy nim jeździć zawsze i wszędzie, nawet do budki z papierosami? Czy mając telewizor musimy gapić się w niego całe wieczory, zabierać go z sobą nawet do namiotu, na urlop? Czy na jeziorach musimy płynąć w szybkobieżnych hałaśliwych ślizgaczach? Czy kochać przyrodę i ochraniać ją to znaczy gardzić cywilizacją? A może właśnie to cywilizacja pozwoli nam ochronić przyrodę? Nie każdy może i zechce zamieszkać w wigwamie jak Winnetou. Ale każdy może tak jak Winnetou chcieć zachować czystą wodę naszych jezior i ciszę leśną. Wierzę, że Winnetou zwycięży...

Z przesmyku prowadzącego na jezioro Kikuł zabuczał statek. Kierował się na Jezioro Łabędzie i ostrożnie wchodził w wąski pas wody między ścianą trzcin. Był to duży, biały holownik, należący zapewne do Zespołu Gospodarstw Rybackich.

— Może kapitan holownika zauważył opryszków z moim silnikiem? — zastanawiał się Piękny Antonio, który zdaje się niewiele zrozumiał z moich wypowiedzi. I zaczął wymachiwać rękoma, dając znak sternikowi, aby zbliżył się do naszego brzegu.

Holownik znowu zabuczał głośno. Był to sygnał, że sternik widzi jacht i nas na brzegu.

Milczący Wilk podszedł do Winnetou, objął go mocno, uściskał.

— Szara Sowa mówił słusznie — odezwał się do przyjaciela. — Byliśmy do tej pory nieco śmieszni i przez to samotni. Niektórzy z nas, na przykład ja, mieliśmy jakby dwa oblicza. Ale gdy zmienimy swoje postępowanie, brzegi jezior mazurskich zaroją się od naszych braci. Nie zaprzeczmy naszym ideałom przez to, że będziemy mieli radia i sztucery. Najważniejsze jest przecież umieć nad nimi panować, a to znaczy używać ich tylko wtedy, gdy istnieje

konieczność. Coraz więcej ludzi nauczy się żyć ciszej. Mój brat, Winnetou, zwycięży. To jezioro obejmie strefa ciszy.

— Mój brat, Milczący Wilk, wierzy w to? — z nadzieją w głosie zapytał Winnetou.

— Tak się stanie. Howgh — stwierdził Milczący Wilk. — Odpłynę stąd holownikiem, pozostawiając wam „Moby Dicka”. Szara Sowa ma, jak wiem, patent sternika, a więc będzie mógł nim pływać po jeziorze, a gdy skończy się wasza wojenna wyprawa, odstawi go na przystań koło wigwamu Winnetou. Ja zaś załatwię swoje sprawy w Warszawie i powrócę tutaj, aby znowu towarzyszyć Winnetou.

A potem Milczący Wilk podszedł do mnie:

— Szara Sowo, ściskam cię serdecznie. Bądź zdrow! Mam nadzieję, że jeszcze nieraz spotkamy się na szlaku Wielkiej Przygody.

Z kolei pożegnał Sosnową Igiełkę:

— Milady — rzekł — znamy się krótko, ale niech mi będzie wolno zachować wiarę, że zdążyła pani pokochać nasze jezioro i w pamięci pani pozostanie wspomnienie o naszych przygodach.

— Tak — szepnęła Sosnowa Igiełka i dygnęła jak pensjonarka.

A potem Milczący Wilk podał rękę Krwawej Mary.

— Biała skwaw ma ostry język — stwierdził — ale Milczący Wilk dobrze wie, że jej usta przeczyły jej myślom.

Biały holownik ominął „Moby Dicka” i zatrzymał się o metr od trzciny i jachtu. Zrzucano z niego kotwicę, a na pokład wszedł mężczyzna w fufajce i zielonym kapelusiku na głowie.

— To dyrektor tutejszego Zespołu Gospodarstw Rybackich — szepnęła do mnie Mary.

On także poznał Winnetou i Mary, bo zdjął kapelusik i skłonił się im.

— Czy nie widział pan trzech opryszków, dźwigających silnik D-18? — zapytał go Piękny Antonio i wskazał swoją motorówkę w trzcinach. — Ukradzono mi ją. Znaleźliśmy ją tu w trzcinach, ale złodzieje zabrali silnik.

— Nie — zaprzeczył dyrektor — zresztą, skoro zostawili tu kadłub, to znaczy, że odeszli stąd lasem.

Milczący Wilk wskoczył na chwilę do kabiny jachtu i zabrał z niej podręczny worek ze swoimi rzeczami.

— Płynie pan, zdaje się, do Złotego Rogu? — zwrócił się do dyrektora — czy zgodzi się pan zabrać mnie w charakterze pasażera? Muszę przerwać urlop i natychmiast wracać do Warszawy.

Dyrektor zaprosił go szerokim gestem.

— Niech pan skacze, panie Milczący Wilku.

— Zna mnie pan? — ucieszył się inżynier.

— A oczywiście. Przecież to już chyba minęło osiem lat, jak pan co roku przy pływa tutaj „Moby Dickiem”. Znam także z widzenia i ze słyszenia pana Winnetou — uśmiechnął się do Winnetou, który jak posąg stał nieruchomo na brzegu, ze strzelbą w ręku.

Winnetou skłonił się grzecznie dyrektorowi:

— I ja witam wodza rybaków — rzekł. — Wiele słyszałem o panu, nigdy jednak dotąd nie skrzyżowaliśmy ze sobą naszych toporów wojennych.

Dyrektor uśmiechnął się złośliwie:

— Byłem skłonny sądzić, że Winnetou chętniej walczy ołówkiem niż toporem.

— Co wódz rybaków ma na myśli? — zapytał ostro Winnetou.

— Wspominam o słynnym memoriale Winnetou oraz o liście do redakcji. Właśnie w tej sprawie płynę do Złotego Rogu. Po tym artykule otrzymaliśmy telefonogram z naszego ministerstwa, by natychmiast zdjąć żak i otworzyć przesmyk.

— Ja nie pisałem listu do redakcji — odparł dumnie Winnetou.

— Może. Ale w memoriale także wspomniał pan o naszym żaku.

— Owszem. Bo sądzę, że żak powinien być zdjęty.

— Zwyciężył więc pan, Winnetou. Myślę jednak, że pański memoriał nie zostanie zaakceptowany przez Warszawę. Nikt nie zgodzi się objąć tego jeziora strefą ciszy. Bo na czym będą pływać rybacy? Na łódkach z wiosłami? Nie, panie Winnetou, to jest popychanie świata do tyłu. Mamy zrezygnować z silników na rzecz wiosł? Czy pan wie, jakie mamy plany odłowów?

Winnetou odrzekł twardo:

— Stawianie żaków przegradzających zupełnie przesmyk jest wbrew przepisom o ochronie środowiska naturalnego. Teraz, owszem, wykonujecie plany. Ale co będzie za parę lat? Zabraknie zupełnie ryb w jeziorze Zmierzchun i w ogóle będziecie musieli zlikwidować gospodarstwo rybackie. Co zaś tyczy owej strefy ciszy, to leśnicy już dawno tę sprawę umieli rozwiązać. Postawili zakazy wjazdu dla samochodów z zastrzeżeniem, że nie dotyczy to wozów administracji leśnej. To samo można zrobić i na jeziorze Zmierzchun. Postawić znak zakazu pływania na silnikach, z wyłączeniem silników łodzi rybackich. Macie raptem jedną łódź z motorem w tamtym gospodarstwie. Ona nie robi wiele szkody.

Dyrektor pokiwał głową.

— Oj, dziwak z pana, Winnetou. Wielki dziwak. Ale kto wie, może właśnie dzięki takim ludziom jak pan ludzkość ocali trochę czystej wody i świeżego powietrza. Proszę mi wierzyć, panie Winnetou, że sercem i duszą jestem po pana stronie. Prywatnie akceptuję pańskie postulaty. Niestety, jako dyrektor zespołu gospodarstw rybackich muszę myśleć o wykonaniu planów i zrobię wszystko, aby pański memoriał nie został zatwierdzony.

Uśmiechnąłem się. Oto jeszcze jeden człowiek o podwójnym obliczu. Zdziwiające, że właśnie sprawa ochrony środowiska naturalnego wywołała w ludziach konflikt wewnętrzny między tym, co robili, a tym, co odczuwali. Ale czy podobna sytuacja mogła trwać w nieskończoność?

Nadeszła chwila pożegnania Milczącego Wilka. Winnetou chwycił go w ramiona i uściskał mocno. Milczący Wilk skoczył potem na pokład swego jachtu, a z niego następnym skokiem dostał się na pokład holownika.

Zazgrzytał łańcuch kotwiczny, holownik zahuczał głucho i zapieniła się woda za rufą.

— Niech cię Wielki Manitou ma w swej opiece! — krzyknął Winnetou.

W milczeniu i długo patrzyliśmy na oddalający się biały holownik. Patrzyliśmy za nim, dopóki nie zniknęła nam z oczu wyprostowana sylwetka Milczącego Wilka, który stał na pokładzie i wciąż spoglądał w naszą stronę.

Potem znowu zasiedliśmy na brzegu. Pora była zastanowić się wreszcie, gdzie szukać złodziei.

Od dłuższego już czasu trapiło mnie pytanie, na które nie znajdowałem odpowiedzi.

— Ciekaw jestem — zwróciłem się do Pięknego Antonia — dlaczego skradziono właśnie pańską motorówkę, a nie którąś z motorówek zacumowanych na wyspie? Pańska, o ile wiem, była na przystani ośrodka, a tam nie można się dostać bez zgody portiera. Teren jest ogrodzony.

— Nie mam pojęcia, dlaczego ukradli właśnie moją łajbę — westchnął Antonio — może z wyspy trudniej ukraść, bo na wyspę trzeba dostać się łódką? A do ośrodka mogli wejść w czymś towarzystwie.

— No tak — skinąłem głową. — Może poznali jakąś wczasowiczkę i ona ich zaprosiła.

— Oni mieli swoje dziewczyny — rzekł Antonio.

— Skąd pan to wie?

— Purtak z nimi rozmawiał, bo chciał ich zatrudnić przy pracach porządkowych w ośrodku. Zrezygnował z tego, gdy zorientował się, że oni nie kwapią się do żadnej pracy. Powiedzieli mu, że przyszli zdobyć trochę żywności, bo mają swoje dziewczyny w jakimś Solniku.

— I dopiero teraz pan nam to mówi? Sądząc po pustej puszcze i butelce, zdobyli żywność. I chyba właśnie poszli do Solnika. Gdzie to jest, u licha?

Spojrzeliliśmy na Krwawą Mary i Winnetou. Oni najlepiej znali te okolice.

— Solnik to mała gajówka — wyjaśniła Krwawa Mary. — Znajduje się w głębi lasu, sześć kilometrów od najbliższej wsi. Stąd będzie przynajmniej dziesięć kilometrów.

— Byłem w Solniku wiele razy — odezwał się Winnetou — i poprowadzę tam Szarą Sowę. Ujmiemy przestępców i odzyskamy skradzione rzeczy.

Krwawa Mary uderzyła gniewnie dłonią w kolbę swego sztucera.

— Hola, panowie. Coś mi na to wygląda, że zamierzacie pójść tam tylko we dwóch.

— Ktoś musi pilnować „Moby Dicka” i motorówki. Skwaw pozostaną więc tutaj razem z bladą twarzą nazwiskiem Antonio — zdecydował Winnetou.

— Słusznie — przytaknął Piękny Antonio.

Nie uśmiechała mu się perspektywa dziesięciokilometrowego marszu przez las. Lepiej było pozostać nad wodą z dziewczętami. Był urodzonym bawidamkiem i taka sytuacja bardzo mu odpowiadała.

— A ja jednak pójdę do Solnika — uparła się Krwawa Mary. — Mój sztucer może się przydać.

— Tu także będzie potrzebny. Chyba nie chcesz pozostawić nas bez żadnej broni — zaproponował Piękny Antonio.

Oczywiście, nie tyle zależało mu na sztucerze, co na obecności Krwawej Mary.

Lecz dziewczyna była uparta.

— Jak do tej pory, jeszcze żadnemu mężczyźnie nie wolno decydować o moich postępkach. Zrobię tak, jak to uważam za właściwe. Pozostanie tu Halina, bo zdaje się o niczym innym nie marzy, jak o słodkich godzinach z Pięknym Antoniem. Pozostanie także Elisabeth.

— Dlaczego? — zapytała milady.

— Czeka nas długi marsz, a pani jest w pantoflach, które nadają się jedynie do tańca na parkiecie. Pani jest damą, prawda? A dama to taka osoba, przed którą trzeba otwierać drzwiczki w samochodzie, przenosić przez strumień i w ogóle są z nią ciągle kłopoty. Naprawdę, nikt nie będzie miał czasu, aby się panią zajmować.

Od dawna oczekiwałem takiej chwili i takich słów. Między tymi dwiema dziewczynami musiało kiedyś dojść do starcia. Reprezentowały przecież tak różne postawy.

Sosnowa Igiełka popatrzyła na Krwawą Mary z ogromną wyższością.

— Wydaje mi się, że pani mało wie o prawdziwych damach — stwierdziła słodko. — Mężczyźni otwierają przed nami drzwiczki samochodów, ale gdy samochód się zepsuje, potrafimy popychać go tak samo jak inne. Być może należy nas przenosić przez strumień, ale

gdy zachodzi konieczność, gotowe jesteśmy przepłynąć jezioro. Albowiem nie zdarza się, aby prawdziwa dama porzuciła mężczyznę w trudnej chwili.

— Pani wybaczy, ale to śmieszne. Nie wyobrażam sobie pani przy boku Winnetou albo Szarej Sowy.

Piękny Antonio roześmiał się na cały głos. Nareszcie znalazł okazję, aby dokuczyć milady:

— Elisabeth, wiesz dobrze, że jesteś kawałkiem lodu. Przecież nie każdy lubi lody, tym bardziej niesłodkie.

Dałem znak Winnetou, aby nie wdawał się w spory między skwaw. Wszedłem do kabiny „Moby Dicka” i podałem przyjacielowi cztery koce, które on zaczął zaraz rolować. Było oczywiste, że nie uwolnimy się od Krwawej Mary ani od Sosnowej Igiełki.

Zapakowałem torbę z prowiantem i kocherem, bo należało się spodziewać, że wypadnie nam nocować w lesie. W tym czasie milady siedząc na pniaku i wystawiając przed oczy Antonia swoje piękne, długie nogi zapytała go ze złośliwym uśmiechem:

— Uważasz, Antonio, że jestem kawałkiem lodu, ponieważ nie każdy mężczyzna może mnie wziąć pod rękę?

Mary uderzyła dłonią po kolbie swego sztucera:

— Czy mnie pani miała na myśli, mówiąc o tych, co dają się każdemu brać pod rękę?

— Nie miałam na myśli nikogo konkretnego — odparła. Potem wstała, obciągnęła sukienkę i powiedziała do nas:

— Panowie, jestem gotowa do drogi.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

DROGA PRZEZ LAS • ZAGADKA SAMOTNEJ GAJÓWKI • ŚLADY KOŁO STUDNI • TAJEMNICZY JEŹDZIEC • DOKĄD POJECHAŁ INSTRUKTOR NOSEK • O LADY I KARAMPUKACH • NOCNE PODCHODY • OBOZOWISKO OPRYSZKÓW • PODSŁUCHANA ROZMOWA • PORWANIE SOSNOWEJ IGIEŁKI • ŚMIAŁY CZYN KRWAWEJ MARY • PTASZNICY • ZABIERAMY PRZESTĘPCOM SKALPY

Minęła piąta po południu, niebo się roz pogodziło. W lesie nie odczuwało się wiatru i zrobiło się bardzo ciepło.

Już dwie godziny maszerowaliśmy w kierunku Solnika, a do celu naszej wędrówki ciągle było daleko.

Najpierw minęliśmy bór suchy, gdzie rosły sosny i sporo brzoź. Ale drzewa były tam na ogół wątle, bo nie znajdowały w glebie dostatecznej ilości wody. Spotykaliśmy jałowce, pod

nogami szeleścił chrobotek i wrzos pospolity. Tu i ówdzie widziałem specjalny gatunek rosnącej na wzgórzach sasanki oraz na ogół rzadki w lasach miłek wiosenny. Obydwie te rośliny mają w kwietniu i maju bardzo ładne kwiatki — ileż to ludzi zrywa je, nie wiedząc, że są chronione.

Potem weszliśmy w zwany przez leśników bór świeży, rosnący na nieco lepszej glebie. Sosny były tu wyższe i grubsze, silniejsze, a wraz z nimi współpanowały brzozy i świerki.

Dla przeciętnego turysty — a takich setki tysięcy każdego roku wchodzi do naszych lasów — szliśmy przez najzwyczajniejszy bór. Założę się zresztą, że nie każdy z was wie, jaka jest różnica między lasem i borem. Dla niejednego bór to po prostu bardzo duży las. A przecież tak nie jest. Lasy — to połacie ziemi porośniętej drzewami z przewagą liściastych; a bory — mają przewagę drzew iglastych.

Dla człowieka, który kocha przyrodę, las to ogromny świat pełen pięknych roślin, siedlisko przeróżnych owadów, ptaków i zwierząt...

Oto na drodze siedzi żarłoczny chrząszcz, trzyszcz piaskowiec, a z pnia sosny spogląda ku nam tycz cieśla o długich wąsach. Gdy przybliżyć do niego ucho, a on poruszy głową, słychać jak gdyby ciche skrzywienie. Bardzo zabawny owad — zresztą wielki szkodnik.

Droga skręciła raptownie w lewo i otworzył się przed nami typowy las mazurski. Szliśmy wśród wspaniałych świerków, sosen, dębów i buków. Tu i ówdzie widziało się modrzewie, brzozy, lipy, klony i osiki, a także graby. Jakież bogactwo przeróżnych drzew, a także ogromna wielorakość roślin. Oto tak rzadko u nas kwitnący bluszcz pospolity, a tam dalej bluszcz kurdybanek. Oto najpiękniejszy kwiat naszych lasów — lilia złotogłów, którą tak często zrywają turyści, niepomni, że jest coraz radsza i dlatego została objęta ochroną. Oto przynęt purpurowy, kwitnący żółto pełnik, również chronione. Oto widłak goździsty, który najbardziej lubi bór świeży, gdzie rozpościera się wśród łańców borówki czernicy. Nie wygląda ani pięknie, ani imponująco, ale jest bardzo rzadki i jak wszystkie widłaki podlega ścisłej ochronie.

W lipcu w lesie niewiele lata motyli. Najczęściej rzuca się w oczy malutka rusałka pawik, brązowa z dużym barwnym oczkiem. Znacznie większe od niej są mieniak tęczowiec i mieniak stróżnik, barwy brązowej z odcieniem fioleto. Gdy szliśmy przez las, na lufie strzelby Winnetou przysiadła na chwilę barczatka dębolistna, malutki motylek o skrzydłach podobnych do zaschniętego liścia dębu. Przycupnęła na lufie tylko na moment i zaraz odfrunęła spłoszona.

Gajówkę Solnik odnaleźliśmy dopiero wieczorem. Dość długo kluczyliśmy po borach i lasach, ponieważ Krwawa Mary kilkakrotnie myliła drogę i dopiero Winnetou odnajdywał właściwy kierunek. No cóż, leśne drogi są do siebie bardzo podobne i dlatego łatwo na nich zabłądzić.

Najpierw otworzyła się przed nami duża polana, otoczona ścianą drzew. Na środku polany znajdował się mały staw obrośnięty trzcinią i sitowiem. Nad stawem stały zabudowania — kryty dachówką długi dom i obok stajnia czy też obora. Do zabudowań prowadziła droga wysadzana starymi brzożami. Piękne to było miejsce, ustronne, ciche.

Bliskość opryszków nakazywała ostrożność. Zatrzymaliśmy się na skraju polany i, pozostając niewidoczni za krzakami, zaczęliśmy przez lornetkę obserwować zabudowania.

— Okna i drzwi gajówki są zabite deskami — stwierdził Winnetou. — Nic nie wskazuje na to, aby tu ktoś mieszkał. Coś mi się zdaje, że Piękny Antonio otrzymał złe informacje. Poszliśmy fałszywym tropem.

— W gajówce od dwóch lat już nikt nie mieszka — powiedziała Krwawa Mary. — Stąd jest sześć kilometrów do najbliższej osady ludzkiej, nie ma tu światła elektrycznego, zimą droga do Solnika staje się nieprzejezdna. Słyszałam, że tę gajówkę w ostatnim czasie wynajął od nadleśnictwa jakiś literat z Warszawy. Ale jak widać, jeszcze się tu nie sprowadził.

Winnetou pokiwał głową:

— Nie będzie miał prądu, ale znajdzie ciszę. Ja go rozumiem. Jedni tęsknią za miastem, bo tam jest gwar i ruch. A inni uciekają z miast, poszukując ciszy i odosobnienia.

— Pić mi się chce — oświadczyła Krwawa Mary. — W gajówce jest pompa na podwórzu. Napijemy się wody, odpoczniemy i wracamy do jachtu.

Przekonani, że gajówka Solnik pozostaje nie zamieszкана, już śmiało wyszliśmy z lasu i drogą wysadzaną brzoza poszliśmy do zabudowań.

Na piaszczystej drodze nie widzieliśmy śladu pojazdu — nikt tędy od dawna nie przejeżdżał ani wozem, ani samochodem. Na podwórzu trawa rosła niemal do pasa i tylko wokół pompy była zdeptana, i to dość dawno, bo połamane źdźbła zdążyły uschnąć.

— Ktoś tu był. I to przed chwilą — mruknął nagle Winnetou, powstrzymując Krwawą Mary, która chwyciła za żelazną rączkę pompy.

Studnia została dookoła umocniona betonem. Winnetou wskazał na betonie ślady po niedawno rozlanej wodzie. Jeszcze nie zdążyła wyschnąć. Innymi słowy, przed niedawnym czasem ktoś pompował wodę i trochę jej rozlał na beton.

— Może przechodzili tędy robotnicy leśni albo turyści? — powiedziała Krwawa Mary i znowu chciała chwycić za rączkę pompy.

Ale i tym razem Winnetou ją wstrzymał.

— To jest stara pompa — rzekł. — I być może skrzypi. Póki nie upewnimy się, że w pobliżu nie ma nikogo, proszę się wstrzymać z nabieraniem wody.

Ostrożnie obszedłem zabudowania. Długo wsłuchiwałem się w szum lasu, który otaczał polanę, śledziłem stado dzikich kaczek na stawie. Nic nie wskazywało na to, aby czyjaś obecność płoszyła ptactwo.

Raptem aż skoczyłem do góry. Spod nóg zerwał mi się zdziczały kot i miaucząc przeraźliwie uciekł w las. Widziałem, jak Krwawa Mary błyskawicznie zdjęła z ramienia sztucer, aby strzelić do kota, bo zdziczałe są straszliwą plagą w lesie, lecz Winnetou chwycił za lufę i kot zniknął w wysokiej trawie.

— Nie wolno strzelać — oświadczył. — Huk strzału może zwrócić czyjąś uwagę.

— Przecież tu nikogo nie ma — broniła się dziewczyna.

Ale Winnetou już coś odkrył. Ledwo widoczna ścieżka wiła się wśród traw, prowadząc od zabudowań aż do brzegu stawu, a potem nikła w lesie. Wyglądało na to, że od tamtej strony przychodził tu ktoś po wodę do picia,

— Nigdy nie byłem w tamtej stronie lasu — stwierdził Winnetou. — Być może znajdują się tam również jakieś zabudowania.

— Nie — pokręciła głową Krwawa Mary — nic tam nie ma. Tylko stary paśnik dla saren i rogaczy. To zresztą nie nasz teren łowiecki, tylko koła myśliwskiego przy Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Oni zbudowali paśnik i magazyn na siano.

Paśnik na siano? Miniona zima była bardzo łagodna dla zwierząt. Ani dużych mrozów, ani dużego śniegu. Może w magazynie zostało trochę siana?

— Dobre miejsce dla tych, co pragną uniknąć ludzi — powiedziałem. — Bardzo smacznie śpi się na sianie. Szczególnie, gdy nie trzeba nikomu płacić za nocleg i pytać o zgodę.

Może więc jednak informacje Pięknego Antonia były prawdziwe? Opryszki i ich dziewczyny mieszkały w Solniku. Tyle że nie w gajówce, ale w magazynie na sianie.

— Ścieżka wskaże nam drogę — zdecydował Winnetou i zdjął z ramienia swoją staroświecką strzelbę. — Jest nadzieja, że opryszków znajdziemy na miejscu. Zapewne odpoczywają po trudach marszu i przeżyciach minionej nocy.

Już mieliśmy ruszyć na ścieżkę, gdy Winnetou rzucił się na ziemię i dał nam znak, żebyśmy zrobili to samo.

— Ktoś tu nadjeżdża. Na żelaznym koniu zwanym motocyklem — szepnął.

Słuch miał znakomity. Po chwili i my także usłyszeliśmy warkot motocykla. Mógł to być któryś z leśniczych albo robotnik leśny, wracający po pracy do domu. Lecz Winnetou wołał upewnić się z ukrycia, kim jest nadjeżdżający. Było to zresztą wskazane w sytuacji, gdy znajdowaliśmy się w pobliżu obozu bandy złodziejasków.

Za przykładem Winnetou wycofaliśmy się poza węgiel obory, gdzie rosły ogromne łopiany i łopuchy. Ukryci w wysokiej masie zielska, pozostawaliśmy niewidoczni, mogąc jednak obserwować drogę do gajówki.

Jakoż wkrótce ujrzeliśmy nadjeżdżającego. Mimo hełmu na głowie rozpoznaliśmy go natychmiast.

— To przecież Nosek — zdziwiła się Krwawa Mary.

— Może pan Purtak wysłał go po nas? — zastanawiała się Sosnowa Igiełka. I chciała na jego spotkanie podnieść się z łopianów.

Winnetou powstrzymał ją uściskiem ręki:

— Najpierw przekonajmy się, czego szuka tutaj ta blada twarz.

— A kogo miałby tu szukać, jak nie nas? — odrzekła Krwawa Mary. — Chyba nie posądza go pan o przyjaźń ze złodziejaskami? To oczywiste, że Purtak wysłał go na poszukiwanie Antonia. Nosek znalazł go, a Antonio skierował Noska do gajówki. Być może Purtakowi udało się trafić na ślad opryszków?

— Cicho! — syknął Winnetou — to zdradziecka blada twarz. Nie możemy jej ufać.

— O wa, ja się w Indian nie bawię... — mruknęła Krwawa Mary, posłusznie jednak pozostając w ukryciu.

Tymczasem Nosek podjechał do gajówki i zatrzymał się na moment, rozglądając się na wszystkie strony. Wyglądało na to, że rzeczywiście właśnie nas szuka.

Lecz nie. Dostrzegł ścieżkę nad stawem i zaraz odjechał w stronę, gdzie, jak stwierdziła Krwawa Mary, znajdował się stary paśnik.

— Mój brat Winnetou — powiedziałem z uznaniem — jest przebiegły jak lis. Błada twarz nazwiskiem Nosek przybyła tu na spotkanie z opryszkami.

— Nie wierzę — zachnęła się Krwawa Mary — w głowie mi się nie chce mieścić, aby Purtak i Nosek byli w zмовie ze złodziejami, którzy ukradli motorówkę najlepszemu przyjacielowi Purtaka. Dużo bym dała, aby zobaczyć, czy on rzeczywiście pojechał do paśnika. Ciekawam też, o czym będzie mówił z opryszkami. Jeśli oczywiście oni tam obozują...

Winnetou położył rękę na moim ramieniu:

— Ja i mój brat, Szara Sowa, spełnimy życzenie Krwawej Mary. Opowiemy jej, jak wyglądało spotkanie Noska z innymi bladymi twarzami i o czym oni ze sobą rozmawiali.

— A więc chcecie mnie pozbawić przyjemności podchodzenia przeciwnika? — oburzyła się dziewczyna.

— Pozostanie pani z milady. Zostawimy ją pod pani opieką — powiedziałem, patrząc ze współczuciem na wymęczoną marszem twarz Sosnowej Igiełki.

Bo lady, choć nie poskarżyła się ani słowem, z ulgą usiadła na trawie i zdjęła pantofelki. Sprawiała wrażenie, że gdyby przyszło jej teraz wstać i pójść dalej, zrobiłaby to chyba z największym wysiłkiem.

Wymościłem posłanie z czterech koców.

— Proszę tutaj spocząć, milady — zaproponowałem — gdy podejmiemy opryszków, przyrządzimy kolację i położymy się na spoczynek.

Krwawa Mary, jak wiemy, nie darzyła milady sympatią.

— Nie zamierzam pilnować dam — oświadczyła. — Uwielbiam podchodzenie zwierzyny. Tak samo chętnie podejść do opryszków w ich obozowisku.

Winnetou zgromił ją:

— Krwawa Mary wciąż zapomina, że jest skwaw!

— Nie jestem Krawą Mary — oburzyła się. — Nie podoba mi się to imię. Panią Elisabeth nazwaliście Sosnową Igiełką. Jeśli już mam nosić przezwisko, to właśnie w tym rodzaju.

— Możemy panią nazwać Karampukiem — powiedział Winnetou.

— Co to znaczy? Karampuk to przecież taki telewizyjny „tata-mama”.

— Właśnie. Ni to męczyzna, ni to skwaw — odrzekł z satysfakcją. — Winnetou ma inny ideał kobiety. Zgadza się on z najpiękniejszą skwaw o imieniu Brigitte Bardot, która powiedziała, że „kobieta powinna być odpoczynkiem wojownika”.

Krwawa Mary zarumieniała się:

— A więc to tak? Pan lubi kokietki i damy?

Odstawiła pod ścianę gajówki swój sztucer, położyła się na kocach obok Sosnowej Igiełki, założyła nogę na nogę i układając usta w ciup, oświadczyła:

— Panowie, czy już jestem lady? Ach, nie pójdę z wami podchodzić wstrętne blade twarze, bo nie jest to zajęcie dla skwaw. Zresztą, w lesie można spotkać żabę, a prawdziwa lady zapewne boi się żaby. Jaka szkoda, że nie używam perfum. Ale może któryś z panów posiada sole trzeźwiące na wypadek, gdyby tu zaczął latać nietoperz albo zaskrobała mysz leśna? Jeśli chcecie, mogę być „odpoczynkiem wojowników”. Gdy przyjdziecie do gajówki zwyciężeni przez opryszków, poczęstujcie was herbatą i opatrzę wasze zadrapania.

Winnetou uśmiechnął się, a ja roześmiałem się głośno. Krwawa Mary — mimo swego męskiego przebrania, sztucera i chęci podchodzenia wrogów, miała, w sobie bardzo dużo kobiecości. Wprawdzie nosiła teraz strój myśliwski — wąskie spodnie wpuszczone w wysokie buciki z miękkiej skóry, skórzaną kurteczkę i pas z nabojami, ale to ubranie jeszcze bardziej uwypuklało jej kobiecą sylwetkę. I gdy tak leżała na ziemi, a jej długie jasne włosy rozsypały się na kocu wokół głowy, wyglądała naprawdę przepięknie. Nikt nie mógłby jej nazwać Karampukiem. Była tak samo kobieca jak milady, choć w zupełnie innym rodzaju.

— Krwawa Mary — powiedziałem — jest jak dziki koń na stepie. Ten, kto zdoła ją ujarzmić, będzie ją karmił z ręki i przybiegać ona będzie na każde jego wołanie.

— Ciekawe, czy taki już się narodził — parsknęła pogardliwym śmiechem.

— Winnetou — rzekłem.

— On? — udała, że widzi go po raz pierwszy. — Winnetou ucieka przed każdą skwaw jak zając przed lisem. Jemu się wydaje, że skwaw wypełniłaby jego wigwam hałasem radia i

telewizora i zmusiłaby go do kupna samochodu. Co mu po skwaw, która celniej od niego strzela? Niech żyją zupki z puszek i wołowina w sosie własnym!

Winnetou miał smagłą cerę. Ale przecież nie potrafił ukryć rumieńca, który pokazał mu się na policzkach.

Zarzucił na ramię swą staroświecką strzelbę i odszedł z gajówki, kierując się do ścieżki nad stawem. Pospieszyłem za nim, a gdy dogoniłem, on zatrzymał się i powiedział chmurnie:

— Dziwne były słowa mojego brata. Szara Sowa nie rozumie, że Krwawa Mary lubi bawić się wszystkimi jak kot myszą? Czy Szara Sowa nie widział, jak ona postępuje z Pięknym Antonio? Obiecała mu, że wyjedzie do Warszawy, a przecież, zdaje się, nie zamierza dotrzymać przyrzeczenia. Winnetou sądzi, że ona jest zawsze jak myśliwy, a zwierzyną niekiedy staje się mężczyzna. Lubi podejść cicho i osaczyć go, aby mieć potem powód do chwały. O, co innego Sosnowa Igiełka. Ona, jeśli powie mężczyźnie „tak”, to nie będzie znaczyć „nie”.

— A więc mój brat myśli o milady? — uczułem w sercu jakby ukłucie.

— Winnetou zdaje sobie sprawę, że milady jest zbyt delikatna, aby mieszkać w jego wigwamie. Ona została stworzona do innego życia.

— Tak, ale...

Przerwał mi:

— Nie bądźmy jak skwaw, które toczą jałowe rozmowy. Nasi wrogowie nie będą czekać, aż skończymy gadanie.

I ruszył ścieżką nad stawem.

Słońce zachodziło czerwono, kończył się długi dzień. Nawet nie patrząc na zegarek mogłem powiedzieć, że zbliża się dwudziesta, albowiem każdy obserwator przyrody wie, że na początku lipca słońce wschodzi około trzeciej minut osiemnaście, a zachodzi około dwudziestej. W ciągu lipca dzień staje się krótszy o godzinę i pod koniec tego miesiąca słońce znika za horyzontem o dziewiętnastej dwadzieścia dziewięć.

Rano i w południe wiał wiatr, było chłodno i deszczowo. Ale wieczorem zrobiło się ciepło, zbliżała się piękna, letnia noc. Czerwono zachodzące słońce zapowiadało na jutro wiatr, wszystko jednak wskazywało na to, że będzie on tylko chłodzić lipcowy skwar.

Gdy zbliżyliśmy się do skraju lasu, Winnetou poszedł na lewo, a ja na prawo. Któryś z nas musiał trafić na obóz opryszków. Zapadająca noc sprzyjała naszym zamiarom. Pod osłoną ciemności łatwiej było podkraść się do obozowiska i dokładnie zorientować się w sytuacji.

Wszedłem między drzewa i wkrótce ogarnął mnie zmrok. Zorientowałem się, że jestem w borze mieszanym świeżym, pełnym sosen i świerków z domieszką dębów, modrzewi, brzozy i buka. Podszycie stanowiły leszczyna, jarząb, dość gęsto rosnące, co utrudniało skradanie się, gdyż każdy nieostrożny ruch powodował szelest liści. Dno boru porastała miejscami malina

kamionka, chwytająca za nogawki spodni. Aby uniknąć szelestu, musiałem omijać całe jej połacie, co opóźniało mój marsz.

Ale czy były powody do aż takiej ostrożności? Opryszki nie wyglądały na ludzi żytych z lasem. Należało wątpić, czy potrafili rozróżnić szelest wywołany skradaniem się człowieka od chrobotu myszy, buszującej wśród zeschniętych liści. Nie przypuszczałem także, aby obozowiska ich strzegła warta. Zapewne ani się spodziewali, że odnajdziemy skradzioną motorówkę i pójdziemy za nimi do Solnika.

Nie wiem, jak długo skradałem się przez bór, kierując się raczej instynktem niż wzrokiem. Wiem tylko, że było już zupełnie ciemno, gdy nagle poczułem nosem specyficzny zapach palącego się spirytusu denaturowego. A potem — po lewej ręce — usłyszałem szmer głosów ludzkich.

Wreszcie, mimo gęstego mroku, dojrzałem jaśniejszą przestrzeń. To była maleńka polanka. Majaczył na niej niewyraźny kształt sporej szopy obitej deskami. Tuż obok niej stał paśnik — nieduży daszek wsparty na skrzyżowanych żerdziach.

Pod daszkiem paśnika wisiała na sznurku lampa campingowa na elektryczne baterie. Na ziemi stał kocher z palnikiem, który płonął niebieskawym ogniem spirytusu. Na kocherze znajdował się turystyczny czajnik. Pokrywka na nim podskakiwała, co znaczyło, że woda zaczynała się gotować.

Pod szopą, oparty o ścianę, stał motocykl Noska. Jego samego zobaczyłem w gronie kilku osób, siedzących wokół kochera.

Lampa campingowa oświetlała dość dokładnie wszystkie twarze. Oprócz Noska rozpoznałem osobnika, który miał na koszuli wypisane Jestem Genek. Siedziały z nimi trzy dziewczyny ubrane po męsku.

Gdzie reszta złodziejasków — zaniepokoiłem się, bo przecież brakowało jeszcze dwóch — może są w magazynie na siano?

— Herbata gotowa — oświadczyła jedna z dziewcząt i podniosła się z ziemi, aby zdjąć czajnik z palnika.

Podczołgałem się na skraj polanki, potem wycofałem się nieco i bezszelestnie podszedłem od tyłu aż pod ścianę szopy na siano. Pomyślałem, że jeśli przyłożę ucho do szczeliny między deskami, usłyszę posapywanie śpiących tam dwóch pozostałych osobników.

Ku mojemu zdziwieniu, za ścianą usłyszałem popiskiwanie ptaków.

— Czy wszyscy już macie swoje porcje? — zapytał kobiecy głos.

— Tak, wszyscy — odpowiedział drugi kobiecy głos.

A więc jednak całe bractwo zebrało się koło kochera. Gdzie w takim razie znajdowali się jeszcze dwaj?

Nie miałem czasu, aby zastanawiać się nad tą sprawą. Przy herbacie rozpoczęła się rozmowa, której treść zupełnie mnie pochłonęła.

Rozpoznałem głos Noska:

— Postąpiliście paskudnie. Kierownik Purtak potraktował was jak przyjaciół, za drobną przysługę dał wam dużo konserw i wina, a wy zrobiliście mu głupi kawał. Ukradliście motorówkę, która należy do jego przyjaciela. I jak on teraz wygląda? Musicie zwrócić motorówkę, bo w przeciwnym razie on gotów jest powiedzieć o was milicji.

— O wa! — zaśmiał się pogardliwie „Jestem Genek” — jeśli milicja dobierze się nam do skóry, to przecież nie obejdzie się bez tego, żebyśmy nie powiedzieli, jak to kierownik Purtak namówił nas do przecięcia lin kotwicznych żeglarzom na bindudze. I że za tę przysługę dał nam trochę konserw i parę butelek wina.

Musiałem zakryć ręką usta, aby stłumić okrzyk, który już wybiegł mi na usta. A więc to jednak Purtak krył się za historią z żaglówkami, kazał opryszkom poprzecinać liny kotwiczne w żaglówkach.

— A więc co? Nie oddacie motorówki? — oburzył się Nosek.

— Nie mówię, że nie oddamy — polubownie rzekł Genek — zabraliśmy ją przecież przez pomyłkę. Pan wie, jak to jest. Nie chciało nam się do obozu wracać na piechotę i postanowiliśmy pożyczyć łajbę z motorem. Ta czerwona na waszej przystani zaraz nam wpadła w oko. Kadłub jej to i zaraz mogę panu zwrócić. On jest ukryty w trzcinach w tym miejscu, gdzie zaczyna się przesmyk z Łabędziego na Kikuł. Leży nakryty wiązkami trzciny przy pochylonej nad wodą wierzbie. Ale z silnikiem będzie gorsza sprawa. Pinokio i Rudy wymontowali go i gdzieś ukryli. Nawet nie wiem gdzie, bo mnie wysłali do obozu, żebym zaniósł dziewczynom te wasze konserwy i wino. Pinokio mówił mi tylko, że pójdzie z Rudym nad Kikuł, ponieważ tam biwakuje dużo turystów i znajdzie się chyba taki, co zechce kupić silnik. Radzę panu, niech pan jutro rano pojedzie nad Kikuł, odszuka Pinokia i powie mu, co i jak. Jestem pewien, że odda panu silnik.

Z napięciem słuchałem dalej rozmowy. Miałem nadzieję, że dowiem się, gdzie nad jeziorem Kikuł szukać Rudego i Pinokia.

— Kikuł jest ogromny — rzekł Nosek — jeśli zacznę wzdłuż brzegów szukać Rudego i Pinokia, to i przez tydzień ich nie znajdę. Musi pan pojechać ze mną, przecież chyba jakoś się umówiliście.

— Nie — odparł opryszek — ukryliśmy kadłub motorówki w trzcinach, bo jest znaczny, i oni poszli nad Kikuł, a ja zabrałem konserwy i wino, i powędrowałem tutaj, bo dziewczynom naszym kończyła się żywność. Nie mogliśmy dopuścić, żeby pomarły z głodu.

— Ale pan może pojechać ze mną nad Kikuł. We dwóch szybciej ich znajdziemy.

— Nie wolno mi się stąd ruszać. Jutro ma tu przyjechać samochodem pewien facet z Warszawy. On handluje ptaszkami. Mamy trochę towaru i on jutro przybędzie, żeby towar zabrać. Bo my przez lato to głównie żyjemy z ptaszków.

Noska nie obchodziły ptaki łapane przez opryszków.

— Przecież tu pozostaną dziewczyny — stwierdził — one mogą mu wydać towar i zainkasować pieniądze.

— Nie — uparł się opryszek — sprzedaż towaru to poważna sprawa. Nie można jej powierzyć dziewczynom. Tu chodzi o grubszą gotówkę, pan rozumie? Ja muszę tu tkwić jak na posterunku. A panu radzę: jedź pan nad Kikuł. Jestem pewien, że odnajdzie pan Rudego i Pinokia. Oddadzą panu silnik, jeśli go nie sprzedali — dodał.

— A właśnie — mruknął Nosek.

Był chyba bardzo zły na opryszka i postanowił go nastraszyć:

— Głupstwo zrobiliście, włamując się do domu Winnetou. On już zebrał zgraję uzbrojonych facetów i jachtem popłynęli w ślad za wami. Obawiam się, że powiadomią turystów nad jeziorem Kikuł o kradzieży. Rudy i Pinokio nie tylko nic nie sprzedadzą, ale jeszcze wpadną w ich ręce.

— Fiuuu! — zagwizdał zaniepokojony opryszek — to on taki cwaniak, ten Winnetou?

— A co? Nie znaliście go przedtem? — zdziwił się Nosek. — Kto wam nadał tę robotę? Skąd wiedzieliście, że on ma w swoim domu różne indiańskie rzeczy?

— To Pinokio zarządził skok na jego dom — oświadczył Jestem Genek. — Nie mówił nam, kto mu powiedział o indiańskich ciuchach. Wspominał coś tylko o jakiejś babce, która mu podsunęła myśl, żeby się do niego włamać.

— I nie mówiła, że Winnetou to niebezpieczny facet? Dziwię się, że w ogóle udało się wam tam dostać.

— E, mieliśmy po prostu trochę szczęścia. Płynęliśmy motorówką, zaraz jak ukradliśmy ją z waszej przystani. I zobaczyliśmy na jeziorze łódź z pnia drzewa. Pomyśleliśmy, że to ten Winnetou płynie gdzieś ze swoimi kumplami, a to znaczyło, że dom został bez opieki. Więc popłynęliśmy tam. Drzwi zastaliśmy zamknięte na bardzo prosty zamek. No i załatwiliśmy wszystko jak trzeba.

Nosek wstał z ziemi, podszedł do swego motocykla i wyprowadził go na polanę.

— A teraz czeka was kupa kłopotów — powiedział z głębokim przekonaniem. — Winnetou zebrał mocną bandę. Słyszeliście coś o Milczącym Wilku? Albo o Szarej Sowie?

— Nie...

— A właśnie. A o Krwawej Mary pan coś wie?

— Nie...

— Mają strzelby i sztucery. Jeśli pozostawiliście motorówkę w trzcinach, to ją już zapewne odnaleźli. Nie tak trudno się domyślić, że zabraliście silnik, żeby go sprzedać. A dokąd

można zanieść silnik? Tylko nad Kikuł, gdzie jest mnóstwo turystów, i tylko czekają na takiego, co zechce sprzedać silnik albo indiańskie rzeczy.

— O rany! — jęknął opryszek — w takim razie muszę jakoś przestrzec kolegów.

— Ano, niech pan robi, jak pan chce — burknął Nosek. — A co tyczy naszej rozmowy, to gdyby zjawił się tu Pinokio albo Rudy, proszę im powiedzieć, żeby się ze mną skontaktowali. Będę w ośrodku.

— Dobra, dobra — mruknął opryszek.

Nosek chyba doszedł do wniosku, że jeśli więcej postraszy opryszków, będą bardziej skłonni oddać silnik.

— Jeszcze raz powtarzam — rzekł — strzeżcie się Winnetou. Jeśli któryś z was wpadnie w jego ręce, on zabierze mu skalp.

— Co pan gada? Jaki skalp? Tego nie wolno robić!

— A kraść to wolno? — zakpił Nosek. — On się zresztą nigdy nikogo nie pyta o zgodę. Niejednego już tak urządził. Szczególnie okrutny bywa wobec takich, co niszczą przyrodę. Ma na tym tle prawdziwego fioła... Gdyby dowiedział się o waszych ptaszkach, złamanego grosza nie dałbym za wasze skalpy.

— Jak on to robi? Ściąga włosy ze skórą z głowy? — trochę przeraził się „Jestem Genek” i dotknął swoich długich, brudnych kudłów.

— No, aż tak źle to nie jest — zreflektował się Nosek. — Ostatecznie żyjemy w cywilizowanym świecie. Ale włosy obetnie do gołej skóry, zrobi z nich pęczek i zawiesi sobie u pasa. Widziałem u niego kilkanaście takich pęczków — fantazjował.

Kopnął nogą rozrusznik motocykla, uruchomił silnik, zapalił reflektor i odjechał, klucząc między drzewami. A gdy blask światła jego motocykla zniknął za zakrętem leśnej ścieżki, raptem coś zaszeleściło w krzakach i na polanę wyszedł drugi z opryszków, ten, który miał napisane na koszuli Memento mori.

O zgrozo, popychał przed sobą Sosnową Igiełkę, a na ramieniu niósł nasze cztery koce.

— Rudy! Rudy! — zapiszczały dziewczyny opryszków.

— To ja. I w jakim towarzystwie — wskazał milady i leciutko pchnął ją ku lampie.

Poczułem niepokój. Gdzie się podziała Krwawa Mary, skoro opryszek bez żadnych kłopotów przyprowadził Sosnową Igiełkę?

— Był tu Nosek z ośrodka wczasowego — poinformował Rudego „Jestem Genek”.

— Wiem. Słyszałem waszą rozmowę, bo siedziałem w krzakach razem z tą ślicznotką. Buzię jej rączką zakryłem, żeby nie pisnęła słówka i czekałem, aż ten facet odejdzie. Jakbym mu się

na oczy pokazał, to by chciał wiedzieć, gdzie jest Pinokio. A Pinokio chyba nie taki frajer, żeby mu silnik oddawać.

— To może szkoda, że powiedziałem mu o kadłubie motorówki?

— Dobrze zrobiłeś. Przynajmniej okazaliśmy dobrą wolę, rozumiesz?

— Pewnie, że rozumiem. A skąd wzięłeś tę ślicznotkę? — dopiero teraz zwrócił uwagę na milady.

Rudy roześmiał się rubasznie:

— Nie uwierzysz, bratku, ale znalazłem ją w lesie.

— Tutaj?

— A tak. Wracam bardzo zmęczony, bo to przecież kawał drogi znad jeziora Kikuł. Wstępuję na podwórze gajówki, żeby się napić wody i nie uwierzysz, bratku, co widzę? Na podwórzu gajówki, na tych oto kocykach, śpi w najlepsze prawdziwa ślicznotka.

— I co?

— Obudziłem ją, wytłumaczyłem grzecznie, że w lesie samej spać niebezpiecznie, bo wilki grasują, a i rozmaite łobuzy się kręcą. Ładna jest, prawda?

Wziął ją pod rękę i chciał doprowadzić bliżej do lampy, żeby kolega zobaczył, jaką to urodziwą panienkę przyprowadził. Ale milady strząsnęła jego rękę i odsunęła się.

— Ręce przy sobie — powiedziała ze spokojem, ale stanowczo. — Zgodziłam się tu przyjść, bo pan mnie szarpał. I brudną łapą zakrył mi pan usta. Jest pan wstrętny i nie zamierzam z panem rozmawiać.

„Jestem Genek” z podziwem kręcił głową:

— Prawdziwa ślicznotka, szkoda gadać. A to miałaś szczęście. I sama tam była? Dziwne, no nie?

— Powiedziała, że zabłądziła.

— Ładna jest. I jak pięknie pachnie. Perfumami, bracie. Nie to, co te nasze straszdyła.

Popatrzył na trzy dziewczyny, które siedziały przy kocherze i z niechęcią zerkały na milady.

— E, ty, Genek! — zawołała jedna z nich. — Uważaj na skręty. Też się znalazł dżentelmen. Straszdyła o nas mówi.

— Cicho, straszdyła! — huknął na nie Rudy. I skłonił się grzecznie przed milady. — A pani będzie łaskawa usiąść sobie, o tu, na własnych kocykach.

To mówiąc położył na ziemi stertę kocy i wskazał miejsce Sosnowej Igiełce. Ta zresztą zachowywała się spokojnie, była opanowana i nie okazywała strachu. Chyba domyślała się, że ja i Winnetou znajdujemy się w pobliżu.

Trzy straszdyła obserwowały ją pilnie, po cichu wymieniając między sobą jakieś uwagi i chichocząc.

Dopiero teraz przyjrzałem im się bacznie i stwierdziłem, że są to klasyczne Karampuki. Setki takich widuje się na różnego rodzaju młodzieżowych biwakach lub na autostopie.

Ich twarze chyba od dawna nie widziały mydła, a włosy nie wiedziały, co to szampon. Nosiły „szwedy” z teksasu, które deformowały im nogi, przez co wydawały się jakby spętane jakimiś kajdanami. Brudne, zatłuszczone ortalionowe kurtki, męskie ruchy, popychania łokciami, klepania po plecach, papierosy w ustach — oto ich sylwetki i sposób zachowania się. Naprawdę, gdyby nie piskliwe głosy, nikt by nie powiedział, że to dziewczyny. Bo takie same spodnie, długie włosy i zatłuszczone kurtki mieli Rudy i „Jestem Genek”.

Widok prawdziwej dziewczyny musiał je zaskoczyć, a zarazem zaniepokoić. Być może, gdyby którąś z nich umyć i uczesać, przebrać w sukienkę — okazałoby się, że jest nawet ładniejsza od milady. Ale to ona była w sukience, miała starannie uczesane włosy i pachniała perfumami „Chanel” nr 5. Nic dziwnego, że zarówno „Jestem Genek”, jak i Rudy nie mogli się napatrzeć Sosnowej Igiełce.

— Cholernie ładna — pomrukiwał z zachwytem „Jestem Genek”.

— Mam szczęście, nie, bracie? — chwalił się Rudy, który uważał milady niemal za własność.
— A nie chciałem posłuchać Pinokia i wracać do obozu.

— Dlaczego on cię tu przysłał?

— Bo jutro ma przyjechać facet po ptaszki. Pinokio mi powiedział: „Wracaj tam, bo Genek zabierze forszę i zwieje”.

— A to drań!

— On zna życie. I opłacało się tu iść. Znalazłem lalczkę.

„Jestem Genek” zwrócił się do milady:

— Czy wolno wiedzieć, jak pani na imię?

— Ela.

— Też pięknie — z podziwem stwierdził Genek. — Nie żadna Mariola, Iwona czy Grażyna, tylko Ela.

Rudy wyciągnął z kieszeni paczkę sportów, poczęstował milady, a gdy ta odmówiła, sam zapalił.

— Zostanie pani z nami, prawda? Może pani być moją dziewczyną.

— Pan żartuje — wzruszyła ramionami milady.

Z grona straszdeł poderwał się rosły, czarny Karampuk:

— Coś ty powiedział, Rudy? A ja to czyją jestem dziewczyną?

Rudy szturchnął łokciem Genka:

— Masz lusterko? Daj jej, niech się przejrzy. Gdzież ja miałem oczy, gdy ją poznawałem. Ela to jest przynajmniej dziewczyna. Przyjrzyjcie się i zobaczcie, jak powinna wyglądać panienka. Straszdyła, zostało tam jakieś wino? Trzeba oblać moje święto.

Rosły Karampuk chwycił leżący tuż obok kołek i pogroził Rudemu:

— Powiedziałam ci, żebyś uważał. Ja ci pokażę „straszdyło”! Sam wyglądasz jak strach na wróble. Ta dziewczyna mu się spodobała, bo nosi sukienkę i ma gołe nogi. A jak ja chodziłam w sukience, to mi powiedziałeś: „Co ty, ze wsi jesteś? Chodzisz jak własna ciotka, nie wiesz, że się teraz «szwedki» nosi?”

— Ucisz ją, bo się zdenerwuję.

Ale i pozostałe Karampuki aż podrygiwały ze złości. Zaiste, śmieszny to był widok, a zarazem żałosny. Ruchy miały niezgrabne, w szerokich spodniach i luźnych kurtkach przypominały niedźwiedzie.

Milady oświadczyła Karampukom:

— Niech się panie nie martwią. Takich dżentelmenów jak ci mnóstwo chodzi po szosach. Znajdą panie innych, może mniej oberwanych.

W krzakach po drugiej stronie polany rozległ się kobiecy śmiech. I po sekundzie wyszła na polanę Krwawa Mary ze sztucерem w ręku.

Zaśmiewała się głośno:

— A to im pani powiedziała. Coś wspaniałego! Na pęczki takich młodzieźowców można zbierać po różnych ośrodkach wczasowych, po drogach i lasach. A one, biedactwa, martwią się, że ich tracą.

Karampuki przysiadły ze zdumienia. „Jestem Genek” zrobił wielkie oczy, a Rudy podrapał się po skudlonych włosach:

— O rany, co ta za jedna?

I usiłował wstać, lecz lufa sztucera, która nagle skierowała się na niego, osadziła go na miejscu.

— Ej, przyjacielu — ostrzegła go Krwawa Mary. — Siedź, jeśli ci dobrze. A pani, milady, niech pani zabierze nasze koce. Jak tylko zrobię tutaj porządek, pójdziemy szukać naszych wojowników. Coś mi się zdaje, że oni zabłądzili w lesie.

„Jestem Genek” ochłonął ze zdumienia i zaczął się stawiać:

— Proszę pani, nie tak ostro! Kto to słyszał, żeby do turystów mierzyć z broni palnej?

Rudy puknął się dłonią w czoło:

— Ja ją znam! — zawołał. — To kierowniczką kawiarni w Złotym Rogu. Nazywają ją Krwawa Mary.

— Do usług, przyjacielu — kiwnęła głową dziewczyna — a teraz powiedz mi, gdzie trzymacie ptaszki. Obiło mi się o uszy, że łapiecie je do klatek i zamierzacie jutro sprzedać. Jednym słowem, do kradzieży motorówki i włamania do domu Winnetou należy dodać jeszcze jedno przestępstwo: łapanie ptaków.

— A co, pani z milicji? — zapytał ją drwiąco Rudy.

— Ze związku łowieckiego — odpowiedziała. — A ptaszki zapewne trzymacie w szopie?

I nie namyślając się poszła zajrzeć do szopy.

W ciemnościach nie dostrzegła klatek, więc zrobiła krok do środka, obracając się plecami do „ptaszników”.

W tym momencie Rudy zerwał się gwałtownie, zrobił kilka szybkich i cichych kroków, podbiegł do szopy i zatrzasnął drzwi za Krwawą Mary.

— Mamy ją! — zawołał tryumfująco.

— Otwórzcie, bo będę strzelała — zawołała przez drzwi Krwawa Mary.

— Strzelaj! Strzelaj! — odkrzyknął jej Rudy. I wydał komendę Genkowi:

— A teraz w nogi! Szybko, zanim ona przestrzeli skobel na drzwiach.

Zaczęli miotać się po polanie, zbierając porozrzucane tam swoje rzeczy. W tym zamieszaniu nawet nie zauważyli, że na polanie stanął Winnetou.

— Dokąd wam tak spieszno? — zagrzemiał jego donośny głos. — Czyżby z powodu jednej skwaw blade twarze ogarnął przestrasz?

Nie było już potrzeby dalszego ukrywania się w ciemnościach. Wyszedłem na polanę i zbliżyłem się do milady.

— Czy nie uczynili pani żadnej krzywdy? — zapytałem.

— Ach, nie — zaprzeczyła, składając nasze koce. — Mam chyba tylko siniak na ramieniu.

Podszedłem do drzwi szopy i otworzyłem je szeroko.

— Jest pani wolna — oświadczyłem Krwawej Mary, nie bez nutki tryumfu.

— Biała skwaw imieniem Krwawa Mary — rzekł Winnetou — nie posłuchała nas i popełniła dwa błędy. Pozwoliła, aby Sosnowa Igiełka dostała się do niewoli ptaszników, a potem sama wpadła w niewolę.

— Dałabym sobie radę — odparła lekceważąco. — A co do milady, to uprzedzam was, że nie zamierzam zajmować się pilnowaniem dam.

A banda ptaszników zbiła się w ciasną gromadkę i z prawdziwym strachem patrzyła na Winnetou. Nosek naopowiadał Genkowi strasznych historii o Winnetou, słyszał te opowieści ukryty w krzakach Rudy, więc Winnetou nawet nie mierzył do nich ze swojej strzelby, tylko ją trzymał niedbale zarzuconą na ramieniu, a żaden nie próbował ucieczki.

— Przynieście ptaki w klatkach — rozkazałem — a nie zapomnijcie o sidłach.

Gromadka ptaszników natychmiast ruszyła do szopy, ale Winnetou ich zatrzymał.

— Karampuki niech zostaną — oświadczył.

— Jakie Karampuki? — zapytał Rudy.

— Wasze skwaw — wyjaśnił Winnetou. — A może wy także jesteście chłopakami? — zwrócił się do trzech Karampuków.

— Nie. My jesteśmy dziewczyny — odrzekły chórem, robiąc wdzięczne minki do Winnetou.

— Hm — mruknął Winnetou i spojrzał na nie podejrzliwie. — Nie wyglądacie na skwaw.

Zabrał głos rostry Karampuk:

— Teraz taka jest moda, że dziewczyny wyglądają jak chłopaki, a chłopaki jak dziewczyny. Zresztą, możemy to udowodnić...

— O, nie ma potrzeby... Wierzę wam — powiedział spieszenie Winnetou, a wszystkie Karampuki zachichotały radośnie.

Dwaj ptasznicy wynieśli z szopy cztery duże klatki z ptakami i trzy sidła. W klatkach zobaczyliśmy mnóstwo ptaków — przeważnie były to szczygły i makolągwy, ale nie brakło szpaków, kosów, wilg, a nawet były pójdzka i sowa płomykówka. W Polsce niemal wszystkie ptaki podlegają ochronie. Myśliwym w pewnych okresach wolno polować na dzikie kaczki i gęsi, słonki, bekasy, głuszce, łyski, derkacze. I można także niekiedy zabijać jastrzębie, gdy szkodzą w gospodarstwach rolnych, porywając ptactwo domowe. Nie podlegają ochronie tylko wróbel domowy i wróbel mazurek, ale to nie znaczy, że ktoś ma prawo chwycić je w sidła i trzymać w klatce, w niewoli.

Otworzyłem drzwiczki klatek, ale śpiące ptaki jakoś nie chciały same szukać wolności. Musiałem je po prostu wytrząsnąć przez otwarte drzwiczki. Odleciały natychmiast w mrok lasu.

Wtedy wziąłem od Winnetou jego tomahawk i porąbałem nim klatki na drobne kawałki. Tak samo pociąłem sidła.

— O rany — wyrwał się z piersi ptaszników okrzyk zgrozy.

I dopiero gdy uporałem się z tym wszystkim, Winnetou uroczyście oświadczył ptasznikom:

— Popełniliście cztery przestępstwa: poprzecinaliście liny kotwiczne w jachtach na bindudze, ukradliście motorówkę, włamaliście się do domu Winnetou i skradliście jego rzeczy oraz łapaliście ptaki. Ta ostatnia zbrodnia wydaje się Winnetou najgorszą. Albowiem nie ma nic piękniejszego nad śpiew ptaków w leśnej gęstwinie lub nad brzegiem jeziora. Jest to także przestępstwo przeciwko człowiekowi, albowiem odbieracie w ten sposób ludziom możliwość wspaniałego wypoczynku, jakim jest słuchanie ptasich głosów. Winnetou będzie dziś ramieniem sprawiedliwości, którą okaże wam przyroda. Ptaki nie umieją mówić, ale Winnetou w ich imieniu rozprawi się z wami. I zabierze skalpy.

— Nie! Nie! — wrzasnęli ptasznicy.

Byłem zdecydowany zaprotestować przeciwko obcięciu włosów obydwu ptasznikom. Bo choć przestępstwa, jakie popełnili, wydawały mi się wielkie, ale zawsze przeciwstawiłem się poglądom, że „gwałt niech się gwałtem odciska”. Mieliśmy prawo ich ścigać, dokonali bowiem zamachu na cudzą własność i niszczyli przyrodę, ale nikt nie upoważnił nas do sądzenia tych ludzi, a tym bardziej egzekwowania od nich kary w postaci obcięcia im włosów.

Winnetou wyjął z pochwy swój nóż myśliwski.

— Obetnę wam po kosmyku — rzekł.

Powstrzymałem go:

— Niech mój brat tego nie czyni. Nie będziemy wprowadzali praw puszczy. Dopóki nie osądzą ich ludzie do tego celu powołani, nawet włos nie powinien im spaść z głowy.

Winnetou zawahał się:

— A co mój brat, Szara Sowa, proponuje? Chyba nie zamierza puścić wolno białych twarzy, zwanych ptasznikami?

— Jako „skalpy” zabierzemy im dowody osobiste. Potem prześlemy je na posterunek milicji w Żółtym Rogu. Tam zgłoszą się po nie blade twarze i złożą przed milicją zeznania o swoich uczynkach. Wspomną też, kto rozkazał im przeciąć liny kotwiczne w jachtach na bindudze.

— Zgoda — przytaknął Winnetou i schował nóż.

Obydwaj ptasznicy — uszczęśliwieni, że nie obcięto im włosów — pośpiesznie oddali swoje dowody osobiste. Gorzej było z Karampukami. Rosły Karampuk podał Winnetou legitymację szkolną.

— Czy taki skalp wystarczy? — zapytał.

— A ja nie mam w ogóle skalpu — powiedział inny Karampuk.

W rezultacie Winnetou machnął ręką i zachował tylko dowody obydwu ptaszników.

— Pamiętajcie — ostrzegł ich — jeśli któryś z was ośmieli się jeszcze kiedyś wejść do tutejszych lasów i natknie się na mnie, to spotkanie skończy się znacznie gorzej niż dzisiaj.

Teraz ja zabrałem głos. Ale nie bawiłem się w moralizowanie:

— Skradliście silnik i rzeczy Winnetou. Odzyskamy je. Przestrzegam jednak, że jeśli o tym, co się tu stało, powiadomicie waszego przywódcę, spotka was dodatkowa kara. Niech się nikt nie waży pojawić nad jeziorem Kikuł.

Trzy Karampuki oświadczyły zgodnie:

— My, proszę panów, zaraz jutro ruszamy z powrotem do Warszawy. Bo my jesteśmy z Warszawy, z Woli. Już wcześniej myślałyśmy, jak stąd uciec. Jeść tu nie było co, ciągle głodowałyśmy. Oni kazali nam chwycić ptaki w sidła, a sami gdzieś łazili. I jeszcze z nas dziś szydzili, że jesteśmy straszdyła. Pan Winnetou zrobił bardzo dobrze, że zabrał im skalpu.

Podniosłem z ziemi nasze koce, wzięłem za rękę milady i ruszyłem do gajówki. Za mną poszli Winnetou i Krwawa Mary.

Zbliżała się północ. Noc była ciepła, ale zauważyłem, że mimo to Sosnowa Igiełka trzęsie się z zimna.

Nazbierałem więc trochę suchego chrustu i na podwórzu gajówki rozpałem mały ogienek. Krwawa Mary przyrządziła kolację z przyniesionego przez nas suchego prowiantu. Gdy skończyliśmy jeść, Winnetou wstał i zarzucił na ramię swoją strzelbę.

— Szara Sowa i obydwie skwaw położą się spać — rzekł — Winnetou podkradnie się do obozu ptaszników i będzie obserwował ich poczynania. Być może któryś z nich zechce nas oszukać i pójdzie ostrzec Pinokia. A wtedy Winnetou ruszy jego śladem i trafi do miejsca, gdzie ukryto silnik i rzeczy Winnetou. Jutro rano ma tu przyjechać jakiś człowiek z Warszawy. Jest to zapewne handlarz ptakami, czyli straszliwy pedlar[27]. Winnetou chciałby zanotować numer blaszanego konia należącego do pedlara.

— A my co mamy robić? — spytała Krwawa Mary.

— Teraz spać. A jutro rano Szara Sowa zaprowadzi was na „Moby Dicka”. Podniesiecie żagle i popłyniecie nad jezioro Kikuł. Zatrzymacie się w miejscu, które nosi nazwę Ośła Łąka i jest największym obozowiskiem białych twarzy. To tam zapewne poszedł Pinokio, aby sprzedać silnik i moje rzeczy. Tam też w swoim czasie spotkacie Winnetou.

I bezszelestnie zniknął w ciemnościach lipcowej nocy. A ja dołożyłem do ognia resztę chrustu i rozłożyłem na ziemi koce dla Krwawej Mary i Sosnowej Igiełki. Obydwie zasnęły, a ja siedząc przy ogniu czuwałem, rozmyślając o swojej znajomości z Winnetou i przygodach, jakie mnie jeszcze czekały.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

POŻEGNANIE PIĘKNEGO ANTONIA • JEZIORO KIKUŁ • DONKEY'S MEADOW, CZYLI OŚLA ŁĄKA • CZY KRWAWA MARY ZOSTANIE LADY? • I ZNOWU ANTONIO • JAK WYPOCZYWA SIĘ NA OŚLEJ ŁĄCE? • DZIWNY BRODACZ I NAUKI YOGÓW • WIELKI BÓBR I PUŁAPKA NA PINOKIA

Następnego dnia, po długim marszu przez las, dopiero około południa dotarliśmy do „Moby Dicka”. Obok jachtu cumowała motorówka z ośrodka wczasowego — jeszcze wczoraj ściągnięta ze skał „piekiełka” i naprawiona. Na motorówce urzędował instruktor Nosek, nieświadomy, że wiemy o jego spotkaniu z ptasznikami.

— No i co? Nie powiodło się wam? — powitał nas niemal radośnie. — A gdzie to pan Winnetou?

Udzieliłem mu wymijającej odpowiedzi. Umówiliśmy się bowiem, że dopóki nie odzyskamy rzeczy Winnetou, poczynania nasze pozostawimy w tajemnicy.

— Dlaczego tak was długo nie było? — niemal z oburzeniem zwrócił się do nas Piękny Antonio. — Zrobiliście ze mnie stróża waszego jachtu. I do tego wracacie z pustymi rękami. Sam się teraz wezmę do poszukiwania złodziei. Przesiadam się na motorówkę pana Noska i wyruszam po swój silnik.

Piękny Antonio myślał, że tylko Nosek i on wiedzą, że Pinokio zaniósł silnik nad jezioro Kikuł. Ale zamiast podzielić się z nami informacją — jak uczyniłby to każdy uczciwy człowiek — on wołał ją zachować dla siebie.

Udałem zmartwionego jego decyzją:

— Chce nas pan zostawić bez swojej pomocy? Bez pana nie odnajdziemy rzeczy Winnetou.

— A pewnie, że nie znajdziecie — dumnie wyprężył się Piękny Antonio — ale ja nie mam wobec was żadnych zobowiązań. Uważam, że każdy z nas powinien działać na własną rękę.

— Jak to? — udałem oburzenie. — Czy nie pomogliśmy panu odnaleźć kadłub motorówki?

— Odnalazłbym go i bez waszej łaski — burknął niechętnie Piękny Antonio. — Pan Nosek też tu trafił. Dziś rano. Mam zresztą dużo żalu do was, panie Szara Sowo. Zabrał mi pan w bardzo podstępny sposób dziewczynę.

— Myśli pan o milady?

— Przywiozłem ją tu z Warszawy, a pan sprzątnął mi ją sprzed nosa. Tak się nie robi, proszę pana.

Krwawa Mary również dobrze odegrała swoją rolę. Zrobiła smutną minę:

— A o mnie zapomniałeś, Antonio? Mnie też chcesz tu pozostawić? Po tylu obietnicach...

Piękny Antonio mógł teraz puszyć się jak paw. Próżność jego została mile połączona.

— Widzę — stwierdził — że gdy przespacerowałaś się dwadzieścia kilometrów przez las, to wrócił ci spryt. Ale już za późno, moja droga. Mam zupełnie inne projekty.

— Kręta — rzuciła nagle Halina, która siedziała w motorówce bardzo markotna.

— Co się stało, panno Halino? — zapytałem.

— Nic się nie stało. Tyle tylko, że rankiem przepływała tędy jakaś samotna piękność w żaglówce, zatrzymała się przy nas i Antonio z miejsca zakochał się w niej. Zaprosiła go na jakąś Oślę Łąkę. I on śpieszy na spotkanie.

— Czy tą piękną żeglarką nie była Miss Kapitan?

— Być może, nie wiem, jak ją nazywają. Wymalowana, w białej peruczce.

— To ona — stwierdziła milady.

— Bellissima — powiedział po włosku zachwycony Antonio. — Cudowna.

Halina aż poczerwieniała z zazdrości i zirytowana przerwała te jego wywody:

— Panie Nosek, czy nie pora już wyruszyć do ośrodka? Jeszcze dziś zamierzam wyjechać do Warszawy.

— Szczęśliwej drogi, moja mała — powiedział Piękny Antonio i usiadł obok niej w motorówce.

Czerwony kadłub łajby Antonia był już przycumowany do motorówki ośrodka wczasowego. Nosek zapuścił silnik, Halina pomachała nam ręką na pożegnanie i łajba odpłynęła w stronę Złotego Rogu.

I my także usadowiliśmy się w jachcie. Podniosłem grotzagiel, Krwawa Mary odczepiła cumę od pochylonej wierzby, wiatr wpadł w żagiel i jacht wszedł w przesmyk. Popłynęliśmy na jezioro Kikuł.

Dzień był słoneczny, wiał lekki wiaterek. Wkrótce znaleźliśmy się na ogromnej toni wodnej, gdzie aż roiło się od białych i czerwonych żagli, z łoskotem sunęły ślizgacze oraz przeróżne dziwaczne „samoróbki” — tratwy z doczepionymi silnikami lub żaglami przypominającymi suszące się na słońcu prześcieradła. Na jeziorze uwijało się także mnóstwo kajaków — jednym słowem, było tu tłoczno od łajb i ludzi. Nie widziało się natomiast ani dzikich łabędzi, ani nawet dzikich kaczek. Jedynie mewy, skrzecząc głośno, unosiły się nad ludzkim

rojowiskiem, szukając w wodzie żeru. Ale i one miały coraz mniej pokarmu, bo wibracje śrub napędowych silników ścigaczy zabijały narybek, a po wodzie pływały tłuste plamy oliwy. Rybacy coraz rzadziej chwyтали ryby, częściej natomiast wyławiali puste butelki i puszki po konserwach. Ostrzegano turystów, aby gołą stopą nie wchodzili z brzegu do wody, gdyż łatwo było rozciąć nogę na rozbitym szkle lub ostrych jak brzytwa wieczkach od puszek po konserwach.

Gdy przykładałem do oczu lornetkę, widziałem na brzegach mnóstwo domków campingowych, należących do najróżniejszych zakładów pracy. Ci, którzy budowali te ośrodki, traktowali wodę jako najlepsze miejsce do wyrzucania śmieci i niepotrzebnych rupieci. Ośrodki wczasowe były więc czyste, ale jezioro brudne. W niektórych miejscach ogłoszono nawet zakaz kąpieli, gdyż przy brzegach barwami tęczy mieniły się smugi oliwy i smarów, a ci, którzy odważyli się zanurzyć w jeziorze, dostawali pryszczycy na skórze. Podobno kilku kierowników ośrodków wczasowych nad jeziorem Kikuł zebrało się, aby uchwalić rezolucję zakazującą używania silników spalinowych. Lecz wszystko — jak to się mówi — rozeszło się po kościach, ponieważ każdy ośrodek miał swoją motorówkę do przewożenia wczasowiczów i zamierzał jej nadal używać.

Największa osada namiotowa nad jeziorem Kikuł powstała na nieużytku, rozciągającym się wzdłuż zachodniego brzegu. Powodzenie swoje zawdzięczała dość dobremu dojazdowi i bliskości wioski, gdzie znajdowały się studnie z czystą wodą oraz były gospoda ludowa, sklep i poczta. Mieszkańcy wsi nazywali to miejsce Oślą Łąką, choć nigdy chyba żadne osły tam się nie pasły. Nie podobała się ta nazwa turystom, toteż wkrótce jakiś snob przetłumaczył ją na angielski „Donkey's Meadow”, co brzmiało dumnie.

Egzotyczna to była osada. Przypominała znane z opisów namiotowe miasta na Dzikim Zachodzie w okresie „gorączki złota”, z całym ich prawdziwym kolorytem. Tylko że ludzie poszukiwali tutaj nie złota, lecz wypoczynku i opalenizny, jeździli nie na koniach, ale podnosili kurz oponami samochodów. Nie brakło jednak przeróżnych poszukiwaczy przygód i oszustów usiłujących uszczknąć coś z pieniędzy wydawanych przez wczasowiczów. Można tu było więc spotkać pomysłowych kombinatorów, po słonej cenie dostarczających rzadkich w sklepach konserw lub odsprzedających po dwukrotnej cenie benzynę i butle z gazem.

W ubiegłym roku odkryto tu nawet dwie meliny, gdzie o każdej porze dnia i nocy, po odpowiednio wysokich cenach, sprzedawano alkohol.

Na okres lata władze milicyjne kierowały na Oślą Łąkę dwóch funkcjonariuszy, którzy zamieszkiwali w wozie na kółkach, podobnym do słynnego wozu Drzymały. Trzeba stwierdzić, że obydwaj mieli pełne ręce roboty, uśmierając kłótnie, chwytając złodziejasków, przyjmując skargi, likwidując namioty, w których pod pretekstem gier towarzyskich uprawiano hazard.

Ośla Łąka wydawała się idealnym miejscem do sprzedaży skradzionych rzeczy. W uliczkach z dziesiątkami namiotów, w wielobarwnym i wielojęzycznym tłumie wczasowiczów (przyjeżdżali tu turyści z NRD, z Czechosłowacji i Węgier) — łatwo było, nie zwracając niczyjej uwagi, sprzedać silnik do motorówki. W takim mrowisku ludzkim można też było liczyć na spotkanie kogoś, kto zainteresuje się indiańskimi oryginalnymi przedmiotami — i dlatego właśnie Winnetou oczekiwał, że na Donkey's Meadow natkniemy się na Pinokia.

„Moby Dick” płynął baksztagiem, który wiał trzy czwarte od rufy. Mocno prażyło słońce, lekki wiatr studził upał, pod dziobem z cichym szumem rozstępowały się niewielkie fale. Donkey's Meadow leżała — jak wspomniałem — na wschodnim brzegu. Skoro więc znaleźliśmy się na środku jeziora, zmieniłem nieco kurs, odrobinę wybierając żagiel. Odtąd płynęliśmy półwiatrem albowiem zamierzałem jednym halsem dojść do widocznego już z dala ogromnego zbiorowiska różnokolorowych namiotów.

Podróż do Donkey's Meadow upłynęła przyjemnie, ponieważ obydwie towarzyszące mi panie przyrządziły w kabinie bardzo smaczny posiłek. Niestety, nie ma róży bez kolców, nie obyło się bez złośliwości pod moim adresem.

— O ile pamiętam — powiedziała w pewnym momencie Sosnowa Igiełka — Szara Sowa umówiony był wczoraj z Miss Kapitan. Wyobrażam sobie, jak mu przykro, że nie zdołał pójść na randkę. A teraz Antonio umówił się z nią na Ośleję Łące.

— Sprawiedliwości stało się zadość — stwierdziła Krwawa Mary. — Szara Sowa także porwał dziewczynę Pięknemu Antonio.

— Czy mnie pani ma na myśli? — zapytała milady. — Wciąż dochodzą mnie uwagi, że ktoś mnie dla kogoś przywiózł, ktoś mnie komuś zabrał. Byłam już porwana, uwięziona, wywieziona i tym podobne. Postronna osoba mogłaby odnieść wrażenie, że bez przerwy jestem oblężona przez wielbicieli. A prawda jest taka, że tylko jedna osoba, Szara Sowa, raz tylko, podkreślam, usiłował mnie pocałować. A gdy odmówiłam jak każda uczciwa dziewczyna, pośpiesznie zrezygnował i odtąd nie ponawiał tego rodzaju propozycji. Zaczynam powoli marzyć, żeby mnie ktoś wreszcie naprawdę porwał.

— Słyszysz pan? — surowo popatrzyła na mnie Krwawa Mary.

— Nie nadaję się na porywacza...

— No jasne. Zawsze te wykręty — mruknęła milady.

Zdumiałem się.

— Obchodzimy się z panią jak z damą, a pani wnosi pretensje?

Sosnowa Igiełka zdjęła z nóg pantofle, wskoczyła na dach kabiny, chwyciła się wantów i zaczęła skakać, nucąc pod nosem:

*Kto mnie uwięzi?
Kto porwie kiedy?
Dość byłam lady!
Dość byłam lady!*

Krwawej Mary podobała się chyba ta piosenka. Też wskoczyła na kabinę i zanuciła:

*Założę suknię,
wyrzucę „szwedy”,
zostanę lady,
zostanę lady!*

*Odłożę sztucer
i może wtedy
powiedzą: lady.
Staną się lady!*

Rozbawiły mnie te śpiewy i płąsy na dachu kabiny. Oczami duszy widziałem już milady ubraną w spodnie i uganiającą się ze sztucerem po lesie albo zakrwawionym nożem oprawiającą upolowanego dzika. Nie, to było zupełnie nieprawdopodobne. O ile łatwiej przychodziło mi przedstawić sobie Krwawą Mary w długiej sukni wieczorowej pachnącą perfumami „Chanel” nr 5. Tymczasem „Moby Dick” podchodził do brzegu, na którym rozciągała się osada namiotów — Ośła Łąka. Wzdłuż lądu cumowały jachty i motorówki, a na piasku leżały kajaki podobne do kolorowych zdechłych ryb.

Przybiłem do skraju osady. Nie chciałem, aby nasze pojawienie się zbyt wielu osobom rzuciło się w oczy. Wprawdzie Pinokio chyba nie zapamiętał mej twarzy, a na pewno nie mógł wiedzieć, że „Moby Dick” przybył tu jego tropem, ale któż mógł zaręczyć, czy któryś z ptaszników z Solnika nie przybył tutaj wczesnym rankiem i nie ostrzegł Pinokia przed groźącym niebezpieczeństwem?

Na cóż jednak mogła zdać się nasza ostrożność, skoro zaledwie zarzuciłem kotwicę tuż przy jałowej, wyschniętej łące — gdy na to właśnie miejsce wjechał passat Pięknego Antonia. Przy kierownicy siedział instruktor Nosek.

Jak z tego wynikało, obydwaj dżentelmeni zdołali dopłynąć motorówką do ośrodka, wsiąść w passata i okrążywszy jezioro przybyć na Ośłą Łąkę niemal równocześnie z nami. Zaparkowali samochód na skraju osady, obok wbitego w ziemię palika, na którym widniała deseczka z napisem: ulica Księżycowa. Wyjęli z bagażnika torbę z namiotem i materace. Jednym słowem, zamierzali rozłożyć się tutaj biwakiem. Piękny Antonio umówił się z Miss Kapitan, ale chciał chyba także odzyskać silnik swej motorówki. W tym ostatnim przedsięwzięciu pomoc swoją zaofiarował Nosek, który — jak wiemy — postanowił tutaj odszukać Pinokia.

— Ci panowie udają, że nas nie widzą — z sarkazmem stwierdziła Krwawa Mary.

— Mnie też nie zależy na tej znajomości — powiedziała Sosnowa Igiełka.

W ten sposób skwitowaliśmy fakt obecności Noska i Antonia na Oślej Łące.

Była już druga po południu. Po namyśle zdecydowałem, że najpierw ja udam się na zwiady, a obydwie panie pozostaną na jachcie. Potem zaś one pójdą rozejrzeć się po osadzie, a znowu ja pozostanę na „Moby Dicku”.

Wyruszyłem zaraz po sklarowaniu[28] żagla, co jest powinnością żeglarza, gdy zamierza opuścić jacht. Ominąłem starannie Noska i Pięknego Antonia, rozstawiających namiot przy ulicy Księżycowej i znalazłszy wąską uliczkę między namiotami spacerowym krokiem udałem się do miejsca, które wydawało mi się centrum Donkey's Meadow. Mieszkali tam chyba cudzoziemcy, bo namioty były wspaniałe, wieloizbowe. Słyszało się obcą mowę — węgierską, czeską, niemiecką, a nawet francuską. Przy niedużym placu stał wóz na kołach gumowych, widniały na nim litery MO. W pobliżu sprzedawano kiełbaski z rożna, zobaczyłem także budkę z lodami (niestety, lodów nie było) oraz kiosk „Ruchu” z gazetami i

papierosami. To było city, czyli centrum Oślej Łąki. Od tego miejsca uliczki zabudowane namiotami bieły w stronę jeziora.

Ludzi widziało się tu tyle, co na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej w godzinach szczytu. Ten szedł nad jezioro do swojej łajby, tamten po kiełbasę z rożna, inny do gospody ludowej lub na pocztę. Ów niósł butlę z gazem, inny taszczył wiosło kajakowe, ktoś dźwigał bom z żaglem, inny znów silnik motorówki. Rozebrane panie i dziewczyny maszerowały nad jezioro, aby po obiedzie wziąć porcję słońca, inne znów wracały z wody na obiad. Gwarno i rojno było także przed namiotami. Na wolnym powietrzu stały kochery spirytusowe i kuchnie gazowe oraz prymusy na naftę. Wszędzie pitraszono jedzenie, w powietrzu unosił się zapach ryb smażonych na oleju. Nie było namiotu, skąd nie dochodziłyby głos spikera radiowego lub muzyczka.

Dziesiątki, setki ludzi półnagich lub ubranych w najdziwaczniejsze stroje. Każdy zresztą nosił się, jak chciał, bo przebywał na wczasach. Opis tych strojów zająłby zapewne kilka stron, więc go poniecham. Zresztą, chyba każdy z was wdepnął kiedyś do podobnej osady i wie, jak w niej się żyje.

Szedłem wolno, raz po raz przez kogoś popychany, potracany. To otarł się o mnie wysmarowany olejkim golas, który dźwigał wielki bochen chleba, innym razem popchnęła mnie panienka, biegnąca z piłką nad brzeg jeziora. Między namiotami i po uliczkach goniły się dzieci, wrzeszcząc, ile tylko miały sił w płucach. Harcowały tu także psy przeróżnej maści i rozmaitych ras. Jednym słowem, wspaniały wypoczynek! Zdumiewał mnie widok brzuchatych panów, z powagą niosących wspaniałe wędkę. Jedni szli nad jezioro, drudzy wracali znad wody, żaden jednak nie niósł ryb. A mimo to chodzili dumnie z wędkami, choć w jeziorze Kikuł ryba jest taką samą rzadkością, jak w niektórych sklepach rybnych w Warszawie.

Jak w tym ogromnym tłumie przebierańców i golasów odnaleźć Pinokia? — zastanawiałem się. I coraz bardziej ugruntowywało się we mnie przekonanie, że tylko szczęśliwy zbieg okoliczności może mi pomóc w poszukiwaniach.

Zwiedziłem całe Donkey's Meadow, łącznie z jego peryferiami. Stwierdziłem, że Oślę Łąkę otaczał szczelnie wieniec samochodów. „Błaszane cuchnące konie”, jak je nazywał Winnetou, prażyły się na słońcu, emanując zapachem smarów, benzyny i rozgrzanej gumy. Ten i ów, korzystając z wolnego czasu, grzebał pod wozem, wyłaząc spod niego usmolony od stóp do głów. Inny czyścił i regulował gaźnik, a wtedy samochód wył na zwiększonych obrotach, z rury wydechowej zaś wydobywał się kłęb czarnego dymu. Hałas i swąd wiatr niósł między namioty.

Sklepik w wiosce nie był w stanie zaspokoić potrzeb licznie przybyłych tutaj turystów. Całe więc karawany samochodów ruszały do miasta po żywność, gaz i paliwo. Jedni wyjeżdżali, inni wracali, toteż na zmiażdżonej setkami kół jałowej łące widniały już ogromne łysiny piasku, który podnoszony oponami wozów tworzył chmurę pyłu i osiadał na namiotach i twarzach ludzi.

Na jakiś czas uwagę moją przykuł dziwny obrazek. Oto przed małym namiotem, na skraju osady, przykucnął na wpół goły młodzieniec. Miał imponującą brodę i bardzo długie włosy, które okrywały mu ramiona. Siedział w pozycji lotosu i monotonnym głosem przemawiał do

gromadki chłopców i dziewcząt. Raz po raz zatrzymywał się przy nich zaciekawiony przechodzień, ale wysłuchawszy przemówienia brodacza, odchodził rozbawiony.

— Cywilizacja i technika stały się największym przekleństwem ludzkości — głosił monotonna brodacza. — Ludzie gonią za pieniędzmi, zapominając, że prawdziwe szczęście dać może jedynie poznanie samego siebie. Smrody spalin samochodowych i kominów fabrycznych zatrują powietrze, wkrótce zadusimy się od tego zaduchu. Nawozy sztuczne deszcz zmywa z pól do jezior i morza, wkrótce więc umrzemy z pragnienia. Trucizna kryje się nawet w owocach opylanych środkami owadobójczymi. Pośpiech i tempo życia powodują zawały serca. A przecież szczęście jest w zasięgu ręki. Spróbujcie poznać samych siebie, nauczcie się praktyk jogów, oddajcie się medytacjom.

A potem brodacza dodał:

— Od jutra rano w tym miejscu każdy, kto wpłaci sto złotych, będzie mógł nauczyć się ćwiczeń i praktyk jogów...

Wzruszyłem ramionami i odszedłem. Nie dlatego, abym skłonny był drwić sobie z korzystnego działania ćwiczeń jogów. Od wielu lat uprawiałem szwedzką gimnastykę, która przynosi odprężenie dla ciała i duszy. Praktyki jogów, związane z określonymi ćwiczeniami ciała, także pozwalały swobodnie oddychać i rozluźniać mięśnie. Mogły one wielu ludziom dać odprężenie, radość. Taki sam stosunek miałem także do metody Zen — milczącego nieruchomego siedzenia w pozycji lotosu i oddawania się wielogodzinnym medytacjom. Z największym zainteresowaniem przeczytałem kiedyś książkę Suzuki „Eseje o buddyzmie Zen”. Ale irytowało mnie, gdy ten czy ów zwolennik Hathajogi lub Zen usiłował twierdzić, że jest to najdoskonalsze lekarstwo na wszelkie dolegliwości trapiące ludzkość.

To prawda, że spaliny samochodowe zatrują powietrze. Ale nie zmieni się tego poprzez medytację. Jedynym ratunkiem jest wynalezienie takiego silnika, który zmniejszy ilość trujących gazów.

Na całym świecie miliony ludzi umierają z głodu, bo brakuje chleba, owoców i jarzyn. Ćwiczenia jogów i medytacje w pozycji lotosu nie napełnią im brzuchów, nie napędzą krwi do ich organizmów. Trzeba podnosić wydajność gleby, stosując nawozy sztuczne, lecz w taki sposób, aby nie zatrwały potem rzek i mórz. Trzeba opylać lasy, pożerane przez szkodniki, ale opylać je takimi środkami, które nie zabijają owadów i ptaków.

I uczeni pracują nad tymi zagadnieniami. Myślą o tym rządy wielu państw. Prasa raz po raz donosi o międzynarodowych konferencjach poświęconych walce o ochronę wód, powietrza, ziemi.

Dlatego z ironicznym uśmiechem na twarzy pomyślałem o brodaczu skłonnym za sto złotych uczyć ćwiczeń jogów, zapewne na podstawie lekcji, które w swoim czasie zaprezentował popularny tygodnik „Przekrój”. Jednocześnie żałowałem, że „kazań” brodacza nie wysłuchał Winnetou. Być może przekonałby się, jak piękna i szlachetna walka o ochronę środowiska naturalnego stawała się polem, na którym próbują zerować przeróżni szarlatani i oszuści.

Tak medytowałem powracając w stronę jachtu, gdy nagle na peryferiach Oślej Łąki, w ogromnej gromadzie lśniących lakierem aut, ujrzałem zabawny wehikuł, którego sylwetka wydała mi się znajoma.

Był to napędzany elektrycznością wózek pocztowy jakich wiele widzi się u nas na dworcach kolejowych gdy z peronu na peron przewożą worki z listami, paczkami. Tego rodzaju wózkami rozwożą także chleb do sklepów w wielu miastach; są powolne, ale ciche i nie wydzielają spalin. Na dworcach kolejowych i na ulicach większych miast widuje się wózki z odkrytą kabiną i platformą, bywają jednak także obudowane, z oszkloną kabiną i budą na towary.

Ten, który stał na Oślej Łące, był starym wózkiem pocztowym. Właściciel wózka sam dorobił oszkloną kabinę, a na platformie zbudował rodzaj skrzyni, podobnej do leżącej na plecach szafy. Znałem owego człowieka. Nazywał się Wiesław Kamas i był emerytowanym urzędnikiem pocztowym.

Przez czterdzieści lat pan Wiesław Kamas zasiadał za okienkiem pocztowym w Łodzi i rozsyłał listy do najróżniejszych miast i wsi. Być może to właśnie w tym czasie zrodziła się w nim tęsknota, aby kiedyś zobaczyć owe miejscowości, które znał tylko z nazwy i adresów na kopertach listów i paczek. Ale stało się to możliwe dopiero wówczas, gdy przeszedł na emeryturę. Wówczas to kupił przeznaczony na złom stary wózek pocztowy i z pomocą swego syna, inżyniera elektryka, wyremontował go, przeznaczając do krajoznawczych podróży. Odtąd pan Wiesław Kamas już od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni swoim elektrycznym wózkiem zwiedzał Polskę, powolutku tocząc się po naszych szosach.

Wózek był zaopatrzony w kilka ciężkich akumulatorów, mógł rozwijać szybkość do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W skrzyni na platformie pan Kamas wiózł prostownik i gdy akumulatory wyczerpały się, zawsze znalazł się jakiś gościnny człowiek, który pozwalał mu włączyć prostownik do gniazdka elektrycznego w swym mieszkaniu i ponownie naładować akumulatory. W nagrodę za to pan Kamas opowiadał o przygodach, jakie zdarzyły mu się w podróży, o ciekawych ludziach, jakich odwiedził i poznał.

Pan Kamas miał w skrzyni kuchenkę gazową, garnki, zapasy żywności, kołdrę i poduszkę, i od biedy mógł się nawet tam przespać. Zazwyczaj jednak znajdował gościnę u życzliwych ludzi, a takich u nas przecież nie brakuje. Był pan Kamas wielkim bojownikiem o ochronę środowiska naturalnego (zapewne także dlatego jeździł wózkiem elektrycznym, a nie motocyklem czy motorowerem), a że jego wózek toczył się wolno i musiał mieć częste postoje, mógł pan Kamas wiele zobaczyć i wiele usłyszeć. Konserwatorzy przyrody otrzymywali od niego listy, w których pisał im o odkrytych wspaniałych okazach drzew, godnych, aby je uznać za pomniki przyrody. Odwiedzał także i nasze ministerstwo powiadamiając o kilku zabytkowych kapliczkach przydrożnych, które należało poddać konserwacji, aby nie zniszczyły ich zupełnie słoty i wiatry. W ten właśnie sposób poznałem pana Kamasa, a nawet — jak sądzę — zaprzyjaźniłem się z nim, bo wart był tej przyjaźni, choćby ze względu na swoje wspaniałe zainteresowania.

Elektryczny wózek stał na Oślej Łące. Znaczyło to, że gdzieś w pobliżu musi znajdować się i jego właściciel.

Znowu więc zacząłem spacerować po uliczkach Donkey's Meadow, aż wreszcie zauważyłem barczystą sylwetkę pana Kamasa odzianego w spodnie wpuszczone w długie buty, kraciastą koszulę i ogromny traperski kapelusz z opuszczonymi kresami.

— Pan Samochodzik! Pan Tomasz! — zawołał szeroko otwierając ramiona.

Uścisnęliśmy się serdecznie, ucałowaliśmy głośno i kilkakrotnie.

— Czyżby i pana, panie Wiesławie, przyciągnęły uroki Oślej Łąki? — zapytałem, wskazując miasteczko namiotów.

Pan Kamas z niechęcią obrzucił spojrzeniem i samochody, i całą Ośłą Łąkę.

— Wybrałem się w podróż Kopernikowskim szlakiem, ale zboczyłem z niego, ponieważ dowiedziałem się, że gdzieś w tych stronach mieszka niezwykle interesujący człowiek, przezwiskiem Winnetou. Jest to podobno znakomity grafik, otrzymał nawet nagrodę państwową I stopnia. Rzucił jednak miasto, zbudował dom nad jeziorem. Tam pracuje i żyje jak Indianin. Jego pasją jest ochrona przyrody. Postanowiłem odnaleźć go i poznać.

Uśmiechnąłem się.

— Być może jeszcze dziś, tutaj, pozna go pan osobiście.

— Skąd pan o tym wie?

— Wypaliłem z nim fajkę pokoju, nazwał mnie swoim bratem. Bardzo proszę, gdy tu będzie, nie nazywać mnie przy nim Panem Samochodzikiem, bo on bardzo nie lubi samochodów. Otrzymałem od niego imię Szara Sowa.

Pan Kamas przyjrzał mi się bacznie:

— A wie pan, że w tych dużych okularach ma pan coś z sowy? Jak pan sądzi, Szara Sowo, czy Winnetou zechce się i ze mną zaprzyjaźnić?

— Jestem tego pewien. Już sam fakt, że podróżuje elektrycznym wózkiem, obudzi w nim dla pana sympatię — a gdy dowie się, jakim to pan jest wędrowcem po szlakach ojczystych i co pan zrobił dla ochrony przyrody, serce przed panem otworzy.

— I nada mi imię?

— To ja mogę zrobić nawet zaraz. Będzie się pan od dziś nazywał Wielki Bóbr. Mam prawo do nadawania imion, ponieważ jestem bratem Winnetou.

— Wielki Bóbr? — zastanawiał się głośno.

— A może pan chce się nazywać: traper Sępi Dziób? Albo Wiesław Niedźwiedzia Łapa? — zapytałem.

— Nie. Wolę być Wielkim Bobrem. Bo tamte imiona brzmią zbyt pompatycznie.

Tak rozmawiając, podeszliśmy do elektrycznego wózka i usiedliśmy na skrzyni. W wielkim skrócie opowiedziałem Wielkiemu Bobrowi o przyczynach mego przyjazdu do Złotego Rogu. Długo snułem opowieść o Winnetou i Milczącym Wilku, o złowrogim Purtaku i ptasznikach, o naszych przygodach, które doprowadziły nas aż tutaj, na Ośłą Łąkę.

— Szkoda, że nigdy nie widziałem Pinokia — westchnął Wielki Bóbr. — Może mógłbym okazać się pożyteczny przy jego poszukiwaniu?

Opisałem mu wygląd Pinokia. Ale takich jak on — pstrokato ubranych i długowłosych — było tu mnóstwo. Pinokia zresztą widziałem także tylko przelotnie i trudno było wskazać u niego jakąś charakterystyczną cechę.

Nagle Wielki Bóbr chytrze przymrużył oczy, aż jego ogorzałą twarz pokryło mnóstwo zmarszczek.

— Skoro ja nie znam Pinokia, to może byłoby z korzyścią, aby to on mnie odszukał i poznał — rzekł.

— W jaki sposób?

— Przecież przybył tutaj, aby sprzedać silnik i rzeczy skradzione Winnetou.

— No tak, ale...

— On mnie nie zna, nic o mnie nie wie, nie ma pojęcia, że ja spotkałem pana, a pan, Szara Sowo, jest przyjacielem Winnetou. Swój wózek wprowadzę bliżej centrum osady i przyczepię do niego ogłoszenie: „Kupię silnik do motorówki i inne rzeczy”.

— Wystarczy „Kupię silnik”, bo to nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Tu jest osada wczasowa, tego rodzaju transakcje są tu na miejscu. Wczasowicze kończący urlop czasem sprzedają motorówki i silniki.

— No, na wczasowicza raczej nie wyglądam — stwierdził Wielki Bóbr.

— Ale wyglądam pan na handlarza — powiedziałem.

Umówiliśmy się, że jeśli wpadnie na trop, to znaczy jeśli Pinokio zauważy ogłoszenie i zaproponuje sprzedaż silnika, wówczas Wielki Bóbr odszuka mnie na „Moby Dicku”.

Pożegnałem się i ruszyłem w powrotną drogę do jachtu. Na ulicy Księżycowej zobaczyłem Miss Kapitan. Wychodziła z namiociku, który tu zapewne rano ustawiła. Obok namiotu leżał bom z nawiniętym żaglem ze „Swallowa”. Miss Kapitan podjęła bom, zarzuciła go na ramię i ruszyła w kierunku jeziora. Szedłem przez chwilę za nią i stwierdziłem, że skierowała się do namiotu Pięknego Antonia i Noska, którzy pitrasili jakiś posiłek na gazowej kuchence.

— No i co, idziemy pływać? — usłyszałem, jak zapytała Pięknego Antonia.

Natychmiast odstawił kubek z kawą i zerwał się z miejsca, gotów towarzyszyć pięknej pani.

Mijając ich, ukloniłem się Miss Kapitan, która pogroziła mi palcem:

— Czekałam wczoraj na bindudze. Ale pan, jak widzę, wolał inne towarzystwo na Ośleję Łące — powiedziała.

Piękny Antonio rzucił mi wrogie spojrzenie.

— Jezus Maria, wciąż ten sam facet — mruknął ponuro. — Panie, zabrał mi pan już jedną dziewczynę. Mało panu tamtej?

— A co, Szara Sowa zabrał panu dziewczynę? — roześmiała się Miss Kapitan.

— No, w pewnym sensie... — odrzekł Piękny Antonio — ale mam nadzieję, że pani mi już nie zabierze.

Skłoniłem się Miss Kapitan:

— Nie mogłem przyjść na bindugę, ponieważ temu panu skradziono silnik, a mojemu przyjacielowi wiele zabytkowych indiańskich przedmiotów. Zajmowałem się poszukiwaniem złodziei.

— I znalazł pan?

— Nie.

— Szkoda, że nie popływaliśmy na „Swallowie”. A teraz, niestety, jestem już umówiona z panem Antoniem.

— Czyżby pan Antonio zrezygnował z poszukiwania złodziei silnika? — zapytałem ironicznie.

Wzruszył ramionami:

— Pan Nosek tym się zajmie. Zresztą, co to pana obchodzi?

— Słusznie — skinąłem głową i pomaszerowałem w swoją stronę. A oni, Piękny Antonio i Miss Kapitan, poszli do „Swallowa”, który stał nie opodal „Moby Dicka”.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

GDZIE JEST WINNETOU? • „PIĄTE KOŁO U WOZU” • DOKĄD POSZŁA MISS KAPITAN? • CZYM SIĘ ZAJMOWAŁ PROROK? • PODSŁUCHANA ROZMOWA • TALIE ZNACZONYCH KART • KIEDY ZJAWI SIĘ PINOKIO? • CO SIĘ DZIAŁO W OBOZIE PTASZNIKÓW? • ZNOWU OKŁAMUJĘ MILADY • WYZNANIE SOSNOWEJ IGIEŁKI • CZY POWRÓCĘ KIEDYŚ NAD JEZIORO? • KTO NIE ROZUMIE SKWAW?

Obudził mnie chłód wieczoru i śmiechy dziewczęce. Sosnowa Igiełka i Krwawa Mary powróciły ze spaceru po Donkey's Meadow i dzieliły się wrażeniami. Spacerowały trzy godziny, gdy ja drzemałem w kabinie jachtu. Obejrzały całą osadę, jadły kielbaski z rożna, opędały się od propozycji pływania na kajakach, żaglówkach, motorówkach. Odwiedziły nawet Proroka — bo tak na Ośleję Łące nazywano brodacza, który za sto złotych gotów był udzielić lekcji jogizmu — i wysłuchały jego kolejnego „wykładu” o zagładzie gatunku ludzkiego. Znakomicie się bawiły, bo Krwawa Mary udawała lady, a Sosnowa Igiełka

zgrywała się na Karampuka. Podobno zostały zaczepione przez dwóch Francuzów, a gdy się okazało, że Sosnowa Igiełka świetnie mówi po francusku, obydwaj cudzoziemcy tak się nią zachwycili, że zaproponowali jej wyjazd do Francji.

— Słyszysz pan, Szara Sowo? — potrząsała mną Krwawa Mary, bo udawałem, że nadal śpię.
— Francuzi chcą porwać milady, która klepała ich po plecach i sprawiała wrażenie dobrego kumpla. I co pan na to?

— To straszne — stwierdziłem.

— Przeraziła pana myśl, że chcą porwać milady?

— Ach, nie o to chodzi. Złakłem się, że Sosnowa Igiełka i mnie będzie klepać po plecach. Bardzo tego nie lubię.

Wieczór był cichy, pogodny, woda ciepła. Wiatr ustał zupełnie, obwisły żagle na jachtach. Widziałem, jak Miss Kapitan i Piękny Antonio wracali do brzegu, popychając pagajami „Swallowa”, który nie miał ani odrobiny wiatru w żaglach. Na jeziorze szaleli natomiast motorowodniacy, bez przerwy ryczały silniki.

Nasze panie przygotowały kolację. Jadłem w milczeniu, wsłuchany w hałas silników na jeziorze i pogwar setek aparatów radiowych, dochodzący od strony osady namiotowej. Gdzieś tam — w uliczkach Ośleń Łąki — być może właśnie teraz Pinokio usiłował sprzedać komuś silnik i rzeczy Winnetou. Myśl o tym nie dawała mi spokoju.

— Dlaczego Winnetou nie dał do tej pory żadnego znaku życia? — odezwałem się do dziewcząt. — Może coś przykrego spotkało go w Solniku?

— A chciałam zostać razem z nim — wybuchnęła żalem Krwawa Mary.

— Skwaw powinny siedzieć w wigwamie — powiedziałem tonem Winnetou.

— No tak, oczywiście — ironizowała Krwawa Mary — ale niechby tylko która skwaw chciała przekroczyć progi jego wigwamu...

— O, przepraszam, ja tam byłam — odezwała się milady.

— Wiem o tym — powiedziała ze złością Krwawa Mary. — Dlatego właśnie postanowiłam stać się lady. Ale czy to pomoże? Żeby mu się spodobać, powinnam gorzej od niego strzelać, pływać i w ogóle wszystko robić gorzej. Ale wówczas znienawidziłabym siebie.

— Nie w tym rzecz — pokręciłem głową. — Winnetou przeżył jakąś tajemniczą historię, która uczyniła go nieufnym wobec skwaw.

— Naprawdę? — zainteresowała się Krwawa Mary, bo nie ma dla kobiety niczego bardziej pasjonującego niż czyjaś tajemnica.

Milady popatrzyła mi w oczy:

— Miss Kapitan?... — zapytała cicho.

Z podziwem popatrzyłem na Sosnową Igiełkę:

— Ma pani dużo intuicji. A to świadczy, że jest pani prawdziwą kobietą, a nie górą lodową.

Milady zacisnęła usta, dotknięta przypomnieniem opinii, jaką wygłaszał o niej Piękny Antonio.

— To nie intuicja, Szara Sowo — rzekła chłodno. — Widziałam, że on nie chciał ratować „Swallowa”. A to jest człowiek, który zazwyczaj na pewno postępuje inaczej. A co do tej „góry lodowej”, to może warto nareszcie przestać już o tym mówić? Okazuje się, że także nie budzę zachwyty, jeśli zachowuję się inaczej niż zwykle.

— Nikt nie namawiał pani do udawania Karampuka — stwierdziłem ze złością, bo irytowało mnie wyobrażenie sceny, gdy milady poklepuje kogoś po plecach i trąca go łokciem.

A potem dodałem:

— Pani wie, milady, że Winnetou nie lubi Karampuków.

— No to co z tego?

— Wiem, że pani interesuje się nim. I jak mi się zdaje, z wzajemnością.

Nic nie odrzekła. A ja podziękowałem za kolację. Z torby podróźnej wyjąłem czystą koszulę, przebrałem się i z butami w ręku zeskoczyłem z jachtu na płyciznę.

— Wybiera się pan na zabawę? — zapytała mnie Krwawa Mary. — Podobno na centralnym placu Ośleń Łąki mają być dzisiaj tańce. Przynajmniej zabrałby pan Sosnową Igiełkę. Ja mogę pozostać na jachcie.

— Na zabawę? — wzruszyłem ramionami. — Wydaje mi się, że nie po to tutaj przyплыliśmy.

Chlapiąc głośno po wodzie przeszedłem na brzeg i usiadłem na piasku, aby wysuszyć stopy. Po chwili obok mnie zjawiała się Krwawa Mary.

— Dlaczego pan zaczął dokuczać milady? Została z nami, bo myślała, że przyda się w wyprawie. A pan traktuje ją jak piątą koło u wozu.

— Traktuję ją jak damę.

— Dlatego nie chce być już lady. I to pana też gniewa, prawda? Niech ją pan zabierze na Oślą Łąkę.

— Nie mogę.

— Znowu pan powie, że to niebezpieczna wyprawa albo coś w tym rodzaju?

— Zamierzam spotkać się z Miss Kapitan. Wiem, gdzie jest jej namiot. Chcę z nią porozmawiać. Ona mnie intryguje.

— Ach, tak? — powiedziała krótko.

Odejściu jej towarzyszyło straszliwe chlapanie wody. Musiała być bardzo zła.

Wzulem buty i poszedłem na ulicę Księżycową. Zmartwiła mnie wiadomość, że Sosnowa Igiełka źle się wśród nas czuje. Ale w tej chwili interesowała mnie przede wszystkim Miss Kapitan. Męczyło mnie podejrzenie, które zrodziło czyjeś pozornie nic nie znaczące zdanie. Ktoś inny w ogóle nie zwróciłby na nie uwagi. Ale ja w niejednej już uczestniczyłem przygodzie i miałem pod tym względem słuch bardzo wyczulony.

Zapadła noc. Płótna namiotów prześwietlone były lampami campingowymi. Wczasowicze skończyli kolację i powoli układali się do snu. Ale na uliczkach wciąż roiło się od turystów, przeważnie młodzieży, która maszerowała nad wodę, aby tam spędzić „romantyczny wieczór” przy dźwięku gitar.

Miss Kapitan nie było na biwaku. Jej namiot zastałem zasznurowany. Nie pływała, bo obok namiotu leżał żagiel nawinięty na bom. Doszedłem do wniosku, że być może udała się na przechadzkę po osadzie i ruszyłem wolno do centrum Donkey's Meadow.

Tym razem miałem szczęście. Wkrótce zauważyłem Miss Kapitan, jedzącą gorącą kielbaskę przy stoisku z rożnem. Już miałem zamiar podejść i rozpocząć rozmowę, ale coś mnie powstrzymało. Oto Miss Kapitan — ubrana w białe spodnie i białą żeglarską bluzę, co nadawało jej niezwykłego szyku — nagle poszła wolno w drugi koniec osady. Idąc rozglądała się po namiotach, jak gdyby kogoś wypatrywała. Postanowiłem przekonać się, kogo też ona poszukuje na Ośleń Łące.

Szedłem za nią w pewnym oddaleniu, raz po raz chowając się za plecy przechodzących. Nie podejrzewała zresztą, że jest śledzona, bo ani razu nie obejrzała się za siebie. W swym białym odzieniu, z piękną twarzą i w białej peruczce na głowie budziła zainteresowanie panów. Raz po raz ktoś się do niej uśmiechał, zagadywał, lecz ona traktowała wszystkich z obojętnością, a nawet niechęcią. Widać było wyraźnie, że nie szuka tu żadnych nowych znajomości.

Minęliśmy elektryczny wózek Wielkiego Bobra. Widniał na niej karton z napisem Kupię silnik. W kabinie siedział Wielki Bóbr i drzemał. Przeszedłem obok niego, a on mnie nie zauważył.

Miss Kapitan przyśpieszyła kroku. I poszła prosto do namiotu Proroka, który już drzemał, bo tylko jego bosc i nieco brudne nogi wystawały z namiotu.

— Hej, Prorok, obudź się! — zawołała Miss Kapitan, trącając gołe nogi czubkiem swego pantofelka.

Bosc stopy zniknęły z pola widzenia, a z namiotu wyjrzała kudłata głowa.

— O, Miss Kapitan! — ucieszył się. — Pinokio mówił mi, że zamierzasz przepłynąć na Oślą Łacę, ale nie sądziłem, że zrobisz to tak szybko. Ciągnie cię w te strony, co?

— Ty także co roku tutaj namiot rozbijasz. Słyszałam, że udzielasz lekcji jogizmu. To prawda?

— Po sto złotych od lekcji.

— I masz chętnych?

— Wejdz do namiotu, porozmawiamy — zaproponował Prorok, niknąc w namiocie i robiąc miejsce dla Miss Kapitan.

Serce waliło mi mocno. Ten strzęp rozmowy wystarczył, aby zorientować się, że niespodziewanie znalazłem się na tropie niezwykle interesującej sprawy. Miss Kapitan znała Pinokia, być może widziała się z nim w Złotym Rogu. „Jestem Genek” wspominał Noskowi, że jakaś kobieta podsunęła Pinokiovi myśl obrabowania wigwamu Winnetou. Czyżby tą kobietą była właśnie Miss Kapitan?

Prorok również znał Pinokia. Tworzyli paczkę, która rokrocznie w tę samą okolicę przybywała na wczasy. Może poprzez Proroka można będzie trafić do Pinokia?

Kilkoma susami znalazłem się na tyłach namiotu. Było ciemno, nikt mnie nie widział. Położyłem się na ziemi i zacząłem pełznąć, aby znaleźć się pod wentylacyjnym okienkiem i słyszeć dalszy ciąg rozmowy tych dwojga.

Raptem o mało nie krzyknąłem. Moje ręce trafiły na nieruchome ludzkie ciało.

— Psssst — usłyszałem szept.

Mimo ciemności rozpoznałem Winnetou. I on także leżał na tyłach namiotu Proroka. Skąd się tutaj wziął? Kto mu powiedział, że przyjdzie tu Miss Kapitan?

To nie była pora i miejsce na wyjaśnienia. Położyłem się obok niego i podobnie jak on wyteżyłem słuch.

Miss Kapitan mówiła kpiąco do Proroka:

— Wygląda na to, że sporządniałeś. Naprawdę żyjesz tu tylko z udzielania lekcji jogizmu?

— Możesz wierzyć lub nie, ale to prawda. Za skupywanie skradzionych rzeczy w ubiegłym roku dostałem wyrok z zawieszeniem i nie chcę, żeby mi się drugi raz noga powinęła. Lekcji nie mam za dużo, to fakt. Ale od czasu do czasu organizuję partyjki pokera, a ja, jak wiesz, mam szczęście w kartach.

— Szczęście? To się nie nazywa szczęście, tylko szulerka, mój drogi.

— Wolę to niż paserstwo — rzekł Prorok. — Dziś rano był u mnie Pinokio i proponował mi kupno skradzionego silnika do motorówki i jakieś indiańskie ciuchy. Powiedziałem mu, żeby szukał innego frajera. Ja się w to nie bawię.

— Gdyby znowu się zjawił, przyślij go do mnie. Na indiańskie ciuchy znajdę klienta, a silnik to może tu sprzedać bez trudu. Przechodząc widziałam ogłoszenie umocowane na

elektrycznym wózku, że jego właściciel chce kupić silnik. Ale może Pinokio już się tu więcej nie pokaże?

— Przyjdzie. Nie jutro, to pojutrze. Silnik i te ciuchy ma schowane w jakiejś kryjówce. Musiał pójść do swojej bandy w lesie. Oni łowią ptaki, rozumiesz?

— Wiem.

— A tobie jak się wiedzie? Obiecałaś w ubiegłym roku, że mnie zabierzesz w rejs po Mazurach i nic z tego nie wyszło.

— Na taki rejs trzeba mieć pieniądze. Na dziko już nie wolno biwakować, a za miejsce na campingach trzeba płacić. No i trzeba mieć coś do jedzenia, chyba sam rozumiesz. Przyjechałam tutaj bez pieniędzy, myślałam, że trochę ich wydobędę od pewnego faceta. Ale nic z tego nie wyszło.

— Masz coś na oku?

— Zakochał się we mnie facet z Warszawy. Ten, któremu Pinokio ukradł motorówkę. Przyjechał tu dzisiaj swoim samochodem.

— Trzeba ostrzec Pinokia...

— Coś ty. Ten człowiek to głupiec. Można by mu sprzedać jego własny silnik. Chce się ze mną wybrać w rejs moim jachtem. No cóż, może nie będę miała innego wyjścia.

— Ma pieniądze?

— Żebyś widział jego wóz! Ekstraklasa. Nowy zachodnioniemiecki passat.

— To znaczy, że jest bogaty. Nie możesz zaprosić go do mnie na karty?

— A podzielisz się wygraną?

— Pół na pół.

— Słowo?

— Słowo honoru — przysięgał Prorok, jakby rzeczywiście był człowiekiem honoru.

— Dobrze — powiedziała. — Mogę tu go sprowadzić jeszcze tej nocy. Masz w namiocie jakieś światło?

— Są świece. To lepsze niż lampa campingowa, bo nie zauważy, że karty są znaczone. Lecz jeśli on zechce grać swoimi kartami?

— Nie wydaje mi się, żeby woził ze sobą karty. A zresztą, daj mi teraz znaczoną talię. Zagramy „moimi”, co nie obudzi jego podejrzeń.

I Prorok dał chyba Miss Kapitan talię znaczonych kart, bo po chwili powiedziała „Cześć” i wyszła z namiotu.

Winnetou dotknął mojego ramienia. Zrozumiałem, że mamy się wycofać ze swoich stanowisk.

Ostrożnie wysliznęliśmy się poza obręb osady namiotowej i przystanęliśmy dopiero nad jeziorem. Mimo ciemności na brzegu było gwarno i rojno, brzęczały gitary i radia tranzystorowe. A na wodzie wciąż jeszcze buszowały motorówki.

— Niepokoiłem się już o mojego brata — odezwałem się. — Nie było go dłużej, niż przewidywałem. Czy ptasznicy zwinęli swoje stanowisko, zgodnie z przyrzeczeniem?

— Winnetou czekał na przyjazd pedlara z Warszawy. A ten zjawił się dopiero w południe. Zapisałem numer jego wozu i powiadomię komendę stołeczną. Gdy odjechał pustym samochodem, a banda ptaszników zaczęła likwidować swoje obozowisko, niespodziewanie przybył Pinokio. Przyszedł z Oślej Łąki, bo lękał się, że Rudy i „Jestem Genek” nie rozliczą się z nim z pieniędzy otrzymanych od pedlara. Był przerażony, kiedy mu powiedzieli o naszej wizycie i pokazali połamane klatki. Ogarnął go także strach na wiadomość, że mamy dowody osobiste dwóch ptaszników. Uznał ich za spalonych i postanowił nie wtajemniczać w swoje dalsze plany. Doradził im, aby poszli do Złotego Rogu i postarali się w milicji wszystkie grzeszki zwalić na niego, jednocześnie tłumacząc się, że nie znają ani jego prawdziwego nazwiska, ani adresu, bo spotkali go przypadkowo na wczasach. On zaś, Pinokio, nie da się złapać. Sprzeda skradzione rzeczy, ulotni się stąd i już w Warszawie podzieli się z nimi pieniędzmi. Banda zdecydowała jednak przesiedzieć w Solniku jeszcze jeden dzień, a wraz z nimi pozostał także Pinokio. Był głodny, a oni mieli zapasy konserw. W rozmowie ptaszników kilkakrotnie padło nazwisko: Prorok. Winnetou jeszcze w ubiegłym roku słyszał o Proroku, który w każde lato odwiedza Ośłą Łąkę i handluje skradzionymi rzeczami. Przyszedłem tutaj z nadzieją, że prędzej czy później Pinokio zechce skontaktować się z Prorokiem, aby sprzedać skradzione rzeczy. Odnalazłem jego namiot i zacząłem go obserwować. A potem zjawiła się Miss Kapitan i mój brat Szara Sowa.

— Jestem pewien, że to Miss Kapitan zachęciła Pinokia do obrabowania wigwamu Winnetou.

— I ja tak sędzę. Ona zdolna jest do największej podłości.

W milczeniu ruszyliśmy do jachtu. Krwawa Mary siedziała na dachu kabiny i słuchała śpiewów, które od Oślej Łąki niosła tutaj woda.

— Witam białą skwaw o imieniu Krwawa Mary — powitał ją wesoło Winnetou, wskakując zręcznie do kokpitu.

— Na imię mam Maria — odrzekła wyniośle, tonem milady. — Czy jest pan głodny?

— Od wczoraj nic w ustach nie miałem...

— No jasne! Najpierw jada się wołowinę z puszek i zupki w proszku. A teraz w ogóle nastąpiła przerwa w jedzeniu. Przy takim trybie życia wkrótce pan zachoruje. Ciągłe pan zapomina, że nie jest pan jednak ani prawdziwym Winnetou, ani nie żyje na kartach książek Karola Maya, w których bohaterowie nie chorowali na żołądek, a rany leczyli indiańskimi ziołami.

Zerknąłem do kabiny, rozejrzałem się po jeziorze.

— Gdzie jest milady? Poszła na spacer do osady? — zapytałem po chwili.

— Nie, Szara Sowo. Odjechała. To znaczy poszła do autobusu.

— Dlaczego? Co się stało tej skwaw? — zdumiał się Winnetou.

— Ostrzegałam Szarą Sowę, że Sosnowa Igiełka czuje się tu jak piąte koło u wozu. Traktujecie ją jak małe dziecko, które wciąż wymaga opieki. A tak naprawdę to żaden z was nie interesuje się nią na serio.

Wskoczyłem na płyciznę i chlapiąc popędziłem do brzegu. Nie tracąc czasu na wkładanie butów, na bosaka pobiegłem do wioski.

Pędziłem jak maratończyk i Sosnową Igiełkę dopadłem na rozstaju dróg przed kościołem. Elisabeth stała obok słupa ze znakiem PKS i medytowała przed rozkładem jazdy. Jakiś łobuz uderzył kamieniem w żółtą tabliczkę, farba tu i ówdzie odpadła, co nie pozwalało zorientować się w terminach przyjazdu i odjazdu autobusów.

— Milady, co pani wyprawia? — zawołałem.

— Nie nazywam się milady. Na imię mi Eliza — powiedziała. — A poza tym jestem górą lodową.

— Co pani wygaduje? Czy ktoś z nas wyrządził pani jakąś przykrość? Dlaczego pani chce nas opuścić?

— Mam swoje powody.

Zerknąłem na poobijaną tabliczkę z rozkładem jazdy.

— I tak pani dziś nie odjedzie. Informowałem się i powiedziano mi, że o tej porze nie odchodzi stąd żaden autobus. Proszę wracać na „Moby Dicka”. Jutro podejmie pani właściwą decyzję.

Spojrzała na tabliczkę, przestąpiła z nogi na nogę, nie mogąc zdecydować się, czy mnie posłuchać.

— No cóż — westchnęła — chyba jednak przenocuję na „Moby Dicku”...

Jakiś czas szliśmy obok siebie nie rozmawiając. Wreszcie skręciliśmy na rozjeżdżoną kołami samochodów łakę, a wtedy drogę rozjaśniły silne światła reflektorów i minął nas autobus PKS. Zmierzał do przystanku, na którym przed niedawnym czasem stała lady Elisabeth.

— Pan mnie znowu oszukał.

— Yhm... — chrząknąłem zakłopotany, bo to była prawda. — Wykorzystałem fakt, że rozkład jazdy był nieczytelny.

— I znowu, być może, będzie pan tego żałował — powiedziała po chwili.

— Lady Elisabeth — zabrałem głos z wielką powagą. — Właściwie o co pani chodzi? I ja, i mój przyjaciel Winnetou traktowaliśmy panią, jak traktuje się damę. Również i Krwawa Mary, choć z początku pani dokuczała, to przecież ostatnio, jak gdyby nabrała do pani sympatii.

Pokręciła głową w zamyśleniu:

— Nie wiem, Szara Sowo, czy potrafię panu wyjaśnić moje uczucie. Mam duży żal do pana. Już raz oszukał mnie pan, gdy szłam do autobusu w Złotym Rogu. Sądziłam, że zrobił to pan dlatego, abym pozostała z panem. A potem okazało się, że pan żałuje swego postępuku. Mimo to jednak ukryłam się w jachcie, gdy wyruszaliście na wyprawę. Sądziłam, że okażę się wam pomocna. Niestety, dostałam się do niewoli ptaszników i wymagałam opieki Krwawej Mary i waszej. A już najbardziej gniewało mnie to, że bez przerwy myślicie o Miss Kapitan. Co w niej takiego, czego nie ma we mnie, że taki głupi Antonio poleciał za nią jak wariat, a i pan poszedł jej szukać w osadzie?...

Złapałem się za głowę:

— Milady, moje zainteresowanie Miss Kapitan jest czysto, że tak powiem, służbowe.

— O tak — przytaknęła z ironią.

— Lady Elisabeth — oświadczyłem — myślę, że nigdy nie zrozumieć żadnej kobiety.

Byliśmy już nad brzegiem jeziora, w pobliżu „Moby Dicka”. Sosnowa Igiełka zatrzymała się i położyła mi dłoń na ramieniu.

— Szara Sowo — rzekła niemal niedosłyszalnie — czy nie pora stać się dorosłym?

Być może chciała powiedzieć jeszcze coś więcej, ale za naszymi plecami pojawił się Winnetou.

— Błade twarze, Piękny Antonio i Nosek, grają w karty w namiocie Proroka — poinformował mnie.

Przywitał się z Sosnową Igiełką i w trójkę pomaszerowaliśmy przez płyciznę na jacht. Winnetou zjadł kolację, Krwawa Mary poczęstowała nas mocną herbatą.

Ośła Łąka powoli zasypiała, cichły wrzaski i śpiewy nad jeziorem. Coraz rzadziej brzęczały także motorówki na wodzie. Krwawa Mary i milady przygotowały sobie miejsca do snu w kabinie, a dla nas w kokpicie. Ale nie chciało nam się spać. Noc była ciepła, nawet bardzo parna. Mimo powietrza pełnego spalin, mimo rozlanej wokoło wody z tłustymi plamami oliwy, coraz mocniejszy stawał się zapach jeziora, wodorostów, trzciny, za którym tęskni każdy mieszkaniec miasta. Zaczął działać urok nocy spędzanej na jachcie i rozwiązały się nasze języki. Mówiliśmy o tym i owym, a potem ja zacząłem opowiadać o sobie i swojej pracy w prowincjonalnych muzeach, i w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Wspomniałem niektóre ze swoich przygód, przeżytych podczas poszukiwania zaginionych w czasie wojny

zbiorów muzealnych, o walce z handlarzami i przemytnikami dzieł sztuki, o tropieniu fałszerzy i złodziei antyków. A gdy skończyłem, Winnetou stwierdził ze smutkiem:

— Mam nadzieję, że mój brat, Szara Sowa, pokocha te okolice podobnie jak Winnetou i zechce oddać swe serce wielkiej sprawie ochrony przyrody. Winnetou zaczął marzyć, że Szara Sowa wybuduje sobie wigwam tuż obok mojego i odtąd oko Szarej Sowy będzie codziennie oglądać jezioro i las. Ale ze słów Szarej Sowy zrozumiałem, że pokochał on na zawsze swoją pracę i związane z nią przygody. Szara Sowa potrzebny jest dla spraw ochrony zabytków, tak jak Winnetou potrzebny jest tutaj, aby chronić pomniki przyrody. Wiem, że Szara Sowa wkrótce stąd odejdzie, ale wiem także, iż zatęskni za Złotym Rogiem. I wróci wtedy do Winnetou.

— Howgh — powiedziałem uroczyście — przysięgam, że tutaj powrócę.

— Ja także chciałabym tutaj kiedyś powrócić — odezwała się Sosnowa Igiełka.

Ale gdy zaczęła nam opowiadać o sobie i o swej pracy, stało się dla nas jasne, że słowa jej nie znajdują pokrycia. Gdy odejdzie stąd, zapewne wkrótce zapomni o Złotym Rogu i dziwnym człowieku przezwiskiem Winnetou.

Od trzech lat pracowała jako tłumaczka w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Miała wielkie zdolności językowe, kursy języków francuskiego i angielskiego ukończyła z odznaczeniami i nagrodami w postaci stypendiów zagranicznych. Jako stypendystka przebywała dość długo w Anglii i we Francji. Gdy podjęła pracę, coraz częściej uczestniczyła w różnych poważnych rozmowach dyplomatycznych na bardzo wysokim szczeblu. Jej zdolność do języków, a także nienaganne maniery świetnie odpowiadały charakterowi pracy — pilotowała delegacje zagranicznych parlamentarzystów, zdarzyło się jej także wyjeżdżać na Zachód w roli tłumaczki. Tryb życia, jaki prowadziła, jakże był różny od tego, który ukochał Winnetou, a nawet ja, skromny urzędnik Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wprawdzie i ona była tylko zwykłą tłumaczką, lecz przecież miała zupełnie inny rodzaj pracy i obracała się w zupełnie innym środowisku. Ja — żyłem wśród staroci, muzealnych eksponatów i antyków, ona — niemal co tydzień wspinała się samochodem jechała na międzynarodowe lotnisko, aby tłumaczyć słowa powitań lub pożegnań wielkich mężów stanu. Tylko zwykły przypadek sprowadził ją do Złotego Rogu i zetknął z nami.

Dlatego może Krwawa Mary nic nam nie opowiedziała o sobie. Bo o czym zresztą miała mówić? Każdy doskonale wyobrażał sobie pracę kierowniczką kawiarni w małej wiosce wczasowej, gdzie tylko latem życie tętni szybszym rytmem. Jej pasją był las, polowania. Zapewne wiele mogłaby nam opowiedzieć o dziwnych zwyczajach różnych leśnych zwierząt, o ich podchodzeniu, o przygodach na polowaniach. Ale milczała, zdając sobie sprawę, że mogłaby wywołać dyskusję z Winnetou na temat jej sztucera z lunetą. Wołała nie wszczynać z nim sporów. Przysłuchiwała się rozmowie, a ja widziałem jej oczy wpatrzone w twarz Winnetou. O czym myślała? Może o jego pustym wigwamie, o zupkach z puszek, które sobie przyrządzał, a potem zasiadał przy stole i przy kopającej lampie naftowej rysował postacie walczących Indian.

— Być może naprawdę tu kiedyś powrócicie — odezwała się z goryczą. — Zjawicie się, jak Milczący Wilk, na dwa, trzy tygodnie, aby zachłysnąć się świeżym powietrzem, zapachem jeziora i lasu. Potem jesienne liście zasypią wasze ślady. A po ukrytych pod śniegiem ścieżkach leśnych, po zamarzniętym jeziorze chodzić będzie tylko Winnetou. W jego pamięci

wasze twarze pozostaną wciąż żywe, podczas gdy wspomnienie o nim zblednie w was pod nawalą nowych wrażeń i spraw. Ale czy wy wiecie, jak smutny i długi jest wieczór, gdy noc zapada już o czwartej, a wiatr, zacinając śniegiem lub deszczem, napiera na ściany domu, las zaś huczy wkoło jak morze?

— Winnetou nauczył się rozmawiać sam z sobą — powiedział mój przyjaciel. A potem dodał:
— Rozumiem słowa Krwawej Mary i dlatego nie dziwię się, że chce opuścić Złoty Róg i zamieszkać w kamiennych wigwamach białych twarzy.

— Nigdy stąd nie odejdę — zawołała Krwawa Mary i opuściła kabinę jachtu.

Winnetou popatrzył ze zdumieniem to na mnie, to na milady. Sosnowa Igiełka ostentacyjnie westchnęła:

— Coś mi się zdaje, że obydwaj panowie naprawdę nic a nic nie rozumieją skwaw...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

GDZIE JEST MISS KAPITAN? • KTO KUPI WYSPĘ NA ŚNIARDWACH? • MISS KAPITAN WYPROWADZA NAS W POLE • KAPITAN MILICJI ODBIERA „SKALPY” • NIEOCZEKIWANA KLĘSKA PURTAKA • LIST OD WIELKIEGO BOBRA • JAK SCHWYTAĆ ZŁODZIEJA? • PODROŻ NA DNIĘ SKRZYNI • ILE KOSZTUJE SILNIK? • PINOKIO W PUŁAPCE • W POGONI ZA „SWALLOWEM”

Ranek wstał przepiękny — słoneczny, bezwietrzny. Dzień zapowiadał się niezwykle upalnie.

Przyrzadziliśmy śniadanie na „Moby Dicku”, a potem wraz z Winnetou podkradłem się w najbliższe sąsiedztwo namiotu Proroka, aby obserwować, czy nie pojawi się Pinokio. Niestety, ptasznika nigdzie nie było widać. Prorok spał w swoim namiocie, odrabiając zaległości nocnych godzin, spędzonych przy kartach. Tak samo zasznurowany był namiot Miss Kapitan. Również Piękny Antonio oraz Nosek aż do południa nie wyściubili głów ze swojego namiotu.

Idąc przez osadę dwukrotnie minąłem wózek Wielkiego Bobra, ale nie podchodziłem do niego, aby nikt nie spostrzegł, że się znamy. Wiedziałem, że jeśli Pinokio zgłosi się, Wielki Bóbr da mi znać i zdążymy przedsięwziąć odpowiednie kroki.

W Donkey's Meadow już od wczesnych godzin porannych trwał ruch, podnosiła się wrzawa głosów ludzkich i aparatów radiowych. Po jeziorze śmigały motorówki, żeglarze snuli się sennie na brzegu, ponieważ wiatr był bardzo słaby. Wkrótce skąpa trawa nad wodą pokryta została różnokolorowymi kocami i materacami, na których leżały obnażone ciała ludzkie. Także i nasze obie panie opalały się na dachu kabiny jachtu. Sosnowa Igiełka już nie wspominała o wyjeździe. Zbrodnią byłoby zresztą zdecydować się na podróż w tak piękny dzień.

Około dwunastej w południe wyszedł ze swego namiotu Piękny Antonio, a później Nosek. Zbudzili się chyba w fatalnych humorach, bo zamiast wziąć się do śniadania, rozpoczęli

kłótnię. Nie słyszeliśmy ich głosów, ale z naszego jachtu widać było, jak gniewnie wymachują rękami. Do bójki nie doszło. Nosek jednak spakował swoje rzeczy i z torbą w ręku, wciąż gniewnie wymachując rękami — poszedł na przystanek autobusowy. Nietrudno było się domyślić, że Prorok ograł ich wczoraj w karty i obaj panowie wzajemnie oskarżali się o przegraną. Piękny Antonio posiadał zapewne jakieś rezerwy na książeczkę PKO, ale Nosek — skromny instruktor kulturalno-oświatowy — boleśnie odczuwał przegraną i zdecydował powrócić do Złotego Rogu.

Około południa zerwał się silniejszy wiaterek, zabieliły się na jeziorze trójkąty żagli. Podniosłem do oczu lornetkę i przez jakiś czas z ciekawością starego żeglarza obserwowałem płynące po wodzie łajby. Nagle podałem lornetkę Winnetou:

— Czy to nie „Swallow” płynie wzdłuż brzegu?

— Tak. To „Swallow” — przytaknął Winnetou. — Właśnie dobija do małego półwyspu. Wydaje mi się, że oprócz Miss Kapitan ktoś jeszcze jest na jachcie.

Jednym słowem — poszkapiliśmy sprawę. Widzieliśmy zasznurowany namiot Miss Kapitan i byliśmy przekonani, że śpi ona po nocy spędzonej na grze w karty. A tymczasem kto wie, od kiedy buszowała na jeziorze.

— Może pływa z Prorokiem? — odezwałem się.

— Słyszałem chrapanie dochodzące z namiotu Proroka. A skoro Piękny Antonio je śniadanie przed swoim namiotem, to znaczy, że Miss Kapitan ma tutaj jeszcze kogoś znajomego.

Oczywiście, przyszedł nam na myśl Pinokio. Czyżby zdołał się już skontaktować z Prorokiem i z Miss Kapitan?

„Swallow” dobił do półwyspu. Ten ktoś chyba wyskoczył na brzeg.

— Teraz Miss Kapitan znowu płynie w naszą stronę. Sama. — informował Winnetou, obserwując przez szkła daleki jacht. — Należało bez przerwy obserwować namioty Proroka i Miss Kapitan. A tymczasem zadowoliliśmy się przekonaniem, że i ona śpi po nocy spędzonej przy kartach, podobnie jak Nosek i Piękny Antonio.

Ale nie miało sensu robienie sobie wyrzutów z tego powodu. „Swallow” dobił do brzegu, Miss Kapitan zacumowała go i wyszła na ląd kierując się do namiotu Pięknego Antonia.

Po chwili rozpromieniony Antonio już szedł z Miss Kapitan na „Swallowa”, aby popływać po jeziorze.

— Niech mój brat, Winnetou, obserwuje przez lornetkę „Swallowa” — powiedziałem — a ja pójdę zerknąć na Proroka.

Wkrótce przekonałem się, że Prorok już nie śpi. Tkwił przed swym namiotem w pozycji lotosu i prawil kazanie gromadce młodych golasów. Usiadłem na ziemi nie opodal Proroka, udając, że również zainteresowało mnie jego przemówienie.

— Cywilizacja i rozwijający się przemysł — głosił Prorok — jest wrogiem ludzkości i przyszłych pokoleń. Czy wiecie, że wkrótce na ziemi zabraknie ropy naftowej, żelaza, węgla, cyny, miedzi, wycięte zostaną lasy i zatrute wszystkie wody? Wyczytałem w gazecie, że pewien bogaty Anglik kupił wyspę na Pacyfiku i zamierza na niej osiąść z gromadką ludzi, którzy tak jak on nienawidzą cywilizacji. Na tej wyspie nie będzie wolno używać lodówek, silników spalinowych... Ludzie będą żyli wolni od kłopotów związanych z naprawą wadliwie pracujących instalacji wodociągowych i elektrycznych. Nauki jogów są wspaniałą rzeczą i sto złotych za lekcję jogizmu nie wydaje mi się za wiele. Ale w głowie mojej zrodził się lepszy pomysł. Oto moglibyśmy złożyć się na kupno małej wysepki na jeziorze Śniardwy i zamieszkać tam w okresie letnim. Byłaby to wyspa młodzieży, gdzie nie miałyby wstępu cywilizacja i technika. W samotności i odosobnieniu spędzilibyśmy tam czas na medytacjach.

— A czy państwo zgodzi się ją sprzedać? — zapytał któryś ze słuchaczy.

— Zgodzi się — stwierdził Prorok — trzeba tylko zebrać odpowiednią sumę pieniędzy. Oto jest skarbonka. Od dziś będę w nią zbierał datki na kupno wyspy.

I postawił przed namiotem glinianą skarbonkę. Słuchacze z zainteresowaniem wysłuchali nowego projektu Proroka, ale nikt nie kwapił się z datkiem. Może nie mieli zaufania do Proroka, a może brakowało im pieniędzy?

A potem przyszedł ktoś jeszcze. Z początku nie widziałem go, bo stanął za moimi plecami. Zauważyłem tylko, że Prorok trochę się zaniepokoił i schował skarbonkę do namiotu.

— Och, Widelski, Widelski — usłyszałem znajomy głos — kiedy ty się wreszcie ustatkujesz? Masz na karku wyrok w zawieszeniu i zamiast wziąć się do uczciwej roboty, ludziom w głowie mącisz. A nie kupujesz nadal skradzionych rzeczy?

— Nie, panie władzo. Jak Boga kocham, że to mi się już nie zdarza. — Prorok wstał z miejsca i przyjął ugrzecznioną postawę.

— A w karty nie grywasz na pieniądze?

— Nie panie władzo. Już się to także mi nie zdarza. Utrzymuję się z udzielania lekcji ćwiczeń jogów. Sto złotych biorę za lekcję.

— Znowu jakieś kolejne oszustwo, panie Prorok — powiedział kapitan milicji, ten sam, którego poznałem w domu Winnetou.

On też mnie poznał. Kiwnął głową w moim kierunku i uśmiechnął się dyskretnie. A potem zrobił surową minę i rzekł do Proroka:

— Pamiętaj, przyjacielu, że jeśli będę na ciebie jakieś skargi, zostaniesz zamknięty do pudła. Wprawdzie należałoby cię zamknąć choćby za twoje głupie gadanie, ale ponieważ nikt cię na serio nie bierze, to ciesz się, że panuje u nas wolność słowa. Tylko pamiętaj: z daleka od kradzionych rzeczy i od kart, rozumiesz?

— Tak jest, panie władzo — ukłonił się Prorok.

Kapitan mrugnął do mnie, żebym poszedł za nim, co też uczyniłem. Był ubrany po cywilnemu. Wyglądaliśmy więc jak dwaj wczasowicze, którzy wolnym kroczkiem spacerują po osadzie namiotów.

Gdy znaleźliśmy się sam na sam w bocznej uliczce, przyjazny uśmiech zniknął z ust kapitana.

— Gdzie są skalpy? — zapytał ostro.

— Jakie skalpy?

— Chodzi mi o skalpy, które zabraliście chłopakom w Solniku. Wzięliście im dowody osobiste.

— Owszem — wyjąłem z kieszeni dwa dowody osobiste i oddałem je kapitanowi — ale chyba dowiedział się pan, w jakiej to było sytuacji?

— Wiem wszystko. Mimo to nie jestem zachwycony faktem, że zabraliście komuś dowody osobiste. Tego nikt poza milicją nie ma prawa robić.

— Sytuacja była wyjątkowa. Nie mogliśmy ptaszników zabrać na posterunek, a z drugiej strony nie chcieliśmy, aby uciekli.

— Wystarczyło spisać dane personalne. A poza tym, czy nie przyszło wam do głowy, że taka działalność może przynieść więcej szkody niż pożytku?

— O jakiej działalności pan myśli?

— Otrzymaliśmy meldunek, że włamano się do domu Winnetou i skradziono mu indiańskie rzeczy. Rozumiem, że rozpoczęliście pogoń za złodziejami, bo do tego macie prawo. Ale gdy już wpadliście na trop przestępców, należało porozumieć się z nami. Czy pan wie, że w Solniku popsuliście nam ważną akcję?

— Nie bardzo rozumiem...

— A tak. Czy naprawdę sądzi pan, że nie wiedzieliśmy o bandzie ptaszników, biwakującej w Solniku? Jest prawdopodobne, że takich band grasuje jeszcze kilka w różnych rejonach kraju. Natomiast jeden jest handlarz, który jeździ od bandy do bandy i kupuje ptaki, a potem nimi handluje. Otóż zależało nam przede wszystkim na schwytaniu tego właśnie człowieka.

— Winnetou zapisał numer jego wozu.

— I co z tego? Od paru dni czekaliśmy, aż handlarz przyjedzie do Solnika po ptaki. I rzeczywiście przyjechał. Ale ptaków nie zabrał, bo wypuściliście je na wolność. Gdy zatrzymaliśmy handlarza w drodze powrotnej, licząc, że będzie wiozł ptaki i schwytamy go na gorącym uczynku, pokazał nam pusty samochód. I wywinął się, bo niczego nie możemy mu udowodnić.

— Ba, a skąd mogliśmy o tym wiedzieć?

— Powtarzam więc, że gdy wpadliście na trop przestępców, należało porozumieć się z nami, a nie działać na własną rękę. A co do ptaszników, informuję pana, że ta cała banda, z wyjątkiem jednego o przezwisku Pinokio, siedzi w areszcie w Złotym Rogu. Podczas wstępnego przesłuchania opowiedzieli o tym, jak połamaliście klatki i zabraliście im dowody osobiste. A teraz chcę wiedzieć, czy macie jakiś konkretny trop w sprawie skradzionych rzeczy indiańskich?

— Ukrył je gdzieś Pinokio.

— To i my wiemy.

— Mam nadzieję, że ptasznicy wyznali wam, że to Purtak zachęcił ich do przecięcia lin kotwicznych w jachtach na bindudze. Być może uda się także dowieść Purtakowi, że włamał się do radiowęzła i był ową Ligą do Walki z Hałasem. Ukradł psa nadleśniczego, a chciał o wszystkie swoje przestępstwa oskarżyć Winnetou.

— Purtak nie jest już kierownikiem ośrodka. Jakiś wczasowicz podniósł w fabryce taką wrzawę, że do Złotego Rogu zjechała błyskawicznie rada zakładowa przedsiębiorstwa. Przeprowadzono lustrację magazynów, stwierdzono, że brakuje środków żywnościowych, jednym słowem, Purtak popełnił gospodarcze nadużycia. Okazało się także, iż członkowie rady zakładowej znają treść memoriału, jaki Winnetou przesłał do Urzędu Rady Ministrów. I choć to może pana zdziwi, zgadzają się z jego treścią. Robotnicy też chcą ciszy nad jeziorem i czystej wody do kąpieli. Purtaka zwolniono w trybie dyscyplinarnym, czeka go dochodzenie prokuratorskie. A gdy upadek Purtaka stał się ogólnie wiadomy, na posterunek zgłosili się instruktor Nosek i sekretarka. Zapewne chcąc ratować własną skórę opowiedzieli, jak to Purtak zmusił ich do popełnienia przestępstwa. Purtak upozorował włamanie do radiowęzła i z pomocą Noska i sekretarki dwie lampy podrzucił do łodzi Winnetou. Nosek przyznał się, że na rozkaz Purtaka wymalował tablice z napisem Strefa Ciszy i potem razem z byłym kierownikiem rozstawił je w lesie, a następnie udało im się namówić ptaszników do przecięcia lin od jachtów na bindudze. Tak więc dochodzenie prokuratorskie przeciw Purtakowi obejmuje nie tylko jego nadużycia gospodarcze, ale i upozorowane włamanie, rzucenie fałszywych oskarżeń na Winnetou i wszystkie inne sprawki. Nie od rzeczy też wspomnieć, że wczoraj mianowano nowego kierownika ośrodka wczasów. Wydał mi się sensownym człowiekiem. Zakazał rejsów motorówką. Wolno będzie pływać tylko na kajakach, rowerach wodnych oraz żaglówką, którą przedsiębiorstwo zamierza zakupić i rozpocząć kursy żeglarskie. Powiedział mi także nowy kierownik, że pragnie sprowadzić plastyka, który zaprojektuje domki campingowe dostosowane do tutejszego krajobrazu. Ostatnio sporo się na ten temat pisze w prasie i mówi przez radio.

— Pan Rudziński spełnił swoje przyrzeczenie... — szepnąłem uradowany.

— A któż to taki?

— Robotnik, który był na wczasach w Złotym Rogu. Spotkałem go w pierwszy dzień po swoim przyjeździe. Opowiedziałem mu o dewastacji ruin zamkowych, a on uskarżał się na hałas gigantofonów. Poszedł nawet ze skargą do Purtaka, ale ten nie miał czasu go przyjąć. Pan Rudziński przyrzekł mi, że po powrocie do fabryki poruszy tę sprawę na zebraniu rady zakładowej. Wspaniała, mądra blada twarz. Opowiem o nim Winnetou i gdy pan Rudziński przyjedzie tu w przyszłym roku, jestem pewien, że Winnetou wypali z nim fajkę pokoju.

Ująłem kapitana pod rękę i zaprowadziłem go do centrum osady, gdzie w elektrycznym wózku drzemał Wielki Bóbr.

— Widzi pan ten napis? — zapytałem.

— „Kupię silnik do motorówki” — przeczytał kapitan.

— Ten wózek jest własnością mojego znajomego, pana Kamasa. Na moją prośbę wypisał to ogłoszenie. No i czekamy...

— Dobrze pomyślane. Ale radzę nie tracić nerwów. Pinokio zapewne najpierw spróbuje wysondować, czy jest szansa sprzedaży silnika. Jeśli złapiemy go za wcześnie, to może zaciąć się i sporo czasu upłynie, zanim zechce wskazać kryjówkę. Należy tak to wszystko zorganizować, żeby on sam zaprowadził nas do swojej kryjówki.

— Tak właśnie chcemy zrobić.

— I otrzymam od pana wiadomość, gdy tylko Pinokio zgłosi się do właściciela wózka?

— Tak.

Uścisnęliśmy sobie ręce. On poszedł do zamienionego na posterunek wozu na ogumionych kołach, a ja wróciłem na „Moby Dicka”.

Winnetou siedział na burcie jachtu i od czasu do czasu oglądał przez lornetkę pływającego po jeziorze „Swallow”. Opowiedziałem mu o spotkaniu z kapitanem milicji. Podobnie jak i ja musiał wyrazić słowa skruchy, że nieprzemysłanym najściem na obozowisko ptaszników popsuliśmy szyki milicji. Postanowiliśmy, że odtąd będziemy starali się porozumiewać z organami ścigania.

O drugiej po południu „Swallow” dobił do brzegu. Zapewne Miss Kapitan i Piękny Antonio zgłodnieli i zdecydowali przyrządzić sobie posiłek. My także byliśmy już głodni, więc zaprosiłem nasze dziewczęta na obiad do gospody ludowej w wiosce. Winnetou pozostał na jachcie na straży.

Na pocztę, skąd milady wysłała pocztówkę do Warszawy, spotkaliśmy Pięknego Antonia. Z kwaśną miną pobierał pieniądze z książeczki.

— I co z silnikiem? Czy jest już pan na tropie złodzieja? — zapytałem go uprzejmie.

Machnął ręką:

— Straciłem nadzieję. Ten wstrętny Nosek obiecał że odzyska mój silnik, ale w końcu obraził się na mnie i powrócił do Złotego Rogu. A jak wasze sprawy?

Zrobiłem smutną minę:

— Fiasko. I my także tracimy nadzieję. Coś mi się zdaje, że odpłyniemy stąd z pustymi rękami.

Piękny Antonio przywitał się z Krwawą Mary i Sosnową Igiełką, która skończyła pisanie kart pocztowych do znajomych.

— Elisabeth, jeśli chcesz, mogę cię odwiedzić do Złotego Rogu — zaofiarował się.

— Już wracasz? — zdziwiła się Sosnowa Igiełka. — Czyżby Miss Kapitan znudziło się twoje towarzystwo?

Piękny Antonio napuszył się jak paw:

— Mylisz się, góro lodowa. Odprowadzę samochód do Złotego Rogu i jeszcze dziś wieczorem powrócę tu autobusem. Zostawiam Miss Kapitan pieniądze na zakup żywności. Wieczorem wyruszam z nią w rejs na Śniardwy.

— Życzę pomyślnych wiatrów — powiedziała milady.

Zjedliśmy obiad w okropnym tłoku, bo gastronomia w tej wsi nie była przygotowana na tak wielką inwazję turystów. Potem Winnetou poszedł na obiad. W tym czasie Piękny Antonio zwinął swój namiot i odjechał do Złotego Rogu. Miss Kapitan także zniknęła, ale Winnetou powrócił z obiadu z wiadomością, że widział ją u Proroka.

— Ukryłem się za sąsiednimi namiotami i wysłuchałem kazania bladej twarzy przezwiskiem Prorok. — powiedział Winnetou. — Czy mój brat nie sądzi, że słowa Proroka przypominają słowa Winnetou? On także mówi o ochronie przyrody, o cuchnących blaszanych koniach, o zgiełku, jaki jest w kamiennych miastach bladych twarzy.

Wzruszyłem ramionami:

— Prorok nie mówi o ochronie przyrody. On proponuje ucieczkę od cywilizacji, a nie walkę o zachowanie naturalnego środowiska.

Do „Moby Dicka” przyszedł mały chłopiec w kostiumie kąpielowym. W rękę niósł kopertę.

— To dla panów — powiedział, wręczając mi list.

Domyśliłem się, że jest to znak od Wielkiego Bobra i serce mi żywiej zabiło.

Podziękowałem chłopcu i rozerwałem kopertę.

Muszę się z Wami natychmiast spotkać. Proponuję kępe krzaków nad jeziorem na południe od Oślej Łąki.

Wielki Bóbr.

Pokazałem list Winnetou i opowiedziałem mu o Wielkim Bobrze.

Mój przyjaciel oświadczył z powagą:

— Winnetou jeszcze nie uściskał dłoni Wielkiego Bobra, ale czuję, że serce jego zapała do niego miłością. Błada twarz, która na wózku elektrycznym przemierza polskie drogi, zostanie bratem Winnetou.

Poprosiliśmy nasze panie, aby pozostały na jachcie, a sami — pojedynczo, aby nie zwracać niczyjej uwagi — udaliśmy się na południe.

W tej części jeziora brzeg był łysy, fale obmywały piasek, wyżej zaś rosła rzadka trawa. Dopiero w odległości pół kilometra znajdowała się duża kępa krzaków i drzew, przez którą prowadziło kilka ścieżek wydeptanych butami wędkarzy.

Jezioro Kikuł stawało się coraz uboższe w ryby, ale wędkarze nie tracili nadziei na połów. Wycięli nawet kilka drzew i zrobili coś w rodzaju małego pomostu, z którego łatwiej było zarzucać przynętę. I właśnie na tym pomoście siedział Wielki Bóbr, trzymając w ręku wędkę i udając, że łowi ryby.

Na nasz widok odłożył wędzisko i zszedł z pomostu. W gęstwinie krzaków odkryliśmy małą polankę, usiedliśmy tam i osłonięci ze wszystkich stron mogliśmy swobodnie porozmawiać.

Zwróciłem uwagę, że Wielki Bóbr spoglądał na Winnetou z podziwem i szacunkiem. Także i Winnetou z wielką ciekawością obserwował emeryta, który zajmował się ochroną przyrody i podróżował po kraju.

— Wielki Bóbr śpieszył w te strony swoim elektrycznym mustangiem, aby poznać Winnetou, którego czyny stały się sławne — powiedział pan Kamas.

— Wigwam Winnetou stoi otworem dla Wielkiego Bobra. W wigwamie tym nie ma elektryczności. Ale Winnetou ma w Złotym Rogu przyjaciół, którzy nakarmią elektrycznością mustanga Wielkiego Bobra — odrzekł Winnetou.

Przystąpiliśmy do sedna sprawy.

— Przed godziną zauważyłem, że koło mojego wózka — opowiadał Wielki Bóbr — kręci się jakiś młody człowiek. Obserwował mnie bacznie, wreszcie zbliżył się i zapytał, czy rzeczywiście chcę kupić silnik do motorówki. Zrobiłem obojętną minę i stwierdziłem, że zależy mi na mocnym dużym silniku, nie dla siebie, ale dla znajomego. On odrzekł, że właśnie ma do sprzedania silnik D-18...

— To Pinokio — wyrwało mi się. A Winnetou powściągliwie skinął głową.

— Wyjaśnił mi, że pływał swoją motorówką, ale pękł mu kadłub, więc postanowił ją tu zostawić. Silnik jest dobry, nowy, młodzieniec musi wracać do Warszawy, bo kończy mu się urlop i silnika ze sobą nie zamierza dźwigać. Zaproponowałem, żeby silnik przyniósł do mnie, obejrzę go i ewentualnie kupię. Ale on nie zgodził się na to. Powiedział, że silnik ma na biwaku dość daleko od Osłej Łąki i nie chce mu się nieść tutaj tak dużego ciężaru. Umówiliśmy się, że przyjdzie po mnie wieczorem i pojedziemy na biwak moim wózkiem.

— Znakomicie! — wykrzyknąłem, klepiąc się dłońmi po kolanach. — To znaczy, że zaprowadzi nas do swojej kryjówki. Przypuszczam, że tam, gdzie i silnik, trzyma również rzeczy Winnetou.

— Ale w jaki sposób będziecie go śledzić? — zastanawiał się Wielki Bóbr. — My pojedziemy wózkiem. A wy?

Od razu zrodził się w mojej głowie pewien pomysł:

— W skrzyni wózka jest dosyć miejsca na dwie osoby. Zamknij nas pan, Wielki Bóbrze, i hajda do kryjówki ze skradzionymi rzeczami. W odpowiedniej chwili wyskoczymy ze skrzyni i skończymy całą sprawę.

Rozpracowaliśmy pomysł w najdrobniejszych szczegółach. Ustaliliśmy nawet, gdzie Wielki Bóbr ukryje swoje rzeczy, opróżniając skrzynię na wózku. A mianowicie zostawi je pod opieką mieszkającego tuż obok właściciela różna do kiełbasek, z którym Wielki Bóbr zdążył się zaprzyjaźnić.

Nagle przypomniałem sobie o dość ważnej sprawie:

— Któryś z nas musi zrezygnować z udziału w wyprawie. Albo ja, albo Winnetou. Sądzę, że i kapitan milicji będzie się chciał zabrać do skrzyni, a tam jest miejsca tylko na dwie osoby. Aresztowanie opryszka nie może się obejść bez udziału władzy.

Nie pozostało nic innego, jak zdać się na los szczęścia. Wielki Bóbr przygotował dwie zapalki, jedną krótszą, drugą dłuższą. Zdecydowaliśmy, że ten, który wyciągnie dłuższą — pojedzie wózkiem, drugi zaś pozostanie na jachcie.

Wygrałem. Winnetou stwierdził markotnie:

— Mój brat, Szara Sowa, ma szczęście. Los ukochał go sobie, dając mu możliwość przeżycia nowej przygody.

Na tym zakończyliśmy naradę. Wielki Bóbr zarzucił na ramię wędkę i pomaszerował do osady, a ja i Winnetou jeszcze przez krótki czas posiedzieliśmy nad brzegiem jeziora. W godzinę później zjawiliśmy się na „Moby Dicku”.

Wypiłem szklankę czarnej kawy, którą przygotowała milady i poszedłem na posterunek milicji. Los sprzyjał mi w dalszym ciągu, albowiem zastałem kapitana, a on zaakceptował pomysł z ukryciem się w skrzyni wózka. Z prawdziwą niecierpliwością oczekiwaliśmy wieczoru. To nie było łatwe zakraść się do wózka tak, aby nikt nas nie zauważył. Wózek stał przecież w centrum osady. Zrobiliśmy to więc dopiero o zmierzchu, jako że i Pinokio obiecał przyjść wieczorem. Opryszek wołał do swojej kryjówki jechać nocą i transakcję zawrzeć pod osłoną ciemności.

Usadowiliśmy się w drewnianym pudle. Okazało się, że jest większe, niż przypuszczałem. Leżeliśmy z wygodnie wyciągniętymi nogami, zamknięci dwuskrzydłowym wiekiem. Pudełko miało dość duże szczeliny, było czym oddychać, lecz czułem się jak w trumnie.

— Coś mi się zdaje, że to nie był najlepszy pomysł — pomrukiwał kapitan milicji.

— Więc może zaaresztuje go pan, jak tylko się zjawi? — zaproponowałem. — Po kilku przesłuchaniach na pewno wskaże miejsce, gdzie ukrył silnik i rzeczy Winnetou.

— Być może, ale zawsze jest lepiej, gdy przestępcę chwyta się z łupem w rękę. Wtedy nie kręci, nie kluczy, nie wypiera się. A poza tym, może okaże się, że wbrew pozorom on jednak ma jakichś wspólników?

Usłyszeliśmy pukanie w wieko skrzyni. To Wielki Bóbr dawał nam znać, że widzi nadchodzącego Pinokia.

— Dobry wieczór panu — zabrzmiał głos młodego mężczyzny. — Widzę, że pan już przygotował się do wyjazdu. Tak panu zależy na silniku?

Czyżby coś podejrzewał? — przemknęło mi przez myśl.

— Nie zależy mi na nim aż tak bardzo. W ogóle zamierzam stąd zaraz odjechać. Załatwiłem tutaj to, co miałem załatwić i pora ruszać dalej.

— A co pan tutaj załatwiał?

— Przywiozłem trochę jabłek. Poszły jak woda. Teraz wrócę do domu i przywiozę nową porcję.

— Pan mieszka niedaleko stąd?

— A tak.

— I nie zostało panu jakieś jabłko? — zapytał i bezceremonialnie chciał podnieść wieko skrzyni, ale Wielki Bóbr przezornie siedział na obydwu skrzydłach.

— Nie mam już jabłek, dopiero jutro przywiozę nową porcję — powiedział do Pinokia.

— E, jutro to mnie już tu nie będzie — rzekł Pinokio i usadowił się w ciasnej kabinie obok kierowcy.

— Do miasta pan wraca? — zapytał Wielki Bóbr.

— Jeszcze nie. W rejs popłynę z kolegą. Żaglówką. A teraz ruszajmy do wsi. Dalej ja panu wskażę drogę.

Wielki Bóbr włączył dźwignię silnika i wózek potoczył się po łące. Elektryczny motor pracował cicho, więc słyszeliśmy rozmowę:

— Czy ma pan przygotowaną forszę na silnik?

— Zależy, ile będzie kosztował...

— Przynajmniej połowę ceny sklepowej, bo silnik jest jak nowy. Jeśli da mi pan osiem tysięcy, silnik będzie pana.

— Dam pięć.

— Nigdy w życiu! — zawołał oburzony Pinokio. — Taki silnik wart jest co najmniej piętnaście tysięcy.

— Dam tylko pięć, bo pan coś często ogląda się za siebie. Jakby się pan czegoś obawiał.

— Pan myśli, że silnik jest kradziony?

— Nic mnie nie obchodzi, skąd on jest. Ale ponieważ pan ciągle się ogląda za siebie, to dam tylko pięć.

— Mogę się nie oglądać...

Minęliśmy wieś i usłyszałem znowu głos Pinokia:

— A teraz w prawo. Pojedziemy na półwysep. Czekają tam na mnie kolega z żaglówką. Jeśli pan nie kupi silnika, zabierzemy go do Mikołajek. Da pan osiem, silnik będzie pana, a nie, to handluj pan jabłkami.

— Dam pięć — powtórzył Wielki Bóbr.

O mało nie parsknąłem śmiechem. Wielki Bóbr targował się z takim zapałem, jakby rzeczywiście zamierzał kupić silnik. Ale myślę, że dobrze robił, ponieważ Pinokio nabierał przez to coraz większego zaufania.

— Sprzedam za osiem tysięcy — mruzczał Pinokio. — Przecież już się teraz nie oglądam za siebie.

— Bo jedziemy przez las — powiedział Wielki Bóbr, jednocześnie informując nas, gdzie jesteśmy. — A kolegi z żaglówką jakoś nie widać.

— Nie ma go faktycznie, ale zaraz tu będzie.

— Nie wierzę w tę żaglówkę. Dlatego teraz dam za silnik tylko cztery tysiące.

— To niemożliwe!

— Dam cztery, bo najpierw się pan ogląda, a potem pan kłamie o żaglówce. Doszedłem do wniosku, że pan weźmie tyle, ile zechce panu dać.

— Żaglówka zaraz tu przyplynie, pan się przekona.

— Wtedy dam pięć tysięcy — zdecydowanie rzekł Wielki Bóbr.

Jechaliśmy po jakichś strasznych wykrotach, raz po raz uderzałem głową o wieko skrzyni. Nagle zapisały hamulce i wózek zatrzymał się.

— Dokąd teraz, panie młody? Chce pan, żebym do jeziora wjechał? Gdzie jest silnik?

— Zaraz przyniosę. Niech pan tu zaczeka — Pinokio wyskoczył z kabiny.

Po chwili Wielki Bóbr uchylił jedno skrzydło wieka. Ostrożnie wychylił głowy i rozejrzeliśmy się dookoła.

Znajdowaliśmy się na zarośniętym drzewami, niewielkim półwyspie. Nasze przywykłe do ciemności oczy dojrzały czarną sylwetkę Pinokia, który przyklęknął obok przewróconego drzewa. Wichura wyrwała pień razem z korzeniami, pozostawiając w ziemi głęboki lej, w którym grzebał teraz Pinokio, odrzucając na bok zeschnięte liście.

Stęknął głośno podnosząc wreszcie z dna ciężki silnik D-18 wraz z kolumną i śrubą napędową. Postępując niósł go ku nam, a wtedy kapitan cichuteńko wyskoczył ze skrzyni, zaszedł chłopaka z boku i położył mu rękę na ramieniu.

— Nie męcz się, przyjacielu...

— Kto pan jest? Kim jesteście? — wrzasnął Pinokio, gdy i mnie zobaczył obok kapitana.

Chciał porzucić silnik i umknąć w las, ale kapitan stanowczym gestem ujął go za ramię.

— Nie bój się, Pinokio — rzekł. — I zanieś silnik na wózek. Zostałeś aresztowany.

Pinokio posłusznie zaniósł silnik do wózka.

— Oszukał mnie pan — warknął do Wielkiego Bobra.

Latarką elektryczną oświetliłem lej po wyrwanym drzewie. Był pusty. Rzuciłem się do Pinokia.

— Łajdaku, gdzie są rzeczy ukradzione Winnetou?

Pogardliwie wzruszył ramionami:

— Nic o nich nie wiem, co się pan mnie czepia?

— Twoi koledzy, ptasznicy — rzekł kapitan — także zostali aresztowani. Zeznali, że wraz z tobą włamali się do samotnego domu nad jeziorem w Złotym Rogu. Zabrałeś stamtąd dwa worki skradzionych rzeczy. Jeśli je zwrócisz dobrowolnie, wspomnę o tym w protokole i być może sąd weźmie to pod uwagę.

Pinokio mruknął coś niewyraźnie pod nosem. Zauważyłem, że patrzy pilnie na jezioro. Zdawało mi się, że w mroku dostrzegam na tle ciemnego nieba białą plamę żagla z łajby, która płynęła niedaleko brzegu.

I nagle Pinokio wyrwał się nam. Ogromnymi susami pobiegł do wody. Kapitan krzyknął ostrzegawczo, wyrwał z kieszeni pistolet i dwa razy strzelił w powietrze. Ale oto z krzaków nad brzegiem wyskoczył jakiś cień, dopadł uciekającego Pinokia i powalił go do wody.

— Winnetou! — zawołałem.

Kapitan pochwycił Pinokia, szamocącego się z Winnetou.

— Dlaczego uciekałeś na jezioro? Myślałeś, że zdołasz przepłynąć na drugi brzeg? — pytał kapitan.

Pinokio milczał. Z jego twarzy i ubrania skapywała woda.

Chciałem powiedzieć o żaglówce, która na odgłos strzałów nagle zmieniła kurs, i zaczęła błyskawicznie oddalać się od brzegu, ale uczułem na swoim ręku silny ucisk palców Winnetou. Mój przyjaciel dawał mi do zrozumienia, abym milczał. Dlaczego? Przecież to był najpewniej „Swallow” z Miss Kapitan. I chyba na „Swallowie” znajdowały się dwa worki z rzeczami Winnetou. Miss Kapitan była w kontakcie z Pinokiem i umówiła się z nim, że gdy sprzeda ten silnik, zabierze go w rejs. Czyż nie wspomniał Pinokio o żaglówce, która miała na niego czekać w umówionym miejscu?

— Siadaj na wózek i nie próbuj więcej żadnych sztuczek — rozkazał złodziejaskowi kapitan milicji. A co do rzeczy pana Winnetou, to myślę, że wkrótce powiesz nam jednak, gdzie je ukryłeś.

W kabinie nie było miejsca dla tylu osób.

— My pójdziemy pieszo — zaproponowałem.

Winnetou odwołał na bok Wielkiego Bobra.

— Winnetou nigdy nie zapomni przysługi, którą mu wyświadczył Wielki Bóbr. Być może z Szarą Sową wyruszymy dziś w dalszą drogę. Wielki Bóbr niech jedzie swym elektrycznym mustangiem do Złotego Rogu i zapyta o wigwam Winnetou. Oto klucze od mego wigwamu.

— Dobrze — skinął głową Wielki Bóbr. — Zaczekam na was w Złotym Rogu.

Teraz ja podszedłem do niego na chwilę.

— Mam wielką prośbę — wyznałem — gdy Wielki Bóbr będzie na nas czekał w Złotym Rogu, może znajdzie kogoś, kto zechce się podjąć opieki nad ruinami zamku, to znaczy zostanie Społecznym Opiekunem Zabytków.

— Ach, nie wiem, czy potrafię wskazać właściwego człowieka — zafrasował się.

— Wielki Bóbr łatwo nawiązuje kontakty i przyjaźnie z ludźmi. Zna się także na ludziach lepiej ode mnie i zapewne wskaże mi najlepszego kandydata.

To mówiąc wręczyłem mu specjalną deklarację, którą po wypełnieniu i przeanalizowaniu należało zatwierdzić w ministerstwie.

Uścisnęliśmy sobie prawice, a potem Wielki Bóbr wszedł do kabiny, gdzie siedzieli już Pinokio i kapitan. Elektryczny wózek niemal bez szmeru potoczył się w kierunku wioski, a ja i Winnetou pozostaliśmy w ciemnościach nocy.

Odezwałem się pierwszy:

— Znam myśli mojego brata. Winnetou chce teraz ruszyć w pogoń za Miss Kapitan.

— Tak. Biegnijmy brzegiem do jachtu i podnośmy wszystkie żagle. Jestem pewien, że ona popłynie na Śniardwy.

— Dlaczego Winnetou nie dał mi wspomnieć o niej milicjantowi? Tutejszy posterunek nie ma motorówki, ale mogą zadzwonić do Mikołajek i milicja, która czuwa na Śniardwach, szybko chwyci „Swallowa”.

— Niech Szara Sowa zaufa Winnetou i nie pyta go o nic więcej. Być może wkrótce nastąpi taka chwila, gdy Winnetou wyjawia mu i tę tajemnicę.

— W drogę więc! — zawołałem.

Po dziesięciu minutach biegu minęliśmy wybrzeże Oślej Łąki i zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie cumował „Moby Dick”. Na brzegu jeziora stali Piękny Antonio i Prorok. Rozmawiali z ożywieniem, wskazując coś na jeziorze.

— To był „Swallow”, słowo honoru — mówił Piękny Antonio. — Dlaczego jednak ona odpłynęła? Przecież umówiła się, że dziś wieczorem zabierze mnie w rejs na Śniardwy. Dałem jej pieniądze na zakup żywności.

— Ja też jej dałem swoje oszczędności — burknął ze złością Prorok. — Kazała mi tu czekać. Miała dziś wieczorem wyruszyć ze mną w rejs na Śniardwy.

— Nie wierzę panu! — wrzasnął Piękny Antonio. — Przecież ze mną była umówiona...

— Nieprawda. Umówiła się ze mną — z uporem powtarzał Prorok.

Zatrzymałem się przy nich i oświadczyłem:

— Obydwaj nie macie racji, panowie. Ona umówiła się z kimś trzecim.

— Z kim? Co to za jeden? — wykrzykiwali obaj.

— Pinokio. Ale i on pozostał na brzegu. Odpłynęła sama. Na pociechę mogę pana poinformować, Antonio, że odnaleźliśmy pański silnik. Jest do odebrania na posterunku milicji.

Popędziliśmy przez płyciznę do naszego jachtu, Krwawa Mary i Sosnowa Igiełka właśnie przygotowywały kolację.

— Rzucić wszystko i do żagli! — rozkazał Winnetou.

— Wszystkie żagle na maszty. Podnosić kotwicę — wydawałem rozkazy. — Wciągnąć latarkę na główny maszt!

Rozpoczęła się gorączkowa krzątanina całej załogi. A gdy wciągnąłem już grotżagiel, Winnetou znalazł chwilę, aby mi szepnąć:

— Niech Szara Sowa się nie łudzi. Nie zdołamy dopędzić „Swallowa”.

— A jednak będę próbował. Mamy prawie dwa razy tyle płótna, co „Swallow”.

— Trudno jest dogonić „Swallowa”. Winnetou wie o tym bardzo dobrze. „Swallow” to jacht Winnetou.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

NA „MORZU MAZURSKIM” • JEZIORO PEŁNE ZDRADY • ROZMYŚLANIA O
TAJEMNICY WINNETOU • MISS KAPITAN IGRA Z „MOBY DICKIEM” • KTO
DOGONI „SWALLOWA”? • GDY BURZA HUCZY WOKÓŁ NAS • ZAGADKA
CZARCIEGO OSTROWU • CO ODNALEŻLIŚMY NA SKAŁACH? • ROZSTANIE Z
MISS KAPITAN • POZNAJEMY TAJEMNICĘ WINNETOU • I ZNOWU PORWANIE

Dopiero o świcie, wytrwale pracując wiosłami, wyszliśmy z kanału na niewielką zatokę, która otwierała drogę na Śniardwy. O północy, gdy mijaliśmy pierwszą śluzę na kanale, dowiedzieliśmy się, że Latający Holender prowadzony przez młodą kobietę wyprzedzał nas zaledwie o pół godziny. Ale przy pierwszej śluzie „Swallowa” wzięła na hol jakąś motorówka, którą zresztą spotkaliśmy przy drugiej śluzie, gdyż silnik się w niej zepsuł. Miss Kapitan zyskała nad nami przynajmniej godzinę przewagi. I tak wyglądała nasza sytuacja, kiedy nareszcie można było odłożyć wiosła i znowu podnieść żagle. Tylko że zabrakło wiatru...

— Mamy niewielką szansę dopędzenia „Swallowa” — powiedział Winnetou. — Nasza nadzieja w tym, że być może Miss Kapitan nie spodziewa się pogoni. Po całonocnej wędrówce przez kanał zacumowała gdzieś jacht i położyła się do snu.

Nie mogła zrobić inaczej, bo nie było warunków do żeglugi, a trudno przypuszczać, że zdecydowała się płynąć przy pomocy pagaja. Wraz ze świtem na jeziorze rozplynęła się gęsta mgła. Najlżejszy wiaterek nie poruszał tej białej waty, woda sprawiała wrażenie gładkiej, matowej szklanej szyby.

Czy ktoś z was oglądał kiedyś mglisty świt nad jeziorem? Czy oddychał wilgotnym powietrzem przesyconym zapachem wodorostów, ryb i trzciny przybrzeżnych? Czy słyszał głos dzikich kaczek i kaczorów, buszujących w zaroślach osnutych białym woalem?

Nasze panie były zbyt zmęczone, aby rozkoszować się pięknem poranka. Położyły się do snu w kabinie, to samo zrobił Winnetou, rozciągając się w kokpicie. Mnie przypadła wachta i obserwowanie maleńkiej chorągiewki, czyli wimpla, umieszczonej na topie[29] głównego masztu.

Zwisał jednak martwo i smutnie. Rozłożyłem się na dachu kabiny, pod głowę podłożyłem kapok i pograżyłem się w rozmyślaniach.

Oto byliśmy w zatoce, która wychodziła na Śniardwy, nasze największe jezioro. Niektórzy nazywają je „Morzem Mazurskim”, bo wraz z wszystkimi swoimi zatokami, które tworzą jakby oddzielne jeziora, zajmuje ono powierzchnię stu trzydziestu kilometrów kwadratowych.

W niektórych miejscach jego odległość z zachodu na wschód wynosi siedemnaście, a z północy na południe trzynaście kilometrów. Ogromny akwen sprawia, że jest ono prawdziwym rajem dla żeglarzy, lecz jednocześnie potrafi stać się i piekłem. Śniardwy są bowiem niezwykle kapryśne i zdradliwe. Niekiedy jego gładka powierzchnia zwabia ku środkowi żeglarzy i wioślarzy, a potem w ciągu kilkunastu minut potrafi pokryć się wysoką i ostrą falą, która może zatopić kajaki, jachty, motorówki.

Pułapki kryje także i dno jeziora, stosunkowo płytko położone, od kilku do kilkunastu metrów. Tylko w niektórych miejscach Śniardwy mają głębokość do dwudziestu trzech metrów. Tu i ówdzie na płytkim dnie, pokryte dwudziestocentymetrową warstwą wody, leżą potężne głazy i kamienie. Szczególnie bogate w rafy kamienne są okolice wysp Czarczi Ostrów, Szeroki Ostrów oraz miejscowości Nowe Guty i Okartowo. Turystyczne mapy nie zawsze dokładnie lokalizują te pułapki, toteż wiele jachtów i motorówek roztrzaskało się już na Śniardwach i wielu żeglarzy oraz motorowodniaków pochłonęły wody jeziora.

Na Śniardwach z północy na południe, to jest z Mikołajek do Pizsa, kursują statki żeglugi pasażerskiej. Kto nie odbył takiej przejażdżki statkiem, niech uczyni to jak najprędzej. Dopiero wówczas, choćby z pokładu statku, zda sobie sprawę, jak piękne są jeziora mazurskie i jak ważne jest, aby ich piękno pozostało nieskażone dla następnych pokoleń.

Duża wskazówka mojego zegarka dwukrotnie obiegła tarczę, gdy mgła zaczęła się przeredzać, wędrując do góry. Zaniepokoiło mnie to trochę, albowiem doświadczenie żeglarskie uczyło, że jeśli mgła opadnie w dół, zazwyczaj następuje słoneczny dzień. Jeśli zaś uniesie się w górę, dzień będzie duszny, upalny, a koło południa najpewniej zdarzy się burza. Ale między tą chwilą i porankiem budzi się często wiatr, na ogół umiarkowany, który dopiero przy nadejściu burzy nabiera siły orkanu, aby potem znowu zamrzeć, czyniąc wieczór tak cichym, jakim był poranek.

Wimpel wisiał jednak wciąż nieruchomo, smętnie...

Pomyślałem o Miss Kapitan. Jaka tajemnica wiązała Winnetou z tą niebezpieczną, a tak piękną kobietą? Dlaczego Winnetou powiedział, że „Swallow” był jego jachtem i w jaki sposób znalazł się on w posiadaniu Miss Kapitan?

I dokąd zmierzała ona na „Swallowie”? Przewidzieć jej kurs to była połowa sukcesu w pościgu.

Śniardwy były jak matka otoczona rojem dzieci, większych i mniejszych jezior. Seksty, Warnoły, Tuchlin, Kończewo, rezerwat jeziora Łuknajny i jezioro Białoławki. Dziesiątki zatok i zatoczek, gdzie łatwo się zaszyć i zgubić ślad na długie tygodnie. Trzy letnie miesiące nie wystarczą, aby odszukać na tym jeziorze kogoś, kto nie chce, aby go odkryto.

Dzięki pieniądzom zdobytym na Proroku i Pięknym Antoniu miała Miss Kapitan wystarczające środki finansowe, aby przeżyć parę tygodni w jakimś ustronnym zakamarku Śniardw. Z drugiej jednak strony sprawiała wrażenie kobiety żadnej przygód i nowych znajomości. Czy potrafiłaby przesiedzieć gdzieś w odosobnieniu, nie wyściubiając nosa na szerokie wody? Czy umiałaby zrezygnować z żeglowania na „Swallowie”? A poza tym nosiła się chyba z zamiarem spieniężenia rzeczy Winnetou. Tego zaś dokonać mogła jedynie w dużych ośrodkach wczasowych, w Mikołajkach, w Piszcu lub w Rucianem.

...Na topie masztu zatrzepotał wimpel. Po jeziorze przebiegła smuga pomarszczonej wody, zatoczyła koło i rozlała się po całej zatoce. Mgły już nie było, snuła się wysoko jak tiulowa firanka, okrywając słońce. Na niebie tworzyły się baranki.

Uderzyłem w dzwon wachty, zawieszony przy drzwiach do kabiny.

Chorągiewka na topie skręcała się, wskazując wiatr zachodni. Do Mikołajek można było popłynąć jednym halsem, w półwiatrze.

Dziewczyny i Winnetou pojawili się na pokładzie. Teraz, gdy mgła ustąpiła, widziało się ogromne rozlewisko błękitnej wody. Wyglądało jak morze, bo drugi brzeg pozostawał niewidoczny.

Podnieśliśmy grotzagiel, który trzymał Winnetou. Ja wziąłem w ręce szot bezana i ster. Krwawa Mary wciągnęła foka genuę tak szerokiego, że swym rogiem szotowym sięgał niemal do połowy jachtu. Wiatr wydał żagle i „Moby Dick” ruszył do przodu, przecinając na ukos drobne, niskie fale.

Razem z nami wypłynęła z zatoki grupa pięciu omeg o czerwonych żaglach. Ale gdy znaleźliśmy się kilkaset metrów od brzegu, wzięli kurs na północny zachód i popłynęli baksztagiem, a my skierowaliśmy się w stronę Mikołajek.

Z początku wiatr wiał z siłą jednego stopnia w skali Beauforta, a więc był to właściwie podmuch, powodujący drobną, łuskowatą falę. Potem przyszły dwójka i trójka powodujące krótkie fale o szklitych grzbietach. Porywy osiągały czwórkę, ale były krótkie i wywoływały tak niewielki przechył, że nawet nie wyostrzałem sterem ani nie kazałem luzować żagli. Tyle tylko, że gdy dostrzegałem nadbiegający szkwał, zlecałem wszystkim zajęcie miejsca na lewej burcie.

Przez cały czas Sosnowa Igiełka lustrowała jezioro przez lornetkę, ale poza pięcioma omegami, które odeszły w prawo i po których pozostały tylko niewielkie trójkąciki na bezmiarze wód, nie widzieliśmy żadnego innego jachtu. Zajęty obserwacją jeziora przed dziobem, nie zauważyłem, że od zachodu nadszedł szkwał, znacznie silniejszy niż poprzednie. Uderzył szóstką, jacht pochyliło mocno na prawą burtę.

Krwawa Mary krzyknęła nagle i wypuściła z ręki szot foka.

— Za nami jacht! Latający Holender! — zawołała.

Niespodziewany widok poszukiwanej przez nas żagłówki tak ją zaskoczył, że gdy uderzył wiatr, nie utrzymała foka. Lina szotowa wyrwała się z kipy[30] i — zwijając się jak żmija — poszybowała wysoko ponad fale.

Winnetou wyluzował grotzagiel, pozwalając mu wpaść w łopot. Ja zrobiłem to samo z bezanem, jacht wyprostował się i zwolnił.

Lornetka zaczęła przechodzić z rąk do rąk. Widzieliśmy przez nią, jak z trzciny w pobliżu zatoki, w której czekaliśmy na wiatr, wypłynął „Swallow” i kursem na wiatr szedł na zachód. Miss Kapitan płynęła ostrym beidewindem, a nie ma lepszego wiatru do szybkiego

żeglowania. „Swallow” znajdował się w ślizgu, zdawało się, że zaledwie muska powierzchnią fal.

— Ona nie płynie do Mikołajek — stwierdziłem — ale dlaczego nie pozostała w trzcinach? Była dobrze ukryta i mogła przeczekać, aż odpłyniemy i nie będziemy mogli jej zobaczyć. Może nie zauważyła „Moby Dicka”?

— Nie. Jestem pewien, że rozpoznała jacht Milczącego Wilka — odrzekł Winnetou. — Kurs, który wzięła, także nie świadczy o celu jej drogi. Ona po prostu lubi niebezpieczeństwo i postanowiła zabawić się naszym kosztem.

Latający Holender to szybki jacht. Ale jol Milczącego Wilka miała większą powierzchnię żagli i przy umiejętnym prowadzeniu nie powinna pozostawać w tyle.

— Uwaga! Przygotować się do zwrotu — rzuciłem rozkaz.

— Tak jest. Gotowi do zwrotu — usłyszałem odpowiedź.

Ustawiłem jacht dziobem do wiatru:

— Uwaga, zwrot przez sztag!

— Tak jest. Zwrot przez sztag.

Jacht przeszedł linię wiatru, bomy grota i bezana przeleciały na drugą burzę. Wiatr przerzucił także fok, który wciąż łopotał wściekle na wietrze.

Dopiero teraz Krwawa Mary weszła na pokład dziobowy i chwyciła luźny szot, przeciągając go przez kipę. Po chwili kazałem wszystkim wybrać żagle i poszliśmy ostrym beidewindem, aby przeciąć drogę Miss Kapitan.

Ale ona była daleko przed nami. My płynęliśmy prawym halsem, ona lewym, miejsce przecięcia się kursów musiało wypaść dla niej bardzo korzystnie. Miała nad nami przewagę czasu i szybkości.

— Milady! Proszę zejść do kabiny i odszukać mały trójkątny żagielek — rozkazałem.

Postuszenie zniknęła w kabinie i przyniosła kliwer. Kazałem Krwawej Mary zaknagować foka i wejść z kliwerem na sam dziób. Tam, na bukszprycie, należało zaczepić szeklą przedni róg kliwera. Wciągać go było łatwo, ponieważ przedni lik nie miał raks[31] i po prostu podciągało się go na fale aż do bloczku uczeponego przy salingu[32]. Byłem przekonany, że kliwer stworzy dyszę dla foka i w ten sposób osiągniemy znacznie większą szybkość.

Szoty kliwera powierzyliśmy milady. Nie miała pojęcia o sztuce żeglarskiej, ale tak mały żagielek nie wymagał siły i specjalnych umiejętności.

Jakoż po chwili odniosłem wrażenie, że jacht poszedł szybciej.

Wciąż wiała czwórka, chwilami słabnąc i przechodząc w trójkę. „Swallow” płynął z mocnym przechyłem, jego maszt tworzył z powierzchnią wody kąt najwyżej czterdziestu stopni.

— Czy mój brat, Szara Sowa, widzi, że ona płynie bez foka? — zapytał mnie Winnetou.

— To oczywiste. Musi przecież balastować na trapezie.

Lecz gdy tylko wypowiedziałem te słowa, „Swallow” stanął pod wiatr i Miss Kapitan wciągnęła fok i potem zrobiła zwrot.

— Płynie w naszą stronę — krzyknęła zdumiona milady.

Wydałem rozkaz poluzowania żagli i odpadłem od linii wiatru, aby przeciąć drogę „Swallowa”. Ale Miss Kapitan podniosła miecz. Pozbawiony hamującego ciężaru „Swallow” poszybował fordewindem po czubkach fal, mijając o kilkadziesiąt metrów dziób naszej łajby.

— Ona po prostu drwi sobie z nas — stwierdziła z goryczą Krwawa Mary.

Spojrzałem na niebo. Gromadziły się na nim czarne chmury. Największa z nich — brunatnej barwy, dopiero wychylała się zza horyzontu.

— Coś mi się zdaje, że ta zabawa nie potrwa zbyt długo... — mruknąłem.

Rozkazałem Krwawej Mary zrzucić fok i kliwer. Wciągnęliśmy do góry ogromny spinaker, który natychmiast wybrzuszył się jak balon. Popłynęliśmy pełnym wiatrem na kilwaterze — pozostawionym przez „Swallowa”.

— Teraz ją dopadniemy — pomrukiwałem przez zaciśnięte zęby.

Mijała minuta za minutą. Metr po metrze doganialiśmy Latającego Holendra. Spinaker chwycił wiatr jak potężny parasol i ciągnął „Moby Dicka” z coraz większą szybkością.

Jeszcze tylko sto metrów dzieliło nas od „Swallowa”.

Miss Kapitan chyba zrozumiała, że może przegrać tę zabawę. Ratunkiem dla niej był beidewind. Zobaczyłem, że dokonuje zwrotu pod wiatr, zrzuca fok, wskakuje na trapez i znowu idzie ku nam w ślizgu i głośnym szumem wody rozbijanej przez dziób „Swallowa”. Mijając nas w odległości najwyżej pięćdziesięciu metrów, pomachała ku nam ręką, a gdy zniknęła za naszą rufą, zdawało mi się, że wiatr przyniósł mi jej tryumfujący śmiech.

Upłynęła długa chwila, zanim zrzuciłem spinaker i znowu wciągnęliśmy fok i kliwer. Miss Kapitan zyskała nad nami przynajmniej pół kilometra przewagi. Płynęła kursem na zachód, to lewym, to prawym halsem, wciąż ostro pod wiatr.

Tymczasem wiatr wzmógł się. Po jeziorze przetaczały się gęste białe grzebienie piany. „Moby Dicka” coraz bardziej kładło na lewą burtę, która chwilami zdawała się sięgać wody. Nie pomogło balastowanie, musiałem odpaść od wiatru, bo choć milady i Krwawa Mary umiały pływać, to przecież nie miałem prawa narażać je na niebezpieczeństwo wywrotki. Ale w takiej sytuacji odległość od Latającego Holendra wciąż powoli wzrastała.

Z niepokojem, a zarazem z pewną nadzieją spoglądałem w niebo. Brunatna chmura pokryła już połowę nieba, sięgając prażącego mocno słońca. Burzę zapowiada zawsze nagła cisza na

jeziorze, po niej dopiero następuje gwałtowny huragan. Tylko szalenciec odważy się pozostać wtedy na wodzie. Miss Kapitan musiała więc szukać schronienia przy brzegu i tam mogliśmy ją dopaść.

„Swallow” wziął kurs na południe i wszedł między dwie wyspy, które wyłoniły się z jeziora. Były to Szeroki Ostrów i maleńka Wyspa Pajęczą, od północy niedostępna z powodu podwodnych skał.

Raptem zniknęło słońce i zrobiło się niemal ciemno. Wisiała nad nami ciężka brunatno-czarna chmura. Wiatr mahał z każdą chwilą.

— Dobijemy do Szerokiego Ostrowu — zdecydowałem. — Zatrzymamy się w trzcinach. Zrzucimy żagle.

Lecz „Swallow” pędził dalej. Już minął Wyspę Pajęczą. Odniosłem wrażenie, że Miss Kapitan zamierza przed nadejściem burzy przebyć jeszcze kilka kilometrów jeziora i wejść w cieśninę obok wyspy Kaczor.

— Ona płynie na Czarcim Ostrowie! — zawołał Winnetou. — Ale nie zdąży. Już jest cisza...

Wiatr ustał, jakby ktoś nożem uciął, zwisły żagle i wimpel.

— Zrzucić wszystkie żagle i za wiosła — wydałem komendę.

Usłyszeliśmy pierwszy groźny pomruk grzmotu. Jezioro wyglądało, jakby ktoś rozlał na nim oliwę. W powietrzu panowała duchota i wiosłując zawzięcie z trudem chwytałyśmy oddech, a nasze ciała oblały się potem.

Do trzciny nadbrzeżnych przy Szerokim Ostrowie pozostało najwyżej sto metrów. Lecz lada chwila nagły podmuch huraganu mógł nas po prostu rzucić na brzeg. Należało prędko umocować jacht kotwicą. Wiosłowaliśmy więc wciąż wytrwale, byle znaleźć się jak najbliżej trzciny.

Obejrzałem się do tyłu. Miss Kapitan zrzuciła żagiel i także chwyciła za wiosło. Ale było jeszcze bardzo daleko do Czarciego Ostrowu, gdzie chciała schronić się przed burzą i ukryć przed nami.

Dlaczego właśnie wybrała tę wyspę, a nie Pajęczą? Czarcim Ostrowem prawie całkowicie otoczony jest podwodnymi rafami. Może Miss Kapitan знаła dogodny przejście między rafami i oczekiwała, że zapamiętawszy się w swej pogoni, popłyniemy z nią i roztrzaskamy „Moby Dicka” na skałach podwodnych? A może na Czarcim Ostrowie znała jakąś kryjówkę, gdzie zamierzała schować worki z rzeczami Winnetou i potem gotowa była nam stawić czoła z pustym jachtem. Bo któż wtedy byłby w stanie udowodnić jej, że miała skradzione rzeczy? Czarcim Ostrowem świetnie nadawał się na taką kryjówkę. W odległych wiekach był miejscem tajemniczych obrzędów religijnych dawnych Prusów. Pod koniec XVIII wieku stała tam twierdza, po której pozostały ukryte w ziemi piwnice. Dzieje tej wyspy osnute są legendami o diabłach i czarownicach, zbierających się na miejscu pogańskich obrzędów, o skarbach ukrytych w podziemiach twierdzy, o wyławianych z wody topielcach ze strzaskanych na skałach jachtów...

Mrok gęstniał, ale nie była to ciemność nadchodzącej nocy. Z nieba sączyła się brązowo-żółta poświata z odcieniem czerwieni. Uderzył grom jeden, a później drugi. Dziób naszego jachtu musnął trzciny przybrzeżne. Sprawdziłem pagajem głębokość wody i stwierdziłem, że sięga zaledwie do pasa. Obróciłem „Moby Dicka” dziobem na zachód i rzuciłem do wody kotwicę, upewniając się, czy mocno trzyma.

Wciąż jeszcze trwała przejmująca, złowróżbna cisza. Widzieliśmy przerażone ptactwo, które z pośpiechem uciekało znad jeziora w głąb zadrzewionej wyspy.

— Patrzcie, ona chyba oszalała! Podniosła żagiel — zawołała Krwawa Mary, obserwując przez lornetkę Latającego Holendra.

— To nie szaleństwo — odparłem. — Na pagaju nie zdoła już w tak krótkim czasie dotrzeć do wyspy. Czy widzicie, że zrefowała żagiel? Czeka teraz na pierwszy podmuch burzy, aby na nim dopłynąć do brzegu. Tylko że ten podmuch może ją wywrócić.

Nad naszymi głowami jakby niebo rozpękło się na kilka kawałków. Przeorały je błyskawice, grzmoty zlały się w jeden długi pomruk, a potem rozległ się łoskot jak od salwy armatniej.

— Niech Winnetou zluzuje sztag — rozkazałem. — Położymy główny maszt. Top masztu ściąga pioruny.

Nagle zaszumiało, jakby gdzieś w pobliżu przelatywały tysiące ptaków. Na zachodzie woda zbieła i zaczęła się nad nią unosić mgiełka porwanych wiatrem kropel. Biała ściana rozpylonej wody szła ku nam z szybkością pośpiesznego pociągu, a towarzyszył jej łoskot grzmotów i blask błyskawic. Wichura zatamowała nam oddech w piersiach. A potem przyszły ogromne fale. Zajęczała lina cumownicza ucepiona do kotwicy, liny stalowe odezwały się potępieńczym wyciem. Spadła na nas masa rozpylonej wiatrem wody, fale były w jacht zalewając przedni pokład i wciskając się do kokpitu.

Zmoczeni od stóp do głów, słaniając się pod naporem wichury, położyliśmy z Winnetou główny maszt. Nasze panie siedziały już bezpiecznie w kabinie, słuchając jak strugi wody łomoczą po dachu. Ale nam nie wolno było się kryć do zacisznego wnętrza „Moby Dicka”. Musieliśmy uważać, czy jacht stawia opór fali i czy wiatr nie spycha go na brzeg.

Błyskawice cięły niebo na kawałki, a pioruny były gdzieś bardzo blisko — może w wodę, może w drzewa? Grzmotom towarzyszył trzask łamanych na wyspie drzew. Jacht tańczył na ogromnych falach, które od zachodu uderzyły w nas jak taranem. „Moby Dick” szarpał linę kotwicy, a ta centymetr za centymetrem przesuwiała się po dnie jeziora, wpychając nas w trzciny.

Wzrastała ulewa. Spadały na nas całe kubły wody, a wiatr zapierał nam oddech. Musieliśmy zeskoczyć do kokpitu, aby ścianą kabiny zasłonić twarze od wiatru i zaczerpnąć tchu. Tak mijały minuty, które dłużyły się jak godziny.

Zajrzałem do kabiny. Milady i Krwawa Mary siedziały skulone obok skrzynki mieczowej i spoglądały w okienka zalewane potokami wody.

— Jak się pani czuje, Sosnowa Igiełko? — zawołałem.

Uśmiechnęła się:

— Powinnam się bać, prawda? Ale niczego się nie lękam.

— Może pani naprawdę przestała być lady?

Na dachu kabiny, jak werbel, pukały krople deszczu. Ich rytm stawał się nierówny, słabszy...

Wyszedłem na pokład. Wokół już pojaśniało. Ze wschodu dochodziły cichnące grzmoty oddalającej się burzy.

— Słońce! — zawołał Winnetou.

Jezioro znowu stało się gładkie. Pływały po nim połamane trzciny, gałęzie, liście. I wszędzie snuła się delikatna mgiełka.

Postawiliśmy główny maszt. Dziewczęta pomogły nam wciągnąć główny żagiel i fok. Wydostaliśmy się z trzciny i wyszliśmy na wolną od roślin wodę.

Wkrótce powiał lekki szkwalik i wolno poniósł nas w stronę Czarciego Ostrowu.

— O, patrzcie, tam płynie pagaj — zauważyła milady.

Na trawersie zobaczyłem krótkie wiosło żeglarskie. Zmieniłem kurs i po chwili wyjęliśmy je z wody.

— To wiosło ze „Swallowa” — stwierdził Winnetou, biorąc je do ręki i wskazując wyryty szczyrykiem napis na rękojeści.

Ogarnął mnie niepokój. Jak okiem sięgnąć, na jeziorze nie widać było żadnej łajby. Może pagaj wypadł z Latającego Holendra podczas gwałtownego przechyłu, a Miss Kapitan nie chciała tracić czasu na gonitwę za wiosłem?

— Na prawo są skały wystające z wody — ostrzegł mnie Winnetou.

Zwolniłem szybkość, każąc luzować żagle. Odtąd płynęliśmy bardzo powoli. Krwawa Mary i Winnetou usiedli na dziobie i końcami wiosel sondowali wodę, szukając podwodne głazy.

Czarczi Ostrów był już blisko. Widzieliśmy gołym okiem drzewa, trzciny przybrzeżne, piaszczystą łacę.

— Tam! Tam! Na lewo! — zawołała Krwawa Mary.

Między dwoma głazami leżał na boku „Swallow”. Gdy zbliżyliśmy się do niego, zobaczyliśmy, że poszycie przedniego pokładu zostało zdarte, a przełamany maszt trzymał się tylko dzięki żaglowi.

— A co się stało z Miss Kapitan?

Zobaczyłem przerażone oczy Krwawej Mary i milady. Ale Winnetou nie okazał niepokoju. Oceniał odległość wyspy od rozbitej żaglówki i stwierdził:

— Myślę, że ona jest na wyspie. Znakomicie pływa, a miała na sobie gruby kapok.

Winnetou zeskoczył do wody i podpłynął do uwięzionego na skałach jachtu. Wdrapał się na burtę i wydobyl z kokpitu dwa worki ze swoimi rzeczami.

Dobiliśmy do piaszczystej łachy na wyspie.

— Winnetou miał rację. Ona jest tutaj — oświadczyłem, wskazując świeży ślad małej stopy odbity na piasku. Ślad kierował się w głąb wysepki, między dziko rosnące maliny.

Nie musieliśmy szukać długo Miss Kapitan. Skulona z zimna, w przemoczonej odzieży siedziała na małej polance i usiłowała wysuszyć zapalki.

— Czego chcesz? — odezwała się wrogo do Winnetou. — Twoje rzeczy są w worku na „Swallowie”, który utonął. — I rozplakała się.

— „Swallow”. Mój kochany „Swallow” — lzy ciekły jej po twarzy. Ona naprawdę kochała ten jacht.

Zrobiło mi się jej żal. Może była zła, przewrotna, ale widziałem w niej także wspaniałego żeglarza.

— „Swallow” nie utonął — powiedziałem — leży rozbity na skałach. Wzięliśmy z niego rzeczy Winnetou. „Swallowa” można będzie wyremontować. Ma złamany maszt i rozdarte poszycie na dziobie.

Zerwała się ze swego miejsca.

— Gdzie on jest? Pokażcie mi go. Musicie pomóc mi ściągnąć go na wyspę. Ukryję go w krzakach, popłynę statkiem do Mikołajek, kupię tam maszt i sprowadzę tutaj szkutnika. Naprawię „Swallowa”.

— Zgoda — przytaknąłem. — Ściągniemy ze skał „Swallowa” i zabierzemy panią do Mikołajek. Na posterunek milicji.

— Dobrze. Wszystko mi jedno. Ale najpierw musimy tu przyholować „Swallowa”.

Milady i Krwawa Mary wyjęły z jachtu naszą kuchnię gazową i zabrały się do przyrządzania obiadu. A ja z Winnetou i Miss Kapitan dopłynęliśmy do „Swallowa”, ściągnęliśmy go ze skał i przy pomocy liny przeciągnęliśmy na płyciznę. Potem zdjęliśmy żagiel, odwróciliśmy jacht do góry dnem i przenieśliśmy go w krzaki malin, które go dobrze ukryły.

Obiad zjedliśmy w milczeniu. Bo i o czym było mówić? O przestępstwach dokonanych przez Miss Kapitan? O jej kłamstwach i oszustwach?

O czwartej po południu podnieśliśmy żagle na „Moby Dicku” i omijając skały podwodne popłynęliśmy na południowy zachód, bo tak życzył sobie Winnetou. Nikt z nas nie pytał go, dlaczego tak postanowił. Szanowaliśmy jego tajemnicę.

Po półgodzinie znaleźliśmy się na trasie statków pasażerskich płynących z Pizy do Mikołajek. Winnetou rozkazał zrzucić żagle. Zatrzymaliśmy się naprzeciw Niedźwiedziego Rogu z jego pięknym punktem widokowym na Śniardwy.

Miss Kapitan stała na pokładzie wsparta o maszt i paliła papierosa za papierosem.

Tymczasem Winnetou pogrzebał chwilę w skrzynce bosmańskiej i wyjął z niej kilka kolorowych flag międzynarodowego kodu. Wprawa, z jaką przebierał w prawie czterdziestu różnokolorowych flagach o najróżniejszych kształtach, upewniła mnie ostatecznie, że kiedyś był on żeglarzem. Lecz na „Moby Dicku”, podczas całej naszej podróży, ani razu nie zasiadł za sterem.

Wybrał sygnał dwuflagowy „EJ”, który znaczył: „Czy możecie mi pomóc”.

Był to sygnał przeznaczony dla pasażerskiego statku, który właśnie wypłynął z jeziora Seksty i szedł ku nam. Płynął szybko, z pokładu rozchodziły się dźwięki muzyki tanecznej.

Kapitan statku dojrzał „Moby Dicka”, znajdującego się na jego kursie.

Usłyszeliśmy długie, trwające co najmniej pięć sekund buczenie syreny okrętowej. Był to sygnał: „Bacność”. Potem rozległy się dwa długie buczenia i jedno krótkie, co oznaczało, że statek zamierza skrócić i wyprzedzić nas wzdłuż prawej burty.

Nagle kapitan zauważył flagi kodu sygnałowego i woda za rufą gwałtownie zawirowała. Statek przyhamował, a później zatrzymał się.

— Co się stało? — doszedł nas głos kapitana, zniekształcony przez tubę megafonu.

— Prosimy o zabranie jednego pasażera. Kobiety. Źle się czuje — krzyknął Winnetou.

— Dobrze. Dobijcie do lewej burty — zahuczał głos kapitana.

Chwyciliśmy za pagaje i po chwili nasz jacht zbliżył się do statku. Miss Kapitan — w milczeniu, nie darząc nas nawet spojrzeniem — weszła na burtę jachtu. Jakiś marynarz podał jej rękę, a ona zgrabnie wskoczyła na pokład statku.

A potem Winnetou gwałtownie odepchnął jacht od statku i zaczął ze wszystkich sił wiosłować, jakby pragnąc jak najszybciej znaleźć się daleko od Miss Kapitan.

Syrena znowu zawyła. Zapieniła się woda za rufą i stateczek powoli odpłynął, kierując się do Mikołajek. Pasażerowie na pokładzie machali ku nam chusteczkami, bo ten incydent stanowił dla nich pewne urozmaicenie podróży. Tylko Miss Kapitan nie zrobiła najmniejszego gestu w naszą stronę, choć — gdy statek oddalał się — odwróciła się twarzą ku nam i patrzyła na nas długo. Myślę, że z nienawiścią.

Winnetou odłożył wiosło i zaczął ściągać kod sygnałowy.

— Dlaczego? Dlaczego pan tak postąpił? — wybuchnęła nagle Krwawa Mary. — Przecież ona miała skradzione rzeczy. To oszustka!

Winnetou spojrział w stronę statku, który był już tylko białą plamą na bezmiarze wód.

— Ona była moją żoną — wyjaśnił krótko.

Dopiero nocą, gdy przebyliśmy pierwszą służę w kanale i postanowiliśmy odpocząć, Winnetou zdecydował się udzielić nam szerszych wyjaśnień.

Siedzieliśmy wszyscy w kabinie, otaczając stół na skrzyni mieczowej. Sosnowa Igiełka postawiła przed nami kubki z gorącą kawą i podała herbatniki, nędzne resztki naszych zapasów. Za okrągłymi okienkami zalegała noc, jacht stał przycumowany do obramowanego wikliną brzegu kanału.

— Ożeniłem się przed dziesięcioma laty. Byłem początkującym grafikiem, a ona studentką Akademii Sztuk Pięknych. Pracowałem dużo, żona ukończyła studia, dorobiliśmy się mieszkania i wspaniałej pracowni, a ponieważ obydwójce uwielbialiśmy żeglarstwo, po jakimś czasie kupiliśmy Latającego Holendra, którym przemierzaliśmy jeziora mazurskie. W jakiś czas później otrzymałem stypendium zagraniczne i wyjechałem do USA, gdzie moje rysunki Indian wzbudziły duże zainteresowanie. Gdy wróciłem do kraju, przekonałem się, że żona stała się zupełnie innym człowiekiem, spragnionym uciech, zabaw, towarzystwa. Zaproponowałem jej rozwód — za cenę mieszkania i „Swallowa” zgodziła się dać mi wolność. Przez jakiś czas mieszkałem kątem u przyjaciół. Lecz nagle przysłała nagroda państwowa, pieniądze. Kupiłem wtedy skrawek gruntu nad jeziorem, zbudowałem dom i zamieszkałem w swoim wigwamie. Lecz moja była żona uważała, że powinna również otrzymać część pieniędzy z nagrody, gdyż wiele moich rysunków, które zyskały rozgłos, pochodziło z czasów, gdy byliśmy jeszcze małżeństwem. Wytoczyła mi proces, ale przegrała. Nie zrezygnowała jednak ze swych roszczeń i przed kilkoma dniami przyплыnęła tutaj na „Swallowie”, aby jeszcze raz zażądać ode mnie pieniędzy. Niestety, choćbym chciał, nie mogłem spełnić jej żądań. Po prostu nie mam grosza. Zamówienia na ilustracje, które otrzymuję, starczą mi zaledwie na bardzo skromne życie. Powiedziałem jej to przy naszym spotkaniu, ale nie wzięła tego pod uwagę. Stwierdziła, że mam duże bogactwo w indiańskich rekwizytach i gdybym je sprzedał, miałbym dość pieniędzy i dla siebie, i dla niej. Nie zgodziłem się, rzecz jasna. Pożegnała mnie pełna nienawiści i spotkawszy Pinokia namówiła go do kradzieży. To wszystko, moi przyjaciele, znacie już całą moją tajemnicę. Dodam jeszcze, że oddając jej „Swallowa”, przysiągłem sobie nigdy więcej nie zasiadać za sterem żadnej żaglówki. Nie chcę, aby biały żagiel i poczucie steru przypominało mi lata spędzone z nią na wodzie. Ona jednak co roku przyplywa „Swallowem” w te okolice, aby drażnić mnie swoją obecnością. Przewano ją Miss Kapitan, ponieważ rzeczywiście świetnie umie żeglować. Zrobiła wiele złego, ale nie potrafiłem oddać jej w ręce sprawiedliwości. Wybaczcie mi tę słabość.

To mówiąc wyszedł z kabiny, usiadł na pokładzie dziobowym i pozostał tam na długo.

Potem i Krwawa Mary wyszła z kabiny. Słyszałem, jak odezwała się do Winnetou:

— Jeżeli panu na tym bardzo zależy... to powiem panu, że mnie już obrzydł sztucer z lunetą. Sprzedam go i kupię taką samą dubeltówkę, jaką i pan ma. Wcale nie przepadam za radiem i

telewizją. W kawiarni wywiesiłam ogłoszenie, że nie wolno włączać radioodbiorników. I nigdy nie opuszczę Złotego Rogu...

* * *

W dwa dni później, na podwórku leśniczówki, żegnali mnie Winnetou, Krwawa Mary i Wielki Bóbr. Zapakowałam już do wehikułu wszystkie swoje rzeczy, również Sosnowa Igiełka na tylne siedzenie położyła swój podróżny neseser.

Wielki Bóbr wręczył mi wypełnione formularze deklaracji.

— Znalazłem Społecznego Opiekuna Zabytków w Złotym Rogu. Wydaje mi się, że potrafi on zadbać o to, aby nikt nie dewastował ruin starego zamku — stwierdził.

Zajrzałem do deklaracji.

— Na Boga, to Winnetou! — uradowałem się. — Naprawdę mój brat i przyjaciel chce podjąć się tego zadania? Jestem pewien, że nasze ministerstwo szybko zatwierdzi pana kandydaturę i przyśle odpowiednią legitymację. Winnetou, dziękuję panu serdecznie.

Ale Winnetou nie lubił podziękowań. Postarał się szybko zmienić temat i zaczął żartować z Sosnowej Igiełki.

— Białą skaw — powiedział — przywiózł do Złotego Rogu człowiek przezwiskiem Piękny Antonio. Przyjechała do nas Sosnowa Igiełka lśniącem blaszonym koniem. Co powiedzą jej znajomi z dyplomacji, gdy zobaczą panią w takim dziwnym wehikule? Pomyślą, że pani wraca nie z Mazur, ale z Księżycy.

— Słusznie — przytaknęła milady — dlatego poproszę Szarą Sowę, aby odwiózł mnie tylko na rogatki Warszawy. Dalej pojedę taksówką.

— Milady, to jakaś pułapka — rzekł Winnetou. — Podejrzewam, że blaszany koń Szarej Sowy jest równie zagadkowy, jak zagadkowy jest uśmiech, który widzę na jego twarzy.

Podziękowałem leśniczemu za gościnę, pożegnałem jego małżonkę. Ucałowałem serdecznie Winnetou i Krwawą Mary. Uściskałem Wielkiego Bobra.

— Proszę siadać, ruszamy w świat — powiedziałem do milady.

Sosnowa Igiełka zajęła miejsce obok kierowcy. Zapuściłem silnik i ruszyłem wehikułem.

Ale nie skręciłem na drogę do wsi, tylko pojechałem do kanału.

— O Boże, oni się utopia! — usłyszałem wołanie Krwawej Mary.

Widziałem, że Winnetou rzucił się w pogoń za wehikułem. Lecz mój samochód już był nad brzegiem kanału.

— Boże drogi! — krzyknęła rozpaczliwie Sosnowa Igiełka.

Wehikuł wjechał w wodę. Śruba napędowa zaczęła się obracać, popłynęliśmy kanałem do jeziora.

— Pański samochód pływa! — Naprawdę pływa — wołała zdumiona milady.

Nie odezwałem się ani słowem. Wypłynęliśmy na jezioro i skręciłem w prawo.

— Dokąd płyniemy? Przecież mieliśmy jechać do Warszawy — stwierdziła Sosnowa Igiełka.

— Dostaniemy się do Warszawy przez jeziora mazurskie, milady.

— Ależ ja na to nie wyraziłam zgody — zauważyła dystyngowanie.

— Słusznie. Ale czy biała skwaw o imieniu Sosnowa Igiełka nie wyraziła kiedyś ochoty, aby ktoś porwał ją tak naprawdę? Więc to właśnie się stało. Howgh.

1 Wyróżniamy dwa rodzaje jachtów: kilery — z umieszczonym pod dnem łodzi balastem, który zapewnia niewywracalność łodzi, i jachty mieczowe, z tzw. mieczem czyli arkuszem blachy zawieszonym pod dnem, który powiększa opór boczny jachtu. Wciągnięcie miecza umożliwia pływanie nawet po płytkich wodach.

2 Omega — najpopularniejsza u nas łódź żaglowa o powierzchni żagli 15 m². Fin — łódź regatowa z jednym tylko żaglem o powierzchni 10 m². BM-ka — świetna do żeglugi jeziorowej o wszechstronnym przeznaczeniu; łódź z żaglami o powierzchni 12 m². Hetka, czyli jacht klasy „H”, ma żagle o powierzchni 15 m². Cadet — to mała łódka, używana przede wszystkim przez młodzież. Ma ciężar tylko 54 kg i nieco ponad 5 m² żagla.

3 Ożaglowanie typu „Marconi” charakteryzuje się trójkątnym grotem, czyli żaglem głównym.

4 Jol — ogólna nazwa nadawana małym łodziom sportowym o ożaglowaniu skośnym, posiadającym dwa maszty. Maszt tylny, bezanmaszt, umieszczony za sterem, jest znacznie niższy od masztu przedniego (czyli masztu głównego, zwanego też grotmasztem).

5 Ożaglowanie gafłowe — rodzaj ożaglowania skośnego, w którym żagiel czworokątny rozpięty jest za pomocą gafła — ukośnego drzewca opierającego się jednym końcem o maszt. Do drugiego końca przymocowany jest róg żagla (czyli lik).

6 Refować w języku żeglarskim znaczy zmniejszać powierzchnię żagla. Żagiel nawija się na drzewce poziome, zwane bomem. Każdy żagiel składa się z podłużnych pasów: refów — i stąd nazwa. W zależności od tego, ile żagla nawinie się na bom, mówimy, że ktoś nawinął jeden, dwa, trzy refy.

7 Dirk — nazwa jednej z lin podtrzymujących bom.

8 Bukszpryt — drzewce ukośne wysunięte poza dziób jachtu. Można do niego mocować dodatkowy mały żagiel, np. trójkątny malutki kliwer.

9 Między dziobem a masztem głównym przebiega lina stalowa zwana sztagiem. Na niej zawieszają się żagle pomocnicze zwane sztakslami. Należą do nich trójkątny żagiel o nazwie fok, trójkątny o bardzo wydłużonej podstawie — genuafok i spinaker (przypomina wydęty balon) oraz bryfok i balonfok.

10 Każdy jacht ma dziób i rufę pokrytą pokładem. Część środkowa nie ma pokładu — tu właśnie znajduje się miejsce dla załogi zwane kokpitem. W jachtach kabinowych kokpit częściowo zakryty jest kabiną.

11 Kapok — popularna nazwa kamizelki ratunkowej.

12 Jacht ma lewą i prawą burtę. Gdy wiatr wieje na prawą burtę (grot wówczas znajduje się za lewą burtą), mówimy, że płyniemy prawym halsem. I odwrotnie, gdy wiatr wieje na lewą burtę, płynie się lewym halsem.

13 Juzing — cienka linka, czasem smołowana.

14 Kausza lub inaczej chomątko — metalowe okucie zabezpieczające linę przed przecieraniem się.

15 Historię wehikułu i związane z nim przygody znajdują Czytelnicy w takich książkach, jak „Wyspa złoczyńców”, „Pan Samochodzik i templariusze”, „Księga strachów”, „Niesamowity dwór”, „Nowe przygody Pana Samochodzika”, „Pan Samochodzik i zagadki Fromborka”, „Pan Samochodzik i Fantomas”, „Pan Samochodzik i tajemnica tajemnic”.

16 Rambler — mały jachcik zaprojektowany przez J. Holta w 1954 roku. Budowany w trzech wersjach: śródlądowej z wielkim kokpitem, turystycznej z cięższym mieczem i kabiną oraz w wersji morskiej, z balastem i kokpitem odpływowym. Zyskał sobie bardzo wielu zwolenników. Ma 15 m² żagla, podobnie jak omega, ale jest o wiele lżejszy i łatwiejszy do transportu.

17 Rumpel, inaczej sterownica, to drążek zamocowany do trzonu steru. Za jego pomocą zmienia się położenie płetwy steru.

18 Maszt w jachcie ma wyciętą od strony żagla dość głęboką szparę, w którą wsuwa się krawędź grotu. Szpara ta umożliwia podnoszenie żagla i wiąże go z masztem. Nazywa się ona szparą likową. Żagiel od strony masztu jest obszyty liną, która wchodzi w ową szparę likową i uniemożliwia oderwanie się żagla od masztu. Lina ta nazywa się liną likową, likliną.

19 Knagi — specjalne uchwyty, służące na jachcie do mocowania lin. Knagi mogą być metalowe lub drewniane, proste lub bardziej skomplikowane — na przykład automatycznie zaciskające się na linie.

20 Cęgi — bardzo mocny, związany z kadłubem jachtu uchwyt, w który wkłada się maszt. Maszt w cęgach mocowany jest dwoma bolcami — usunięcie jednego z nich umożliwia położenie masztu na pokładzie, na przykład przy przepływaniu pod niskim mostem.

- 21 Wanta — jedna z kilku lin stalowych podtrzymujących maszt z boków.
- 22 Szot — linka zamocowana do boku żagla, za jej pomocą można ustawić bom, a tym samym żagiel, pod odpowiednim kątem.
- 23 Wyostrzyć sterem to znaczy zmniejszyć kąt między osią wzdłużną jachtu a linią wiatru.
- 24 Pagaje — krótkie wiosła używane przez żeglarzy gdy nie ma wiatru.
- 25 Kilwater — ślad torowy, czyli układające się za rufą płynącej jednostki zawirowania wody znaczące wyraźnie przebytą drogę.
- 26 Fordewind — kurs jachtu płynącego z wiatrem wiejącym prosto od rufy.
- 27 Pedlar — wędrowny handlarz. Winnetou użył tu określenia zaczerpniętego z powieści Karola Maya.
- 28 Sklarować żagiel — po opuszczeniu w dół starannie go ułożyć na bomie i owiązać liną szotową.
- 29 Top — wierzchołek masztu.
- 30 Kipy — drewniane lub metalowe oczka, przytwierdzone do burty. Przechodzą przez nie szoty foka.
- 31 Raksy — zaczepy służące do umocowania żagla przedniego na sztagu.
- 32 Saling — rozpórki zakładane między maszt a wanty, rozpychające te ostatnie na zewnątrz. W ten sposób wanty są silnie naprężone.